

Jan Mostowik

ŚMIERTELNA
ROZGRYWKA



J a n M o s t o w i k

**ŚMIERTELNA
ROZGRYWKA**

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Redakcja

Justyna Bartniczuk-Nosal

Zdjęcia na okładce

© *ChenPG* | fotolia.pl

© *krokodi11* | fotolia.pl

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

Korekta

Barbara Kaszubowska

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2016

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina, 2016

tekst © Copyright by Jan Mostowik

ISBN 978-83-64312-99-1

Mojej żonie z podziękowaniem za wspólną, trzydziestopięcioletnią wędrówkę

Linia telefoniczna Wschód – Zachód

- Witaj, Aleks. Nie odzywałeś się ostatnio. Cisza przed burzą?
- Na to wygląda.
- Lekarstwa dotarły?
- Tak.
- Jak Natasza?
- W porządku. Dzięki tobie wraca do zdrowia.
- Cóż, zawsze możemy na siebie liczyć, prawda?
- Naturalnie. Oczywiście dziękuję w jej imieniu.
- Nie ma sprawy. Zaczynamy?
- Czarne gotowe.
- Białe zaczynają. Pionek c dwa na c cztery.
- Pionek e siedem na e sześć.
- Hm... moi chłopcy donoszą, że twoi znów wyruszyli. Georgia?
- Trochę bliżej.
- Billowi to się nie spodoba. Skoczek g jeden na f trzy.
- Wiem. Tłumaczyłem Borysowi, ale generałowie są nieugięci. Pionek d siedem na d pięć. A poza tym nie mogą darować Radujewowi ataku na szpital w Kizlarze.
- Ale po co?
- Układ Warszawski, Litwa, Łotwa, Estonia, Ukraina, Białoruś, Gruzja... mało? Królestwo się sypie, król upokorzony, zwłaszcza po ubiegłorocznej aferze z Dumą, a za dwa lata wybory. Naród potrzebuje zwycięstwa.
- Będzie ciężko, ale jakoś sobie poradzimy. Pionek d dwa na d cztery.
- Skoczek g osiem na f sześć.
- Na szczęście nikt o tym nie wie. Skoczek b jeden na c trzy. Bądź czujny.
- Na c trzy? Goniec f osiem na e siedem. Ty też.

Listopad 1990

O tej porze roku na granicy Niziny Północnosyberyjskiej i Środkowsyberyjskiej zmierzch zapadał bardzo wcześnie. Promienie słońca zachodzącego za widoczny na horyzoncie las barwiły bezkresne połacie śniegu tęczą kolorów. Dominowały niezliczone odcienie czerwieni, purpury i różu. Panujący prawie dwudziestostopniowy mróz wplatał w te ciepłe barwy miliony skrzących się iskierek, które podkreślały surowość klimatu. Ściana lasu straciła swoją wyrazistość. Nie było widać pojedynczych drzew, tylko ich wierzchołki, które rysowały na purpurowo-różowym nieboskłonie linię niczym wykres notowań giełdowych. W odległości ośmiu kilometrów od lasu, dokładnie na północy, znajdowało się kilkanaście drewnianych baraków ustawionych niczym żołnierze w czterech idealnie równych dwuszeregach. Przykryte grubymi czapami śniegu, sprawiały wrażenie opuszczonych. Nawet cienka smużka dymu wydobywająca się z centralnie położonego budynku była jak zastygła na mrozie.

Dookoła panowała idealna cisza i wydawać by się mogło, że nic nie jest w stanie zmącić tej harmonii, gdy nagle powietrze przeszył krzyk ni to bólu, ni rozpacz, ni pieśni. Brzmiał tak unoszony przez mroźne powietrze i układał się jak na pięciolinii. Po chwili na horyzoncie pojawiła się trojka powożona przez okutanego w kozuch mężczyznę. Trzy potężne konie galopem pokonywały martwą przestrzeń. Kłęby pary dobywające się z ich nozdrzy otulały stojącego w rozkroku człowieka. To on był tym, który odważył się przerwać ciszę. Powożone przez niego sanie nie dojechawszy do baraków, skręciły na wschód i po chwili pieśń zanikła równie gwałtownie, jak się pojawiła.

Tymczasem zapadł mrok. Księżyc zbliżający się do pełni zmienił wygląd doliny. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki równina pokryła się srebrem i platyną. Uważny obserwator mógłby zauważyć odrywający się od lasu długi sznur postaci poprzedzany przez inną trojkę. O ile pierwsza z nich, choć samotna, tworzyła scenę kipiącą życiem i energią, o tyle kolejna, przewodząca maszerującej kolumnie zgarbionych i zmęczonych ludzi, roztaczała wokół siebie atmosferę śmierci. Być może uśpione słońce odebrało dolinie oznaki życia, być może księżyc tchnął na nią ducha śmierci. A może kolumna, która przemierzała tak swą drogę niezmiennie od siedemdziesięciu lat, dzień po dniu, rok po roku, sama w sobie była martwa. Zesłańcy wracali

z lasu do łagru numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć od początku przeznaczonego dla politycznych wrogów ustroju. Poprzedzające ich sanie wiozły zwłoki tych, co nie wytrzymali katorżniczych warunków i zmarzli w lesie. Konwojujący kolumnę żołnierze kazali załadować nieszczęśników na sanie, nie sprawdzając niczyjej tożsamości. Stan liczebny się zgadzał – osiemset czterdziestu pięciu żywych plus cztery trupy, to daje osiemset czterdziestu dziewięciu więźniów, którzy o świcie opuścili baraki. Po dwóch godzinach marszu prawie zmarznięci docierali do łagru. W tym czasie samotny śpiewak zazwyczaj znajdował się już w swojej chacie położonej dwa kilometry za wsią. Nikt nie wiedział, skąd się wziął w tej zapomnianej przez Boga i historię krainie. Pojawił się przed pięcioma laty i zamieszkał w opuszczonej chałupie. Zarośnięty i bez względu na porę roku okutany w kożuch, wzbudzał w mieszkańcach wioski strach. Prawie z nikim nie rozmawiał, a zagadnięty, odburkiwał niezrozumiale. Wiecznie ponury, ożywiał się tylko w obecności swoich koni. W każdą niedzielę od samego rana zajmował miejsce w rogu karczmy i akompaniując sobie na akordeonie, śpiewał smętne pieśni, aż wypita wódka morzyła go snem. Trzy razy w tygodniu wyjeżdżał do odległego lasu. Przywoził na saniach to wszystko, co można było tam znaleźć. Mieszkańcy wioski przyzwyczaili się do niego, uważając go za nieszkodliwego wariata. Tak samo traktowali go strażnicy obozowi. Ot, *durak*, i tyle.

Bruksela, 9 lutego 1996

Magdalena Strzelecka zgodnie z umową oczekiwała profesora Kobalita od godziny jedenastej. Gdy minęła dwunasta, a Kobalt ani się nie pojawił, ani nie zadzwonił, trochę się zaniepokoiła. Profesor należał do ludzi bardzo punktualnych. Dzwoniąc na numer jego telefonu komórkowego, usłyszała tylko nagrany przez Kobalita tekst powitania.

O pół do pierwszej zdecydowała się zadzwonić do hotelu.

– Nazywam się Magdalena Strzelecka-Pommieur – przedstawiła się, gdy uzyskała połączenie z recepcją. – Czy może mnie pan połączyć z profesorem Michałem Kobalitem?

– Przykro mi, proszę pani – odparł uprzejmy męski głos. – Profesor wrócił bardzo późno i nie czuł się zbyt dobrze. Prosił, aby mu pod żadnym pozorem nie przeszkadzano. Chce wypocząć i sam da znać, kiedy wróci do formy. Jeszcze raz bardzo przepraszam, ale musimy dbać o naszych klientów.

– A czy nie zostawił dla mnie wiadomości? – Magda nie mogła uwierzyć, że zapomniał o planowanej wycieczce. Zawsze, gdy zachodziły jakieś nieprzewidziane sytuacje, pamiętał o spotkaniach i powiadamiał ludzi, którzy na niego czekali.

– Przykro mi, proszę pani – odpowiedział recepcjonista po chwili. – Nie ma żadnych informacji.

– Proszę zanotować moje nazwisko i gdy tylko profesor Kobalt się pojawi, proszę mu przekazać, że czekam na jego telefon.

– Oczywiście, proszę pani. Przekażę.

Może faktycznie poczuł się źle, rozmyślała kobieta. Ostatnio był jakiś nieswój, jakby go coś gnębiło albo jakby był bardzo zmęczony. Potrzebował odpoczynku i właśnie w tym celu się umówili na wspólny wyjazd. Przecież gdyby mu się coś stało, to zapewne powiadomiłby szefa delegacji, próbowała uspokoić złe przecucia. No właśnie! Szef delegacji! On powinien wiedzieć. Ponownie sięgnęła po słuchawkę.

– Dzień dobry. Nazywam się Magdalena Strzelecka-Pommieur i jestem korespondentką radia Smog FM – przedstawiła się kobiecie obsługującej centralę w ambasadzie, gdzie miała nadzieję zastać szefa polskiej delegacji. – Czy mogłabym rozmawiać z ministrem Jankowskim?

– Czy była pani umówiona? – zapytała kobieta.

– Niestety nie, ale jeżeli pan minister jest w ambasadzie, proszę mu podać

moje nazwisko i zapytać, czy nie zechciałby poświęcić mi kilku minut. Sprawa dotyczy profesora Kobalta. – Magdalena dzięki znajomości z Kobaltem miała pewne przywileje u wiceministra, który studiował na jednym roku z profesorem, a teraz był szefem delegacji.

– Proszę chwilę poczekać – poleciła jej kobieta. Kilkanaście sekund później dodała: – Łączę z ministrem.

– Dzień dobry, pani Magdo. – Jankowski zwracał się do niej dość poufale. – Czym mogę służyć? Czyżby Michał zachował się nie *fair* wobec pani, czy też ma pani wolny wieczór i nie wie, z kim go spędzić?

– Proszę wybaczyć, że zabieram panu czas – zaczęła oficjalnie – ale byłam umówiona na spotkanie z profesorem Kobaltem. Jak pan wie, jest on człowiekiem bardzo punktualnym. Byliśmy umówieni na jedenastą. Gdy do dwunastej się nie zjawił i nie przesłał mi żadnej informacji, zadzwoniłam do hotelu i tam dowiedziałam się, że źle się poczuł. Czy pan się orientuje, co dolega profesorowi?

– Zaskoczyła mnie pani – odparł po chwili namysłu. – Ale zaraz, zaraz. Przypominam sobie, że na wczorajszy wieczór umawiał się ze swoimi znajomymi na kolację w Le Petit Moulin Rouge. Mieli świętować jakąś szczególną okazję. Sądzę, że przyczyna może być prozaiczna. Szampan?

– Dziękuję. Uspokoił mnie pan.

Rozmowa z ministrem na krótko rozwiązała jej niepokój. W związku z tym, że już wcześniej zaplanowali z profesorem wspólny wypad do zamku niedaleko Gembloux, w którym profesor odkrył ciekawe zbiory dotyczące Polski, tego dnia nie miała żadnego innego spotkania. Przejrzała repertuar kin, lecz szybko odrzuciła ten pomysł. Nie wiedziała, co zrobić z wolnym czasem. W duchu liczyła na to, że Kobalt dojdzie do siebie i zadzwoni.

Z nudów zaczęła robić porządki w dokumentach, lecz nie mogła się na niczym skupić. Parę razy złapała się na tym, że podnosiła słuchawkę telefonu, sprawdzając, czy nikt nie blokuje linii. Godziny mijały powoli, a jej niepokój narastał. Nabierała pewności, że Kobaltowi przytrafiło się coś złego. Pedantyczna punktualność profesora stała się przedmiotem żartów na uczelni. Dobrze pamiętała zagadkę krążącą wśród studentów: Co zostanie na Ziemi po końcu świata? Profesor Kobalt za katedrą czekający z wykładem na studentów.

Dwukrotnie próbowała połączyć się z pokojem profesora i dwukrotnie ten sam męski głos odpowiadał jej, że profesor jest niedysponowany i nie życzy sobie żadnych rozmów ani gości.

John Bush również był nieosiągalny, natomiast z rozmowy z Nielsem van

Rumptem dowiedziała się tylko tyle, że faktycznie dość długo posiedzieli w Le Petit Moulin Rouge. Podobno wypili trochę piwa, ale Kobalt był w niezłej formie, gdy ich opuszczali. Podczas kolacji wspominał o planowanej na dziś wycieczce do zamku.

– Ale czy jest pan pewny, że profesor Kobalt jest w swoim pokoju? – zapytała, gdy po raz kolejny odmówiono jej połączenia z profesorem.

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedział recepcjonista znudzonym głosem.

– Czyli że widział się pan z nim dzisiaj? – dopytywała reporterka.

– Ja nie, ale kolega przyjmował zlecenie od profesora. – Tym razem głos recepcjonisty zdradzał pewne zniecierpliwienie, aczkolwiek starannie maskowane.

– Może pan rozmawiał przez telefon z profesorem? – Magdalena nie ustępowała. Z zawodową precyzją drążyła temat, chcąc uzyskać potwierdzenie obecności profesora w hotelu i usłyszeć, że nic mu nie dolega.

– Nie, proszę pani, nie rozmawiałem z nim dzisiaj. – Recepcjonista coraz mniej się starał, aby ukryć zniecierpliwienie.

– Więc skąd pan wie, że panu Kobaltowi nic nie dolega i nie potrzebuje pomocy lekarza? – niemalże wykrzyknęła.

– Proszę pani! – Mężczyzna lekko podniósł głos i zbyt wolno jak na pracownika tej kategorii hotelu zaczął tłumaczyć: – Profesor Kobalt wrócił nad ranem w stanie znacznego upojenia alkoholowego. Polecił mojemu koledze, żeby ten wyraźnie zaznaczył w recepcji i w centrali telefonicznej, iż do wieczora nie życzy sobie żadnych telefonów i żadnych odwiedzin. Nasz hotel zawsze spełnia życzenia gości.

Odłożyła słuchawkę.

Nie na darmo przeszła twardą szkołę w radiu Smog, by teraz tracić głowę. Potraktowała tę sytuację jak zadanie reporterskie, starając się wymyślić sposób dotarcia do profesora. O siódmej wieczorem – myślała, zapalając papierosa – w hotelu zmieniają się recepcjoniści. Wtedy też najwięcej gości wraca do swoich pokoi, aby odświeżyć się przed kolacją. Może uda się wykorzystać zamieszanie i niepostrzeżenie dotrzeć do windy albo do klatki schodowej. Pod wpływem konstruktywnych myśli powoli wracał jej spokój. Jeszcze raz przeanalizowała plan. Była pewna, że nic nie jest w stanie przeszkodzić w jego realizacji. Musi tylko odpowiednio się przygotować.

Kilka minut po siódmej, elegancko ubrana, pewnym krokiem przekroczyła drzwi wejściowe hotelu. Na moment zatrzymała się w holu, rzucając nie tyle pytające, co badawcze spojrzenie w kierunku recepcji. Na szczęście pracownik hotelu zajęty był rozmową z ubranym w długi czarny płaszcz mężczyzną. Nie wahając się zbyt długo, skierowała kroki w kierunku restauracji. W szatni

zostawiła płaszcz i z torebką przewieszoną przez ramię spokojnie ruszyła w kierunku windy. Kilkanaście osób zajętych rozmową oczekiwało na jej przyjazd. Zerknęła na tabliczkę nad drzwiami windy. Szóste piętro. Spokojnie skręciła na schody i nie niepokojona przez nikogo, ruszyła do góry. Pokój profesora znajdował się na czwartym piętrze. Reporterka pokonała tę odległość błyskawicznie. Na trzecim piętrze minęła ją winda. Wchodząc na czwarte, usłyszała, że z kabiny wyszli goście. Niewiele czasu straciłam, pomyślała zadowolona, wchodząc na korytarz. Rozejrzała się dyskretnie, lecz nie zauważyła nikogo. Trzask zamykanych drzwi oznajmił, że goście, którzy tu wysiedli, już znaleźli się w swoich pokojach. Spokojnie, z trudem hamując pośpiech i emocje, ruszyła w kierunku pokoju czterysta siedemnaście. Na chwilę zatrzymała się przed drzwiami, nasłuchując odgłosów z wewnątrz. Ktoś był w środku. Usłyszała ruch. Chwała Bogu, pomyślała z ulgą. Michał doszedł już do siebie. Z uśmiechem na twarzy zapukała do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

– Michał, tak się o ciebie martwiłam! – wykrzyknęła, przekraczając próg. – Mogłeś chociaż zadzwonić!

– *Da?* – Usłyszała obcy głos i zobaczyła nieznanego mężczyznę w czarnym płaszczu klęczącego przy łóżku.

Uśmiech zamarł na jej twarzy. Poznała go. To był ten sam człowiek, który rozmawiał z recepcjonistą, gdy wchodziła do hotelu. Co on, do cholery, robi w pokoju Kobalta? Już miała zażądać odpowiedzi, gdy nieznanomy spokojnie wstając z kolan, nienaganną angielszczyzną zapytał:

– Szuka pani kogoś?

– Tak – odparła z wahaniem. Pewność nieznanego trochę zbiła ją z tropu, lecz zadziałał instynkt. – Byłam umówiona w pokoju pięćset siedemnaście z madame Duval.

– To jest pokój numer czterysta siedemnaście – odpowiedział nieznanomy z uśmiechem. – Co prawda nie jestem madame Duval, ale jeżeli ma pani wolny wieczór, to zapraszam na dół, do restauracji.

– Bardzo pan uprzejmy – powoli odzyskiwała spokój w głosie – ale jestem umówiona na wywiad i nie chcę się spóźnić. Gdy idę schodami, zawsze mylę piętra. Bardzo pana przepraszam.

– Nic nie szkodzi. – Pomimo bardzo spokojnego i uprzejmego tonu Magda wyczuła w głosie mężczyzny nutkę niepokoju.

Zamknęła drzwi i z trudem się powstrzymała, żeby nie puścić się biegiem do windy. Serce chciało jej wyskoczyć przez gardło, a nogi miała jak z waty. Pomimo to spokojnie zmierzała w kierunku schodów. W połowie korytarza

usłyszała otwierające się drzwi. Wiele wysiłku kosztowało ją, by się nie odwrócić. Była pewna, że nieznajomy ją obserwuje. Skręcając na schody wiodące na wyższe piętra hotelu, dyskretnie zerknęła w głąb korytarza. Mężczyzna, nie kryjąc się, patrzył w jej stronę. Nie wiedzieli, że całą tę scenę uważnie obserwowała jeszcze jedna para oczu.

Reporterka biegiem pokonała schody dzielące ją od piątego piętra. Na szczęście do windy wsiadało rozbawione towarzystwo. Zdyszana, w ostatniej chwili zdążyła wejść do środka. Dlaczego w pokoju Michała znajdował się obcy mężczyzna? Dlaczego klęczał przy łóżku? Gdzie jest Kobalt? Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? Dlaczego skłamała i powiedziała nieznajomemu, że jest z kimś umówiona piętro wyżej, zamiast zażądać od niego wyjaśnień i wezwać recepcjonistę? Zanim winda zatrzymała się na parterze, była pewna, że Kobaltowi przydarzył się wypadek, a obcy mężczyzna nieprzypadkowo znajdował się w jego pokoju. Pomimo uprzejmości i spokoju, które starał się zachować, było coś w jego głosie i oczach, zwłaszcza w oczach, co nakazywało zachowanie szczególnej ostrożności.

Parter. Tylko spokojnie, powtarzała w myślach, idąc w kierunku szatni. Tylko spokojnie! Recepcjonista rozmawiał przez telefon. Odebrała płaszcz i nie zatrzymując się, opuściła hotel. Miała kłopot, żeby na parkingu znaleźć samochód, ale w końcu wskoczyła do niego i z piskiem opon wyjechała na ulicę.

Kraków, dwa tygodnie wcześniej

Masywne dębowe drzwi z hukiem uderzyły w równie solidną futrynę. Echo uderzenia przetoczyło się przez obszerną klatkę schodową czternastowiecznej Szarej Kamienicy przy Rynku Głównym w Krakowie, nie wzbudzając żadnej reakcji dwóch mężczyzn, spokojnie schodzących na parter po kamiennych stopniach. Oprócz nich jedynym człowiekiem w kamienicy był sprawca tego zdarzenia, właściciel kancelarii adwokackiej, profesor Michał Kobalt, który w ten sposób dał upust swojej wściekłości. Zablokował drzwi systemowym zamkiem. Pośpiesznie przemierzył pogrążone w ciemności królestwo Walerii, swojej sekretarki, i wszedł do gabinetu. Nalał sobie sporą porcję koniaku i jednym haustem opróżnił kryształowy kieliszek. Głęboko odetchnął. Wierzchem dłoni otarł wilgotne usta i podszedł do okna wychodzącego na Sukiennice. Przez chwilę patrzył na nieliczne postacie przemierzające w ten mroźny wieczór płytę Rynku. Koło Adasia zatrzymała się grupka turystów i podziwiała pomnik oraz okolice w oczekiwaniu na hejnał z wieży mariackiej. Po chwili dołączyło do niej dwóch mężczyzn, którzy kilkanaście sekund wcześniej opuścili sień Szarej Kamienicy.

– Zrobię to – zasyczał, wpatrując się w swoich niedawnych gości, którzy teraz zadarli głowy, wypatrując hejnalisty. – Ale Bóg mi świadkiem, że robię to wbrew sobie. Jeżeli komukolwiek z mojej rodziny spadnie włos z głowy, to znajdę was, choćby i w piekle!

Podszedł do biurka i sięgnął po leżący na blacie telefon komórkowy. Nerwowo wcisnął klawisz szybkiego wybierania. W oczekiwaniu na połączenie z żoną zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. Zaniósł się kaszlem.

– Jesteście w domu? – zapytał, tłumiąc głuchoe odgłosy wydobywające się z podrażnionej krtani.

– Tak... A gdzie mamy być? – Agnieszka Kobalt się zdziwiła.

– Wszyscy? – dopytywał.

– Wszyscy – odpowiedziała spokojnie. – Stało się coś?

– Julka też?

– I Julka, i Marcin, i ja. Kochanie, czy coś się stało?

– Nie, nic – skłamał, chociaż dobrze wiedział, że nie oszuka żony. Zawsze bezbłędnie wyczuwała jego nastrój i równie bezbłędnie wybierała moment, w którym był gotów jej wszystko opowiedzieć.

– Kiedy wrócisz?

– Niedługo. Muszę kończyć – powiedział i przerwał połączenie.

Usiadł przy biurku. Na blacie leżała gazeta, którą czytał przed przyjściem kłopotliwych gości. Z pierwszej strony krzyczał tytuł *Zagadka zniknięcia krakowskiego biznesmena rozwiązana. Morderca wkrótce stanie przed sądem.*

Dlaczego policja nie reagowała na zgłoszenia zrozpaczonej rodziny? To pytanie zadawał dziennikarz, ale wcześniej profesor Kobalt zapytał o to zrozpaczoną rodzinę. Krzysztof Malkowski zniknął pięć lat temu. Po prostu wyszedł do pracy i już nigdy nie wrócił. Policja lekceważyła kolejne zgłoszenia żony i rodziców Krzysztofa. Nawet wtedy, gdy pojawiły się telefony z żądaniem okupu. Po roku znaleziono go zabetonowanego w beczce na jednym z podwórek przy ulicy Floriańskiej. Czy policja współpracowała z porywaczem? Niewykluczone. Godzinę po zgłoszeniu policji, że porywacz telefonicznie przedstawił żądanie okupu w wysokości stu tysięcy złotych, cena za życie Malkowskiego wzrosła trzykrotnie. Pojawił się też nakaz natychmiastowego zaprzestania kontaktów z policją. Kobalt jak na razie nie doszedł do tego, czy była to świadoma współpraca, czy też morderca miał swojego informatora wśród stróżów prawa. Trzy lata reprezentowania rodziny Malkowskiego doprowadziły do tego, że profesor prawa Michał Kobalt nabrał przekonania, iż policji nie można ufać. Milicja czy policja – niedofinansowana, mająca w swych szeregach wielu przypadkowych ludzi, ta formacja nie stanęła na wysokości zadań pojawiających się w związku ze zmianami politycznymi i gospodarczymi w Polsce. Smutne, ale prawdziwe, westchnął Kobalt, zerkając na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Jeszcze trzy godziny temu postawienie zarzutów mordercy Malkowskiego było najważniejszym wydarzeniem dnia. Było.

Punktualnie o osiemnastej trzydzieści Waleria wprowadziła do gabinetu dwóch mężczyzn.

– Panowie Samuel Dasajew i Igor Pietrow – przedstawiła przybyłych.

– Witam! – powiedział Michał, wychodząc zza biurka, by przywitać gości. Gdy, nie ukrywając zainteresowania nieznanymi, napotkał spojrzenie Pietrowa, przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Proszę spocząć. W czym mogę panom pomóc?

– Przede wszystkim, panie profesorze – powiedział Dasajew, siadając w fotelu – pragnę przekazać serdeczne pozdrowienia od Saszy. Saszy Korytkina.

– Ech, Sasza! – westchnął adwokat. Nagle odżyły wspomnienia wspólnych dyskusji ciągnących się bardzo często do rana. Sasza każdy wolny wieczór

spędzał w domu Kobalta, zyskał przyjaźń jego żony, a dzieci go wprost uwielbiały. Idealista marzący o świecie bez granic, bez wojen, bez dyskryminacji, śniący o swobodnej działalności naukowej i twórczej. Zdolny naukowiec i wspaniały artysta, który za pomocą gitary potrafił zjednać sobie sympatię wielu ludzi. Do Krakowa trafił latem osiemdziesiątego dziewiątego roku, gdy cała Polska żyła sensacyjnymi wynikami czerwcowych wyborów. Kobalt żałował, że atmosfera tamtych dni już nigdy nie powróci. – Co u niego?

– Niestety nie mam dobrych wieści. Gdy wyjeżdżaliśmy, leżał w szpitalu.

– Czułem to! Od dwóch miesięcy nie miałem z nim żadnego kontaktu. Ani listu, ani telefonu... Coś poważnego?

– Bardzo. – Dasajew pokiwał głową. – Zgłosił się na ochotnika do ekip ratunkowych. W czasie akcji wydobywania ludzi ze zbombardowanego bloku został przygnieciony przez betonową płytę. Stracił prawą rękę. To była pierwsza jego akcja.

– Co za pech! Parszywy pech! – krzyknął adwokat. – A tak pięknie grał na gitarze...

– Z tego też względu – wyjaśniał Dasajew, ignorując reakcję gospodarza – nie mamy od niego żadnego listu, a jedynie ustną prośbę o pomoc.

– Tragedia. Straszna tragedia. – Kobalt wstał z fotela i nie zważając na gości, zapalił papierosa. Podszedł do okna i patrzył na Sukiennice, kręcąc głową. Zapomniał o papierosie. Cienki walec popiołu upadł na parkiet. Po chwili profesor wolno wrócił do gości. Zgasił niedopałek w popielniczce i głęboko westchnął. – Pozwólcie mi przez chwilę zebrać myśli. To był... to jest mój przyjaciel... Przez cały ten czas pisaliśmy do siebie. Od dwóch miesięcy nie odpowiada na listy.

Kobalt usiadł w fotelu, kręcąc z niedowierzaniem głową. Pietrow w milczeniu rozglądał się ciekawie po gabinecie, a Dasajew wpatrywał się w gospodarza.

– Wiem, że to dla pana bolesna wiadomość. – Dasajew przerwał milczenie. – Sasza wielokrotnie mówił o waszej przyjaźni, wręcz szczyił się nią.

– Czy mogę coś dla niego zrobić?

– Jest pod dobrą opieką. Na razie niczego mu nie brakuje. – Dasajew poprawił się w fotelu. – Nasza sprawa jest o wiele poważniejsza, profesorze, ale nim ją panu przedstawimy, chcemy się upewnić, czy pańska kancelaria jest czysta.

– Czysta? – Michał Kobalt po raz pierwszy spotkał się z takim pytaniem. Owszem, w czasach komuny zdarzało się, że bezpieka zakładała podsłuchy, ale dotyczyło to tylko adwokatów zaangażowanych w procesy polityczne.

Uśmiechnął się smutno i pokiwał z politowaniem. – Czysta, czysta, a ja przestrzegam tajemnicy, więc możecie, panowie, spokojnie wyjawić swoją sprawę.

– Panie profesorze, proszę się nam nie dziwić. W kraju, z którego przybywamy, i w którym żyjemy, takie praktyki są na porządku dziennym – wyjaśnił Dasajew. – To weszło nam w krew. Wy, Polacy, tak to chyba określicie. Brak ostrożności w najlepszym razie oznacza długoletnie zesłanie na Syberię.

Profesor, zaintrygowany swoimi klientami, uważnie obserwował przybyłych. Starszy z nich, tęższy, chyba jeszcze nie przekroczył sześćdziesiątki. Ubrany był w drogi, ciemny, ale nie czarny garnitur, białą koszulę i stonowany bordowy krawat. Pewnie rozsiadł się w fotelu, stawiając koło biurka dość okazałą skórzaną teczkę. Miał kruczoczarne włosy, starannie przycięte i uczesane, śniadą, wypielęgnowaną cerę, wysokie czoło i oczy żywo patrzące na rozmówcę, które wzbudzały sympatię. Drugi z obecnych, znacznie młodszy od swojego towarzysza, chyba rówieśnik Michała, przypominał adwokata również wzrostem i budową ciała. Przesadnie wyprężona sylwetka, ciemnopopielaty garnitur, również biała koszula oraz jasny krawat. Azjatyckie rysy w połączeniu z węzowym wzrokiem małych, rozbieganych oczu obudziły instynkt gospodarza. Przed tym gościem trzeba się mieć na baczności, pomyślał.

Gdy Waleria wymówiła nazwisko Igora Pietrowa, ten wyprężył się jak struna, energicznie skinął głową, stukając obcasami.

– Panie profesorze – kontynuował Dasajew. – To, z czym chcemy się do pana zwrócić, nie ma nic wspólnego z polskim systemem prawnym, ba, nie ma nawet nic wspólnego z Polską...

– W takim razie nie rozumiem – przerwał mu Kobalt. – W czym mogę panom pomóc?

– Jeżeli przyrzeknie nam pan całkowitą dyskrecję...

– Przed chwilą o tym mówiłem. – Nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia.

– Na wstępie parę słów o mnie i o moim towarzyszu. – Dasajew rozpoczął spokojnie, niczym znudzony spiker radiowy. – Jestem profesorem fizyki na Uniwersytecie w Groznm, a jednocześnie pełnomocnikiem rządu niepodległej Czeczenii do spraw kontaktów międzynarodowych. Igor Pietrow, a właściwie generał Igor Pietrow, jest pierwszym zastępcą dowódcy powstańczych sił zbrojnych. Z polecenia naszego prezydenta dwa tygodnie temu opuściliśmy kraj, aby zrealizować tajną misję mającą na celu obalenie sowieckiego panowania w naszym kraju.

– Panowie! – Kobalt poderwał się z fotela. – Chyba zaszła jakaś pomyłka!

– Proszę pozwolić mi dokończyć. – Dasajew był opanowany, nawet ton jego głosu nie uległ zmianie. – Jak pan wie, w Czeczenii toczy się wojna. Walczymy z dużo liczebniejszą, lepiej wyszkoloną i wyposażoną armią. Niemniej zdeterminowanie, wiara w odzyskanie niepodległości oraz nieprzeciętna odwaga naszych żołnierzy i oficerów pozwalają na nawiązanie równorzędnej walki. Oczywiście nie będzie ona trwała wiecznie i bez pomocy z zewnątrz nie osiągniemy zamierzonych celów – zamilkł, wpatrując się w Kobalta, a ten nie miał nic do powiedzenia, zaskoczony formą wypowiedzi do złudzenia przypominającą wystąpienia dygnitarzy partyjnych. – Proszę się nie obawiać, nie będziemy pana prosili o pomoc w zdobyciu broni. Nie tylko karabinem czy czołgiem można wygrać wojnę. Równie ważna, a może nawet ważniejsza, jest rola polityki. Oficjalne apele naszego rządu nie przyniosły żadnych wymiernych efektów, oczywiście poza standardowymi wyrazami poparcia moralnego czy potępienia działań Rosji. Nam potrzeba pomocy przy zmuszeniu tego tyrana do wycofania się z Czeczenii i uznania naszej pełnej niepodległości.

– Żarty pan sobie robi?! – Kobalt nie wytrzymał. – Nie znam ani prezydenta, ani premiera Rosji. Nie jestem też cudotwórcą!

– Wszystko to wiemy. – Dasajew niezrażony zachowaniem gospodarza kontynuował swoje przemówienie. – Wiemy również, że za dziesięć dni udaje się pan do siedziby głównej kwatery NATO. Jako członek delegacji będzie pan uczestniczył w negocjacjach ustalających warunki przystąpienia Polski do Paktu. Jest to już kolejna pańska wizyta w sztabie NATO i raczej się nie mylę, twierdząc, że dobrze poznał pan delegatów innych państw, a nawet z niektórymi się zaprzyjaźnił. Chcemy, aby został pan naszym adwokatem. Adwokatem niepodległej Czeczenii i poprzez swoje liczne znajomości oraz szacunek, jakim się pan cieszy, doprowadził do sankcji wobec Rosji, a w konsekwencji...

– Ależ to absurd! – wykrzyknął Kobalt, ponownie zrywając się z fotela. – Jestem tylko szarym członkiem delegacji polskiej. Nie mam możliwości rozmowy z sekretarzem generalnym NATO. Zresztą ani z nim, ani z żadnym z ministrów. Równie dobrze moglibyście mnie prosić o negocjacje z Marsjanami.

– Profesorze, proszę mi nie przerywać. – Spokój Dasajewa i jego partyjny styl mówienia denerwowały, a jednocześnie intrygowały Michała. – Wszyscy w tym gronie doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że decyzje polityczne ogłaszane przez prezydentów, premierów i tym podobnych wielkich polityków nie są podejmowane przez nich samodzielnie. Na ich

ostateczny kształt składa się ciężka praca rzeszy bezimiennych specjalistów z różnych dziedzin, do których pan też należy. To wy właśnie jesteście autorami tak zwanej wielkiej polityki. Wy przygotowujecie analizy, symulacje, opinie, a tym samym poprzez płynące z tych dokumentów wnioski narzucacie politykom konkretne decyzje. Czyż nie tak jest, profesorze?

– No, mniej więcej... – Michał Kobalt musiał przyznać rację swojemu gościowi. W wielkim skrócie tak to mniej więcej wyglądało.

– W Czechenii codziennie ktoś ginie, zostaje ranny albo znika w tajemniczych okolicznościach. Ludzie mają już tego dość. Chcą normalnie żyć i pracować, a pod okupacją sowiecką, jak dobrze pan wie, jest to niemożliwe. Wojsko zrobiło już swoje, czas teraz na politykę. Stąd nasza wizyta i ta, zdaję sobie sprawę, nietypowa propozycja. Tylko pozornie nie dotyczy ona materii związanej z pańską działalnością adwokacką. Jest pan jedyną osobą, której możemy zaufać i która daje szansę na powodzenie naszej misji. Może zbyt szybko przedstawiłem nasze oczekiwania. Nie przygotowałem pana na te informacje, ale Sasza twierdził, że jest pan konkretnym człowiekiem, nie lubiącym zbędnego gadulstwa.

– Powtórzę jeszcze raz: trafiliście pod zły adres. – Dasajew próbował coś powiedzieć, ale Kobalt uciszył go podniesieniem ręki. Dodał: – Polska nie jest jeszcze członkiem Paktu, a ja owszem, znam paru delegatów, ale łączą nas tylko wspólne zainteresowania. Nic więcej! Czy nie lepiej byłoby zwrócić się do kogoś z delegacji amerykańskiej? O ile wiem, macie wielu sympatyków wśród emigrantów w Stanach. Na pewno są wśród nich ludzie, którzy skuteczniej ode mnie ułatwiliby kontakt.

W ciszy, zza zamkniętych okien dolatywały słabe odgłosy ruchu ulicznego, ponad którymi dominował dźwięk hejnału z wieży mariackiej. Mężczyźni w milczeniu przeczekali występ hejnalisty. Dopiero gdy dźwięk urwał się gwałtownie i strażak skierował kroki do innego okna, profesor się odezwał.

Była dziewiętnasta pięć. Rozum nakazywał pożegnać gości i wrócić do domu, jednak niespodziewanie dla siebie okazał się zbyt gościnny. Zwyciężyła bowiem ciekawość i irracjonalne przekonanie, że jego odmowa nie zakończyłaby tej wizyty. A poza tym Sasza musiał mieć poważne powody, żeby go polecić.

– Napijcie się panowie kawy? Herbaty? Może po lampce koniaku?

– Dla mnie kawa, jeżeli można, z ekspresu. I koniak – poprosił fizyk.

– *Dla mienia czaj i kaniak* – odezwał się dotąd milczący Pietrow.

– Walerio – powiedział adwokat do słuchawki telefonu – podaj nam, proszę,

dwie kawy z ekspresu i herbatę, a potem będziesz już wolna.

W oczekiwaniu na napoje rozmowa została przerwana. Nalewając koniak, Kobalt zastanawiał się nad tą niespodziewaną wizytą. Czy naprawdę obecni mężczyźni byli przedstawicielami walczącej Czeczenii? Dasajew mówił piękną polszczyzną, nawet nie siląc się na obcy akcent. Skąd tak wspaniale znał język polski? Kobalt był zbyt zszokowany rewelacjami głoszonymi przez starszego z gości, by wcześniej o tym pomyśleć. A ten drugi? Generał? Do tej pory powiedział tylko jedno zdanie. Cały czas milczał, co nie znaczy, że nie uczestniczył w rozmowie. Jego świdrujące spojrzenie Kobalt czuł cały czas. Pietrow z kamienną twarzą przysłuchiwał się wywodom swojego towarzysza, z rzadka tylko kiwając głową. Czy przy tej rozmowie powinien być świadek? Jaką rolę miał odgrywać? Czy tylko słuchać i kontrolować Dasajewa? Czy też miał w zanadrzu jakieś argumenty nie do odrzucenia? W zasadzie to powinien poprosić ich o dokumenty. O jakie? Czy władze Czeczenii wystawiają jakieś zaświadczenia swoim wysłannikom? Czy ta wizyta nie była nieporozumieniem albo prowokacją? Jeżeli prowokacją, to kto mógł za tym stać? Komu opłacałoby się przygotowywać taką akcję. W jakim celu? Unikał polityki jak ognia, miał już bardzo mocną pozycję w branży, nie zabiegał o zaszczyty i przychylność władz. Wręcz przeciwnie, to kolejne ekipy rządowe zabiegały o niego. Co to wszystko może znaczyć? Intensywne rozmyślenia przerwało wejście sekretarki z gorącymi napojami.

– Najpierw kilka słów o nas. – Dasajew wrócił do rozmowy zaraz po wyjściu Walerii. – To, co się teraz dzieje w Czeczenii, było przygotowywane przez kilka lat. W trakcie tych przygotowań mieliśmy świadomość, że sam wybuch zbrojny przeciwko potężnej Rosji nie ma szans powodzenia bez poparcia dyplomatycznego ze strony państw zachodnich. Zbieraliśmy informacje o ludziach, którzy biorą udział w konferencjach międzynarodowych, głównie z ramienia NATO i Unii Europejskiej. Szukaliśmy osób, które mogłyby być naszymi mniej lub bardziej oficjalnymi sojusznikami. Od czasu gdy odmówił pan objęcia teki ministra spraw zagranicznych w rządzie pani Suchockiej, jest pan pod naszą stałą obserwacją. Prześwietiliśmy pana życiorys. Kryszał!

– Bez przesady – zaoponował Kobalt.

– Profesorze, niech pan nie będzie zbyt skromny. Ma pan na Zachodzie wielki autorytet i to właśnie wśród ludzi, którymi jesteśmy zainteresowani i którzy nam mogą pomóc. Sasza tylko utwierdził nas w tym przekonaniu.

– Trochę jestem zaskoczony. – Kobalt zapalił kolejnego papierosa.

Dasajew milczał. Wypił łyk koniaku i popatrzył na adwokata. Z jego wzroku nie można było nic wyczytać. Spokojne spojrzenie bez cienia

ciekawości czy podejrzliwości. Po prostu profesjonalista. Zapadła cisza. Pietrow wyjątkowo tym razem zapatrzony był w okno i mechanicznie mieszał łyżeczką herbatę w filiżance. Michał ścisnął w dłoni kieliszek koniaku. Przekazane przez gościa informacje, choć jawne, wprawiły go w zakłopotanie. Powróciła wątpliwość, czy ci dwaj są tymi, za kogo się podają. W sumie jednak to na razie nie miało znaczenia. Nie powiedział nic, co mogłoby być użyte przeciwko niemu. Był adwokatem i miał prawo, wręcz obowiązek, przyjąć każdego potrzebującego pomocy prawnej. Postanowił wysłuchać swoich gości do końca.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku został pan akademickim mistrzem Polski w zapasach w stylu wolnym – powiedział Dasajew po wypiciu kolejnej porcji koniaku. – To wiadomość powszechnie znana, ale mało kto wie, dlaczego zakończył pan karierę sportową zaraz po mistrzostwach. Otóż tylko nieliczni wiedzą, że zaprzepaścił pan ją na skutek odmowy przyjęcia złotego medalu z rąk sekretarza KC PZPR. – Chwila przerwy, kolejny łyk kawy, kolejne spojrzenie na gospodarza. Dasajew nadal spokojnie i profesjonalnie rozgrywał swoją partię. – Sądzę, że mniej pana zdziwi fakt, iż wiemy o pańskiej wielkiej przyjaźni z Johnem Bushem, szefem doradców delegacji amerykańskiej, oraz z Nielsem van Rumpem i Helmutem Kranzem. Tak się składa, że wszyscy przybędą na najbliższą sesję rozmów z kandydatami do Paktu.

– Widzę, że wiecie o mnie prawie wszystko – powiedział Kobalt. – Ale ja dalej nie wiem, czego panowie oczekujecie. Na czym miałyby polegać moja rola jako adwokata?

– Chodzi nam głównie o Busha. Jest pan jedyną osobą, która jest skłonna przekonać go, żeby zasugerował Clintonowi zagrożenie sankcjami, jeżeli Rosja nie wycofa swoich wojsk z Czeczenii.

– Absurd! – oburzył się Kobalt. – Jak panowie to sobie wyobrażacie?! Zaproszę Johna na whisky i tak między jednym drinkiem a drugim powiem mu: „Słuchaj, John. Było u mnie dwóch facetów z Czeczenii. Poprosili mnie, żebym załatwił z tobą sankcje dla Rosji, jeśli ta nie wycofa swoich wojsk z Czeczenii. Kiedy mógłbyś się tym zająć?”.

– Spłyca pan temat i wulgaryzuje. – Nic i nikt nie był w stanie zmącić spokoju Dasajewa. – Przekażemy panu pewne dokumenty, które dla Amerykanów będą stanowiły kapitalną postawę do wprowadzenia sankcji wobec Rosji. Wyjaśnimy ich znaczenie. Pan zabierze je do Brukseli i przekaże Bushowi. Oczywiście z odpowiednim komentarzem. Sądzę, że...

– Zaraz, zaraz, profesorze! – wykrzyknął Michał, gdyż ta informacja zelektryzowała go. Poderwał się z fotela. – Co to są za dokumenty?! O czym

pan mówi?!

– Ludzie generała Pietrowa – Dasajew zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się nad właściwym sformułowaniem – powiedzmy, że... pozyskali wiele dokumentów świadczących między innymi o łamaniu przez Rosję umów międzynarodowych, defraudacji pożyczek i lokowaniu ich na tajnych kontach w bankach zagranicznych. Mamy wszelkie dowody, oczywiście łącznie z numerami kont. Zaręczam panu, sama wierchuszka Rosji...

– Czyli – Kobalt nie pozwolił dokończyć gościowi – są to, ogólnie rzecz biorąc, materiały szpiegowskie zdobyte w sposób nielegalny, bez wiedzy Rosjan!

– Nie sądzi pan chyba, że Sowieci zrobili nam podarunek ze swoich tajnych materiałów? – zakpił Dasajew, uśmiechając się ironicznie. – To efekt wspaniałej pracy naszego wywiadu! Zresztą nie została przerwana.

– W takim razie, panowie – Michał wstał z fotela i oparł się o blat zabytkowego biurka – ten temat mnie nie interesuje. Żegnam panów!

Podszedł do drzwi i szeroko je otworzył. Sekretariat kancelarii był pusty. Waleria, jak to było w zwyczaju, po przyjęciu ostatnich klientów wyłączyła komputer, ksero oraz klimatyzację i wyszła niepostrzeżenie, zamykając drzwi na klucz. Tylko radio stojące na stoliku pod oknem wypełniało pokój muzyką klasyczną.

– Pan niech siada! – odezwał się niespodziewanie milczący dotąd Pietrow. Spokojny, lecz stanowczy głos generała zmusił Kobalta do spojrzenia w jego stronę. Generał wstał, ujął adwokata za łokieć i stanowczo odsunął od drzwi, zamykając je. Następnie ręką wskazał opuszczony przez niego fotel i nieznośnym sprzeciwu tonem powtórzył: – Pan niech siada. *My tu nie przyjechali na rozmowy.* Pan robi to, o co my prosimy, i dostanie *mnogo* *dienieg.* *Pan i jewo druzja.*

– To już jest szczyt bezczelności! – krzyknął Kobalt, stojąc obok biurka. – Podstępnie wymuszacie spotkanie...

– Żadnego podstępu nie było! – Dasajew się ożywił.

– Cicho! Teraz ja mówię! – powiedział adwokat, a zwracając się do Pietrowa, skierował w jego stronę palec wskazujący. Polecił: – To pan niech siada! Ładnie to sobie wymyśliliście! Wspaniała robota, prawda, profesorze? Do mistrzostwa opanował pan praktyki socjotechniczne. Przyjaźń z Saszą? Chciał pan wzbudzić we mnie litość?! Ducha walki?! A gdy to nie wyszło, wyciąga pan, jak króliki z rękawa, jeden po drugim mało znane szczegóły z mojego życia, żebym co? Żebym rozdziawił gębę z zachwyty nad waszą

operatywnością? Zapomniał o swoich zasadach i dziękując Bogu za szczęście, które mnie nawiedziło, poleciał rządowym samolotem do Brukseli z teczką wypchaną materiałami szpiegowskimi, narażając swoją reputację?!

– Ależ profesorze! – Dasajew poderwał się z fotela. – To nie tak...

– Jeszcze nie skończyłem! – powiedział Kobalt, tym razem kierując palec w stronę Dasajewa. – Niech pan siada! – Poczekał, aż mężczyzna wykona jego polecenie. – Nie jestem przeciwny waszej wolności. Podpisałem nawet list protestacyjny. Jeżeli faktycznie rozmawialiście z Saszą, to powinniście wiedzieć, że jestem przede wszystkim naukowcem, a dopiero potem adwokatem. Politykiem nie jestem! Czynne uprawianie polityki mnie nie interesuje. Jak przypomniał pan przed chwilą, miałem propozycję włączenia się do rządu, ale jej nie przyjąłem. Nie wiem, na co liczyliście, przychodząc tutaj!

– *Na pana liubow.* Do żony – odpowiedział Pietrow. – *W siedemdziesiąt dziewięć lat, jako champion, nie wziął pan medalu od sekretarza partii nie tylko dlatego, szto pan był dysydent, ale dla dziewczynki. Pan hotel jej za... zai...*

– Zaimponować. – Dasajew przyszedł mu z pomocą.

– *Spasiba. Da* – potwierdził. – *Dalsze, na pana liubow do diety...*

– Co wspólnego ma moja miłość do żony i dzieci z wolnością Czeczenii?! – Kobalt bezwiednie dał się wciągnąć w dyskusję.

– On chce powiedzieć – wyjaśnił Dasajew – że w tym momencie pańska żona odbiera waszego syna Marcina z treningu zapasów z Klubu Sportowego Korona przy ulicy Kalwaryjskiej. Na parkingu obok hali sportowej stoi czerwony peugeot dwieście pięć o numerach rejestracyjnych ka-wu-a dwa, dziewięć, pięć, dwa, którym za moment pojedą do pańskiego domu przy ulicy Faustyny...

– Dość tego! Proszę natychmiast wyjść albo zawiadomię policję!

– Spokojnie, profesorze! – Dasajew nawet nie podniósł się z fotela. – Nikogo pan nie zawiadomi i nikomu też nic pan nie powie, bo obowiązuje pana tajemnica adwokacka. Nie pamięta pan? Sam pan nas o tym zapewniał. A poza tym generał Pietrow jest zastępcą dowódcy sił powstańczych do spraw operacji specjalnych. Wie pan, zebrać materiały szpiegowskie, wykonać wyrok na zdrajcy, który uciekł do Rosji albo na Zachód...

– Dość! – Przez cały czas wypowiedzi Dasajewa Kobalt stał, teraz jednak podbiegł do drzwi i ponownie otworzył je szeroko. – Won mi stąd! Żyjemy w wolnym kraju i nikt nie będzie mnie straszył!

– To nie jest dobry pomysł, profesorze. – Dasajew spokojnie sączył koniak. Pietrow natomiast uważnie śledził każdy ruch prawnika. – Ludzie generała to

najlepsi z najlepszych i tylko izraelski Mosad może z nimi konkurować. Chyba chce pan, żeby pańska żona bezpiecznie dowiozła syna do domu? Dzisiaj, jutro i przez następnych parę lat. A pańska córka bezpiecznie wracała ze szkoły baletowej? Proszę zamknąć drzwi i usiąść w fotelu.

Pietrow nachylił się w stronę Dasajewa, położył mu dłoń na ramieniu i przez chwilę szeptał coś na ucho. Fizyk kiwnął głową ze zrozumieniem, jednocześnie rozkładając ręce. W tym czasie adwokat zamknął drzwi, ciężko usiadł w fotelu i jednym haustem wypił całą zawartość kieliszka.

– Profesorze – odezwał się Pietrow nienaganną polszczyzną, na co zdenerwowany Kobalt nie zwrócił uwagi. – Będę z panem zupełnie szczerzy. Ma pan tylko dwa wyjścia. Albo będzie pan z nami współpracował dobrowolnie, albo...

– Albo co?! – krzyknął Kobalt. – Torturami zmusicie mnie do współpracy?! Chyba nie macie jednak tak dobrych informacji o mnie, jak się wam wydaje. Esbecy mnie nie złamali, więc oszczędźcie sobie...

– Panie Kobalt! Nikt pana nawet palcem nie tknie! – powiedział Pietrow, patrząc prosto w oczy prawnika. – Pana żona i dzieci będą gwarantem wykonania przez pana zlecenia.

Po tej wypowiedzi zapadła cisza. Dasajew potakująco kiwnął głową. Kobalt, nie zważając na gości, uzupełnił swój kieliszek koniakiem i ponownie wypił go jednym haustem. Nigdy jeszcze nie zetknął się z tak jawnie sformułowaną groźbą. Owszem, po odmowie przyjęcia medalu z rąk sekretarza Komitetu Centralnego partii służba bezpieczeństwa przesłuchiwała go wielokrotnie, wyrzucono go z AZS-u, nie powołano do kadry narodowej, a po wprowadzeniu stanu wojennego był przez kilka miesięcy internowany, ale nigdy nie grożono jego rodzinie. Nikt nie próbował w ten sposób zmusić go do działania wbrew swoim poglądom! Wychowany w duchu patriotycznym, nie akceptował ustroju, w którym przyszło mu dorastać, ale nie uległ licznym propozycjom czynnego włączenia się do działalności politycznej. Powstanie Solidarności czy NZS-u nie zmieniły jego poglądów. Pozostał niezależny. Natomiast nigdy nie odmawiał prośbom o pomoc prawną. Działacze wielu ugrupowań wiedzieli, że na Kobalta zawsze mogą liczyć.

Jeszcze trzy lata temu, przed sprawą Malkowskiego, zadzwoniłby na policję i przekazał w jej ręce szantażystów. Ale teraz? Wstał i podszedł do okna. Przechodząc koło swojego biurka, popatrzył na leżącą gazetę. No i co z tego, pomyślał, że komendant wojewódzki policji podał się do dymisji? Przecież to nie on przekazywał informacje mordercy Malkowskiego. Ten człowiek albo ci ludzie nadal tam pracują.

Jego miłość do Agnieszki, uwieńczona małżeństwem, trwała nieprzerwanie od dziewiętnastu lat. Przyjście na świat najpierw Julki, a trzy lata później Marcina jeszcze bardziej scementowało ich związek. Dla rodziny profesor Michał Kobalt gotów był zrobić wszystko, dlatego szybko podjął decyzję.

– Wygraliście! – Stał naprzeciwko gości, opierając się rękoma o fotel. – Ale na dziś koniec. Jutro mam wykład i nie mam zamiaru zawalić go przez was! O pół do dwunastej będę tu czekał. Sam. Wtedy porozmawiamy o szczegółach. A od mojej rodziny wara! – rzekł twardo.

– Jeszcze jedno, profesorze – powiedział Dasajew, otwierając teczkę i wydając z niej plik dokumentów. – Tu są nasze paszporty, listy polecające od przyjaciół z Polski, pełnomocnictwa od rządu niepodległej Czeczenii podpisane przez prezydenta...

– Nie interesuje mnie to! Szantażem zmusiliście mnie do przyjęcia waszej propozycji, więc jest mi obojętne, kto za wami stoi. Zrobię to, co jutro ustalimy, ale powtarzam jeszcze raz: od mojej rodziny wara! A teraz żegnam panów!

Skierował się ku wyjściu. Mężczyźni w milczeniu podążyli za nim. Gdy opuszczali klatkę schodową, trzasnął drzwiami i wrócił do gabinetu.

Po powrocie do domu Michał Kobalt zamknął się w gabinecie. Jeszcze nigdy nie znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Muzyka klasyczna wypełniała pokój. Siny nikotynowy dym coraz gęściej oplatał lampkę stojącą na biurku. Nieruchoma sylwetka zdawała się sugerować, że zmęczony całodzienną pracą zasnął w fotelu. Musiał zachować tajemnicę. Po raz pierwszy w życiu nie mógł podzielić się z żoną swoim problemem. Zawsze byli ze sobą szczerzy. Nigdy niczego nie ukrywali. Nawet w stanie wojennym, gdy Kobalt sympatyzował z Solidarnością, Agnieszka o wszystkim wiedziała. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. Nie, nie mógł jej powiedzieć o groźbie Czeczenów. Nikt i nic nie zakłóci spokoju jego rodziny. Ponownie doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia i musi zrobić to, czego oczekują od niego Dasajew i Pietrow. Na szczęście w tej sytuacji mógł liczyć na Johna Busha. Tak. John Bush, doświadczony amerykański dyplomata, będzie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Agnieszka już kilkakrotnie doświadczyła nietypowego zachowania męża. Był to znak, że ma poważny problem, który musi przemyśleć w samotności i najlepiej mu nie przeszkadzać. Dopiero o północy przerwała te medytacje, przynosząc dwa kieliszki koniaku, otwierając okna i sadowiąc się na jego kolanach.

– Problemy? – zapytała.

- Mieliśmy większe – odpowiedział, biorąc od niej kieliszek koniaku.
- Chcesz o tym porozmawiać? – Popatrzyła mu w oczy.
- Nie o wszystkim mogę – odpowiedział szczerze. – Ale przyrzekam, że kiedyś ci o tym opowiem. Miałem gości z Czeczenii. Sasza stracił prawą dłoń...

Pogranicze Konga – Ruanda, styczeń 1996

Trzech mężczyzn ubranych w lekkie polowe mundury spacerowało wzdłuż niewielkiej rzeczki przecinającej rozległą wypaloną polanę. Ich ogorzałe od słońca twarze nie wyrażały żadnych uczuć. Spokojnie rozglądali się wokół, z rzadka tylko wymieniając krótkie uwagi.

Znajdowali się na terenie Parku Narodowego Wulkanów utworzonego w paśmie górskim Wirunga, na stokach wulkanu Karisimbi. Ten najstarszy, a zarazem najmniejszy ruandyjski park jest oazą dla goryli górskich. Miłośnicy tych zwierząt jeszcze do niedawna mogli tu przeżyć niezapomniane chwile i zobaczyć niespotykane widoki. Do niedawna, albowiem wojna domowa, która przetoczyła się tu w latach 1991–1994, oprócz blisko miliona zabitych, spowodowała prawie doszczętne zniszczenie populacji tych zwierząt. Bezlistne kikuty drzew smutno patrzyły w kierunku zamykającego horyzont od zachodu, wygasłego wulkanu Karisimbi. Mężczyźni zatrzymali się nad brzegiem rzeczki i wpatrzyli w jej powolny nurt, zapalili papierosy. Tu właśnie, z końcem 1994 roku narodzili się po raz drugi. Powinni zginąć, jednakże los chciał inaczej. Teraz, po zakończeniu wojny domowej, po kilkunastu miesiącach ciężkiego szkolenia, które prowadzili dla bojowników Frontu Patriotycznego Ruandy, znaleźli parę godzin, aby przed powrotem do Europy zobaczyć miejsce, które mogło być ich grobem.

– Kurwa, do dziś nie mogę to uwierzyć! – odezwał się Oswald, jasnowłosy Holender. – To się po prostu nie mieści w głowie! Gdyby nie ty, pożarliby nas żywcem!

– Daj spokój – odpowiedział najwyższy z nich, ciemnooki Polak, Jan Madera, kokieteryjnie nazywany Małym Jasiem.

– Co daj spokój?! – krzyknął zwykle opanowany i małomówny Gunter. – Mówisz tak zawsze. Za kilka godzin wracamy do Europy i być może już nigdy się nie spotkamy. Musisz nam wreszcie wyjaśnić, dlaczego wtedy nie uciekłeś! Co ci do tego kudłatego łba strzeliło?!

– Nigdy tego nie zrozumiecie – odpowiedział Madera, zapalając papierosa. Przesiadł na kikucie drzewa, przymknął oczy i zaciągnął się dymem.

Był piątek, drugi grudnia 1994 roku. Trójka białych prowadzona przez trzech czarnoskórych przewodników z plemienia Tutsi przemierzała zbcze

nieczynnego wulkanu Karisimbi. Przybyli do Ruandy, a w zasadzie do Ugandy na zlecenie Frontu Patriotycznego Ruandy w 1992 roku, by organizować i szkolić oddziały partyzanckie. Prezydent Bizimunge przekupił ich wysokimi kontraktami, więc zostali po wycofaniu się Francuzów. W ten sposób byli jedynymi białymi w samym środku niespotykanej w historii świata rzezi niewinnej ludności cywilnej z plemiona Tutsi dokonanej przez ekstremistów Hutu. W ciągu sześciu miesięcy bestialsko zamordowano ponad milion ludzi, pomimo że służby wywiadowcze państw zachodnich posiadały dużo wcześniej informacje wskazujące na wybuch konfliktu. Sam konflikt nie wybuchł też z dnia na dzień. Światowe media informowały o narastającym napięciu, przesyłając zdjęcia i opisy morderstw dokonywanych z niespotykanym do tej pory okrucieństwem. Pomimo to ani ONZ, ani NATO nie zareagowały, bo trudno nazwać reakcją decyzję o wycofaniu sił pokojowych. Świat stał z boku, kłócąc się o to, kto sfinansuje akcję w Ruandzie. Narodowe radio nawoływało do pozostawania w domach, podczas gdy stacja RTLM podżegała do dalszych ataków na Tutsi. Drogi w Kigali i całym kraju zostały zamknięte przez setki blokad. Rzeź się błyskawicznie rozprzestrzeniała na cały kraj. Większość ofiar zginęła w miejscu zamieszkania, często z rąk swoich sąsiadów, od maczet używanych przez bojówki. Palono domy pełne ludzi, gwałcono i zabijano kobiety i dziewczynki, rozbijano głowy noworodków o ścianę, rozcinano brzuchy ciężarnych kobiet, zabijano dzieci na oczach matek, żony na oczach mężów. Okaleczano, obcinano kończyny. Dokonywano masakr w kościołach, szkołach i szpitalach, gdzie tysiące osób próbowało znaleźć schronienie. Wrzucano granaty do pomieszczeń pełnych ludzi oraz ścinano głowy.

Wprowadzali niedoświadczonych wojowników w tajemnice nowoczesnych metod walki, organizacji sił zbrojnych i policji, a czasami wypełniali na zlecenie prezydenta specjalne misje. Tym razem wracali z Konga. Dostarczyli trzy ciężkie, szczelnie zamknięte i zabezpieczone pakunki kurierom oczekującym kilka kilometrów od niestrzeżonej granicy między państwami. Nigdy nie zadawali zbędnych pytań dotyczących ich misji. Nie interesowali się też zawartością konwojowanych przesyłek. Dostawali zadania i piekielnie skutecznie je wykonywali.

Dobiegał szósty dzień ich wędrówki po wilgotnym lesie równikowym. Wyposażeni w maczety, wyrąbywali drogę metr po metrze, przedzierając się przez gęste pajęczyny lian i epifitów. Był środek pory deszczowej i chociaż dziś nie padało, to rozmokła przez kilkutygodniowe ulewy ziemia oklejała ciężkie wojskowe buty. Każdy krok zmuszał mięśnie do morderczego wysiłku. Pot zalewał oczy, spływał po karku. Przemoczone i przepoczone

koszule boleśnie ocierały ciało. Roje owadów towarzyszące im od pierwszego dnia zamieniły każdy centymetr odkrytej skóry w wielkie płonące ognisko. Byli głodni, zmęczeni i niewyspani, a mimo to nieustępliwie parli przed siebie. Jednakże nawet ich wyćwiczone ciała zaczęły odczuwać zmęczenie. Przerwy na papierosa stawały się coraz częstsze. Co prawda przewodnicy znali drogę i zapewniali o jej bezpieczeństwie, jednak biali ufali tylko sobie i dlatego trwali w ciągłym napięciu, wypatrując przyczajonego wroga lub drapieżnika. Słońce chowało się za stożek nieczynnego wulkanu Karisimbi, powoli zapadał zmierzch. Do punktu, w którym oczekiwać miał na nich mały oddział wojskowy, by przewieźć ich bezpiecznie do stolicy, pozostało, według przewodników, około dziesięciu kilometrów. Z ulgą opuszczali tereny leśne. Wędrówka przez sawannę była co prawda lżejsza, ale bardziej niebezpieczna. Nie było drzew dających schronienie przed oczami wroga. Postanowili poczekać do zmroku, by pod jego ochroną dotrzeć na spotkanie. Usiedli na brzegu rzeki. Przewodnicy znikli w leśnej gęstwinie.

– Ja mam już dość – powiedział Madera, wycierając czoło pokryte kropelkami potu. – Włazę do wody.

– Uważaj, żeby cię coś nie pożarło – ostrzegł go Oswald.

– Bez obaw – zaśmiał się Polak, ściągając mundur. – Śmierdzimy tak, że żadne zwierzę nie ośmieli się zbliżyć do nas.

– Wiesz, masz rację – powiedział Gunter i błyskawicznie pozbył się ubrania.

Po chwili cała trójka znajdowała się w wodzie. Jej chłód przywracał siły, a wyschnięta skóra pozbywała się solnego pancerza potu. Baraszkowali jak dzieci, śmiejąc się i prychnając. Tej radości nie mógł zakłócić nawet fakt, że w mętnej, powolnym nurcie co rusz ocierali się o szczątki zabitych zwierząt czy poległych wojowników. Woda dawała ulgę udręczonym ciałom, gorejącym mięśniom, podziurawionej przez owady skórze. Na chwilę zapomnieli o wojnie, bestialsko pomordowanych i porzuconych ludziach, o drodze, która ich jeszcze czeka. W pewnym momencie Madera zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował w mętnej wodzie. Oddalił się sporo od swych kompanów, płynąc kilkanaście metrów w dół rzeki. Pracował ramionami. Rozkoszował się tą podwodną podróżą. Płynął do granic wytrzymałości, dopóki pozbawione powietrza płuca nie zaczęły rozsadzać klatki piersiowej, a ręce i nogi zdolne były popychać go naprzód. Bardziej wyczuł, niż zobaczył stromy brzeg rzeki. Ostatnim mocnym ruchem ramion wyrzucił ciało nad powierzchnię i łapczywie zaczerpnął powietrza. W jego kierunku poleciał rój strzał. Zadziałał latami wyćwiczony instynkt. Zanurkował ponownie i silnymi pociągnięciami rąk przemierzył kolejne kilkanaście metrów w dół rzeki, kierując się ku przeciwnemu brzegowi

porośniętemu gęstymi lianami, których końce, zanurzone głęboko w wodzie, tworzyły baldachim chroniący przed oczami napastników. Pomimo rozsadzającego bólu w piersiach Madera bardzo powoli wynurzył głowę, łapczywie wciągając powietrze.

Najpierw do jego uszu dobiegły krzyki. Delikatnie rozsunął pędy roślin. Dwaj jego towarzysze, związani i otoczeni przez wrzeszczącą bandę, prowadzeni byli w kierunku lasu. Na czele szedł mężczyzna, którego Madera uznał za przywódcę, wyraźnie odróżniający się od pozostałych napastników. Całe jego ciało pokrywały jaskrawe malunki, a szyja i ręce ozdobione były kompozycjami piór i zwierzęcych kłów. Kierowali się do miejsca, w którym rzeka znikła za zakrętem, tworząc coś w rodzaju niewielkiego cypla. Madera ułamał wyrastający z dna rzeki zielony pęd. Okrągły, pusty w środku, mógł dostarczać powietrza bez wynurzania głowy. Niewiele myśląc, zanurzył się w spokojnym nurcie i wykorzystując swój wynalazek, posuwał się w górę rzeki, tam, gdzie uprowadzeni zostali jego dwaj kumple. Trzymał się brzegu, by co kilkanaście metrów bezpiecznie pod osłoną gęstej roślinności wynurzać głowę i określać swoje położenie. Prześladowcy wraz z ofiarami znikli w gęstwinie i tylko głośnie krzyki wskazywały miejsce ich pobytu. Wykorzystując małą wyrwę w gęstej przybrzeżnej roślinności, Madera wyszedł z wody i ostatnie kilkanaście metrów dzielące go od cypla przeszedł lasem. Robiło się coraz ciemniej. Napastnicy rozpalili ognisko, w którego świetle mógł dostrzec Oswalda i Guntera. Przywiązani byli do pali wbitych w ziemię po dwóch stronach ogniska. Otaczał ich tłum płasających w jakimś upiornym tańcu czarnych postaci, śpiewających do taktu wybijanego na wielkim bębnie przez jednego z wojowników. Ich przywódca stał pośrodku z rękoma wzniesionymi ku górze. W świetle padającym z ogniska widoczne były tylko jego białe gałki oczne.

Madera ucieszył się, widząc kompanów przy życiu. Był przekonany, że wpadli w ręce jednego z licznych oddziałów ekstremistów Tutsi, co oznaczałoby natychmiastową i bolesną śmierć. Zaobserwowana scena świadczyła jednak o tym, że napastnikiem było jedno z plemion zamieszkujących niedostępne tereny na zboczach wulkanu, do których nie dotarło okropieństwo konfliktu. Mały Jaś zdecydował się zbliżyć jeszcze bardziej do zajętych rytualnym tańcem mężczyzn. Cicho zsunął się do wody i stojąc pośrodku nurtu, szukał wzrokiem broni palnej. Co prawda nie spodziewał się jej znaleźć, bo gdyby ją mieli, w jego kierunku zamiast strzał poleciałby grad kul, ale w głowie zaświtał mu szaleńczy plan i chciał jak najlepiej rozeznąć się w sytuacji. Przez kilka minut stał nieruchomo, dopinając w myślach szczegóły swojego pomysłu. Gdy już wszystko było dla

niego jasne, powrócił na brzeg.

Mierzący ponad dwa metry i blisko sto czterdzieści centymetrów w kłacie Polak z łatwością odłamał gruby jak męskie ramię konar osmolonego drzewa i trzymając go ponad głową, zanurzył się ponownie w rzece. Bez trudu dotarł na drugi brzeg kilkanaście metrów powyżej cypla. Rozejrzał się i z zadowoleniem stwierdził, że zajęci odprawianiem plemiennych rytuałów napastnicy nie wystawili żadnych wartowników. Wysmarował całe ciało błotem i uzbrojony w drąg, powoli zbliżał się do rozwrzeszczanej gromady. Jego plan był prosty. Zamierzał dotrzeć jak najbliżej rozspiewanej i płasającej grupy, a następnie z wrzaskiem wyskoczyć z krzaków, za pomocą drąga ogłuszyć kilku wrzeszczących napastników i wykorzystując zaskoczenie, obezwładnić ich przywódcę. Liczył, że w ciemności i panującym rozgardiaszu zostanie uznany za rozwścieczone bóstwo. Skoncentrowany przed czekającą go akcją, nie czuł, jak gęste zarośla ranią mu ciało, a w stopy wbijają się ostre odłamki gałęzi i kamienie. W pewnym momencie potknął się o coś lepkiego i kosmatego. Zatrzymał się. Odłożył drąg i rękoma starał się rozpoznać niespodziewaną przeszkodę. Gdy tylko przykucnął, ostry smród rozkładającego się ciała uderzył go w nozdrza, a ręce znalazły dwa martwe ciała goryli górskich. Poderwał się błyskawicznie. Jego żołądkiem wstrząsnęły konwulsyjne skurcze. Już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy w głowie zaświtał mu kolejny pomysł. Ja wam, kurwa, zrobię bal, wyszeptał w myślach. Nie bez trudu uchwycił przednią łapę goryla. Torując sobie drogę drągiem, ciągnął rozkładające się cielsko w pobliże ogniska.

Gdy dotarł do granicy światła, zatrzymał się dla złapania oddechu. Jeszcze raz dokładnie zlustrował cały teren. Wbił drąg w rozmięktą ziemię i znikł w ciemnościach. Bez trudu odnalazł zwłoki drugiego goryla. Wstrzymując oddech, chwycił go za łapę. Szarpnął i upadł w kłujące i mokre zarośla. Wyrwana łapa uderzyła go w twarz. Otrząsnął się z obrzydzenia, lecz nie było czasu na rozpamiętywanie tej niespodzianki. Podniósł się, wymacał drugą łapę padłego zwierzęcia. Sprawdziwszy, że trzyma się mocno, ruszył w kierunku tańczącej grupy. Po chwili dotarł na skraj polany. Przykucnął. Od wbitego drąga dzieliło go niespełna pięćdziesiąt metrów. Smród cielska potężnego goryla był tak wielki, że Madera, nie zwlekając, uniósł go nad głowę, zakręcił nim, jakby nic nie ważył, i rzucił w kierunku szalejących wojowników. Rzut był celny. Ciało zwierzęcia wpadło w sam środek ogniska, wznecając kilkumetrowy snop iskier. Tańczący na chwilę stanęli w bezruchu, ucichł wielki bęben, a pieśń zamarła im na ustach. Madera nie widział, jak przestraszeni rozglądali się wkoło, jak dwóch najodważniejszych podbiegło do ogniska i z przestraczem przyglądało się martwym szczątkom goryla. Nie

widział, gdyż w tym czasie biegł co sił w nogach, by z przeciwległej strony rzucić drugiego zwierza. Błyskawicznie pokonał kilkadziesiąt metrów, zwłaszcza że nie musiał ukrywać swojej obecności. Drugi goryl wylądował u stóp przywódcy, na dobre wyrrywając go z transu. Zaskoczeni i przestraszeni wojownicy zbili się w gromadę. Na to tylko czekał. Kręcąc nad głową grubym drągiem i wrzeszcząc niezrozumiałe dla nikogo słowa, wypadł z cienia. Na jego widok gromada rozpierzchła się w popłochu, znikając w lesie, natomiast przywódca upadł twarzą do ziemi i zawodząc niezrozumiałą dla białych pieśń, rytmicznie uderzał rękoma w swoją głowę. Janek podbiegł do niego i postawił stopę na jego karku. Pieśń ucichła, a mężczyzna znieruchomiał. Polak ciężko oddychał. Pomimo potwornego zmęczenia ogarnęło go szczęście. Szaleńczy plan uwolnienia kumpli powiódł się. Jego wykonanie okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Ogarnął wzrokiem pobojowisko. Porzucone w nieładzie bębny, łuki, dzidy i maczety leżały dookoła.

– Jeśli już, kurwa, tu przyszedłeś, to może byś nas uwolnił? – Głos Oswalda wyrwał go z zadumy.

Przetarł dłonią ściekający z czoła pot i podszedł do Holendra. Jednym cięciem uwolnił go z prymitywnych, aczkolwiek skutecznych więzów. Następnie podbiegł do Guntera. Ciach! Niemiec znów był wolny. Obaj rozcierali ścierpnięte nadgarstki. Na ich twarzach nie było widać strachu. Niejeden raz w swej wieloletniej służbie stawali oko w oko ze śmiercią i zawsze wychodzili z tego pojedynku zwycięsko. Uwierzyli w swoje szczęśliwe gwiazdy.

– W sumie to uratowałeś nam życie – stwierdził Gunter.

– No – dołączył Oswald. – I chyba powinniśmy być ci wdzięczni?

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział, rozglądając się wokół.

– Chyba jest. – Gunter podszedł do Madery i wyciągnął dłoń. – Szacun, chłopie, szacun – rzekł i potrząsnął jego dłonią.

– Gdyby nie ty... – przyłączył się Oswald – zapewne teraz gotowalibyśmy się w kotle. Dzięki, stary. A swoją drogą, to ty nieźle popieprzony jesteś!

– Jaki?! – zapytał Mały Jaś. Nie oczekiwał wdzięczności, na radość z uwolnienia też nie liczył, po prostu żaden szanujący się najemnik nie okazywał swych uczuć, ale to stwierdzenie go zabolowało. Podszedł do Holendra i powtórzył: – Jaki jestem?!

– Popieprzony. – Oswald śmiało patrzył mu w oczy. – Widziałeś kiedyś, żeby ktoś sam rzucił się na trzydziestu uzbrojonych chłopów? Siedzę w tym interesie od piętnastu lat i pierwszy raz spotkałem takiego szaleńca.

– Oswald ma rację – powiedział Gunter. – Nie miałeś żadnych szans. Co ci

do tego kudłatego łba strzeliło? Mogłeś razem z nami wylądować w kotle.

– Ale nie wylądowałem.

– Nasze szczęście!

– Skończmy to już, tak?! Lepiej przywiążcie go do słupa. – Wskazał głową nieruchomą postać, a sam ruszył w kierunku, gdzie znikli czarnoskórzy wojownicy. Nie opuszczając oświetlonego przez ognisko pasa, obszedł dokładnie cały teren. Zadowolony wrócił w momencie, gdy Gunter sprawdzał więzy krępujące nieprzytomnego ze strachu przywódcę czy czarownika. – No, to ich na razie mamy z głowy.

– Nie byłbym taki pewien – powiedział Oswald. – Te sukinsyny są mściwe. Jak się opamiętają i zbiorą w większą kupę, to wrócą tu po nas.

– Zmywamy się! – poleciał Madera i nagle się roześmiał.

– Nie wiem, kurwa, z czego ty się śmiejesz – zdenerwował się Oswald.

– Szkoda, że nie widzisz się w lustrze – powiedział Madera, nie przestając rechotać.

– Bo ty, kurwa, wyglądasz jak model na wybiegu – odciął się Holender.

– Chłopaki, dajcie spokój – odezwał się Gunter. – Trzeba znaleźć nasze ubrania i spieprzać!

Lecz i on nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Trzech potężnych golasów, zarośniętych, z potarganymi włosami, ogorzałymi twarzami i upaprzanych w błocie wyglądało niczym forpoczta zbrojnych sił z piekła rodem wyruszających na podbój raj. Madera niepomny niebezpieczeństwa, którego dopiero co uniknęli, śmiał się pełną gębą. Jego tubalny śmiech unosił się daleko po buszu i nawet gdyby dotarł do spłoszonych napastników, wzbudziłby w nich dodatkową motywację do ucieczki. Niemiec śmiał się trochę ciszej, lecz i jego wysoki głos unosił się daleko od cypla. Oswald przez chwilę miotał przekleństwa, lecz i on uległ napadowi nerwowego, głośnego chichotu. Pierwszy, jak zwykle, opanował się Gunter.

– No, dość tego – powiedział. – Oswald, nie zauważyłeś, co te dzikusy zrobiły z naszymi ubraniami?

– Myślisz, że miałem czas pilnować twoich ciuchów?! Kiedy nas wywlekali z wody, to próbowałem ratować własną dupę i nie myślałem o ubraniach!

– *Shut up, boys!* – krzyknął Madera. – Mielenie jęzorami nic nie da! Trzeba po prostu obejść cały teren i poszukać. Może gdzieś leżą.

Wykorzystując blask padający od ogniska, dokładnie przeszukali cały teren, lecz widocznie uciekający w popłochu napastnicy zachowali na tyle trzeźwości umysłu, że nie porzucili zdobyczy. Ubrań, butów i lekkich karabinów AK-47.

– No i co teraz? – rzucił wściekły Oswald. – Mamy paradować w stroju Adama?

– A masz, kurwa, lepszy pomysł? – odpowiedział Madera, patrząc na dwóch brudnych golasów, i dodał ze śmiechem: – Zresztą, nie mamy się czego wstydzić!

– Ale to nie plaża naturystów – upierał się Holender. – To busz. Afrykańska puszcza pełna różnego rodzaju świństwa! Nawet te dzikusy były ubrane!

– No właśnie – powiedział Gunter i uśmiechnął się tajemniczo. – Zrobimy sobie ubranka z liści!

– Kretyn! – Holender skwitował pomysł kumpla.

Pomimo że stan umysłu Niemca został tak obrazowo oceniony, już pół godziny później cała trójka wystrojona w zielone przepaski na biodrach ruszyła w drogę. Nie mieli innego wyjścia, a ryzyko, że w drodze spotkają jadowitego, pełzającego lub drepającego w trawie zabójcę było mniejsze od niebezpieczeństwa pozostania na miejscu. Ich przewodnicy zapewne byli już daleko od tego feralnego miejsca, a na inną pomoc nie mieli najmniejszej szansy. Nikogo nie obchodził los setek mordowanych tubylców, więc któż miałby się interesować trójką białych najemników? Świtało, gdy dotarli do czekających żołnierzy prezydenta Bizimunge. Po tej przygodzie wycofali się z bezpośrednich działań wojennych. Następne dwa lata spędzili na szkoleniu przyszłych żołnierzy.

– Hej, Jean! – Kuksaniec Guntera wyrwał Maderę z rozmyślań. – Nie przyjechaliśmy tu medytować! Na to będziesz miał czas w tej swojej Polsce! Musimy pogadać!

– No właśnie – przyłączył się Oswald. – Przez cały czas wciskałeś nam kit i nie powiedziałeś...

– Ale o czym tu, do cholery, gadać? – przerwał mu Madera. – Żyjemy. I to jest najważniejsze, tak?

– Teraz myślę o tym spokojnie, ale wtedy, gdybym miał czym, to pewnie zesrałbym się ze strachu!

– Ale ja, kurwa, w dalszym ciągu nie mogę zrozumieć, dlaczego zaryzykowałeś swoje życie?! Każdy inny na twoim miejscu nawet by się nie obejrzał, tylko spier... by przed siebie, byle dalej od tych dzikusów! – Oswald nie mógł przyjąć dotychczasowych wyjaśnień Madery. Wiele wieczorów spędzili, dyskutując na ten temat. Wypili rzekę whisky i piwa, ale wciąż nie mogło im się w głowach pomieścić, dlaczego Polak nie zastosował się do obowiązującej w tych formacjach zasady RWD. Ratuń własną dupę.

– Przecież to było czyste szaleństwo! Samobójstwo!

– Ale o co ci chodzi?! – Madera zapytał ostro. – To jest moje życie i tylko ja mam prawo nim dysponować!

– Okej, okej... – powiedział Oswald, podnosząc prawą rękę. – Nie wkurwiał się! Ja nie jestem taki głupi, za jakiego robie! Po prostu chcę wiedzieć dlaczego. Dlaczego uratowałeś życie dwóm dupkom?

– Mów za siebie! – przerwał mu Gunter. – Nie uważam się za dupka!

– Ale on ma nas za dupków! – krzyknął Oswald i wskazując na siedzących obok samochodów czarnoskórych żołnierzy, dodał: – Nawet dla tych czarnuchów ma więcej szacunku!

– Oswald! Teraz to już, kurwa, przesadziłeś! – Janek podskoczył, gotowy do bójki.

– Tylko spokojnie! – Gunter błyskawicznie wskoczył między nich. Złapał Maderę za ramię i odciągnął go od Oswalda szykującego się do odparcia ataku przyjaciela. – Siadać i słuchać! To rozkaz!

Popatrzyli na niego zdziwieni, lecz posłusznie wykonali polecenie.

– Przez trzy lata byliśmy razem – rozpoczął. – Jedliśmy, piliśmy razem, wspólnie nadstawialiśmy dupy i razem chodziliśmy na dziwki. Zgadza się?

– Tak – mruknęli jednocześnie.

– I nigdy nie kłóciliśmy się. Tak?

– Nooo.

– Za kilka godzin wrócimy do Europy i może się już nigdy nie spotkamy. I co? Mamy się rozjechać jak wrogowie?!

Milczeli. Wiedzieli, że ma rację, że cała ta awantura do niczego nie prowadzi, że być może ten przyjazd tutaj, w okolice wulkanu, był jedną wielką pomyłką.

– Jean, posłuchaj. – Oswald przerwał krępującą ciszę. – Ura-towałeś nam życie i do śmierci pozostaniemy twoimi dłużnikami. Jeden telefon i przylecimy na twoje wezwanie, ale kurwa, nie traktuj nas jak debili! Po prostu chcemy wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś! Nigdy o czymś takim nie słyszeliśmy, a kilkanaście lat dłużej od ciebie jeździmy na kontrakty. Należy się nam, prawda Gunter?

– Oswald ma rację, Jean – powiedział Niemiec. Ochłonął już po awanturze i teraz spokojnie palił papierosa. – Czujemy się jak przygłupy, kiedy mówisz, że tego nie zrozumiemy. Może jesteśmy półgłówkami i nie zrozumiemy cię, ale chociaż spróbuj.

– Okej. Skoro tak się upieracie... – odparł zrezygnowany. – Postaram się wam to wyjaśnić, ale na tym zamykamy temat! – Dwaj jego kompani posłusznie skinęli głowami. – Gdy miałem dziesięć lat, moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Zostałem sam. Bez żadnych krewnych, którzy

by mogli się mną zaopiekować. Zamieszkałem w domu dziecka. Ulubioną zabawą chłopaków z miasta było bicie sierot, jak byliśmy nazywani. Napadano na nas wszędzie: w drodze ze szkoły, do sklepu czy do kina. Gdy mnie raz i drugi pobito, zawzięłem się.

– Niemożliwe! – wyrwał się Oswald. – Tobie ktoś spuścił lanie?!

– Tylko dwa razy. – Madera uśmiechnął się smutno. – Właśnie dlatego zacząłem trenować judo i boks. Przekonałem też chłopaków, żeby nigdy i nigdzie nie chodzili sami, a już broń Boże, żeby dziewczyny same nie opuszczały terenu bidula. Nasza taktyka powoli się sprawdzała. Kiedy szliśmy całą grupą, nikt nie próbował nas atakować. Owszem, wyśmiewano się z nas, ale myśmy się nie dali sprowokować. Raz spróbowali, ale stłukliśmy ich tak, że odpuścili. Przynajmniej wtedy tak nam się wydawało. Przyzwyczailiśmy się do spokoju i pewnie dlatego osłabła nasza czujność. Pewnego razu, miałem wtedy chyba piętnaście lat, urwałem się nielegalnie do dziewczyny z miasteczka...

– Ty i dziewczyny!? – Oswald znów nie wytrzymał, mając w pamięci podstępny, do których musieli się uciekać, żeby wyciągnąć Polaka na panienki.

– Daj spokój! – upomniał go Gunter. – Nie przerywaj, bo nigdy się nie dowiemy, co w tym jego kudłatym łbie siedzi.

– Dobra – mruknął Holender i wyciągnął się na rachitycznej trawie.

Madera zamyślony patrzył na odległy stożek wulkanu, jakby nie słysząc kpin Oswalda.

To była wiosna. Kwitły kasztany i ona miała kasztanowe włosy. Pierwszy raz go wtedy pocałowała. Zarumienił się. Nie był na to przygotowany. Przytuliła się do niego. Drugi pocałunek, trzeci... Biegiem wracał do bidula. Czekali na niego w wąskiej uliczce otoczonej kamiennymi ogrodzeniami. Stał jak wryty. Rozejrzał się, bezradnie szukając drogi ucieczki, ale za nim już stało kilku. Patrzyli kpiąco, z wyższością. Nabrał powietrza w płuca, gotów rzucić się na nich, gdy nagle ktoś krzyknął: „Chłopaki! Jasia biją!”. Posypał się grad kamieni. Miejscowi, którzy już mieli rozpocząć egzekucję na Maderze, zatrzymali się zaskoczeni. Niektóre kamienie celnie trafiały napastników. Do tego dał się słyszeć krzyk: „Józek, Krzysiek, Zenek! Na dół! Reszta odciąć odwrót! Jak krzyknę, to do ataku!”. Zdezorientowani napastnicy w jednej chwili stracili buńczuczne miny. Stali, rozglądając się bezradnie. Nagle jeden skalny pocisk, w zasadzie niewielki kamyczek, uderzył prowodyra w głowę. Ten wrzasnął przestraszony. To wystarczyło, by cała zgraja uciekła w popłochu. Na szczycie muru pojawił się uśmiechnięty Tomek. „Ale daliśmy im bobu, nie?!”, zapytał i zeskoczył na ulicę. Rok

wcześniej przywieziono go do ośrodka. Ojciec wylądował w pierdlu, a matka na odwyku. Został sam i nie miał gdzie się podziać. Od pierwszego dnia upodobał sobie Jasia i cały czas plątał się koło niego. Jak się okazało, szpiegował go nawet na randce.

– Wtedy właśnie przysięgłem sobie, że nigdy, przenigdy nie opuszczę przyjaciół w potrzebie. Spłacam Bogu dług.

Po tych słowach zapadło milczenie. Mały Jaś nigdy nie był rozmowny. To raczej on był powiernikiem. Nawet przy alkoholu, który zazwyczaj rozwiązuje języki, unikał opowiadania o sobie. To osobiste wyznanie poruszyło towarzyszących mu mężczyzn. Zaskoczeni, wazyli w milczeniu jego słowa. Madera był pierwszym człowiekiem „stamtąd”, jak określano państwa nieistniejącego już bloku wschodniego, którego poznali i z którym ramie w ramie walczyli przez trzy lata. Na pierwszy rzut oka nie było między nimi różnic. Wysportowany, inteligentny, świetnie władający angielskim i francuskim, w każdej sytuacji udowadniał, że jest na właściwym miejscu. Miał oczywiście swoje nawyki czy niezrozumiałe dla nich zachowania, ale kto ich nie miał? A poza tym to, co działo się w Ruadzie przez ostatnie lata, nie skłaniało do rozmyślań nad naturą ludzką. Jeśli już ktoś wpadał w filozoficzny nastrój, to otrzymywał kilkugodzinną przepustkę, żeby zaprzyjaźnić się z butelką whisky lub innego alkoholu. Zazwyczaj na drugi dzień było po sprawie.

Po paru wspólnych akcjach znikła początkowa nieufność. Stał się jednym z nich, chociaż czasami go nie rozumieli. Ta opowieść zdumiała ich, ale też wzbudziła szacunek dla tego zawsze skromnego Polaka.

Z daleka doleciało ich głośne wezwanie kierowcy. Powoli ruszyli w kierunku samochodów.

– Wiesz, gdy opisałem Alice tę sytuację – przerwał milczenie Holender, zatrzymując się gwałtownie – to nie uwierzyła. W drugim liście jeszcze raz musiałem opisać wszystko ze szczegółami, a i tak Gunter musiał własnoręcznie potwierdzić, że to prawda. Wtedy dopiero uwierzyła i napisała, że jesteś bohaterem. Gdy przyjedziesz do Rotterdamu, to cię ozłoci. Dodała, że gdyby nie była ze mną, to pokazałaby ci takie numery w łóżku, że pewnie umarłbyś z rozkoszy. No, ale jest wierna, więc zawsze masz u niej wikt i opierunek. No i oczywiście co noc nową laskę z jej haremu!

– Nie wiem, czy będę miał okazję skorzystać z jej propozycji.

– Nie masz się nad czym zastanawiać – przerwał mu Holender. – A poza tym, to miała być niespodzianka. O wszystkim miała ci powiedzieć sama, gdy tylko przylecimy do Rotterdamu. Ja pier...! Udawaj przed nią, że o niczym nie wiesz! Chłopie! Jak ona się wścieknie, to jest gorsza niż cała

armia Hutu! Zabije mnie!

Oswald wyglądał na autentycznie przestraszonego, co rozbawiło jego kompanów. Ten nieustraszony w walce żołnierz drżał ze strachu przed jakąś holenderską panią. Madera doskonale rozumiał przyjaciela, ale Gunter nie mógł tego pojąć, gdyż nigdy nie spotkał Alice.

Po zakończeniu kontraktu w Ruandzie zaplanowali kilka miesięcy wypoczynku. Gunter wracał do Monachium, natomiast Oswald namówił Maderę do spędzenia wspólnie z nim i jego dziewczyną urlopu w Holandii. Polak przyjął zaproszenie, ale najpierw chciał pojechać do Polski, do siostry swojej matki. To właśnie ona po powrocie ze Stanów odnalazła go w domu dziecka, pomogła skończyć studia, a potem, gdy groziło mu więzienie za kontrakty wojskowe, wynalazła i sfinansowała świetnego adwokata. Od paru tygodni nie miał od niej wiadomości i już zaczął się niepokoić.

Dzień miał się powoli ku końcowi. Zmierzchało już, gdy dojeżdżali do portu lotniczego w Kisenyi. Przebrani w cywilne ubrania nie zwracali na siebie uwagi wśród nielicznej grupy oczekujących na odprawę pasażerów. Podeszli do trapu jako ostatni. Gdy Madera postawił nogę na pierwszym stopniu, poczuł dłoń na ramieniu. Odwrócił się.

– Co jest? – zapytał Guntera, który go przytrzymał.

– Chwila – odpowiedział tamten poważnie. – Oswald, podejdź!

Wyciągnął przed siebie prawą rękę, a gdy popatrzyli na niego zdumieni, bez słowa, gestem zachęcił ich do tego samego. Spletli wyciągnięte dłonie.

– Dziękowaliśmy ci już wielokrotnie – rozpoczął Gunter, patrząc w oczy Polaka. – Ale żadne podziękowania nie oddadzą tego, co czujemy.

– Eee tam – zachnął się Le Petit Jean.

– Cicho bądź i słuchaj! – upomniał go Oswald.

– Chcemy, żebyś wiedział i pamiętał – uroczyście kontynuował Niemiec – że jesteśmy twoimi dłużnikami. Jeden telefon, list, jedno twoje słowo, a rzucamy wszystko i pędzimy na ratunek. *All for one, one for all.*

– Dzięki – szepnął Madera. Aby ukryć wzruszenie, wbiegł po schodkach na pokład samolotu.

Zajął miejsce przy oknie, obok usiadł Oswald, a dalej Gunter. Samolot wystartował. Po kilkudziesięciu sekundach Afryka została pod nimi. Patrzył na skąpo oświetlone Karisimbi. Drugi kontrakt zakończony sukcesem. Wracał do Polski bogatszy o kilkadziesiąt tysięcy dolarów zdeponowanych na koncie w luksemburskim banku i o wstrząsające przeżycia, które towarzyszyć mu będą do końca życia. Był nietypowym żołnierzem. Gdy osiem lat temu wyjeżdżał z Polski, nawet przez myśl mu nie przeszło, że tak potoczy się jego

życie.

Rotterdam, 1989

Do PMC^[1] Madera trafił przypadkiem. Jako absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, po obronie pracy w Instytucie Rehabilitacji, został asystentem trenera odnowy i wyjechał z reprezentacją uczelni na Akademickie Mistrzostwa Europy w koszykówce męskiej do Holandii. Drużyna zakończyła udział w fazie grupowej, ale sponsor opłacił pobyt do finałów, więc zostali. Jasiu nie był fanem koszykówki i w czasie gdy cała grupa przesiadywała w hali sportowej, on włączył się po Rotterdamie. Drugiego, może trzeciego dnia wędrówki trafił na ulicę Schiemont. Było już po szesnastej. Zmęczony całodzienną wędrówką postanowił coś zjeść i napić się piwa. Jedyną knajpą w pobliżu był Bar Alice. Odrapany szyld głosił, iż można tu liczyć na potrawy czterech oceanów. Lokal nie wyglądał zachęcająco, ale Madera nie miał innego wyboru. Wszedł i od razu owionął go wieloletni smród nikotyny i taniego alkoholu. Ściany i sufit owinięte były sieciami rybackimi, w które wplecione zostały spreparowane nieznanne mu ryby oraz różnobarwne muszle. Żeglarskie pieśni płynęły z ukrytych głośników. Stoliki zbite z grubych desek świeciły czystością. Przy kilku siedzieli mężczyźni z marynarskimi workami i – pijąc piwo – żywo dyskutowali. Jasiu po chwili zastanowienia wszedł głębiej, kierując się w stronę bufetu, przy którym kobieta nalewała piwo, przemawiając podniesionym tonem do stojącego przed nią mężczyzny. Trzydziestokilkuletni, dobrze zbudowany facet, milcząc, potakiwał potulnie głową. W wyciągniętych dłoniach trzymał dużą tackę, na której stało kilka kufli przykrytych białą, zachęcającą pianką. Madera przełknął ślinkę i usiadł w rogu niewielkiej sali. Obserwując scenę przy bufecie, spokojnie czekał. Minęło pięć minut, a kobieta nie przestawała mówić. Po dziesięciu sytuacja nie zmieniła się. Madera nie znał holenderskiego, więc tylko po ich twarzach i gestach mógł się domyślać, o co chodzi. Gdy po piętnastu minutach kobieta nie zamilkła, Madera strzelił palcami.

– *Garson!* – krzyknął, a nieliczni goście popatrzyli na niego z dezaprobatą. Ani kelner, ani bufetowa nie zareagowali. Postanowił zmienić język: – *Steward!* – Nadal żadnej reakcji. Kobieta przemawiała, a facet w milczeniu jej potakiwał.

Madera energicznie odsunął krzesło i ruszył w kierunku baru.

– Hej, ty! – wrzasnął nad uchem kelnera.

– *Shut up!* – Nie obdarzył go spojrzeniem.

– Co jest, do cholery! – zdenerwował się Madera. – Piwo chciałem!

– Zamknij się, powiedziałem! – Tym razem kelner odwrócił się w stronę Jana. Zrobił to tak energicznie, że wszystkie kufle przewróciły się, zalewając wypastowane deski. Dwa z nich spadły, rozbijając się w drobny mak. – O, kurwa! Tego już za wiele! Zapłacisz mi za to!

Zamierzył się tacą, na której stały jeszcze trzy kufle. Na skutek tego spadły na blat baru, rozbijając się na tysiące kawałków i raniąc kobietę.

– Oswald! – Wyłowił imię z jej wrzasku, robiąc unik przed uderzeniem tacą.

Zamach był tak potężny, że taca nie napotkawszy głowy Jasia, pociągnęła Holendra, który z impetem upadł na stół. Rozległ się trzask łamanych desek i przeraźliwy krzyk kobiety, która z kuflem w dłoni wypadła z baru. Madera łatwo wytrącił jej tę knajpianą broń z ręki i chwytając ją w pół, uniósł do góry. Broniła się, wierzgając nogami i krzycząc. Na gościach cała ta awantura nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Powalony na stół Holender próbował ruszyć swej partnerce z pomocą, ale jedna z desek, pękając, przebiła mu rękę. Szamotał się. Próbował wstać, lecz deska nie puszczała. Madera ścisnął kobietę jeszcze mocniej, uniemożliwiając jej oddychanie. Po kilku sekundach zaczęła się dusić.

– Nie chcę awantury – powiedział spokojnie. – Puszczę cię, ale usiądź na krześle i się nie ruszaj. Ja w tym czasie uwolnię twojego kelnera.

– Yhy – zdążyła wydusić i zemdląca.

Uwolnienie i opatrzenie Holendra zajęło Jasiowi kilkanaście minut. Ocucenie kobiety i wyjaśnienie całej sprawy kolejną chwilę. Po trzech kwadransach kończyli pierwszy kufel piwa na zgodę. Po dwóch godzinach byli przyjaciółmi na śmierć i życie. Przy dziesiątym kuflu Polak zdecydował się podpisać pierwszy kontrakt, skuszony przygodą i wysokimi zarobkami.

– Ale ja nie jestem lekarzem – próbował protestować mocno wstawiony Jasio.

– Nie musisz mieć dyplomu – bełkotał Oswald, który mylnie przetłumaczył *physiotherapist*. – Psychiatra też się przyda.

Na nic się zdały tłumaczenia Madery. Został zaangażowany jako lekarz grupy Holendra i przez następną godzinę został wtajemniczony w szczegóły przyszłego kontraktu.

Różnica między pracą w wojsku, chociażby w Legii Cudzoziemskiej, a w PMC jest ogromna. W armii szkolenie odbywa się w grupach. Zawsze wiadomo, na kogo można liczyć, a na kogo nie. Żołnierz zna poziom wyszkolenia, a armia posiada z reguły świetny sprzęt, logistykę

i odpowiednie wsparcie. Gdy coś się zacznie dziać, do dyspozycji ma swój transport medyczny. Dowódca może sobie sformować kolumnę tak, jak chce, w zależności od zadania. Z reguły jest czas na zaplanowanie operacji.

W PMC zadania trzeba wykonywać na bieżąco. Nie ma wywiadu. Trzeba korzystać z udostępnionego przez jakąś jednostkę wojskową. Samemu robi się rozpoznanie, wytycza drogi. W zależności od zasobów zleceniodawcy jest zespół medyczny lub go nie ma. Najlepiej więc mieć własnego medyka lub nim być. I tak rehabilitant, absolwent Akademii w Krakowie, wskutek nieporozumienia językowego i skłonności do piwa, został lekarzem.

Na wspomnienie tamtej sytuacji Madera się uśmiechnął. Jak to przypadek może zmienić życie, rozmyślał. W trakcie pierwszego kontraktu poznał Guntera, który dzięki swoim kontaktom załatwił zlecenie w Ruandzie. Ciekawe, czego będzie dotyczył następny kontrakt, zastanawiał się. Może znowu Afryka? Gunter coś znajdzie. *All for one, one for all.*

[1] PMC – Private Military Companies, wielkie międzynarodowe firmy, głównie amerykańskie, brytyjskie i południowoafrykańskie, które podpisują kontrakty z rządami oraz globalnymi korporacjami. Ich podstawowym zadaniem jest ochrona obiektów, konwojów i VIP-ów. Przyjmują też inne zlecenia, na przykład odbicie zakładników, szkolenie policji, zbieranie informacji, ujmowanie zbrodniarzy.

Bruksela, 1 lutego 1996

Helikopter pojawił się niespodziewanie. Magda stała przed budynkiem Parlamentu Europejskiego od strony Wiertzstraat, gotowa do nagrania ekskluzywnego wywiadu z przewodniczącym Lamberto Dini, gdy nagle ogłuszył ją warkot silnika. Odruchowo zadarła głowę i zobaczyła zawieszony nad budynkiem amerykański śmigłowiec wojskowy marki Sikorsky. W otwartych drzwiach widać było sylwetki komandosów przygotowanych do desantu. Wściekła zaczęła grozić pięścią pilotowi. Polityk zasłonił dłońmi uszy i pośpiesznie znikł w budynku. Wielotygodniowe starania diabli wzięli! Magda ze złością rzuciła mikrofonem o chodnik i zaczęła krzyczeć. Helikopter powoli obniżał lot. Jego potężna sylwetka przysłoniła słońce. Zrobiło się ciemno, a rozrywający uszy huk silnika narastał.

Magda poderwała się gwałtownie i otworzyła oczy. Była w swoim brukselskim mieszkaniu. Helikopter znikł, natomiast ogłuszający dźwięk rozbrzmiewał. Spocona usiadła na łóżku. Przez niewielką szczelinę między dwoma ciężkimi kotarami przedzierały się promienie słońca. Z ciężką głową zaczęła się rozglądać po pokoju w poszukiwaniu źródła nieznośnego dźwięku. Na stoliku spostrzegła błyskający wyświetlaczem telefon. Wyłącz się! Wyłącz się natychmiast! Zaklinała go, nie mając ani siły, ani chęci na odebranie połączenia. Co prawda podczas pobytu w Krakowie, otoczona troskliwą opieką matki, przestała zażywać środki nasenne. Jednak tutaj, gdy wróciła do swojego mieszkania w Brukseli, koszmar powrócił. Sięgnęła więc po sprawdzony lek. Dźwięk telefonu ucichł. Magda z ulgą padła na poduszkę, naciągając kołdrę na głowę. Nie zdążyła zamknąć oczu, gdy powrócił niczym nocny komar szykujący się do ataku. Tego już nie wytrzymała. Na wyświetlaczu telefonu widniały cyfry 7.25.

– Proszę! – Nie starała się ukryć wściekłości.

– Dzień dobry, Madziu. – Nie miała wątpliwości, że radosny głos, który ją powitał, należał do jej bezpośredniego szefa z Kopca Kraka. – Cieszę się, że cię słyszę.

– Niestety nie mogę powiedzieć tego samego. Czy ty zawsze musisz dzwonić o tak bandyckiej porze?

– No cóż, zważywszy na to, że my, ludzie pracy, musimy wstawać o czwartej rano – zakpił. – Nie tak jak wy, korespondenci zagraniczni wylegujący się do południa. Pora jest jak najbardziej przyzwoita.

– No dobra, czym mogę ci służyć, mój panie i władco?

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać podczas twojej wizyty w Krakowie. Cieszę się, że wycofałaś podanie o zwolnienie, choć muszę przyznać, że chyba wystąpię do zarządu o podwyżkę, gdyż coraz więcej muszę wydawać na szampany.

Dwa lata temu, gdy Magdalena Strzelecka wyjeżdżała do Brukseli jako korespondentka krakowskiego radia Smog FM, zawarła ze swoim bezpośrednim przełożonym Krzysztofem Skorym umowę, że za każdy trafiony przeciek dotyczący informacji politycznych i gospodarczych on funduje jej butelkę dobrego francuskiego szampana, natomiast za informacje nietrafione ona kupuje luksusowy trunek. Pod koniec 1995 roku było dziewięć do dwóch dla Magdy.

– Hm... – Uśmiechnęła się, lecz w tym grymasie próżno było szukać radości.

– Jeżeli chcesz, możemy anulować ten układ.

– Daj spokój, żartowałem!

– Tak myślę. Przepraszam cię, ale jeszcze nie mogę dojść do siebie. Wróciłam późno, bo był wypadek na autostradzie, a na dodatek pod drzwiami czekała na mnie jego siostra.

– Siostra Michela?

– Tak.

– Czego chciała?

– Podobno mój eksmałżonek przemyślał wszystko i doszedł do wniosku, że popełnił życiową pomyłkę. Chce zacząć się leczyć i do mnie wrócić.

Magdalena Strzelecka niecały rok wcześniej wyszła za mąż za Michela Pommieur, niezależnego fotografa współpracującego głównie z „National Geographic”. Spotkali się na jego wernisażu. To on pierwszy zwrócił uwagę na wysoką, długonogą dziewczynę z mikrofonem, która zbierała opinie o wystawie, konsekwentnie omijając jej autora. Jej długie, ciemnokasztanowe włosy, duże piwne oczy, delikatnie zadarty nosek oraz zalotne dołeczki na policzkach, które pojawiały się przy każdym uśmiechu, nie pozwalały żadnemu mężczyźnie przejść obojętnie. Kto choć przez chwilę z nią porozmawiał, był oczarowany. Inteligentna, błyskotliwa, pozbawiona kokieterii potrafiła każdą rozmowę przeprowadzić według swojego planu. Była równocześnie wspaniałym słuchaczem. Władza francuskim, angielskim i włoskim. Naturalna swoboda, z jaką nawiązywała kontakty, poparta nieprzeciętną urodą, zjednywała jej przyjaciół pod każdą szerokością geograficzną. Nic więc dziwnego, że bardzo często jako pierwsza dostawała informacje, które oficjalnie były podawane dużo później. Dwa miesiące temu, po niespełna ośmiu miesiącach małżeństwa, mąż opuścił ją dla nowo

poznanej modelki, z którą robił serię zdjęć dla „Playboya”. Nie był to jednak główny powód rozstania. Już w pierwszym miesiącu małżeństwa Michel ujawnił swoje nadmierne skłonności do alkoholu. Gdy wracał do domu podchmielony, stawał się agresywny. Początkowo Magdzie udawało się hamować jego zboczone zapędy seksualne, jednak z czasem jego agresja rosła. Coraz częściej padała ofiarą gwałtu śmierzącego alkoholem i potem męża. Coraz częściej też przedłużały się jego sesje wyjazdowe. Aż wreszcie w połowie grudnia Michel zniknął. Magda przyjęła to z ulgą. Podczas pobytu w Krakowie wycofała podanie o zwolnienie.

– Bardzo żałuję, że nie było mnie w Krakowie podczas twojej wizyty. – Krzysztof, specjalista od krajów byłego ZSRR, wobec rozwijającego się konfliktu zbrojnego w Czeczenii został wysłany jako korespondent wojenny do Groznego. – Chciałem z tobą porozmawiać. Pomóc, pocieszyć.

– Bez tego wiem, że mam w tobie przyjaciela i jestem ci wdzięczna – odparła Magdalena. – Nie martw się. Powoli dochodzę do siebie. Mam nadzieję, że zbliżająca się kolejna tura rokowań NATO i państw byłego Układu Warszawskiego pozwoli mi wrócić do formy.

– No właśnie w tej sprawie dzwonię. Czy będziesz w stanie obsłużyć tę imprezę?

– Jasne. To dla mnie jedyny ratunek. Praca, praca i jeszcze raz praca.

– Magda, bardzo się cieszę, że zostajesz z nami. Szkoda by było, gdybyś rzuciła pracę – powiedział cicho. – Jeśli potrzebujesz pomocy, dzwoń.

Bruksela, 5 lutego 1996

Samolot rządowy wiozący polską delegację na rozmowy do Brukseli znajdował się w odległości pół godziny od lotniska. Profesor Michał Kobalt, który zwykle w takich sytuacjach dowcipkował, tym razem siedział pogrążony we własnych myślach i częściej niż inni korzystał z kabiny dla palących. Chociaż uchodził za człowieka, który raz podjąwszy decyzję, nigdy nie wraca do rozpatrywania słuszności wyboru, tym razem cały czas dręczyły go wątpliwości. Czasami nawiedzał go strach. Po raz kolejny zastanawiał się, czy John będzie w stanie mu pomóc. W głębi duszy nie wątpił w to, że Amerykanin zrobi wszystko, żeby wyciągnąć przyjaciela z kłopotów, ale to nie ta skala. Teraz to nie Paryż. Obydwaj przebywali wtedy na półrocznym stypendium na Sorbonie i mieszkali w jednym hotelu uniwersyteckim. Znali się trochę z widzenia, ale nie byli ze sobą bliżej związani. John miał bardzo bogatą i niezwykle zazdrosną żonę Margot, która finansowała jego liczne zagraniczne wojaże, ale wymagała bezwzględnej wierności. Często niespodziewanie przyjeżdżała do miasta, w którym akurat przebywał, i przeprowadzała „inspekcję moralności”, jak żartował. Niestety Bush miał słabość do kobiet. Na jego nieszczęście, odwzajemnioną. Właśnie w Paryżu, w trakcie igraszek, zabrakło mu papierosów. Ubrawszy się, pobiegł do automatu. W tym czasie niespodziewanie zjawiła się jego żona i nie pytając nikogo o zgodę, wparowała do pokoju. Przyćmione światło, porozrzucana damska bielizna, dwa kieliszki, szampan i naga ruda piękność w łóżku.

– Kim ty jesteś? Co tu robisz?! – zapytała Margot, zamykając drzwi.

Dziewczyna, zaskoczona niespodziewanym wtargnięciem nieznajomej do pokoju swego kochanka, zerwała się. Usiadła na łóżku i okryła się prześcieradłem. Nieudolnie starała się poprawić zmierzwione włosy, jednocześnie wybałuszonymi oczami śledziła Amerykankę.

– Proszę, proszę. – Margot podeszła do stolika i wzięła do ręki butelkę szampana. – Rocznik osiemdziesiąty piąty i truskawki. – Odłożyła szampana do kubek z lodem i podeszła do łóżka. – Od kiedy pieprzysz się z moim mężem?

Ruda otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nic z tego nie wyszło. Przestraszona wpatrywała się w żonę Johna, miętosząc w dłoni prześcieradło.

– Nie umiesz mówić?! – Margot zamierzyła się, jakby chciała ją uderzyć. Dziewczyna skuliła się i zasłoniła twarz w oczekiwaniu na cios. –

Odpowiadaj! Jak długo pieprzysz się z Johnem?!

– *Je ne comprends pas* – wydukała, przesuając się na przeciwległą stronę łóżka.

– *Tu ne comprends pas?* – Amerykanka, która kilka lat wcześniej również studiowała na Sorbonie, przeszła błyskawicznie na francuski. – *Tu ne comprends pas l'anglais?* Więc ciekawa jestem, jak się dogadałaś z Johnem! Przecież on nie zna ani słowa po francusku!

Ruda znieruchomiała. Wciąż patrzyła na Amerykankę.

– *Tu ne comprends pas le français aussi?!* – Margot nie dawała za wygraną.

Dziewczyna konsekwentnie milczała. Amerykanka obesła łóżko, śledzona przez wystraszony wzrok Francuzki.

– A może ty niemowa jesteś? – Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz Margot. Podeszła jeszcze bliżej, błyskawicznie uchwyciła róg prześcieradła i mocno szarpnęła. Biały kawał płótna spadł na podłogę, odsłaniając wdzięki dziewczyny. Kobieta przez dłuższą chwilę taksowała ją wzrokiem. – No, ładniutka jesteś. I pewnie dużo umiesz?!

Francuzka odsuwała się od natarczywej kobiety, jednocześnie starając się zasłonić piersi. Patrzyła na drzwi łazienki. Kobieta pochwyciła jej wzrok i momentalnie pojęła zamiar dziewczyny. Obiegła łóżko, wzięła butelkę szampana i uniosła w górę niczym maczugę.

– Leż! – poleciła. – Masz natychmiast ułożyć się w takiej pozycji, w której byłaś, gdy tu weszłam!

Dziewczyna zastygła w bezruchu. Margot machnęła butelką, która o milimetry minęła głowę dziewczyny. Francuzka padła na łóżko do pozycji embrionalnej, zasłaniając głowę rękoma.

– Nie tak! Połóż się na wznak, tak żeby było widać piersi i całą resztę!

Dziewczyna z oporami wykonała polecenie. Margot z zadowoleniem kiwnęła głową.

– No, a teraz poczekamy sobie na kochasia.

Nie zdążyła nawet usiąść, gdy zaszleściły otwierane drzwi.

– Jeśli piśniesz słowo, to rozwalę ci tę butelkę na głowie! – ostrzegła szeptem, chowając się za kotarę.

Trzasnęły zamykane drzwi i do pokoju wkroczył Michał Kobalt. Ruda wytrzeszczyła oczy, ale zgodnie z poleceniem, milczała.

– Już jestem, kochanie – powiedział Kobalt, rzucając papierosy na stolik. – Tęskniłaś za mną?

Dziewczyna otworzyła usta, ale dźwięk, który je opuścił, był niezrozumiałym bełkotem.

– Co mówisz? – zapytał, siadając na brzegu łóżka.

Ruda nie próbowała tym razem mówić, tylko przerażonymi oczami wskazywała na zasłonę. Kobalt pokiwał ze zrozumieniem głową. Wstał i jednym ruchem szarpnął materiał. Przed nim stała piękna, blisko czterdziestoletnia kobieta. Kompletnie zaskoczona gapiła się na Kobalta. Ruda, korzystając z zamieszania, owinęła się prześcieradłem i zniknęła w łazience.

– Madame? – powiedział z delikatnym uśmiechem.

– Bush. Margot Bush – wykrztusiła po chwili, oblewając się rumieńcem.

– A! Żona Johna! – Uśmiech rozpromienił jego twarz. – Michał Kobalt – przedstawił się.

Margot stała sztywna niczym kamienny posąg. Kobalt wyciągnął dłoń na powitanie, lecz nie doczekawszy się odzewu ze strony kobiety, wskazał ręką fotel.

– Przepraszam za to małe *qui pro quo* – powiedział. – John nie wspominał, że pani przyjedzie, a u mnie w łazience pękła rura i... sama pani rozumie... – bezradnie wzruszył ramionami. – Byłem umówiony, więc co miałem robić. Poprosiłem Johna...

– Ja... pana bardzo przepraszam – dukąta Margot. – Gdzie jest John?

– Zaraz po niego zadzwonię, tylko moja znajoma się ubierze – wyjaśnił i pozbierawszy rozrzucone na podłodze ubranie Rudej, zaniósł je do łazienki.

Pięć minut później do pokoju wkroczył rozpromieniony John Bush.

Tego, że portier ostrzegł go o przybyciu żony, a jedynym człowiekiem na tyłach recepcji oprócz portiera był Kobalt, który uległ błagalnej prośbie zdesperowanego kolegi, pani Bush nie dowiedziała się nigdy. Co prawda później, gdy już zaprzyjaźnili się ze sobą, niejednokrotnie wracała do tej sytuacji z Paryża, ale zawsze otrzymywała solenne zapewnienia, że to była dziewczyna Michała.

– Proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. – Polecenie stewardesy przerwało rozmyślenia.

Samolot podchodził do lądowania.

O osiemnastej zadzwonił telefon. Michał, który już rozpakował bagaże, otwierał właśnie drzwi łazienki.

– Proszę.

– Cześć! – Rozpoznał głos Johna. – Wreszcie jesteś! Co, do jasnej cholery, miał oznaczać twój alarm?! Co takiego się stało?

– Poczekaj – uspokajał go Kobalt. – Za dwie godziny spotkamy się na kolacji i wtedy wszystko ci opowiem.

- Gdzie?
- A jak sądzisz?
- Tam, gdzie zawsze?
- Jasne.

Restauracja Le Petit Moulin Rouge przy ulicy Blanche na pewno nie należała do miejsc często odwiedzanych przez dyplomatów. Ba, można nawet powiedzieć, że nie bywał tam nigdy żaden szanujący się dyplomata. Jej stałą klientelę stanowili początkujący artyści, malarze, piosenkarze, aktorzy i towarzyszący im kloszardzi. Choć lata świetności lokalu już dawno minęły, o ile w ogóle kiedyś zaistniały, kuchnia wciąż była wykwintna. Poza tym panował tu niepowtarzalny nastrój szalonych lat trzydziestych. Lekko zniszczone drewniane meble nadal prezentowały się okazale. Duże lustro na ścianach poprzedzielane były kserokopiami czołówek gazet z okresu międzywojennego. Nad wszystkim dominowała duża fotografia Ala Capone z policyjnym numerem ewidencyjnym w lewym rogu. Pod spodem zdjęcie płyty nagrobkowej *Alphonse Capone 1899–1947. My Jesus Mercy*. Masywne mosiężne lampy z kryształowymi kloszami dawały przyjemne światło. Na małej, zachowanej jeszcze estradzie stary pianista z nadzwyczajną werwą grał przeboje Franka Sinatry, Louisa Armstronga, George'a Gershwina. W sobotnie wieczory towarzyszyli mu równie stary trębacz i ubrana na czarno, posiwiata piosenkarka. Pomimo że całe trio miało razem ponad dwieście lat, podczas ich występów nie było ani jednego wolnego miejsca, a rozmowy zamierały.

Alkohol lał się obficie, lecz nie dochodziło do żadnych burd, gdyż porządku osobiście pilnował właściciel lokalu, potężny Rene. Kobalt wkroczył na salę i nawet nie zdążył rozejrzeć się za wolnym stolikiem, gdy znikł w ramionach rozpromienionego gospodarza. Ten potężny mężczyzna, sto dwadzieścia kilogramów i dwa metry wzrostu, był wesołym i spokojnym człowiekiem. Znał wszystkich stałych bywalców. Niejeden początkujący artysta bez grosza przy duszy mógł liczyć na bezpłatne posiłki. Większość z nich, zrobiwszy karierę, wracała spłacić swój dług.

- Wspaniale, że znowu jesteś - powiedział, śmiejąc się, gdy już postawił Kobalta na podłodze. - Sam?

- Kiedyś mnie udusisz - odpowiedział gość, ale był szczęśliwy z powodu tak bezceremonialnego powitania. - Za chwilę dotrze tu John. Masz nasz stolik?

- Oczywiście! Dla najlepszych klientów zawsze jest wolny! - Pochwyił Kobalta pod ramię i zaprowadził go do stolika. - Coś na rozgrzewkę?

- Dziękuję, poczekam na Johna.

Rene zadowolony wrócił za bar. Po chwili jednak znów go opuścił i skierował się do szatni. Ceremonia powitania Busha była identyczna. Gdy John dotarł do stolika, zamówili kolację. Prowadzili przyjacielską rozmowę o niczym. Co słyszeć u pani Bush? Jak się mają dzieci i pani Kobaltowa? Jak to dobrze, że Niels odkrył tę restaurację i tak dalej, i tak dalej. Amerykanin dobrze wiedział, że na nic zdadzą się naciski. Kobalt odstłoni swą tajemnicę wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

– Okej! Postawiłeś się – powiedział John. – Zjedliśmy wspaniałą kolację, pijemy świetne piwo i wszystko jest jak dawniej. Ale na miły Bóg! Nie nadużywaj mojej cierpliwości!

– W porządku – odpowiedział Michał, który jeszcze w Krakowie postanowił, że wyjaśni całą sprawę dopiero po kolacji. I to nie głód był przyczyną zwłoki. Kobalta dręczyły wątpliwości. Tym większe, im bliżej było spotkania. – Przyznaję, że trochę za długo zwlekam, ale sprawa jest bardzo poważna i nawet w tym momencie nie wiem, jak ci o niej opowiedzieć.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Prawda? – zapytał John. Kobalt milcząco skinął głową. – Uratowałeś mi dupę w Paryżu? – Ponowne kiwnięcie głowy Polaka. – Więc, do jasnej cholery, przestań się zachowywać jak dziewica przed nocą poślubną!

– Raz kozie śmierć! – stwierdził Kobalt. – Ale najpierw zamówię butelkę Chivas Regal i wiaderko lodu!

John ze zdumieniem popatrzył na przyjaciela. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby Kobalt z własnej inicjatywy proponował taką ilość alkoholu. To raczej on lub Niels byli prowadzonymi w tej branży. Michał zawsze był wstrzeźliwy w sprawach alkoholu. Butelka whisky na dwóch o dwudziestej pierwszej zwiastowała nadzwyczajną sytuację. John z niedowierzaniem pokiwał głową.

– Najlepiej będzie – powiedział Kobalt po tym, jak kelner zrealizował jego zamówienie – jak zacznę wszystko od początku. Kilka dni temu miałem w kancelarii nietypowych gości...

Opowieść Kobalta trwała bez mała godzinę. Nie pominął żadnego szczegółu i to zarówno z pierwszej, jak i drugiej wizyty. Właśnie w trakcie tej drugiej, piątkowej, Pietrow bardzo precyzyjnie opisywał treść zdobytych przez nich dokumentów. Większość materiału zapisana była na dyskietkach, jednakże sporo było kserokopii i mikrofilmów. Na samym wstępie zażądali od Kobalta, aby nie sporządzał żadnych notatek i nie otwierał szczelnie zapakowanych paczek. Obawa, że rosyjskie służby mogłyby wpaść na ślad przecieku, była zbyt duża, żeby ryzykować.

John w milczeniu sączył alkohol, uważnie słuchając relacji Kobalta. Nie

pierwszy raz w piętnastoletniej pracy dla departamentu stanu swojej ojczyzny spotkał się z taką sytuacją. Zresztą systematycznie przechodził szkolenia w ośrodkach CIA, był więc doskonale przygotowany do wszczęcia odpowiednich procedur. Było tylko jedno małe „ale”. Jeszcze nigdy sprawa nie dotyczyła jego najlepszego przyjaciela, który na domiar złego szantażem został zmuszony nie tylko do przekazania materiałów, ale również do osiągnięcia konkretnego efektu w postaci sankcji Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej nałożonych na Rosję. To graniczyło wprost z szaleństwem. Owszem, Kobalt miał bardzo wysoką pozycję. Jego kompetencja, błyskotliwość i stoicki spokój zjednały mu szacunek przedstawicieli wszystkich państw. Ba, w sytuacjach z pozoru bez wyjścia, gdy państwa kandydujące do członkostwa w Pakcie swoim uporem doprowadzały do impasu, szef NATO lub sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych wielokrotnie spotykali się z profesorem prywatnie, zasięgając jego rady lub przedstawiając argumenty za przyjęciem proponowanych rozwiązań. W tych decydujących momentach Kobalt zawsze doprowadzał do konsensusu. Ale żeby żądać wymuszenia na prezydencie Stanów Zjednoczonych i sekretarzu generalnym NATO zastosowania wobec Rosji sankcji i zmuszenia jej do ustępstw na rzecz Czeczenii, to czyste szaleństwo! Groźby skierowane pod adresem jego rodziny były draństwem!

– Masz te dokumenty? – zapytał, gdy Michał skończył swoją opowieść.

– Tak. W Brukseli tak, ale nie przy sobie – odpowiedział Kobalt, wstając. Włożył rękę do kieszeni spodni i po chwili podał Bushowi mały kluczyczek. – Bruxelles, Midi^[2]. Numer skrytki jest na breloku.

– Wow! – wykrzyknął zaskoczony Bush. – Jak Bond. James Bond! Nie podejrzewałem cię o takie zdolności!

– Nie przesadzaj! To wszystko ze strachu o rodzinę. Ja wytrzymam wszystko, ale nie zniósłbym, gdyby coś się stało moim bliskim.

– W porządku. Wyślemy tam chłopaków, żeby odebrali przesyłkę. Sprawdzą autentyczność dokumentów i wtedy podejmiemy decyzję.

– Ile to potrwa?

– Parę dni – odpowiedział John, ale widząc zaskoczoną minę Kobalta, szybko się poprawił: – No, góra dwa dni.

– A co ja w tym czasie mam robić?

– Nic!

– Jak to nic?!

– Tak jak słyszysz – wyjaśniał. – Postaraj się zachowywać normalnie. Jakby nic się nie stało.

– A Agnieszka? Dzieci? Przecież oni o niczym nie wiedzą! Może powinienem jej wszystko wyjaśnić? Może znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogliby przeczekać? Schować ich? Wynająć ochroniarzy?

– Nic z tych rzeczy! Jeżeli oni potrafili zebrać o tobie i twojej rodzinie tyle informacji, to zapewne bez problemu odkryliby miejsce ukrycia twoich bliskich albo fakt wynajęcia ochroniarzy, a to jasny sygnał, że coś kombinujesz. Tego nie chcemy. Musisz zachowywać się normalnie. Ja postaram się, żeby nasi eksperci wykonali tę robotę w trybie ekspresowym. Okej?

– Czyli na nic więcej dzisiaj nie mogę liczyć?

– Michał! Przecież jesteś w Brukseli dopiero od kilku godzin. Jeżeli cię śledzą, to powinni być zadowoleni. Spotkaliśmy się niemal natychmiast po twoim przylocie, więc zacząłeś wykonywać ich polecenia od razu. To najważniejsze. Ich celem nie jest wyrządzenie krzywdy twojej rodzinie, tylko osiągnięcie konkretnego efektu. Jak na razie nie mają powodów do obaw. Twój pobyt tutaj potrwa dziesięć dni, przynajmniej przez połowę tego czasu nie masz się czego obawiać. Podejmiemy działania. Jesteś moim przyjacielem. Nie zapomniałem i nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś i właśnie dlatego chcę tę sprawę potraktować priorytetowo, nadając jej specjalny status. Gdyby rzecz nie dotyczyła ciebie, uruchomiłbym normalne procedury i szybko o wszystkim zapomniał. Nie chcę cię ani niepotrzebnie straszyć, ani nadmiernie uspokajać. Oczekujesz ode mnie konkretnej pomocy i taką otrzymasz!

– Dzięki, John – powiedział Kobalt i jednym haustem wypił całą zawartość szklaneczki. Lód zagrzechotał o ścianki.

Michał Kobalt wysiadł z taksówki na rogu Rue de l'Hôpital i Gasthuisstraat. Wiedział, że na Place St. Jean znajdował się automat telefoniczny, z którego mógł bezpiecznie porozumieć się z Dasajewem lub Pietrowem. Wielokrotnie upominany przez generała zobowiązał się do korzystania tylko z publicznych automatów. Co prawda miał numer telefonu komórkowego jednej z niemieckich sieci i nie mógł znać miejsca pobytu Czezeńców, ci jednak bardzo obawiali się działalności rosyjskich służb wywiadowczych, stąd pełna konspiracja! Żadnych nazwisk. Żadnych informacji, które mogłyby zidentyfikować rozmówców czy miejsce ich pobytu.

– Dobry wieczór – powiedział, gdy usłyszał w słuchawce głos Dasajewa. – Dojechałem szczęśliwie. Pogoda bardzo ładna. Mój sprzęt golfowy jest w całości i wzbudził zainteresowanie, więc umówiliśmy się na rozegranie

meczu.

- Okej – powiedział Dasajew.
- Zaczynamy jutro.
- Dziękuję. I...
- Tak?
- Powodzenia.

Połączenie zostało przerwane.

Być może duża ilość alkoholu, być może stres i zmęczenie sprawiły, że profesor nie zwrócił uwagi na zatroskany głos rozmówcy.

[2] Dworzec Południowy – największy dworzec kolejowy w Brukseli.

Wadowice, 5 lutego 1996

Minęła północ, kiedy Jan Madera dotarł do domu swojej ciotki w Wadowicach przy ulicy Zegadłowicza. Wybór Lucyny Nowak padł na to kilkunastotysięczne miasto w Małopolsce nie dlatego, że urodził się i spędził tu swoje młodzięcze lata papież, Jan Paweł II. Zdecydował przypadek. Tu właśnie jej siostrzeniec kończył liceum. Co prawda po śmierci rodziców Jan Madera został umieszczony w odległym o niespełna czterdzieści kilometrów domu dziecka w Oświęcimiu, ale po pierwszym semestrze drugiej klasy liceum karnie został przeniesiony do wadowickiej szkoły. I właśnie w Wadowicach kobieta rozpoczęła poszukiwania. Odwiedzając kolegów siostrzeńca, trafiła na ogłoszenie o sprzedaży małego przedwojennego domu z dość dużym ogrodem, położonego niemalże u stóp niewielkiego, ale urokliwego wzniesienia zwanego przez mieszkańców Dzwonkiem^[3]. Postanowiła wtedy, że wróci na stałe do Polski i stworzy siostrzeńcowi dom, który utracił w tak tragicznych okolicznościach. W ten sposób chciała odpokutować potworne wyrzuty sumienia wobec jedynego dziecka swojej siostry. Wyjechała do Stanów pokłócona z nią i jej mężem i przez wiele lat nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów. Dopiero w 1985 roku, a więc pięć lat po śmierci siostry i jej męża, Lucyna Nowak napisała pierwszy list od czasu wyjazdu. Po dwóch miesiącach otrzymała go z powrotem z adnotacją, że adresat jest nieznany. Zaniepokojona napisała do swojej koleżanki z liceum prośbę o pomoc w ustaleniu aktualnego adresu siostry. Szok, jaki przeżyła w trakcie czytania odpowiedzi spowodował, że podjęła decyzję o sprzedaży domu za oceanem i powrocie do Polski. Poszukiwania zajęły jej dwa lata. Podczas pierwszego spotkania siostrzeniec był już studentem Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Dopiero w 1990 roku mogła powrócić na stałe do Polski. Oszczędności, jakie zgromadziła w Stanach, wystarczyły na zakup tego właśnie domku. Wkrótce Madera po raz pierwszy wyjechał jako żołnierz kontraktowy. Teraz po raz drugi wracał do domu ciotki z „wyprawy wojennej”. Musiał więc zdać dokładną relację z pobytu w Ruandzie. Rzecz jasna, nie mógł pominąć incydentu, podczas którego jego przyjaciele omal nie stracili życia.

Powoli wstawał świt, a oni wciąż byli pogrążeni w rozmowie.

- A wiesz, kto mi się ostatnio ukłonił i nawet wdał się w dłuższą rozmowę?
- zapytała w pewnym momencie. Nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: –

Waldemar Kozub.

– Ten sku... – Madera w ostatniej chwili się pohamował.

– Ten sam.

– Jak on miał śmiałość podejść do cici?! – Mężczyzna się rozgniewał.

– A miał, miał – rozeźmiała się. – I jeszcze próbował mnie podrywać.

Wyobraź sobie, o mało co nie zgodziłam się na wspólną kawę.

– Z tym zbrojcem? Przecież jest żonaty.

– Był. Zaraz po twoim wyjeździe jego żona wyjechała do Włoch. Wcześniej jednak się z nim rozwiodła, a pół roku później jego wywalili z prokuratury. Obecnie ma sklep ze sprzętem audiowizualnym. Chyba nieźle mu idzie, bo znów zaczął chodzić po mieście z podniesioną głową.

– Co on może teraz kombinować? Przecież unikał cię przez cały czas.

– Nie wiem. Nie przejmuj się tym. Wspominałeś o rychłym wyjeździe – zaniepokoiła się. – Mam nadzieję, że chociaż Wielkanoc spędzisz tu ze mną.

– Oczywiście, ciciu – odparł. – Obiecałem Oswaldowi, a właściwie jego dziewczynie, że zaraz po Wielkanocy, chociaż ona nie bardzo wiedziała, co to jest, przyjadę do nich i wspólnie wybierzemy się na wędrowkę po Europie.

– No, właśnie! – wykrzyknęła. – Nawet ten twój Oswald ma dziewczynę, a ty co? Ciągle sam jak ten kołek w płocie.

– A tam – zachnął się. – Niech ciocia da spokój. Jestem zmęczony i chyba pójdę spać.

– Jak zawsze, gdy tylko zadam ci pytanie o dziewczynę.

– Jeszcze zdążę się ożenić – uspokajał ją pół żartem, pół serio. – I będzie ciocia miała cały tuzin ciotecznych wnuków. Dobranoc.

Wyszedł przed dom. Zapalił papierosa i usiadł na ławce. Słońce na dobre już wstało, o czym informował wesoły ptasi chór. Madera nie czuł zmęczenia. Postać byłego prokuratora Kozuba przywołała w pamięci wspomnienia tamtych dni.

Waldemar Kozub był prokuratorem w Oświęcimiu w czasie, gdy Madera przebywał w domu dziecka. Po 1990 roku awansował na szefa wadowickiej prokuratury. Kiedyś się dowiedział, że Janek służył w wojsku w Afryce i wytoczył mu sprawę karną. Miesiąc po powrocie Madera wylądował w więzieniu jako tymczasowo aresztowany i podejrzany o przestępstwo z artykułu sto dwudziestego drugiego kodeksu karnego, czyli ni mniej, ni więcej, tylko za służbę w wojsku obcego państwa. Za to groziła wtedy kara pozbawienia wolności od lat dziesięciu lub nawet kara śmierci.

Syn Kozuba, Maciek, rok starszy od Madery, bardzo często brał udział w biciu sierot. I to właśnie on jako pierwszy miał okazję przekonać się o postępach Małego Jasia w treningu judo i karate.

- Ty, sierota! - zaczepił go na ulicy. - Daj fajkę!

- Nie palę - odpowiedział Madera, chociaż w kieszeni miał napoczętą paczkę carmenów.

- To zapierdalaj do kiosku i kup! Tylko biegiem, nie będę tu czekał! - wydzierał się nauczony bezkarności syn prokuratora.

- Pocałuj mnie w dupę!

- Coś ty powiedział?! - Maciek aż spurpurowiał na twarzy.

- Żebyś mnie w dupę pocałował. Tylko przez szmatkę, bo się brzydzę.

Tego już było za wiele. Chłopak rzucił się z pięściami na Maderę, ale spotkała go przykra niespodzianka. Rok treningu zrobił swoje. Jasiu bez najmniejszego problemu rzucił go na ziemię. Napastnik podniósł się błyskawicznie, ponawiając atak, i tym razem zakończony spotkaniem z asfaltem. Gdy próbował wstać, kopniak Madery ułożył go na wznak. Zadowolony Janek stanął leżącemu na piersi, mocno dociskając go do podłoża. Potłuczony, z krwawiącym nosem, wpatrywał się w niego z przestachem.

- Tym razem ci daruję - powiedział do napastnika. - Ale następnym rozgniotę cię jak wesz. Spierdalaj! - polecił, podniósł nogę i patrzył, jak pokonany chłopak powoli gramoli się z asfaltu.

- Mój ojciec cię urządzi, zobaczysz! - krzyknął, gdy znajdował się w bezpiecznej odległości.

Rozwścieczony prokurator chciał wtedy umieścić Maderę w zakładzie poprawczym, lecz zeznania świadków i zdecydowana postawa dyrektora domu dziecka pokrzyżowały mu plany. Doprowadził tylko do tego, że chłopak codziennie musiał dojeżdżać do liceum w Wadowicach. Od tego czasu nienawidził go serdecznie. Zresztą kilka lat później tę okoliczność wykorzystał profesor Kobalt, którego udało się zaangażować ciotce do obrony siostrzeńca, i po kilkumiesięcznym procesie nie tylko uzyskał uniewinnienie, ale również poprzez wykazanie błędnej podstawy prawnej aktu oskarżenia, i wręcz jawnego naruszania przez prokuraturę wadowicką kodeksu postępowania karnego, ośmieszył prowadzącego sprawę Kozuba. Udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że Jan Madera nie był żołnierzem i nie służył w armii obcego państwa. Podpisał kontrakt, w ramach którego co prawda uczestniczył w akcjach zbrojnych, ale jego pracodawcą była prywatna firma południowoafrykańska, a tym samym jego działalność nie ma znamion określonych w przedstawianym mu artykule polskiego kodeksu karnego. Sąd pierwszej i drugiej instancji podzielił pogląd profesora i Jan Madera z dumnie podniesioną głową, oczyszczony ze wszelkich zarzutów, opuścił salę sądową.

[3] Właściwie Goryczkowiec, szczyt w granicach Gorzenia Górnego, z którego rozciąga się wspaniały widok na Wadowice. Nazwa pochodzi od tego, że znajduje się tam kaplica z dzwonem.

Moskwa, 2 lutego 1996

O godzinie dwudziestej drugiej samochód wiozący generała Kriuczkowa znajdował się w odległości około siedemdziesięciu kilometrów od Moskwy. Szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB) wracał z parodniowego pobytu w swojej podmoskiewskiej rezydencji. Planował dużo wcześniejszy powrót, jednak uległ prośbom powracającej do zdrowia żony i tych kilka dni spędzili razem. Potem nastąpiły obfite opady śniegu, które nawet dla rządowego mercedesa okazały się zbyt trudną do pokonania przeszkodą. O godzinie dwudziestej dziesiąt otrzymał telefon z biura prezydenta z poleceniem natychmiastowego stawienia się na Kremlu. Klnąc w duchu, nerwowo szukał w pamięci grzechu, który był przyczyną tego nagłego wezwania. Był wiernym prezydentowi urzędnikiem, jego faworytem, czego zazdrościli mu inni oficerowie, stąd początkowe zaskoczenie telefonem. W miarę zbliżania się do stolicy narastał w nim strach. Zbyt dobrze znał przypadki ofiar gniewu prezydenta, żeby sobie nie uzmysławiać zagrożenia. Zawsze trafiali w jego ręce i on, Kriuczkow, z sobie tylko charakterystyczną dokładnością wykonywał polecenia prezydenta tak, jak i jego poprzedników, kolejnych sekretarzy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Kriuczkow dwadzieścia lat temu został szefem KGB, a w 1991 roku, w trakcie pierestrojki, gdy z Komitetu powstało kilka agend, został szefem tej największej, mającej największy wpływ na politykę Rosji – FSB. Był zręcznym graczem, a dysponując potężnym aparatem i ogromną wiedzą, ugruntował swoją pozycję człowieka niezastąpionego. Co prawda pozostawał w cieniu kolejnych władców Rosji, ale był to wyłącznie cień pierwszego człowieka mocarstwa. Przez cały ten czas żył w przeświadczeniu, że jego nigdy nie spotka los podopiecznych, jak ich pieśzcotliwie nazywał. A tu masz, pierwszy raz w życiu takie stanowcze wezwanie. To mogło zwiastować tylko kłopoty. Wielkie kłopoty. Generał bał się nawet pomyśleć, że mogą to być śmiertelnie wielkie kłopoty.

– Siadajcie, Kriuczkow – polecił prezydent, gdy zostali sami w gabinecie. – Odpocząłeś?

– Tak, dziękuję, panie prezydencie – zameldował, wzmagając czujność, gdyż ton zwierzchnika nie wróżył niczego dobrego. Na biurku stała otwarta butelka samogonu, do połowy tylko wypełniona alkoholem, obok szklanka. Zaczerwieniona twarz prezydenta nie pozostawiała złudzeń: będzie ciężko.

– To dobrze, bo czeka cię nowe zadanie!
– Wiem, panie prezydencie – odparł. – Dla mnie ciężka praca to nic nowego.
– Wiesz, kurwa, co to jest?! – Prezydent nagle wrzasnął, rzucając na stolik plik dokumentów.

– Nie, panie prezydencie. – Generał próbował zachować spokój.
– To przeczytaj! A może już nawet nie umiesz czytać?!
– Tak jest! To znaczy nie, panie prezydencie. – Zaskoczony Kriuczkwow wziął do ręki rzucone na stolik kartki. Był zbyt doświadczoneym agentem, żeby nie zorientować się, że trzymane przez niego dokumenty stanowią najbardziej strzeżoną tajemnicę Kremla. Pierwszy to osobista notatka prezydenta, nakazująca wykorzystanie kredytów z Międzynarodowego Funduszu Walutowego na sfinansowanie operacji zbrojnych. Następny to wykaz numerów kont bankowych w Szwajcarii i w wielu innych zagranicznych bankach wszystkich rosyjskich dygnitarzy. Dalej już nie czytał. Poczł nadciągający strach. – Panie prezydencie...

– Milcz! Nie widziałeś najgorszego. – Prezydent wyciągnął z szuflady kartkę i nie wypuszczając jej z dłoni, podsunął generałowi pod sam nos. – Osobisty list od Clintona. Radzi mi! Słyszysz?! Nie prosi, tylko mi radzi! Ten Jankes chce, żebym wycofał wojska z Czeczenii, bo fundusz wstrzyma dalsze wypłaty, a zachodnie banki zablokują nasze indywidualne konta! Za cztery miesiące wybory, naród potrzebuje silnego prezydenta, prezydent potrzebuje zwycięstwa, a ty mi wbijas nóż w plecy! Totalna kompromitacja!

W gabinecie zaległa cisza. Prezydent z ulgą usiadł za biurkiem. Na jego twarzy pojawiły się kropelki potu. Oddychał ciężko. Po chwili nalał samogonu do szklanki i opróżnił ją niewielkimi łykami. Kriuczkwow gorączkowo przeglądał dokumenty. Miał świadomość, że nie ujdzie mu to na sucho. Za mniejsze przewinienia osobiście wysyłał ludzi na Syberię. Czyżby i jego kariera miała zakończyć się w bydlęcym wagonie? Nigdy! Zdesperowany podjął próbę obrony.

– Panie prezydencie! – odważył się przerwać ciszę. – To niemożliwe. Oprócz nas dwóch tylko trzy najbliższe panu osoby miały dostęp do tych dokumentów. Ktoś usunął z nich sygnatury...

– No właśnie, Kriuczkwow! Ktoś usunął sygnatury! Niespo-dzianka?! – Wódka odniosła zbawienny skutek. Prezydent odzyskał siły. Wstał z fotela, podszedł do generała i celując w niego wskazującym palcem, powiedział: – Osobiście rozwalę ci ten durny łeb, jeśli nie znajdziesz zdrajcy!

– Tak jest, panie... – Kriuczkwow poderwał się, chcąc wygłosić formułkę, ale prezydent znów mu przerwał. Kamień spadł mu z serca.

– Milcz i słuchaj! Popełniłeś błąd z Czeczeńcami. Byłeś za miękki, ale że nie

opuściłeś mnie w dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy Rada Najwyższa się zbuntowała, i poprowadziłeś wojsko, dam ci szansę.

Kriuczok stał wyprężony i prawie nie oddychając, słuchał słów zwierzchnika. Powoli się uspokajał, a w jego głowie zaświtała nadzieja. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał.

– Masz tydzień na rozpracowanie szajki szpiegowskiej i odnalezienie zdrajcy w moim biurze. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie prezydencie!

Jeszcze z samochodu, nie zważając na późną porę, wezwał swoich zastępców na pilną naradę. Gdy nad Moskwą wschodziło słońce, plan był gotów.

Południk 110

Po jednej nocy odpoczynku mięśnie nie chcą unosić ciała. Każdy krok wydaje się ostatni. Śmiertelnie ostry mróz i oślepiające słońce nie dodają sił. Kiedy w Moskwie generał Kriuczkow skończył przydzielać zadania, więźniowie łagru tysiąc czterysta dwadzieścia pięć po wielokilometrowym marszu rozpoczęli kolejny dzień morderczej pracy w lesie. Ponad stuletnie świerki i sosny codziennie padały pod ciosami siekier sybiraków. Każdy obóz miał plan. Tygodniowy, miesięczny, roczny. Gospodarka Rosji czekała na drewno, dlatego każde opóźnienie było surowo karane. Strażnicy różnymi metodami zmuszali więźniów do pracy. Za każdą przerwę w pracy groził kilkudniowy pobyt w karcerze, czyli nieogrzewanej ziemiance, oraz ograniczenie i tak już głodowych porcji żywnościowych. Tylko nieliczni wychodzili z tego żywi. Strach przed karcerem pokonywał słabość, zmuszał do nadludzkiego wysiłku, nie dając nawet miejsca myślom o chwili odpoczynku, dlatego codziennie sanie poprzedzające kolumnę więźniów wiozły tych, którzy zmarli z wyczerpania lub zginęli zmiażdżeni przez padające drzewa. Nadzorcy szczelnie opatuleni w kozuchy grzali się przy ognisku. Z dala dolatywał miarowy stukot siekier. Nagle z głębi lasu dała się słyszeć pieśń, którą dobrze znali.

– Oho, Stiepan nadjeżdża – zauważył najstarszy.

– *Durak*, i tyle – skomentował inny.

– Czołem, towarzysze. – Śpiewak zatrzymał swój zaprzęg w pobliżu ogniska i zbliżał się do żołnierzy. – *Szto z wami? Paciemu wy grustnyje?*

– Witaj, Stiepan – odpowiedzieli.

– Zimno dzisiaj – zagadnął. – Może chcecie coś na rozgrzewkę?

– A masz co? – zapytał jeden ze strażników, gdyż przyzwyczajeni byli, że Stiepan częstował ich samogonem, a w zamian za to paru więźniów pomagało mu ładować towar na sanie. Pozostali również łapczywie patrzyli na jego futrzany plecak.

– *Kanieszna!* – odpowiedział, wyciągając butelkę. – Dajcie szklanekę.

Podczas gdy przy ognisku raczono się wódką, w lesie praca zamierała. Więźniowie zachłannie starali się pochłonać jak największą ilość promieni leniwie świecącego słońca i w ten sposób stworzyć sobie złudzenie ciepła. Wiedzieli, że przez pół godziny, dopóki w butelce nie pojawi się dno, mają czas wolny od pracy. Ta chwila, w ciągu której nie można zregenerować

wyniszczonych organizmów, stwarzała jednak złudzenie wolności. Stali oparci o drzewa albo leżeli na ściętych pniach, kierując odmrożone twarze ku słońcu. Starali się na chwilę zapomnieć o piekle, w którym się znaleźli. Po dwóch kwadransach więźniowie szybko załadowali sanie i po chwili śpiew Stepana był ledwo słyszalny, przebijając się coraz słabiej przez stukot siekier. Wszystko wróciło do normy.

Bruksela, 8/9 lutego 1996

– Dobry wieczór, *monsieur* Kobalt – przywitał go portier. – Dobrze, że pana widzę. Był telefon do pana i rozmówca prosił o przekazanie informacji.

Na dźwięk nazwiska polskiego adwokata przechodzący mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, pozornie zainteresowany wyłożonymi na stole prospektami turystycznymi. Przez chwilę ukradkiem przysłuchiwał się rozmowie, po czym zachowując spokój, ruszył do kabiny telefonicznej.

– Michel – rzucił do słuchawki, ścisząc głos. – Klementyna wróciła do domu.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że Kobalt wrócił do hotelu i nadarza się rewelacyjna okazja do zrealizowania wariantu A planu Kriuczkowa.

Kobalt wracał właśnie z Le Petit Moulin Rouge. Nazajutrz był wolny dzień, więc mogli sobie pozwolić, by mu serwowane przez Rene obficie zakropić świetnym belgijskim piwem. Po paru dniach wytężonych rozmów Solana zarządził jednodniową przerwę. Coraz bardziej zdenerwowany Kobalt nieustannie gnębił Johna, lecz ten tylko uspokajał: „Trwają prace nad sprawdzeniem wiarygodności dostarczonych dokumentów. Nic nie grozi ani twojej rodzinie, ani tym bardziej tobie”. Bush nie mógł powiedzieć Kobaltowi, że na jego osobistą prośbę skierowaną do dyrektora agencji dwóch agentów CIA w Polsce otoczyło rodzinę profesora dyskretną obserwacją, pomimo że dostarczone przez niego dokumenty nie przedstawiały już dla Amerykanów większego znaczenia. Tydzień wcześniej identyczny komplet dotarł do agenta CIA w Moskwie.

Michał nie mógł odczytać podanej mu kartki. Miał wzrok zmałowany piwem, toteż niedbale włożył ją do kieszeni płaszcza i ruszył w kierunku schodów. Zawsze gdy był pod wpływem alkoholu, unikał jazdy windą. Gwałtowne przyspieszenia wywoływały w jego żołądku rewolucję zakończoną powstaniem. Nie chciał płacić za sprzątanie skutków swej niedyspozycji. Przytrzymując się poręczy, powoli, stopień po stopniu, posuwał się do góry. Pogrążony w myślach, nie zauważył, że w ślad za nim ruszył nieznamy mężczyzna. Utrzymując stale odległość czterech stopni, jak cień przemieszczał się za Kobaltem. Na trzecim piętrze profesor przystanął na moment, a wtedy cień powiedział coś do mikrofonu wpiętego w klapę marynarki. Następnie zataczając się, zaczął się zbliżać do Polaka. Potrącił go i obaj upadli na podłogę. Puszysty dywan stłumił odgłos upadku.

– Co jest?! – wykrzyknął zaskoczony Michał, ale w tym momencie zza rogu wyłoniła się druga postać i błyskawicznie podbiegła do leżących.

Gdyby Kobalt był trzeźwy, zapewne poczułby ukłucie igły w przedramię, jednak alkohol znieczulił go na ból. Próbował coś powiedzieć, ale stracił przytomność. Mężczyźni złapali go pod ramiona i zataczając się, zmierzali do pobliskiego apartamentu. Nawet gdyby ktoś obserwował całe zajście, odniósłby wrażenie, że trójka przyjaciół wraca z udanego przyjęcia.

– Tu Michel – powiedział do mikrofonu telefonu komórkowego jeden z napastników. – Klementyna zasłała, więc potrzebujemy samochodu, żeby ją jak najszybciej przywieźć do domu.

– W porządku, wysyłam – odparł major Wasyl Bogaczow, rezydent FSB w Brukseli. – Sądzę, że mama będzie zadowolona, że byliście w pobliżu i uratowaliście ją. Zaraz zawiadomię o tym.

Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, napastnicy wraz z ofiarą niespiesznie skierowali się na schody dla obsługi. Drogę znali dzięki planom przekazanym im przez Kriuczkowa. Dorobiony klucz zapewniał spokojne wyjście z hotelu bez względu na to, czy drzwi na zewnątrz były otwarte, czy nie. Po chwili dotarli na parking dla samochodów obsługi hotelu. Sprawnie przemieścili się do bramy i nie niepokojeni przez nikogo, znaleźli się na ulicy. Zgodnie z planem przy najbliższym skrzyżowaniu miała na nich czekać podstawiona taksówka prowadzona przez agenta wywiadu. Kierowca usłużnie pomógł wsiąść do samochodu dwóm lekko niedysponowanym gościom. Trzeci zaś po wylewnym pożegnaniu ruszył w kierunku hotelu. Nie chcąc zwracać uwagi portiera, wybrał tę samą drogę powrotną. Postanowił dla bezpieczeństwa dotrzeć tylko do pierwszego piętra, a potem już schodami dla gości dostać się do swojego apartamentu. Gdy miał nacisnąć klamkę u drzwi dzielących go od holu dla gości, te gwałtownie się otworzyły, ukazując kelnera z tacą. Dłoń mężczyzny powędrowała do kieszeni płaszcza i ścisnęła rękojeść noża sprężynowego.

– Przepraszam, czy ppan tu pracuje? – jąkał się lekko, chwiejąc się na nogach. – Szedłem sobie, a tu mi naagle zginął korytarz. Wie pan, gdzie są schody?

– Wszedł pan w korytarz dla obsługi – odpowiedział kelner. – Jeżeli chce pan jechać windą, musi pan skrócić w lewo, a schody są po prawej.

– Dzięk... dziękuję – odparł intruz z udawaną czkawką. – Pójdę schodami. Winda mi nie służy. Dziękuję raz jeszcze.

Wyciągnął rękę z kieszeni i poklepał kelnera po ramieniu, a następnie zataczając się i mamrocząc coś do siebie, ruszył w kierunku schodów. Kelner udał się do kuchni i po chwili nie pamiętał już o całym zdarzeniu.

W pokoju mężczyzna zrzucił z siebie płaszcz, zamienił ciemną marynarkę na jasny sweter i wsunąwszy klucz od pokoju Kobalta do kieszeni, ponownie wyruszył w drogę. Spakowanie rzeczy Polaka i uporządkowanie pokoju tak, by wyglądało na planowany wyjazd, zajęło mu pół godziny. Skończywszy pracę, usiadł w fotelu. Od półtorej godziny był już dziewiąty lutego. Postanowił poczekać z wyniesieniem rzeczy do czwartej rano, gdyż, jak sądził, o tej porze korytarze hotelu powinny być puste. Większość gości zmęczona uciechami stolicy zapewne dotrze wcześniej do swoich pokoi i zaśnie. Działające w hotelu kasyno w tygodniu kończy pracę około drugiej, więc wliczając czas potrzebny na wypicie drinka przed snem, około trzeciej przegrani i wygrani powinni być w swoich pokojach. Doświadczony agent nie pomylił się w swoich wyliczeniach. Za piętnaście czwarta zgasił światło i pograżył się we śnie, o siódmej miał otrzymać pilny telegram i natychmiast wyprowadzić się z hotelu.

W tym samym czasie taksówka spokojnie zmierzała do willi wynajętej na obrzeżach Brukseli. Kierowca przy pomocy dwóch mężczyzn wyniósł nieprzytomnego Kobalta do pokoju. Ściągnęli z niego płaszcz i w ubraniu położyli na kanapie. Sprawnie opróżnili kieszenie z rzeczy osobistych i dokumentów. Do pokoju wkroczył major Bogaczow.

– Gratuluję, chłopcy – powiedział wesoło. – Nie spodziewałem się, że cała akcja tak szybko się skończy.

– Dziękujemy, panie majorze – odpowiedział agent. – To nie koniec. Musimy jeszcze nasz towar dostarczyć do Moskwy.

– Spokojnie, chłopcze. – Major wyciągnął z kieszeni paszport i podał go rozmówcy. – Wszystko już przygotowane. Oryginalny dokument, oryginalne zdjęcie. Co prawda właściciel tego paszportu będzie lekko niedysponowany, ale na szczęście, my, Rosjanie, mamy w Europie etykietkę ludzi nadużywających alkoholu, więc nikogo nie zdziwi fakt, że niedysponowany rodak, przy pomocy paru mniej podchmielonych kolegów, będzie wtaczał się na pokład samolotu rosyjskich linii lotniczych.

– Sądzi pan, że nie wzbudzi to zainteresowania celników? – zaniepokoił się agent.

– Bądź spokojny – odparł beztrąsko Bogaczow. – Oni tu na Zachodzie są tak przewrażliwieni na punkcie przemytu narkotyków i broni, że nawet nie widzą twarzy podróżnych. A my przecież nie będziemy nic wywozić. Prawda?

– Tak jest, panie majorze!

– Panie majorze, proszę to zobaczyć. – Inny pracownik wywiadu podał Bogaczowowi papier firmowy hotelu z wiadomością, której Kobalt nie zdążył przeczytać. – Znaleźliśmy to w kieszeni płaszcza.

– „Panie profesorze – czytał na głos – proszę natychmiast skontaktować się ze mną pod podanym numerem telefonu. Niespodziewanie przyjechało paru golfiarzy. Niech pan będzie ostrożny. Czekam. D.”.

Agenci wpatrywali się w Bogaczowa. Doskonale zrozumieli treść listu.

– Cholera! – zaklął major. – Natychmiast połącz mnie z Moskwą.

– Tak jest! – Mężczyzna wyszedł, a po chwili na biurku majora zadzwonił telefon.

– Jest połączenie z szefem – poinformował głos w słuchawce.

– Dobry wieczór, generale – przywitał się Bogaczow.

– Bardziej właściwe byłoby dzień dobry – odpowiedział Kriuczkwow. – Czyżbyś już chciał dostać pochwałę za powodzenie akcji?

– Proszę nie żartować – odparł major z powagą. – Oni wiedzą o naszej akcji.

– Co ty mówisz?! – zdenerwował się. – Kto wie?

– No, nasi przyjaciele. – Chociaż ich rozmowa była szyfrowana i przekazywana na zmiennej częstotliwości, Bogaczow wolał nie podawać żadnych szczegółów.

– Skąd wiesz?

– W kieszeniach Klementyny znaleźliśmy wiadomość – odpowiedział rezydent i przeczytał informację z trzymanej w dłoni kartki.

– Kto ma teraz dyżur w recepcji hotelu? – zapytał po chwili namysłu Kriuczkwow.

– Michel d’Acquin. Kończy o siódmej rano.

– Czyli że dzisiejszego wieczoru znowu będzie w hotelu?

– Tak.

– To dobrze – odpowiedział Kriuczkwow z namysłem. – Za-dzwonisz do Michela i każesz mu poinformować jego zmiennika, że pan Kobalt wrócił nad ranem do hotelu i to w niezbyt dobrej formie, a w związku z tym prosił, by mu nie przeszkadzać dopóki nie da znać, że wypoczął i czuje się lepiej.

– Tak jest!

– Wieczorem Michel zadzwoni pod numer z kartki. Twoi ludzie mają obstawić hotel. Jeśli ktoś się zjawi, to chcę go mieć żywego. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie generale!

– Masz papier firmowy hotelu?

– Tak jest.

– Na kilku czystych drukach odbij odciski palców Kobalta. Wieczorem chcę go mieć u siebie.

Bruksela, 9 lutego 1996

– W porządku? – zapytał Michel d’Acquin.

– Tak – odparł agent z uśmiechem. – Chociaż miałem niespodziewaną wizytę. Kiedy podrzucałem pod łóżko kartkę, do pokoju wtargnęła młoda dziewczyna. Kurwa albo lesbijka. Była umówiona w pokoju pięćset siedemnaście z jakąś madame Duval i pomyliła pokoje.

– W pięćset siedemnaście? – zapytał recepcjonista, patrząc na ekran komputera. – Więc, mój drogi, powiem ci, że akurat ten pokój jest wolny. Nikt od wczoraj w nim nie mieszka.

– Pewnie pomyliłem numer pokoju.

– Nie – recepcjonista przeszukiwał listę gości – w tym hotelu nie mieszka nikt o nazwisku Duval czy podobnym.

– O, kurwa! – zaklął agent i nerwowo się rozejrzał. – Nie widziałeś, czy wychodziła tędy ta kobieta? Ruda, bardzo wysoka, w białej bluzce i na cholernie zgrabnych nogach!

– Nie. Ale spokojnie. Jeżeli, jak mówisz, była bez wierzchniego okrycia, to znaczy, że albo mieszka w hotelu, albo jest gościem restauracji. Hotelu na razie nie sprawdzimy, ale przejdź się po restauracji. Może jeszcze tam jest. A jeśli nie, to zapytaj w szatni.

– Masz rację. – Agent skierował się szybkim krokiem we wskazanym kierunku.

Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Obsługa uwijała się jak w ukropie, żeby nadażyć z zamówieniami rozbawionych klientów. Agent próbował zaczepić jednego z kelnerów, ale tamten rozłożył tylko ręce i nie zatrzymując się, zniknął za drzwiami do kuchni. Podobnie drugi. Bez sensu, pomyślał Rosjanin, ogarniając wzrokiem pełną salę.

– W czym mogę pomóc? – Usłyszał czyjś głos za plecami i błyskawicznie odwrócił się. Przed nim stał dojrzały mężczyzna w białej koszuli i garniturze.

– Pierre Langarotti. Menadżer.

– Szukam znajomej.

– Miała rezerwację?

– Nie wiem. Mignęła mi w recepcji.

– Pamięta pan nazwisko?

Agent przecząco pokręcił głową. Wykonał ruch, jakby chciał wejść do głównej sali. Menadżer zareagował błyskawicznie, zagrządzając mu drogę.

– Przykro mi, ale w tej sytuacji nie mogę panu pomóc. Proszę zapytać w szatni.

Ociągając się, ruszył we wskazanym kierunku. Krótka rozmowa z młodą kobietą była o wiele ciekawsza. Owszem, była taka madame, jak pan opisał, ale przed chwilą zabrała płaszcz i wyszła. Nie, nie widziała jej nigdy wcześniej i nie wie, jak się nazywa.

– Cholera jasna – zaklął, wracając do recepcji. – Spóźniłem się. Miej oko na drzwi, a ja biegnę na parking.

Wypadł z hotelu. Na jasno oświetlonym chodniku było niewiele osób. Żeby chociaż wiedział, w jakim była płaszczu! I tak gównie by to dało, skwitował swoją poprzednią myśl. Przeszedł wzdłuż frontu budynku, a gdy skręcał na parking, musiał uskoczyć przed wypadającym na ulicę samochodem. Świrus, skwitował zdarzenie i nerwowo zapalił papierosa. Po paru krokach doszedł do miejsca ukrytego za budynkiem hotelu. Cisza i spokój. Nic z tego. Oparł się o ścianę i kołnierzem osłonił się od wiatru. Nie wyglądała na pijaną ani naćpaną, więc raczej nie pomyliła hoteli, zastanawiał się gorączkowo. Cholera, przecież to była Polka, uzmysłowił sobie. Mówiła po polsku i dobrze znała profesora, bo zwróciła się do niego po imieniu! Do niego, a nie do żadnej Duval! Tylko dlaczego skłamała?! Gdyby była znajomą z delegacji, to narobiłaby wrzasku! Może to ta dociekliwa dziennikarka, która tyle razy tu wydzwaniała?! Nie ma wyjścia, muszę powiadomić centralę, że ktoś tu węszy.

Włączyła się do ruchu ulicznego i przez ponad pół godziny jeździła bez celu po ulicach Brukseli. Był to wielokrotnie wypróbowany sposób na rozładowanie napięcia. A spotkanie z obcym mężczyzną w pokoju Kobalta, po całodniowych bezskutecznych próbach skontaktowania się z profesorem, było największym stresem, jaki przeżyła, odkąd dowiedziała się o zdradzie męża. Przez dłuższą chwilę nie mogła zebrać myśli. Starła się przypomnieć sobie ostatnie rozmowy z profesorem. Czy nie było w jego zachowaniu jakichś gestów, niedopowiedzianych zdań, zamyślenia, słowem czegoś, co mogło sygnalizować kłopoty? To zupełnie do niego niepodobne! Tak sobie zniknąć bez słowa... Ale czy profesor faktycznie sam zniknął? Ten obcy mężczyzna nie dawał jej spokoju. Było coś dziwnego w jego zachowaniu. Coś, co wzbudziło w niej strach, czujność i kazało skłamać. Tylko co to takiego? Powoli uspokajała się. Co dalej robić? Obudzony został jej instynkt dziennikarski, który nigdy jej nie zawodził. Szósty zmysł, dzięki któremu na długo przed innymi wyczuwała nadchodzące sensacje. Ambasada! Zerknęła na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. W ambasadzie nie ma nikogo

oprócz portiera i ochroniarzy. Szef delegacji polskiej. Przecież mieszka w tym samym hotelu! Jak mogła o tym zapomnieć? Pod wpływem tej myśli zawróciła gwałtownie, co spowodowało ostre hamowanie kilku samochodów jadących za nią. Nie przejęła się tym. Ostro ruszyła w stronę hotelu i natychmiast gwałtownie zahamowała, powodując ponownie zamieszanie na ulicy. Przecież ten obcy może być w hotelu! Kiedy wchodziła, rozmawiali i sprawiali wrażenie, że dobrze się znają. Telefon.

– Alma Grand Place Hotel, dobry wieczór. W czym mogę pomóc? – powitał ją uprzejmy głos telefonistki.

– Dobry wieczór. – Dziennikarka się przedstawiła. Starła się mówić spokojnym, wręcz beztróskim głosem. – Proszę połączyć mnie z ministrem Jankowskim.

– Proszę chwilę poczekać – poprosiła kobieta, a po niespełna minucie poinformowała: – Pan minister jest bardzo zajęty, prosił, by łączyć z sekretarzem.

– Jakub Dalewski. Dobry wieczór – powitał ją uprzejmy głos mężczyzny, którego poznała parę miesięcy temu. – Czym mogę pani służyć?

– Dobry wieczór, mówi Magdalena Strzelecka-Pommieur – przedstawiła się ponownie, chociaż była pewna, że telefonistka ją zaanonsowała. – Rozmawiałam dzisiaj w południe z panem ministrem na temat profesora Kobalta, a teraz zasłły nowe okoliczności i chciałam...

– Przepraszam – przerwał jej Dalewski – ale pan minister ma w tej chwili gościa i pod żadnym pozorem nie mogę mu przeszkadzać. Czy ja nie mógłbym pani pomóc?

– Nie mam innego wyjścia. – Strzelecka wiedziała, że w tej chwili nie ma szans na bezpośrednią rozmowę z szefem polskiej delegacji, więc postanowiła wykorzystać jego sekretarza. – Jak już wspomniałam, rozmawiałam dzisiaj w południe w panem ministrem na temat zniknięcia profesora Kobalta...

– Tak. Wiem o tym. – Dalewski miał paskudny zwyczaj przerywania swoim rozmówcom. – Na polecenie pana ministra próbowałem się skontaktować z profesorem o pierwszej, lecz powiedziano mi w hotelu, że profesor jest niedysponowany i prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

– Tak, tak, ale znam profesora od wielu lat i nigdy jeszcze nie było takiej sytuacji, aby nie powiadomił osoby, z którą był umówiony, że nie może przyjść na spotkanie. A dzisiaj właśnie taki fakt miał miejsce...

– Mówiłem już pani – ponownie jej przerwał – że profesor był niedysponowany i...

– Proszę pozwolić mi dokończyć! – Tym razem to ona bezceremonialnie weszła mu w słowo. – Wiem, co pan chce zasugerować, ale byłam w hotelu

parę minut po siódmej i w pokoju profesora zastałam obcego mężczyznę.

– A kto panią wpuścił? – zainteresował się.

– To nieistotne, kto mnie wpuścił! – wybuchła. – Chcę panu powiedzieć, że członek delegacji polskiej, profesor Michał Kobalt, zniknął dzisiaj z hotelu. Od wczoraj nikt go nie widział.

– Proszę mnie zrozumieć. Nie mogę nic zrobić, bo nie mamy oficjalnego doniesienia – oznajmił Dalewski beznamiętnym głosem i jakby usprawiedliwiając się, dodał: – Takie są procedury. Więc twierdzi pani, że o siódmej była w pokoju profesora i przebywał tam nieznajomy mężczyzna, natomiast profesora nie było?

– Do jasnej cholery! Niech pan wreszcie przestanie gadać i zacznie działać! – krzyczała do słuchawki. Coraz częściej traciła panowanie nad sobą wobec bezmyślności, wręcz głupoty niektórych urzędników. Dalewski był właśnie tego najlepszym przykładem. Procedury, instrukcje, dyrektywy! Oto, co się liczyło! Za grosz własnej inicjatywy! Jakie szczęście, że ci najważniejsi jeszcze potrafili myśleć. Ale jak długo?!

– Proszę nie zapominać, że profesora chroni immunitet dyplomatyczny – kontynuował niezrażony. – A poza tym, co złego może mu się wydarzyć w samym środku Europy?

Magdalena z trudem powstrzymywała wybuch złości. Ble, ble, ble. Głędzenie Dalewskiego to strata czasu. Kobalt może potrzebować pomocy. Wiedziała, że jeśli nie wysłucha cierpliwie popisów sekretarza, to on po prostu przerwie rozmowę, a wtedy straci swój jedyny punkt zaczepienia. Musiała poddać się biurokracji, jeżeli nie chciała zaprzepaścić paru godzin.

– Ale czy mógłby pan sprawdzić, co się dzieje z profesorem? Ja poczekam przy telefonie.

– No, jeżeli pani tak mówi, to spróbuję połączyć się z jego pokojem. – Cisza w słuchawce trwała prawie pięć minut. – Mam dla pani dobre wieści. Przed chwilą recepcjonista powiedział mi, że profesor Kobalt wyjechał o ósmej z hotelu, zostawiając wiadomość, że sprawy rodzinne wzywają go na kilka dni do Paryża.

– Ależ mówiłam panu, że o siódmej w pokoju profesora był obcy mężczyzna!

– No właśnie. Recepcjonista powiedział, że po siódmej boy hotelowy wnosił walizki profesora do taksówki. – Dalewski spokojnie tłumaczył.

– O Boże! Tamten mężczyzna był w czarnym płaszczu, a przyzna pan, że obsługa hotelu nie chodzi w czarnych płaszczach. I nie wnosił rzeczy profesora, tylko klęczał przy łóżku.

– Może się modlił – zakpił sekretarz. – Już wystarczająco dużo czasu pani

poświęciłem i jak sama pani usłyszała, profesor wyjechał do Paryża w sprawach rodzinnych.

– Ale... – próbowała jeszcze raz.

– Dobranoc pani – pożegnał się, odkładając słuchawkę.

– Ty pieprzony palancie! – wykrzyknęła Magdalena, lecz adresat tych słów już ich nie słyszał. Co teraz robić?! Z bezsilności zacisnęła ręce na kierownicy tak mocno, aż paznokcie wbiły się w miękki plastik. Nie! To niemożliwe, żeby profesor pojechał do Paryża! Nie miał tam nikogo oprócz starej, zdziwaczałej ciotki, która od czterdziestu lat nie utrzymywała z nikim kontaktu. Nawet gdyby była umierająca, to Kobalt nie wyjechałby tak gwałtownie, nie powiadamiając szefa polskiej dyplomacji. No właśnie! Czy minister Jankowski wiedział o tym?! Ale ponowna próba uzyskania połączenia z Dalewskim nie przyniosła rezultatu. Po prostu sekretarz nie odbierał telefonów. Pieprzony palant! Da sobie radę bez niego. Postanowiła ponownie zadzwonić do Nielsa.

– A, to pani! – ucieszył się. Wyraźnie był w lepszej formie niż w południe. – No i co, znalazła pani Michała?

– Nie – odparła. – Właśnie w tej sprawie do pana dzwonię. Stało się coś dziwnego. Czy moglibyśmy się teraz spotkać?

– A może pani przyjechać do naszej ambasady? – spoważniał.

– Tak, jestem niedaleko.

W ciągu niespełna pół godziny Polka opowiedziała Holendrowi wszystko, co tego dnia się wydarzyło. Siedział, słuchając w milczeniu.

– Kiedyś faktycznie opowiadał o tej ciotce z Paryża – przypomniał sobie. – Ale nawet wtedy, gdy miał wykłady na Sorbonie, to mieszkał w hotelu i na pewno się z nią nie kontaktował.

– No właśnie, więc sam pan widzi, że to wyklucza teorię wyjazdu rodzinnego. W takim razie co się mogło wydarzyć?

– A czy potrafi pani opisać tego nieznanego?

– Wysoki szatyn w okularach, z wąsem. Ciągle mnie męczy... to znaczy nie mogę sobie przypomnieć, co w nim takiego było, co zwróciło moją uwagę.

– Może miał bliznę albo mówił z nietypowym akcentem? – zapytał, zapalając papierosa.

– Zaraz, zaraz... akcent – zamknęła oczy, by nagle wykrzyknąć: – Wiem! Już wiem! To na pewno był Rosjanin. W każdym razie ktoś ze Wschodu.

– Co pani mówi?! – Zapalniczka stuknęła o podłogę. – Skąd pani wie, że to był Rosjanin?

– Przed wejściem do pokoju zapukałam i nie czekając na odpowiedź, otworzyłam drzwi. W tym momencie nieznanemu zawołał „da” zamiast „tak”.

– Jest pani pewna?

– Najzupełniej. Uczyłam się rosyjskiego i potrafię się porozumiewać w tym języku.

– A co na to John?

– Nadal nie odbiera telefonów. Jakaś mania czy choroba?! – wykrzyknęła Magdalena.

– Pani Magdo, spokojnie. – Niels popatrzył na zegarek. – Jest już późno. Niewiele możemy zdziałać. Postaram się zadzwonić do Johna...

– Ale on nie odbiera telefonu! – Magda schowała twarz w dłoniach, by w ten sposób ukryć łzy.

– Tego oficjalnego. – Holender zachowywał stoicki spokój. – Mam jego najzupełniej prywatny numer. Proszę teraz odpocząć. Obiecuję, że jak tylko się czegoś dowiem, to bez względu na godzinę zadzwonię do pani.

W drodze do domu zastanawiała się, czy zrobiła wszystko. Czy o czymś nie zapomniała? Od południa zachowywała się jak dziennikarz śledczy. Hotel, ambasada, przyjaciele. To chyba wszyscy, do których mogła się zwrócić. Policja? Nie! Nie miała żadnych dowodów. Opierała się tylko na swoim instynkcie i znajomości charakteru Kobalta. Może by jej nie wyśmiali, ale dopadłoby ją parę ironicznym spojrzeń. Obywatelka obcego państwa, dziennikarka, może jakaś prowokacja? Nie, stanowczo policja nie wchodziła i na razie nie wchodzi w grę. Agnieszka, żona Michała? I co jej powie? Że ma przecucie? A jeśli się myli?! A zresztą, w czym Agnieszka może pomóc, będąc w Krakowie, mając na głowie dom i dwójkę dzieci? Nie, zdecydowanie nie mogła na tym etapie naruszać jej spokoju. Chociaż gdyby znalazła jakiś pretekst do rozmowy z nią, to mogłaby wykluczyć tezę, że Kobalt niespodziewanie wrócił do Krakowa. Przez chwilę usiłowała wymyślić taki powód. Bezskutecznie. Dochodziła dwudziesta druga. Zdesperowana wybrała numer domowy Kobaltów.

– Dobry wieczór, Agnieszko! – Usilnie się starała, żeby jej głos brzmiał naturalnie i pogodnie. – Nie przeszkadzam?

– A, cześć, Madziu! – Agnieszka zdyszana odebrała telefon. – Oczywiście, że nie przeszkadzasz. Właśnie wstawiłam ciasto do piekarnika i mam wolną chwilę. W czym mogę ci pomóc?

– Poczułam się samotna i postanowiłam z kimś porozmawiać – skłamała bez mrugnięcia okiem, myśląc jednocześnie „cudownie, zawsze chętna do pomocy”. Poczuła wyrzuty sumienia, że tak bezczelnie okłamuje starszą przyjaciółkę.

– Powiedziałam ci podczas świąt, że w każdej chwili możesz zadzwonić...

Rozmawiały dobry kwadrans. Była to bezsensowna paplanina, która

pozwoliła Magdzie jednoznacznie wykluczyć możliwość powrotu profesora do domu. Tam go nie było!

Teraz już miała stuprocentową pewność, że wykorzystała wszystkie możliwości, żeby rozwiązać tajemnicę zniknięcia Kobałta. Jednak świadomość braku jakiegokolwiek tropu nie dała jej spokoju.

Bruksela, 10 lutego 1996

Telefon dzwonił długo i natarczywie. Tak zwykle bywa, gdy człowiek bardzo potrzebuje snu po ciężkim, pełnym stresu dniu. I nie pomagają żadne zaklęcia, żadne ciche prośby. Dzwoni, jakby złośliwie chciał zepsuć komuś humor, pogłębić stres.

– Słucham. – Zaspany, ale oschły głos Magdy powinien zniechęcić natrętnego miłośnika nocnych telefonów do dalszej rozmowy.

– Dobry wieczór. – Mężczyzna, który dzwonił, starał się mówić łagodnie i spokojnie, lecz w jego głosie Magda wyczuwała napięcie. – Czy pani Strzelecka?

– Tak, do cholery – burknęła dziennikarka, zupełnie nie doceniając starań rozmówcy. – Ciekawe kogo innego mógłby pan obudzić w moim łóżku?!

– Pani Magdalena Strzelecka-Pommieur? – dopytywał nieznajomy.

– Tak! – krzyknęła. – Magdalena Strzelecka i jeszcze Pommieur. Korespondentka zagraniczna Radia Smog FM z Krakowa, numer akredytacji...

– Proszę się nie denerwować – przerwał jej nieznajomy. – Muszę mieć stuprocentową pewność, że rozmawiam z panią Strzelecką.

– Ale ja nie muszę z panem rozmawiać. Czy pan wie, która jest godzina?

– Wiem i bardzo panią przepraszam za telefon o tak późnej porze. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł to uczynić osobiście. Sądzę, że wiadomość, którą mam dla pani, będzie wystarczającym usprawiedliwieniem.

– Słucham pana – powiedziała spokojniej. Była już wystarczająco rozbudzona, aby opanować złość, ale nie złośliwość. – Cóż to za rewelacje nie pozwalają panu zasnąć? Miałam ciężki dzień.

– Wiem, że miała pani ciężki dzień. Bezskuteczne poszukiwania człowieka są bardzo stresujące...

– Co pan ma na myśli, panie... – zawiesiła głos, nie bardzo wierząc, że nieznajomy się przedstawi. Dziennikarze bardzo często otrzymywali telefony od anonimowych rozmówców. Ale co szkodziło spróbować? – Nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Bo go nie podałem – odpowiedział szybko. – Umówmy się, że jestem Konstanty. Dzisiaj próbowała się pani bez skutku skontaktować z pewnym mężczyzną. Zależało pani tak bardzo na spotkaniu z nim, że dwadzieścia sześć minut po dziewiętnastej, omijając sprytnie recepcję, weszła pani do jego

pokoju. Niestety zamiast znajomego, zastała pani obcego mężczyznę. Prawda?

– Nie sądzę, żebym była dzisiaj u jakiegoś mężczyzny – odparła bez namysłu.

– Proszę nie zaprzeczać. Jestem przyjacielem. Niestety mam smutne wieści dla pani. Pani znajomy został uprowadzony przez ludzi generała Kriuczkowa, szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.

– Aaa... – Wiadomość tak wstrząsnęła Magdą, że nie potrafiła sformułować odpowiedzi.

– Nie dziwię się pani zaskoczeniu. Dla nas to też szok.

– Zaraz, zaraz. Jakich „nas”? – Zaczynała nad sobą panować. – I w ogóle skąd pan to wie?

– Od mężczyzny, którego spotkała pani w pokoju znajomego.

– Dlaczego on mi nie powiedział?

– Bo to był jeden z porwaczy.

– I on panu tak dobrowolnie się do tego przyznał? – zapytała.

– Nie dobrowolnie, ale powiedział.

– Więc dlaczego, skoro to prawda, nie zadzwoni pan na policję?

– Bo nie mam dowodu.

– A oświadczenie tego mężczyzny?

– Martwi nie składają oświadczeń.

– Jak to?! – wykrzyknęła.

– Ten mężczyzna nie żyje.

– Ale zaraz, zaraz. Co rosyjska służba bezpieczeństwa może mieć do profesora? – Magdę zaczynała denerwować ta rozmowa. Znowu jakiś nawiedzony, pomyślała. Że też ludzie potrafią być tak bezczelni i próbują wykorzystywać czyjeś nieszczęście w nadziei, że zarobią kilka euro! Dodała: – Jesteśmy w Brukseli i nie powie mi pan, że tutaj sięgają macki Rosjan! A poza tym, nie płacimy za informację!

– Mnie nie chodzi o pieniądze – pospieszył z wyjaśnieniem nieznajomy. – Pani przyjaciel realizował pewną poufną misję...

– Nooo, teraz to już pan przesadził! Michał i jakaś tajemnicza misja?! On jest członkiem oficjalnej delegacji rządowej i jedyna misja, jaką realizował, to praca dla rządu polskiego! Nigdy nie angażował się w poufne misje! Nigdy! Poza tym, co za my i nas? – Już na dobre otrząsnęła się z szoku. Była znowu dziennikarką. Zaczepną, dociekliwą i nieustępliwą.

– Niestety jeszcze nie mogę pani tego wyjaśnić.

– I myśli pan, panie wszechwiedzący, że uwierzę w tę pańską bajkę?

– Proszę mnie posłuchać – przerwał. – Oboje wiemy, że pani znajomy zniknął nagle i nikt nie wie, co się z nim dzieje. Pomimo pani usilnych starań

nie ma pani innego punktu zaczepienia poza tym Rosjaninem, który był w pokoju hotelowym. To jest jedyna informacja podana przeze mnie, którą ma pani sprawdzoną. Jest pani inteligentną kobietą, więc chyba przyzna pani, że to wystarczający powód, żeby resztę mojej opowieści uznać przynajmniej za prawdopodobną i porozmawiać z Johnem Bushem. Ale proszę zachować szczególną ostrożność. Z nimi nie ma żartów.

– W porządku. Powiedzmy, że panu wierzę – powiedziała Magda bez przekonania. Może i dałaby wiarę słowom nieznajomego, gdyby nie twierdził, że Michał realizował jakąś poufną misję i że porwali go Rosjanie. Równie dobrze mógłby zakomunikować, że porwali go Marsjanie, bo chciał przekonać NATO, że faktycznie stanowią zagrożenie dla Ziemi i trzeba opracować plan obrony. Swoją drogą, Niels obiecał skontaktować się z Johnem, więc chyba będzie okazja do rozmowy. Przekaze te rewelacje Bushowi. A może ten nieznajomy ma rację? Może Michał miał swoje tajemnice? Drugie życie? Ostatnio nie był sobą. Dziwnie się zachowywał. Może nieświadomie wplątał się w jakąś nieczystą grę? A co, jeśli świadomie? Odkąd wyjechała do Brukseli, widywali się sporadycznie. Tyle dziwnych rzeczy dzieje się w Polsce. Ludzie się zmieniają. Ulegają pokusom. Sprzedają się. Nie! Wszyscy, tylko nie Michał! Zapewniała siebie, lecz nieznajomy zasiał w niej ziarno wątplenia. – Tylko proszę mi dać parę godzin. Muszę to wszystko ogarnąć. Czy może pan do mnie zadzwonić około czternastej?

– Nie wierzy mi pani. Chce się mnie pani pozbyć. Proszę przyjąć do wiadomości, że tylko pani może mu pomóc, a zresztą John... – Potężny huk rozlegający się w słuchawce telefonicznej ogłuszył Magdę, więc nie usłyszała szelestu osuwającego się ciała.

– Halo! Co tam się dzieje?! – krzyczała do słuchawki, lecz odpowiedział jej tylko przerywany sygnał.

Sięgnęła po papierosa, ale opakowanie wypadło jej z dłoni. Papierosy rozsypały się po dywanie. Zaczęła je nerwowo zbierać, łamiąc kilka sztuk. Wreszcie się udało. Zacisnęła wargi na ustniku i pstrykając zapalniczką, po kilku nieudanych próbach, zapaliła. Czy ten huk był prawdziwy, czy też był specjalnie dla niej, żeby wzmocnić przekaz? Ale po co? Kim był ten tajemniczy rozmówca i skąd miał wszystkie wiadomości? Tę, że Kobałt zniknął, mógł przypadkiem zdobyć, w końcu narobiła trochę zamieszania, ale skąd wiedział, że po dziewiętnastej była w pokoju Michała i rozmawiała z facetem, którego podejrzewała, że jest Rosjaninem?! Przecież gdyby nawet jego informacje były prawdziwe i Michał został porwany przez Rosjan, to... nie, to absurd! Odrzuciła tę myśl, a raczej starała się ją odrzucić. Miała jeszcze w pamięci opowieści przekazywane szeptem o tajemniczych zniknięciach

ludzi niewygodnych dla polskich komunistycznych władz. Ale przecież komunizm się skończył! Polska wkraczała do NATO i Unii Europejskiej. ZSRR przestał istnieć. Co prawda w Moskwie rządził Jelcyn, jednak nie było już powrotu do czasów Układu Warszawskiego. Nowe rozpanoszyło się już na dobre w zachodniej i wschodniej Europie. Czy ktoś odważyłby się na taką akcję?! Toż to byłby skandal o niemożliwych do przewidzenia konsekwencjach! Zresztą, dlaczego rosyjskie służby bezpieczeństwa miałyby porywać akurat Kobalę?! Przecież to kolejny absurd! Magdalena na moment się uspokoiła. Nie, to jakiś bardzo głupi i niesmaczny żart. Gdy już miała się położyć, przypomniała sobie dziwne zachowanie Michała. Zawsze pogodny, pełen optymizmu i rozmowny, tym razem wydawał się przygaszony. Jakby gnębiły go jakieś kłopoty. Pytanie o samopoczucie zbył zdawkowym „starość nie radość”. Żałowała teraz, że tak łatwo odpuściła. Może Kobalę faktycznie miał kłopoty? Może zawsze chętny do pomocy i nieumiejący odmawiać, wplątał się przypadkiem w jakąś aferę? Ktoś go wykorzystał?! Nie! To niemożliwe! Przecież Michał był zawsze praworządny. Jako przedstawiciel Polski nie wplątałby się w żadną aferę!

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer do Polski.

– Krzysztof? – zapytała, gdy zaspiany głos odezwał się w słuchawce.

– Czy ty wiesz, która jest godzina? – zapytał wyrwany ze snu.

– Godzina jest mało ważna, gdy ważna jest informacja – zacytowała jego ulubione powiedzonko. – A informacja jest szokująca.

Kilka minut zajęło Magdzie zrelacjonowanie wydarzeń minionego dnia i oczywiście z hucznie zakończonej nocnej rozmowy z tajemniczym nieznanym.

– Znasz profesora bardzo dobrze. Czy jest możliwe, żeby wplątał się w jakąś aferę?

– Nie! – odparła stanowczo.

– A czy teza o jego wyjeździe do chorej ciotki do Paryża jest możliwa?

– Też nie!

– I profesora nie ma na sto procent w Krakowie?

– Nie ma.

– A ty jesteś pewna, że opuścił hotel, a w jego pokoju był obcy człowiek, najprawdopodobniej Rosjanin?

– Krzysiek! Bawisz się w prokuratora?

– Nie, tylko proszę cię o odpowiedź. Przypominam, że to ty zadzwoniłaś do mnie w środku nocy. No więc?

– Jestem pewna, pewna jak jasna cholera!

– Magda! *Tertium non datur!* Albo Kobalt zrobił skok w bok z jakąś seksowną blondynką i jutro, a w zasadzie dzisiaj, lekko skacowany, ale cały i żywy zamelduje się gotów do pracy, albo faktycznie ktoś go porwał. Nie twierdzą, że zrobili to Rosjanie, ale ta wersja wydaje się najbardziej prawdopodobna.

– To co ja mam zrobić?

– Przede wszystkim się wyśpij, a potem zrób wszystko, żeby się spotkać z Johnem Bushem. Ja raczej już nie zasnę, więc zbieram się i jadę do redakcji. Może coś znajdę w serwisach informacyjnych. Rano porozmawiam z naczelnym. Jeśli coś wymyślimy, to natychmiast do ciebie dzwonię. Jeśli nie, to umawiamy się na telefon po twoim spotkaniu z Bushem. Okej?

– Dzięki! Okej!

Rozmowa z Krzysztofem trochę ją uspokoiła. Dochodziła piąta rano. Przewietrzyła pokój i niespodziewanie szybko zasnęła.

– I co wymyśliliście?! – warknęła zasnana do słuchawki, gdy po raz drugi telefon wyrwał ją ze snu. Teraz co prawda było jasno, ale po pierwszej rozmowie z Krzysztofem zapadła w głęboki sen. Śnił się jej Kobalt owinięty w czerwoną flagę Związku Radzieckiego, leżący na tratwie unoszonej przez wody wielkiej rzeki. Coś do niej wołał, ale nie mogła tego zrozumieć. Chciała za nim wskoczyć w nurt, ale jakieś ręce powstrzymały ją, a on się oddalał przy wtórze dzwonów. I krzyczał, krzyczał...

– Nie wiem, co oni wymyślili – odezwał się męski głos – ale ja wymyśliłem, że zaproszę panią na lunch. John Bush, przyjaciel Michała Kobalta życzy miłego dnia.

– Dzień dobry – odpowiedziała zaskoczona. – Spodziewam się telefonu od mojego szefa, stąd to niezbyt miłe powitanie. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi, pani Magdo, pod warunkiem że przyjmie pani moje zaproszenie.

– Proszę dać mi chwilę. Zasnęłam dopiero o piątej. Nawet nie wiem, która jest godzina.

– Dochodzi dziesiąta.

– Wczoraj pana szukałam.

– Wiem. Niels się ze mną skontaktował – powiedział cicho. – Przekazał mi treść waszej rozmowy. Właśnie na ten temat chciałbym z panią porozmawiać. My też martwimy się o Michała.

– Czy Niels również będzie?

– Nie, ale będzie za to mój przyjaciel z agencji rządowej.

– CIA?

– Tak – przyznał niechętnie. – Musiałem go powiadomić. Nie ma wyjścia. Kobalt współpracował ze mną przy pewnej misji.

– To bardzo dobrze – odetchnęła chyba jednak z ulgą – bo wydarzyło się jeszcze coś, ale o tym później.

– Czy potrzebna pani pomoc? – zapytał z troską w głosie.

– Jeszcze nie. Przynajmniej nic na to nie wskazuje. Gdzie się spotkamy?

Ledwo odłożyła słuchawkę, a telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to Krzysztof.

– Myślałem, że odsypiasz noc – powitał ją głosem, w którym można było wyczuć zmęczenie. – A ty gadasz od rana.

– Cześć. Wreszcie odezwał się Bush. Umówiłam się z nim na lunch. – Z trudem stłumiła ziewnięcie.

– Mówiłaś im o nocnym telefonie?

– Jeszcze nie.

– My ustaliliśmy, że czekamy na oficjalne informacje i nie puszczamy wiadomości w eter. Sprawdzimy ten adres w Paryżu i jeśli się okaże, że profesora tam nie ma, to dyskretnie wypytamy w MSZ-ecie – poinformował ją o decyzji kolegium, po czym szybko streścił przebieg debaty. Na zakończenie poprosił: – Nie podejmuj żadnych działań bez kontaktu z nami. Okej?

– Dobrze. Co w takim razie mam im powiedzieć?

– Całą prawdę. Przecież to nasi przyszli sojusznicy. Jeżeli faktycznie profesor był zamieszany w jakąś aferę, to założę się, że Amerykanie maczali w tym palce.

Pomimo że Magdalena przyszła dziesięć minut przed planowanym spotkaniem, dwaj mężczyźni siedzieli już przy stoliku zajęci przeglądaniem gazet. Agent CIA okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem i zupełnie nie przypominał tych, którzy pojawiają się w filmach. Rzadko zabierał głos, a jeżeli już to robił, to bardzo cichym, prawie przepraszającym głosem.

– Jedno mnie tylko zastanawia – powiedziała, kończąc swoją opowieść. – Nasza rozmowa toczyła się po francusku, natomiast ten gość bardzo wyraźnie wymienił moje nazwisko.

– Co pani ma na myśli? – zapytał agent.

– Niech pan powie Strzelecka – poprosiła.

– She... s... shelecka – spróbował agent i wszyscy się roześmiali.

– No właśnie – odparła. – Żaden z was nie jest w stanie poprawnie wypowiedzieć tak trudnego polskiego słowa. Jaki stąd wniosek, panie

agencie?

– Że mężczyzna był Polakiem i tylko dla niepoznaki mówił po francusku – wyrecytował pracownik CIA niczym uczeń pod tablicą.

– Niekoniecznie. – Magdalena improwizowała. – Natomiast na pewno jest Słowianinem.

– Rosjanin?

– Może?

– Magdo! – Bush ujął jej dłoń i popatrzył prosto w oczy. – Wkraczamy na niebezpieczny grunt wielkiej światowej polityki. Brudnej polityki. Chcę, żeby pani była z nami, ale musi pani zapomnieć o swojej pracy. Tu, w tym towarzystwie, jest pani osobą prywatną. Zapomina pani o radiu, agencjach informacyjnych i przyrzeka całkowitą dyskrecję. W imię przyjaźni z Michałem i dla jego bezpiecznego powrotu. *Top secret!*

– Przyrzekam! – odpowiedziała. Dopiero gdy usłyszała swój głos, uświadomiła sobie powagę sytuacji. Do tej pory uczestniczyła w wielkich wydarzeniach politycznych w roli obserwatora. Komentowała, wyrażając swoje, a w zasadzie redakcji stanowisko. Dopóki przestrzegała reguł ustanowionych przez naczelnego, była bezpieczna. Nie ponosiła konsekwencji. Teraz wszystko miało się zmienić. Miała stać się uczestnikiem wydarzeń. Musiała zachować w tajemnicy wszystkie zasłyszane informacje i ponosiła za to odpowiedzialność. Lekki dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Nigdy specjalnie ją nie interesowały kulisy wielkiej polityki, chociaż pracując w rozgłośni, nasłuchiwała się wielu plotek na temat międzynarodowej zмовy, grupy trzymającej władzę, wpływu wielkich korporacji i ciemnych typów na decyzje polityczne i gospodarcze. Nigdy jednak nie dawała im wiary. Teraz została brutalnie wciągnięta w sam środek... No właśnie, w sam środek czego?

– Bobbie był przeciwny – wyjaśnił Bush, patrząc na agenta – ale zdradziłem mu, że po pierwsze jest pani najbliższą przyjaciółką Michała, a po drugie i najważniejsze, potrzebna jest nam pani pomoc.

– Pomoc? – Magdalena z filiżanką espresso w dłoni zastanawiała się, na czym może polegać jej pomoc.

John pominął ten temat i mówił dalej:

– O tym porozmawiamy za chwilę. Teraz chcę pani coś wyjaśnić, oczywiście na tyle, na ile obecny tu Bobbie, który na co dzień jest zastępcą H. B., dyrektora centrali, mi pozwoli. – Zawiesił głos, bo w tym momencie Magdalena upuściła filiżankę, która z hukiem uderzyła o podłogę, a resztką aromatycznego napoju się wylała.

– Cholera! – krzyknęła po polsku i zerwała się z krzesła, by pozbierać resztki naczyń. – To znaczy przepraszam.

W restauracji o tej porze nie było wielu klientów, więc odgłos tłuczonej filiżanki dotarł do kelnera, który błyskawicznie zjawił się, by uprzątnąć. Magdalena stanęła obok krzesła. Była zaskoczona. Zastępca dyrektora CIA. Przyjechał specjalnie, czy był tu przypadkiem? Co to wszystko znaczy?! Kelner, wbrew powszechnej opinii o ludziach pracujących w tym fachu, uporał się ze wszystkim błyskawicznie. Mało tego, nim Magdalena zdążyła zareagować, na stoliku pojawiła się nowa filiżanka pachnącego espresso. Kelner z czarującym uśmiechem znikł równie błyskawicznie, jak się pojawił. Taka była właśnie restauracja u Renego. Dwaj mężczyźni, którzy w momencie upadku filiżanki również się poderwali, teraz z uśmiechem czekali, aż Magdalena usiądzie.

– Tak więc, Magdo... – Bush kontynuował, jakby nic się nie wydarzyło. Zwróciła uwagę na to, że coraz częściej mówi do niej po imieniu. – Michał zadzwonił do mnie dziesięć dni przed przylotem do Brukseli i nalegał na spotkanie. Koniecznie od razu w dniu przylotu. Siedzieliśmy dokładnie przy tym samym stoliku. Przyznam, że zaniepokoiłem się bardzo jego opowieścią. Ustaliliśmy wspólnie z Bobbiem pewną procedurę.

– Oj tam, Johnny! Już dawno mówiłem ci, żebyś pisał książki – przerwał mu Bobbie. – W tym tempie do rana nie dojdziemy do końca. Pani Magdo, profesor Kobalt szantażem został zmuszony do dostarczenia do Brukseli pewnych dokumentów.

Na szczęście w tym momencie filiżanka Magdy stała na stoliku, bo pewnie znów potrzebna byłaby interwencja kelnera. Ktoś szantażował Michała! I do tego te dokumenty! Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, o jakie, a raczej jak zdobyte, dokumenty chodzi!

– Muszę przyznać, że profesor zachował się jak profesjonalista. John również, ale od niego tego właśnie wymagamy. Sytuacja pierwotnie wyglądała na bardzo poważną. Dyplomata, szantaż, szpiegowskie materiały. Słowem szykowała się afera międzynarodowa. Po sprawdzeniu dokumentów przez naszych ekspertów okazało się, że...

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Tak chyba Michał mówił? – John włączył się ponownie do rozmowy, a Magdalena zastanawiała się, czy to aby nie było wyreżyserowane. – Michał dostarczył nam dokumenty, które były już w naszym posiadaniu od kilku dni. Praktycznie misja Michała nie ma dla Stanów żadnego znaczenia, poza tym oczywiście, że dodatkowo potwierdziła prawdziwość tego, co sami sprawdziliśmy. Coś tu się nie zgadza. Dwaj najbliżsi współpracownicy prezydenta Czeczenii z teczką pełną szpiegowskich

materiałów pod pachą przemierzają pół kontynentu, ryzykując w każdej chwili aresztowanie przez służby specjalne Rosji. Szantażem zmuszają Kobalta, żeby narażając swoją reputację, dostarczył nam dokumenty, które już wcześniej ktoś nam dał. Nie wierzę, żeby Pawłow, szef wywiadu, nie wiedział o tym. Zastanawialiśmy się, co to może znaczyć. Szukaliśmy drugiego dna. Osłabiliśmy czujność i...

– I Michał zniknął! – palnęła Magda. Nachyliła się nad stolikiem. Patrząc Johnowi w oczy, rzuciła zjadliwie: – Niby tacy fachowcy jesteście, a nie wiecie, co się z nim stało?

– Nie wiemy, Magdo, nie wiemy – przyznał Bush. – Może pani informacja o nocnym telefonie rzuci jakieś światło na zniknięcie Michała, ale jeszcze zbyt wcześnie, żeby o tym mówić.

– Jednym słowem pokpiłicie sprawę! Daliście dupy! – zaatakowała z wyrzutem.

– To nie tak. – Bobbie ze spokojem przyjął atak dziennikarki. – Proszę zrozumieć. Profesor dostał ochronę błyskawicznie, ale po analizie dostarczonych dokumentów odwołaliśmy ją, albowiem...

– To w takim razie dlaczego Michał zniknął?!

– Tego jeszcze nie wiemy, ale zapewniam panią...

– I jeszcze chcecie mnie prosić o pomoc? Mam za was odnaleźć porywaczy profesora? Bo tego, że został porwany, jestem pewna...

– Magdo! Niech się pani uspokoi – cicho poprosił Bush. – Złość nic tu nie pomoże...

– Mam się nie denerwować?! – wybuchła. – Mam być spokojna, może nawet zachwycona, że dostałam zaszczytu wypicia kawy z szefem delegacji amerykańskiej i zastępcą H. B.?! A Michał być może cierpi! Jest torturowany albo już nie żyje! Wy natomiast spokojnie pijecie kawę zamiast działać!

– John ma rację. Proszę się uspokoić. – Bobbie powtórzył prośbę Busha. – Niech pani nie ocenia nas tak surowo. To, że tu siedzimy i, jak pani powiedziała, spokojnie pijemy kawę, to nieprawda. Po pierwsze wcale nie jesteśmy spokojni. Po drugie profesor to przyjaciel Johna, a John jest moim, więc uruchomione już zostały nadzwyczajne procedury, żeby go odnaleźć i bezpiecznie sprowadzić do domu.

– Uch... – Magdalena z powątpiewaniem pokręciła głową.

– A po trzecie, rozmowa z panią jest częścią naszej akcji mającej na celu odnalezienie profesora. Zapewniam panią, że robimy wszystko, żeby rozwiązać tę zagadkę. Kilkuset najlepszych agentów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pracuje...

– Niech pan nie będzie śmieszny, Bobbie – gorzko się uśmiechnęła. – Chyba

zapomniał pan, kim jestem?! Nigdy nie uwierzę w tę pańską bajeczkę! Kobalt, owszem, był ważnym człowiekiem, ale dla nas, Polaków! Nie dla Amerykanów.

– Ma pani rację. – Bobbie patrzył jej prosto w oczy. – Ma pani sto procent racji. Tu nie chodzi ani o profesora, ani o dostarczone przez niego dokumenty.

– Nie?! Więc po co my tu siedzimy?! – oburzyła się dziennikarka.

– Może źle się wyraziłem. – Bobbie popatrzył na Busha, jakby szukając ratunku. Był zaskoczony gwałtownym wybuchem Magdy. Jednak John całą swoją uwagę skupił na filiżance kawy i ewidentnie unikał podniesienia wzroku. Pozbawiony pomocy desperacko rzucił się na głęboką wodę. – Zaistniał pewien fakt, który postawił zniknięcie profesora w innym świetle.

– Bardzo ładnie pan to określił – zakpiła Magdalena. – Po prostu zawaliliście. Gdybyście nie zlekceważyli sprawy, Michał byłby tu dzisiaj z nami. Macie rację. Nerwy i wymówki niczego nie zmieniają. John, mówił pan, że potrzebujecie mojej pomocy. O co chodzi?

– Magdo, to nie tak, jak pani myśli. – Bush pospieszył na ratunek przyjacielowi, tracąc zainteresowanie filiżanką kawy. – Nie popełniliśmy żadnego błędu. Michał to mój przyjaciel. Zawdzięczam mu szczęście mojego małżeństwa. Sprawa była perfekcyjnie monitorowana, ale jak już wspomniał Bobbie, zaistniał pewien fakt, o którym nie możemy pani poinformować, a który zmienił metody działania agencji i doprowadził do tragedii, której nie mogliśmy przewidzieć. Proszę mi wierzyć, takie są procedury. Mówię prawdę. Nie usprawiedliwiam ani siebie, ani agencji.

– Okej. Muszę wam wierzyć. – Magdalena skwitowała pospiesznie. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, o jakiej pomocy myślicie? O co wam chodzi?

– O dwie bardzo ważne sprawy. Po pierwsze, chcemy jak najdłużej utrzymać w tajemnicy sprawę zniknięcia Michała. Rozmawiałem rano z ministrem Jankowskim. Po długich pertraktacjach zgodził się nie wszczynać alarmu przez następne dwadzieścia cztery godziny. Stąd też moja prośba do pani o wstrzymanie się z przekazaniem tej informacji gdziekolwiek. A po drugie... żona Michała nie może poznać prawdy.

– Zaraz, zaraz! – Magdalena powróciła do wojowniczego tonu. – Jak rozumiem, mam Agnieszce zaserwować jakąś bajeczkę?! Okłamać?! Wiesz, Agnieszko, Michał wyjechał na jakiś czas. Nie wiadomo, na jak długo, nie wiadomo kiedy i czy w ogóle wróci, a mnie prosił, żebym ci o tym powiedziała. Jak wy to sobie wyobrażacie?!

– Pani Magdo! – włączył się Bobbie. – Ze względów operacyjnych, których nie mogę pani zdradzić, konieczne jest utrzymanie tajemnicy przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Chcemy, żeby pani osobiście przekazała

żonie profesora wiadomość o jego zniknięciu, ale w wersji, którą podamy pani za około trzy godziny, bezpośrednio przed odlotem.

– Nie! To przechodzi ludzkie pojęcie!

– Magdo! – Głos Busha był spokojny, ale stanowczy. – Nie ma innego wyjścia. Musi pani nam zaufać. Dobrze pani wie, że Michał był, to znaczy jest moim najlepszym przyjacielem i zrobię wszystko, żeby cały i zdrowy do nas wrócił. To, o co prosimy, to jedyne rozwiązanie. Obwiniać będzie nas pani potem, jak już Michał wróci. Zgoda?

– Zgoda. – Magdalena nie miała innego wyjścia

Kilkanaście minut później wyposażona w bilety lotnicze wracała do domu, by się spakować.

Wadowice, 12 lutego 1996

Przez pierwsze dni pobytu w Wadowicach Jan Madera aklimatyzował się do zdecydowanie niższych temperatur niż te, do których przez kilkadziesiąt miesięcy przyzwyczał się jego organizm. Planował w tym czasie odwiedzić profesora Kobalta, dla którego przywiózł kilka bardzo ciekawych murzyńskich rzeźb rytualnych, jednakże od żony profesora dowiedział się, że przebywa on z delegacją rządową w Brukseli i do kraju ma powrócić w pierwszych dniach marca. Organizm najemnika, przyzwyczajony do codziennego wysiłku fizycznego, domagał się regularnych porcji ćwiczeń. Nie zważając na temperaturę poniżej zera, Madera dwie godziny dziennie poświęcał na zaprawę kondycyjną w pobliskim lesie. Po lekkiej rozgrzewce w ogrodzie najpóźniej pół do siódmej rano wybiegał w czarnym dresie, rękawiczkach i czerwonej czapeczce do lasu. Wracał pół do dziewiątej i po prysznicu zasiadał razem z ciotką do śniadania. Do południa spędzali czas na rozmowach, słuchaniu radia i czytaniu prasy albo wychodzili razem po zakupy. Codziennie po obiedzie przez dwie godziny przeprowadzał w piwnicy trening wschodnich sztuk walki, narzekając na brak partnera, z którym mógłby ćwiczyć wymyślone przez siebie nowe techniki.

Lucyna Nowak miała zaplanowaną wizytę u dentysty na dziewiątą rano, na poniedziałek dwunastego lutego. Po powrocie z porannego biegu Madera był więc w domu sam. Przygotowywał właśnie jajecznicę, uważnie słuchając kolejnego odcinka historii jazzu w Smog FM.

Punktualnie o dziesiątej rozpoczął się serwis informacyjny. Już pierwsza informacja z Brukseli sprawiła, że zapomniał zupełnie o przygotowaniu śniadania.

– Serwis informacyjny Smog FM rozpoczynamy od korespondencji z Brukseli – poinformował spiker jeszcze w trakcie trwania sygnału – a w zasadzie od naszej korespondentki Magdy Strzeleckiej-Pommieur, która w godzinach porannych dotarła do Krakowa. Magdo, oddajemy ci głos.

– Dzień dobry państwu – przywitała się. – Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, dziesiątego lutego zniknął ze swojego pokoju w Alma Grand Place Hotel na Rue des Eperonniers w Brukseli członek polskiej delegacji rządowej, profesor Michał Kobalt. Według naszych informacji profesor Kobalt widziany był po raz ostatni, kiedy wracał do swojego pokoju w hotelu poprzedniego dnia wieczorem. Pracownik hotelu dziesiątego lutego

przekazał szefowi polskiej delegacji informację, rzekomo napisaną przez Kobalta, jakoby wybierał się on w pilnych sprawach rodzinnych do Paryża i prosił o kilkudniowe zwolnienie z prac komisji. Trwają jeszcze badania grafologiczne pozostawionego przez profesora pisma, gdyż po sprawdzeniu przez policję francuską wiadomo już, że profesor nie dotarł do rodziny w Paryżu. Również służby celne na paryskich lotniskach nie potwierdzają faktu przybycia profesora do Francji. Zakrojone na szeroką skalę poszukiwania profesora Kobalta, prowadzone przez policję belgijską i francuską, nie przynosiły żadnych rezultatów aż do dzisiejszego poranka. Pół godziny temu szef brukselskiej policji poinformował, że znaleziono ciało poszukiwanego. Nie podano żadnych innych szczegółów. Zapytany przeze mnie szef polskiej delegacji rządowej, minister Jankowski, odmówił komentarza. Polski minister spraw zagranicznych również odmówił wypowiedzi na ten temat. Najbliższe godziny powinny dostarczyć nowych faktów dotyczących śmierci profesora Michała Kobalta. Magdalena Strzelecka-Pommieur, Radio Smog FM.

Madera nie słuchał pozostałych informacji, zapomniał również o kawie, która bulgotała w kawiarence pozostawionej na kuchence gazowej. Siedział wpatrzony w odbiornik radiowy, sparaliżowany usłyszaną informacją. W głowie przelatywały mu obrazy z niezbyt odległej przeszłości.

Wadowice, wiosna 1991

Przyszli o czwartej trzydzieści rano. Tak, jak zwykli przychodzić. Swą obecność oznajmili łomotem kolb w drzwi i przeraźliwymi wrzaskami „Policja! Otwierać!”. Madera wyrwany ze snu usiadł na łóżku i nim otworzył oczy, odruchowo sięgnął po broń. Zdziwiony napotkaną pustką wzdrygnął się. Przez dziewięć miesięcy pobytu na kontrakcie w Somalii zawsze tam była. Zawsze gotowa do strzału stała po prawej stronie u wezgłowia materaca. Przetarł ręką oczy. Dom. Wadowice. W jednej sekundzie odzyskał świadomość. Dolatujące przez otwarte okno wrzaski i coraz bardziej niecierpliwy łomot poderwały go z łóżka, więc wybiegł z pokoju. Był w połowie schodów, gdy domem wstrząsnął wybuch. Drzwi w strzępach wpadły do holu. Za nimi kilka zamaskowanych postaci z bronią wymierzoną do strzału. Madera nie zdążył otworzyć ust, gdy uderzony kolbą padł na ziemię. Odruchowo osłonił rękoma głowę, ale dalsze uderzenia i kopniaki padły na tułów i nogi. Jak przez mgłę usłyszał zdziwiony głos ciotki:

– Panowie! Co tu się dzieje?

Zaraz potem chamską odpowiedź jednego z napastników:

– Zamknij się, stara, i na podłogę!

Wywleczono go skutego jak bandziora i wrzucono na tył więźniarki. Dodatkowe kopniaki i uderzenia kolbami miały być życzeniami szczęśliwej podróży.

A potem była cela. Śmierząca. Ciasna. I przesłuchania. Zawsze w nocy. O drugiej lub trzeciej. Przychodzili we trzech. Jeden stał z bronią wymierzoną w jego głowę, dwóch zakładało kajdanki. Na ręce i na nogi. Jak mordercy. Potem spacer. Tip-top. Jakżeby inaczej? Niespełna półmetrowy łańcuch między nogami nie pozwalał na dłuższe kroki. Drobił więc popychany lufą karabinka do pokoju przesłuchań, gdzie czekał na niego prokurator Kozub. Ten sam, który parę lat wcześniej chciał go umieścić w domu poprawczym za łomot, który sprawił jego synowi. Już od pierwszego spotkania zasady gry były jasne.

– A! Pan Madera! – powitał go prokurator. – Jaka miła niespodzianka! Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek na człowieka zawsze trafi.

Madera bezczelnie patrzył w twarz Kozuba. Milczał.

– Siadaj, chamie! – wrzasnął prokurator i polecił strażnikom, by przykuć go do kaloryfera.

Madera, pchnięty przez strażnika, upadł. Dopadli do niego błyskawicznie i sprawnie przykuli do stalowej rury, po czym na polecenie urzędnika wyszli z pokoju.

– Artykuł sto dwadzieścia dwa znasz?! – wrzasnął.

Nawet gdyby Janek znał treść tego artykułu, i tak by milczał. Tego nauczył się na kontrakcie. „Milcz. Dopóki nie przyjdzie twój adwokat. Milcz albo odmawiaj odpowiedzi”, wielokrotnie przestrzegali go starsi koledzy, którzy już mieli kontakt z wymiarem sprawiedliwości.

– Durny jesteś! I tak byś tego nie zrozumiał – podsumował milczenie Madery prokurator. Wziął do ręki kodeks karny i przeczytał: – Podlega karze pozbawienia wolności od lat dziesięciu albo karze śmierci. Słyszysz, Madera? Karze śmierci! – Stał naprzeciwko schyłego więźnia i wycedził: – Będziesz wisiał, Madera.

– Za co?

– Za szyję, Madera! Za szyję! – krzyknął prokurator i roześmiał się z własnego dowcipu. – A ja będę patrzył, jak wierzgasz nogami. Jak otwierasz usta niczym ryba wyciągnięta z wody i jak wreszcie zdechniesz. Wyprowadzić!

Takie przedstawienia odbywały się co noc przez pierwszy tydzień pobytu w areszcie. Prokurator wydzierał się, prorokując, że wysoko zajdzie, bo szubienice w Polsce były wysokie. Janek uparcie milczał. Ósmego dnia rano, zaraz po śniadaniu, do celi wpadło dwóch strażników.

– Zbieraj się, Madera! Idziemy!

Tym razem założono mu tylko kajdanki na ręce i poprowadzono korytarzem w przeciwną niż zwykle stronę. Nie było ani krzyków, ani szturchania bronią. Stanęli pod drzwiami pokoju. Jeden ze strażników otworzył delikatnie drzwi.

– Więzień Jan Madera – zaanonsował od progu.

Delikatnie popchnięty przez drugiego strażnika, wszedł do pokoju. Na jego widok zza biurka wstał lekko szpakowaty, dobrze zbudowany mężczyzna w garniturze.

– Michał Kobalt – przedstawił się, wyciągając rękę na powitanie. Madera znacząco uniósł skute ręce przed siebie. Mężczyzna wskazał go palcem i powiedział: – Proszę rozkuć pana Maderę.

– Ale... – próbował protestować strażnik.

– To polecenie. Nie prośba – powiedział prawnik twardo. – Ma pan na to dwadzieścia sekund, a potem wyjdę stąd i zadzwonię do ministra Marczyka.

Na dźwięk nazwiska nowego szefa służby więziennej strażnik rzucił się w kierunku Madery i błyskawicznie ściągnął kajdanki. Marczyk wstąpił się wystąpieniem telewizyjnym, w którym zapowiedział bezkompromisową

walkę ze wszystkimi przejawami braku poszanowania praw więźniów, i żeby jego wystąpienie nie było gołosłowne, podał przykład z krakowskiego aresztu śledczego, popularnego Monte. Dwóch strażników zostało dyscyplinarnie zwolnionych ze służby za przeszkadzanie w kontaktach więźniów ze swoimi pełnomocnikami. Jednocześnie wszczęto wobec nich postępowanie karne mające wyjaśnić, czy nie doszło do znęcania się nad osadzonymi.

– A teraz proszę wyjść! – polecił Kobalt. Gdy zamknęli za sobą drzwi, zwrócił się do Madery: – Niech pan siada, panie Janie.

– Dziękuję.

– Pana ciotka zleciła mi obronę pana – poinformował zdziwionego Maderę.

– Ale...

– Wiem, wiem – przerwał mu adwokat. – Nie ma pan pieniędzy w kraju. Grozi panu kara śmierci i wieczne potępienie – uśmiechnął się Kobalt.

Potem było już tylko lepiej. Po paru dniach od pierwszej wizyty w więzieniu uzyskał zwolnienie swojego klienta z aresztu. Madera odpowiadał z wolnej stopy. Ta zawodowa znajomość szybko przerodziła się w przyjaźń. Le Petit Jean zachwycony był osobowością profesora, jego optymizmem i wręcz zegarmistrzowską precyzją w wykorzystywaniu błędów oskarżenia. Przede wszystkim adwokat obalił akt oskarżenia, udowadniając, że Madera był normalnym pracownikiem ochrony, bo PMC to cywilne, prywatne firmy i z wojskiem jakiegokolwiek państwa nie mają nic wspólnego. Kobalta zafascynowała historia życia najemnika z wyższym wykształceniem. Do momentu ponownego wyjazdu z Polski Madera był częstym gościem w domu Kobaltów.

Wadowice, 12 lutego 1996

Porażony zasłyszana wiadomością o tajemniczej śmierci profesora, nie namyślając się, wykręcił numer domowego telefonu Kobalta. Niestety nikt nie podnosił słuchawki. Wielokrotnie powtarzane próby nawiązania kontaktu z żoną profesora nie przynosiły efektu. Woń przypalonej kawy i powrót ciotki oderwały go od telefonu.

– Czyś ty do reszty zwariował! – wybuchła Lucyna Nowak, z trudem znajdując drogę do kuchni w kłębach dymu. – Chcesz spalić dom?!

– Profesor nie żyje! – wrzasnął.

– Co ty opowiadasz?! Jaki profesor?

– Jak to jaki?! Kobalt! – krzyknął zdenerwowany i opowiedział, co się wydarzyło. – Niech się ciocia nie dziwi, że zapomniałem o tej cholernej kawie.

– Mój Boże, taki dobry i uczciwy człowiek – rozczuliła się Nowakowa. – I co teraz będzie z jego dziećmi i żoną? Jak oni sobie biedni poradzą bez niego?

– Nie opuszczę ich – zakończył rozmowę i usiadł przy radioodbiorniku.

Pomimo tego, że słuchali wiadomości wszystkich dostępnych stacji radiowych, nie usłyszeli już żadnych nowości. Telefon w domu Kobaltów milczał przez cały dzień. Dopiero wieczorem Madera usłyszał w słuchawce smutny głos Agnieszki Kobalt.

– Od samego rana próbuję się z panią skontaktować. Słyszałem w wiadomościach... Nie mogę w to uwierzyć...

– Dobry wieczór. – Jej głos drżał. – Niestety... Michał zniknął z hotelu... nikt nie wie, co się z nim stało. Byłam dzisiaj w MSZ-ecie. Nic nie wiedzą. W ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać. Jankowskiego nie było. A może nie chciał mnie przyjąć... Plątałam się po pokojach. Nie potrafię sobie z tym poradzić... nie wierzę. Dzwonię do Michała od rana, ale ma wyłączony telefon. Nikt nie potrafi mi wytłumaczyć, jak można zniknąć z hotelu w środku Europy. Może pan... Łaziłam po korytarzach jak pijana i nikogo to nie interesowało. W końcu podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zaprowadził do pokoju. Byli we dwójkę. Nie odpowiadali na moje pytania, tylko obiecali pomoc i na tym się skończyło. Nawet nie wiem, czy będę mogła zorganizować pogrzeb.

– Jak to, czy będzie pani mogła? – zdenerwował się Madera.

– Nie wiem, panie Janku – odpowiedziała, szlochając. – Ja już nic nie wiem.

Całą noc rozmawiałam z Magdą... Niczego nie rozumiem – rozpląkała się na dobre.

– Pani Agnieszko, wie pani doskonale, że oddałbym duszę za profesora i za panią. Zaraz wsiadam w samochód i za godzinę będę u pani. Musi mi pani wszystko na spokojnie i ze szczegółami opowiedzieć.

– Dziękuję. Poproszę Madzię, żeby przysłała. Może znajdzie chwilę.

Gnał jak szalony, nie zważając na ograniczenia prędkości. Opanował już emocje związane z tragiczną wiadomością. Teraz chciał jak najszybciej być u Agnieszki. „Nawet nie wiem, czy będę mogła zorganizować pogrzeb”. Co chciała przez to powiedzieć?! To pytanie gnębiło go od zakończenia ich rozmowy telefonicznej. Dlaczego profesor zniknął? Gdzie był przez dwa dni? Kto go porwał i komu zależało na jego śmierci? Przecież to był taki spokojny i niekonfliktowy człowiek. Uczynny, mądry, przyjacielski. Nikogo nie zostawiał bez pomocy, a pieniądze nie były dla niego najważniejsze. Od niedawna dopiero osiągnęli niezależność finansową, ale wcześniej z trudem wiązali koniec z końcem, a mimo to zawsze dla niego liczył się człowiek. Zajęty takimi myślami Janek ani się spostrzegł, jak dotarł pod dom Kobaltów. Hm, do tej pory Kobaltów, a jak to będzie teraz po śmierci profesora... zastanawiał się, czekając, aż Agnieszka Kobalt otworzy mu bramę, żeby mógł zaparkować na podjeździe. Smutne to było przywitanie. Agnieszka, choć starała się opanować płacz, miała w oczach rozpacz. Zawsze zadbana, ze starannym makijażem i perfekcyjną fryzurą, tym razem wyglądała okropnie. Opuchnięte i podkrążone oczy, zaczerwieniony nos, włosy w totalnym nieładzie. Madera, który w czasie swoich dwóch misji nieraz ocierał się o śmierć, teraz w obliczu tragedii przyjaciół z trudem zachowywał spokój. Po krótkim uścisku dłoni w milczeniu podążył za panią domu do salonu.

– Panie Janku, to jest nasza przyjaciółka, Magdalena Strzelecka. – Agnieszka przedstawiła siedzącą w fotelu młodą kobietę.

– Magdalena – powiedziała, wstając na powitanie. Wtedy Madera rozpoznał ten głos. Popatrzył. Nigdy potem, gdy wracał pamięcią do tej chwili, nie potrafił odtworzyć swych uczuć. Zegary stanęły, dzwony się rozdzwoniły, piorun strzelił z jasnego nieba. Może tylko wtedy, gdy po raz pierwszy pocałował Jolkę, dawno temu w bidulu... też piekły go uszy.

– Jan... eee... Madera – dukał speszony, by wykrztusić po chwili pełne imię: – Janek.

– To ona odkryła zniknięcie Michała. Madziu... Ja nie mogę jeszcze o tym mówić, więc opowiedz panu Jasiowi. Przygotuję coś do picia. – Ocierając łzy, gospodyni w pośpiechu wyszła z salonu.

Południk 110

Zmarznięty Stiepan wrócił z lasu, przywożąc całe sanie drewna. Jak zwykle w piątek dostarczył strażnikom butelkę samogonu i poćć słoniny, dzięki temu mógł spokojnie przebywać wśród więźniów, podać im coś do jedzenia, papierosy, czasem gazety. Niewiele, ale skazańcy oczekiwali go co piątek z niecierpliwością. Jego wizyta to również ponad pół godziny dodatkowej przerwy w pracy, w czasie której strażnicy pili samogon, zagryzając grubą słoniną, a Stiepan uzyskiwał od nich coraz to ważniejsze informacje. O obozie, o więźniach, o tym, kiedy dostają wypłatę i kiedy przyjedzie nowy transport skazanych. Wszyscy byli przekonani, że Stiepan pije na równi ze strażnikami, jednak samotny woźnica tylko udawał, tak manipulując butelką, żeby samogon wypełniał kieliszki Rosjan. Odgrywanie pijaka nie było dla niego żadnym wysiłkiem. Jeszcze dziesięć lat temu był dobrze zapowiadającym się aktorem. Jedna wódka za dużo i parę zbyt szczerych słów na temat władzy radzieckiej sprowadziły Stiepana Sergiejewicza Maschadowa w bestialskie łapska KGB. Kariera aktorska runęła, a on sam dzięki pomocy rodaków ojca, Czeczenów, cudem uniknął śmierci w obozie pracy. Ukrywany kilkanaście miesięcy w górach, po upadku Związku Radzieckiego wybrał samotne życie niedaleko obozu pracy numer tysięcy czterysta dwadzieścia pięć. I tak minęło prawie pięć lat. Była to jego życiowa rola. Na deskach teatru czy planie filmowym nie mógł nawet marzyć o takiej kreacji. Przez te pięć lat przyzwyczaił wszystkich do wizerunku pomyłonego zapiewajły, pijaka, ot, niegroźnego dziwaka, który żyje samotnie w chacie za wsią. Nikomu nie szkodzi, a jego pieśni niejeden raz umilały czas w karczmie. Jak zwykle po całodniowym wypadzie do lasu Stiepan zaprowadził konie do stajni, dokładnie je natarł i wycesał tak, aby rozgrzać im skórę. Nasypawszy im obroku, wyszedł. Nigdy nie zamykał domu, ale drzwi stajni zawsze były zamknięte na dwie skomplikowane kłódki.

Idąc do domu, wziął naręcze drewna do rozpalenia w piecu. Mocno zmarzł dzisiaj. Pomimo początku marca dzień był bardzo chłodny. W czasie jego pobytu w lesie zmarło dwóch więźniów. Po prostu padli wyczerpani na ziemię i już nie wstali. Pół godziny przed powrotem do obozu ich zmarznięte ciała współwięźniowie rzucili na sanie. W trakcie kontroli przy bramie obozu stan liczebny musiał się zgadzać. Nieważne, żywi czy martwi. Ilu wyszło rano, tylu musiało wrócić.

Przez obszerną sień wszedł do dużej izby, poczuł ciepło i zapach pieczonego mięsa. Przed kominkiem, tyłem do niego, siedział zarośnięty mężczyzna. Czarne włosy, spięte mosiężną klamrą, spływały mu na ramiona. Nie słyszał wejścia Stiepana, toteż gdy ten klasnął w dłonie, podskoczył jak oparzony, a nabite na metalowy widelec mięso wpadło do kominka.

– Witaj, Siergiej! – wesoło krzyknął Stiepan, podchodząc do niego. – Cieszę się, że cię znów widzę.

– Witaj – odparł gość, zgrabnie wyjmując mięso z paleniska. – Czy ty zawsze musisz chodzić jak duch po własnym domu?

– Jak widzisz, czasem mam nieproszonych gości – odparł wesoło, rzucając drwa koło kominka. Dopiero teraz mogli uścisnąć sobie dłonie. – Najczęściej interesuje ich moja spiżarnia, choć był taki, co chciał się zapoznać z moją szafą.

– Czyżby ktoś znowu się tobą zainteresował? – zaniepokoił się gość.

– Nie. Od ponad roku nikt nie próbował – uspokoił go. – Ale trzeba być czujnym. Nigdy nie wiadomo, kto będzie chciał dostać dodatkowy przydział papierosów albo wódki.

– Jakież nowe wieści? – zapytał przybyły.

– To co zwykle. – Gospodarz, rozmawiając z Siergiejem, przygotowywał sobie posiłek. – Dwóch strażników przeniesiono do łagru numer osiemset dziewięćdziesiąt cztery. Dwóch nowych przybyło. To ich pierwsza taka robota, ale już się oswoili. Za tydzień przybywa nowy transport. Od naszego ostatniego spotkania zginęło pięćdziesięciu pięciu więźniów. A przecież byłeś u mnie niespełna trzy miesiące temu!

– O dwóch miskach letniej lury dziennie nikt długo nie pociągnie przy wyrębie lasu. – Siergiej, chociaż przyzwyczajony do tego typu informacji, aż się wzdrygnął. Rozpiął wojskową bluzę, w którą był ubrany, i spod koszuli wyciągnął zawieszoną na rzemieniu prostokątną skórzaną torebkę. Wyjął opakowaną w folię kopertę i podał ją Stiepanowi. – Ale w związku z tym nowym transportem mam dla ciebie przesyłkę. Od samego prezydenta. Sprawa podobno bardzo ważna i tak tajna, że nawet mnie nie powiedzieli, o co chodzi. Masz przeczytać i spalić list.

– W porządku. – Stiepan wziął kopertę, usiadł przy kominku i zajął się czytaniem. Po chwili uniósł wzrok znad kartki i chwilę patrzył na swojego gościa, jakby w myśli powtarzając treść listu. – Ty byłeś ostatnim gościem, który mnie odwiedził. Nie było żadnego kuriera, o którym pisze prezydent.

– Wyjechał, ale nie wrócił – wyjaśnił Siergiej, odwracając wzrok. – Major nie wie, czy tutaj dotarł. Nie było żadnego sygnału. Ludzie różnie mówią.

– A co mówią?

- No... – stracił cały animusz. Popatrzył z niepokojem na Stiepana.
- Gadaj! – Maschadow wstał i zrobił krok w kierunku kuriera.
- No właśnie... – zająknął się, ale spojrzawszy na wlepione w niego czarne oczy gospodarza, postanowił wałnąć prosto z mostu. – Mówią, że nie wiadomo czy tobie nie odbiło, albo czy nie zdradziłeś.
- I miałbym zabić kuriera?! – wyrzucił. – Czy was pojechało?! Zapomnieliście, jak się nazywam?! Kim jest mój wujek?! Jak mnie Sowietci załatwili?!
- Stiepan! Nie denerwuj się! Dużo się u nas zmieniło. Ty siedzisz tu jak u Pana Boga za piecem, a u nas w Groznych toczy się walka i nie Rosjanie są najgorszym przeciwnikiem. – Zatarł nerwowo dłonie. – Wielu zdradziło, wielu chce na naszej walce zarobić. Nie ma jedności w rządzie. Nie ma jedności w narodzie. Nie dziw się.
- Nie dziwię się – wyjaśnił gospodarz. – Tylko mnie to wkurwia! Powiedz tym tam – kiwnął głową w kierunku ściany – że nigdy żaden Maschadow nie zdradził i nie zdradzi. Zadanie wykonam, chyba że wcześniej zginę. – Jeszcze raz popatrzył na kartkę. – Powiedzieli ci, że skuter zostaje u mnie?
- Tak.
- Tyle dobrze. Jutro ustalimy, jak dostarczę cię do kowala, a teraz bierz się za jedzenie!
- Siergiej usiadł przy stole i łapczywie jadł kawał upieczonego mięsa. Stiepan jeszcze raz przeczytał list, po czym wrzucił go do ognia i dopilnował, by nie został nawet kawałeczek popiołu. Potarł czoło z zakłopotaniem. Po wielu latach spędzonych w pobliżu łagru stał się twardy. Inaczej nie mógłby żyć. Nabił swój kawałek mięsa na metalowy pręt i milcząco, piekł go na ogniu.
- Po kolacji zakrapianej samogonem rozmawiali długo w nocy. Nie była to jednak taka rozmowa, jaką prowadzili przez ostatnie trzy lata. Spłoszony Siergiej wypytywał o nazwiska zmarłych więźniów i starannie je zapisywał. Równie dokładnie zapisywał okoliczności ich śmierci, nazwiska strażników, którzy pomagali więźniom rozstać się z życiem: czy zabili ich pałką, czy strzałem w głowę, czy po prostu pozwolili skonać pod powalonym drzewem. Stiepan z kolei wypytywał o sytuację w Groznych, jednakże Siergiej niewiele mógł mu wyjaśnić, bo sam niewiele wiedział. W końcu był tylko kurierem.
- Nikt nie robi takiego samogonu jak ty – pochwalił gość, próbując w ten sposób zatrzeć podejrzenia.
- Przesadzasz – obruszył się Stiepan, lecz można było wyczuć zadowolenie w jego głosie. – Śpijmy, bo co prawda ty ruszasz w drogę dopiero w niedzielę, ale ja jutro muszę odbyć swój sobotni rytuał.
- Dobranoc. – Siergiej uśmiechnął się na wspomnienie opowieści gospodarza o jego codziennych, ściśle przestrzeganych nawykach. Był

najsprytniejszym agentem terenowym tajnego wywiadu budzącej się do życia Republiki Czecheńskiej.

Kraków, 21 marca 1996

Dzień podobny do dnia. Od pogrzebu Michała minęły już trzy tygodnie. Proszki na sen, po których można przez chwilę zapomnieć, noce przepłakane z głową wtuloną mocno w poduszkę, żeby przypadkiem dzieci nie słyszały. Dzieci. Przed nimi musiała trzymać fason. Najtrudniej było im to wytłumaczyć. Córka, starsza, zamknęła się w sobie i nie uroniła ani jednej łzy, choć Agnieszka widziała, ile ją to kosztowało. Natomiast syn, cztery lata młodszy, ciągle dopytywał się o ojca i cały czas popłakiwał. Jej już zabrakło łez. Początkowo chciała wziąć urlop lub zwolnienie lekarskie, ale przestraszyła się, że zwariuje w domu sama ze swoimi myślami. Zaopatrzyła się w środki nasenne i uspokajające. Całą dobę miała je pod ręką. Najgorsze były noce i sny. Ciągle śnił się jej mąż. Smutny, odległy... Nigdy nie mogła go dotknąć, nie słyszał, co do niego mówiła. Patrzył tylko na nią z daleka, a gdy chciała się do niego zbliżyć, znikał w oddali, by po chwili pojawić się w innym miejscu. Wołała go do utraty tchu, a on zatroskany w milczeniu wpatrywał się w jej oczy.

Bezwzględny budzik wyrwał ją ze snu. O pół do szóstej rano jak zwykle zrobiła sobie kawę i włączyła radio. Zaspana bosy poczłapała do stolika i zapaliła papierosa. Dawniej paliła sporadycznie i tylko w towarzystwie. Odkąd znikł, starała się nie używać nawet w myślach słowa „zmarł”, dzień zaczynała od kawy i papierosa. Piętnaście minut spokoju i samotności. Z przyzwyczajenia słuchała radia z Krakowa. Pierwszy dzień wiosny. Mój Boże, poznali się właśnie w pierwszy dzień wiosny dwadzieścia lat temu. Oboje byli studentami drugiego roku Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ona psychologii, on prawa. Ona pilnie uczęszczająca na wszystkie zajęcia, on wesoły, nieprzeciętną inteligencją nadrabiający nieobecności na ćwiczeniach spowodowane licznymi wyjazdami na zawody i zgrupowania zapaśnicze. Spotkali się u wspólnego znajomego. On świętował pierwszy medal na mistrzostwach Polski, oblegany przez dziewczyny, ona uległa prośbom swojego chłopaka, daleka od zachwyty bohaterem wieczoru, siedziała z boku, żałując straconego czasu. Nad ranem świeżo upieczony mistrz Polski odprowadzał nieśmiałą studentkę psychologii do Nawojki. Roześmiała się, gdy klęknął przed nią na schodach akademika i całując dłonie, zapewniał o niespodziewanej, ale dozgonnej miłości. Jacy byli wtedy szczęśliwi! Biedni, ale szczęśliwi. Pełni nadziei i marzeń. Kiedy to było? I czy w ogóle było?! Po

raz tysięczny chyba zadawała sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego tak musiało się skończyć ich małżeństwo?

Metalowa skrzynia, szczelnie zamknięta i zaplombowana, zabrała jej sens życia. Nawet nie mogła go pożegnać, pocałować, przytulić... Dlaczego?! Dlaczego musiał zginąć? Dlaczego nie pozwolono jej otworzyć trumny?! Dlaczego nikt nie chce jej powiedzieć prawdy? Dlaczego wszyscy ją upokarzają? Ot, chociażby wczorajsza wizyta u ministra Jankowskiego, który jeszcze kilka tygodni temu, przed śmiercią Michała, szczyił się ich przyjaźnią.

Warszawa, 20 marca 1996

– Nie rozumiem tego, panie ministrze. – Agnieszka Kobalt nawet nie starała się ukryć swojego zdenerwowania. – Od pogrzebu mojego męża minęły już prawie trzy tygodnie, a pan nie wywiązał się z obietnicy danej mi tego dnia.

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Jankowski nerwowo bawił się zapalniczką. – Przecież otrzymała pani odszkodowanie i to nawet powiększone na moją osobistą prośbę.

– Wie pan, zawiodłam się. Mnie nie interesują pieniądze. – Agnieszka zrobiła krótką przerwę, lecz nie pozwoliła ministrowi dojść do słowa. – Mnie chodzi o wyjaśnienie okoliczności śmierci mojego męża i znalezienie odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego kazał zaplombować trumnę.

– Pani Agnieszko, proszę się uspokoić. Jak wielokrotnie mówiłem, niebawem mamy otrzymać pełną dokumentację od naszych sojuszników. W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na pani pytania, bo sam niewiele wiem.

– Mówi to pan podczas każdej kolejnej rozmowy! Kim pan w końcu jest, ministrem niepodległego kraju czy chłopcem na posyłki naszych, jak to pan określa, sojuszników?!

Ostry atak Agnieszki nie pozostał bez reakcji ministra. Nerwowo wstał z fotela i podszedł do okna. Wrócił do biurka, by zamówić dla siebie kawę, jakby zapomniał o swoim gościu.

Agnieszka była wściekła. Wypłakała swoje i zaczęła powoli żyć ze świadomością, że już nigdy nie będzie przy niej Michała. Nie! Nie pogodziła się z jego śmiercią. Do końca życia będzie nosiła w sobie żalobę, ale teraz górę wzięła wściekłość. Tak, była wściekła. Od chwili, w której Magdalena przekazała jej informację o śmierci Michała, czuła, że coś jest nie tak, że nikt nie jest z nią szczerzy i nie chce powiedzieć jej prawdy. Prawdy o śmierci jej męża. A przecież miała do tego prawo! Nawet Magda unikała odpowiedzi na podstawowe pytania. Dlatego pomimo rozdzierającego jej serce bólu walczyła o prawdę. Nad trumną męża przysięgła, że wyjaśni okoliczności jego śmierci i jeżeli znajdzie jakiś punkt zaczepienia, doprowadzi winnych przed sąd. Była mu to winna. Jemu i sobie. Ideały Michała były też jej ideałami. Rozumieli się zawsze bez zbędnych słów i może dlatego przewyżdzali przeciwności losu, internowanie Michała, szykany nie tylko na uczelni, a w końcu ciężką harówkę po zmianie ustroju. Zahartowały ją tamte lata. Miała w sobie siłę do walki i było jej zupełnie obojętne, czy

minister się obrazi, czy sojusznicy poczują się dotknięci. Prawda musi zwyciężyć, tego nauczył ją mąż.

– Pani Agnieszko – minister starał się zachować spokój – gdyby pani mąż zginął w normalnych okolicznościach, w wypadku lub został napadnięty, słowem, gdyby okoliczności jego śmierci były czytelne, już dawno znalibyśmy prawdę. Niestety było inaczej...

– Inaczej? Czyli jak? Co pan chce powiedzieć?!

– Michał wyprowadził się z hotelu, zabrał wszystkie swoje rzeczy, zostawiając informację, że wzywa go umierająca ciotka z Paryża.

– Bzdura! Dobrze pan wie, że Michał nigdy nie utrzymywał z nią kontaktu. Zresztą, jej też na tym nie zależało. – Jankowski, który poznał Kobaltę w obozie dla internowanych w 1981 roku, poznał również dobrze historię Michała i jego rodziny. Przez długie godziny w obozie, odcięci od świata, od informacji, rozmawiali. Gdy zabrakło tematów politycznych, opowiadali o swoich rodzinach. Agnieszka wiedziała, że minister kłamie. Pragnęła wyjaśnić dlaczego.

– Po uzyskaniu informacji od pani Strzeleckiej zwróciłem się natychmiast o pomoc do odpowiednich służb. – Kolejna bzdura, nie zareagował na telefony Magdy, pomyślała Agnieszka, ale powstrzymała się od reakcji. – Poinformowałem również o tym fakcie pana Busha, z którym Michał przyjaźnił się, i wiem, że to właśnie z jego inicjatywy amerykańskie służby udzieliły Belgom znaczącej pomocy...

– Co CIA może mieć wspólnego ze śmiercią Michała?! – Agnieszka nie wytrzymała i głośno wykrzyczała swoje podejrzenia.

– Ja tego nie powiedziałem! – błyskawicznie zareagował minister, rozglądając się nerwowo po gabinecie. Poprawił aparat telefoniczny, po czym nie patrząc jej w oczy, powiedział: – To jest tylko pani wniosek, zresztą niepoparty dowodami!

– Niech pan nie będzie śmieszny, panie ministrze! Oboje dobrze wiemy, że poza granicami Stanów tylko CIA może działać legalnie. – Po nerwowym zachowaniu Jankowskiego Agnieszka nabrała pewności, że on dużo więcej wie, niż chce jej powiedzieć. Postanowiła drążyć temat, nie przebierając w środkach. – No więc, panie ministrze, co takiego wydarzyło się w Brukseli, że sama agencja włączyła się do akcji? Czy to na ich polecenie trumna została zaplombowana?

Jankowski wziął głęboki oddech, podniósł się, obszedł biurko i stanął przy fotelu Agnieszki. Nachylił się i zniżając głos do szeptu, powiedział:

– Nie powinienem tego mówić... – badawczo się rozejrzył, a następnie kucnął przy kobiecie. – Czy przed wyjazdem do Brukseli Michał zachowywał

się normalnie, to znaczy, czy nie dostrzegła pani jakiejś zmiany w jego zachowaniu?

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli?

– Czy... – zawahał się na moment. – Czy Michał robił jakieś plany finansowe?

– Nadal nie rozumiem. – Jej wściekłość zastąpiło zdumienie. Wyprostowała się nagle w fotelu i popatrzyła na ministra. – Może pan mówić jaśniej?

– No... czy Michał spodziewał się przyływu gotówki? Planował jakieś poważniejsze zakupy?

– Sugeruje pan... – zaczęła drżącym głosem i wtedy przypomniała sobie tamten zimowy wieczór, kiedy Michał po powrocie z kancelarii zamknął się w gabinecie. Po raz pierwszy zbył jej pytanie o źródło smutku. Powiedział tylko, że Sasza stracił dłoń.

– Nie. Niczego nie sugeruję. – Delikatnie dotknął jej dłoni.

– W porządku. – Agnieszka przypomniała sobie słowa Michała wypowiedziane tamtego wieczora: „Miałem gości z Czeczenii, Sasza stracił prawą dłoń”. Mój Boże, czyżby... Przestraszyła się tej myśli. Nie wiedziała, co powiedzieć. Po chwili milczenia zdobyła się na żart. Rzekła: – Tak, planował większy zakup. W Brukseli przy zakupie dwudziestu czterech par skarpetek jedna para jest o połowę tańsza niż w Polsce.

– Pani Agnieszko! Parę dni przed wyjazdem do Brukseli Michała odwiedzili goście z Czeczenii...

– A... – Krzyk zamarł na ustach Agnieszki. Nie potrafiła jeszcze poskładać wszystkich informacji i swoich domysłów w jedną całość. Zbyt wiele było niedomówień i dwuznacznych słów oraz dziwnych zachowań. Zbyt wiele wyczuwała obłudy i sztucznej troski, ale jednego była pewna: za wszelką cenę musi bronić dobrego imienia Michała.

– Istnieją również dowody na to, że profesor dostarczył do Brukseli tajne dokumenty, i to zdobyte w nielegalny sposób. Jak więc pani widzi, sprawa jest poważna i może mieć katastrofalne skutki dla naszego członkostwa w NATO oraz w Unii Europejskiej. Pani wyobraża sobie ten skandal? Członek oficjalnej delegacji polskiej, dyplomata, przewożący materiały szpiegowskie?!

– Dość! – Tego Agnieszce było już za wiele. Poderwała się z fotela, stanęła, opierając się rękoma o biurko. Patrząc z góry na Jankowskiego, powiedziała cicho: – U nas na prowincji mówi się, że są trzy prawdy. Prawda, też prawda i gówna prawda. Wszystko, co od pana usłyszałam, należy do tej trzeciej kategorii. Żegnam, ale niech pan nie myśli, że tak łatwo odpuszczę! Nie pozwolę szkalować dobrego imienia mojego męża!

Linia telefoniczna Wschód – Zachód

- Witaj, Aleks. Czarne gotowe?
- Witaj. Jestem gotowy.
- Goniec c jeden na g pięć. Co tam, na Boga, u was się dzieje?
- Roszada. Nie wiem, Henry. Za chwilę wybory, a Borys coraz więcej pije.
- Pionek e dwa na e trzy. A Władimir Władimirowicz?
- Aż się pali, by wskoczyć na fotel Borysa, ale jeszcze nie czas. Pionek na h sześć.
- Znów był przeciek. Do nas i do Solany. Goniec g pięć na h cztery. Macie, cholera, coraz bardziej dziurawą ochronę. Jak tak dalej pójdzie, to będziecie mogli w internecie zamieścić wszystkie swoje tajemnice!
- I co ja mam ci odpowiedzieć? Pionek b siedem na b sześć.
- Jak republikanie dorwą się do tych dokumentów, to zażądadają blokady kont waszych ludzi albo wycofania wojsk z Czeczenii. Pionek c cztery bije pionka d pięć.
- Skoczek f sześć bije pionka d pięć!
- Solana gra nie *fair*. Tylko potępił wasz atak na Czeczenie, a od Billa zażądał ostrej reakcji! Pilnuje swojego tyłka. Goniec h cztery bije gońca e siedem.
- Henry! Robimy, co możemy. Już mamy kuriera. Hetman d osiem bije gońca e siedem.
- A ten pomysł z budką telefoniczną?! Amatorszczyzna! Dawniej takie wypadki wam się nie zdarzały!
- To nie my, to sami Czeczeńcy!
- Jeszcze lepiej! Dobrze wiesz, że Bill popiera Borysa. Jeśli do tych dokumentów dorwą się media, to katastrofa.
- Masz jakiś pomysł?
- Jasne. Wystawimy Polakowi akt zgonu i to załatwi sprawę. Ty go schowaj, ale dajcie mu pożyć, byle z dala od Europy i Ameryki. Wyciszysz Czeczeńców, ot, dajcie im na chwilę jakiś ochłap wolności, byle do wyborów się uspokoiili. A Bill postara się uspokoić Solanę. Skoczek c trzy bije skoczka d pięć!
- Świetny ruch!

Linia kolei transsyberyjskiej, 21 marca 1996

Pierwsze promienie słońca przedostające się przez zabite deskami okno wagonu towarowego odsłaniały smutny widok. Ciasno stłoczona gromada brudnych, zarośniętych i wychudzonych mężczyzn kołysała się bezwolnie w rytm przechyłów wagonu. Było ich zbyt wielu, żeby mogli wygodnie położyć się na rozsypanej na podłodze wagonu słomie, toteż stłoczeni, siedząc z podkurczonymi nogami, przymusowo przytuleni do siebie, usiłowali choć na chwilę zapaść w sen. Przez pozbawione szyb okno i nieszczelne drzwi do wagonu wpadały strugi lodowatego powietrza. Pod wpływem zimna cierpły nogi i drętwiały kręgosłupy, w związku z czym co rusz któryś z nieszczęśników próbował zmienić pozycję, przerywając niespokojną drzemkę sąsiadom. Zjednoczeni wspólnym nieszczęściem, początkowo próbowali jeszcze zachowywać się jak ludzie, pomagając sobie nawzajem w wyborze jak najlepszej pozycji do snu, lecz z czasem, gdy zimno potęgowało ich zmęczenie, gdy głód i pragnienie pozbawiały sił, stawali się coraz bardziej nerwowi i coraz bardziej zaczepni. Jedynie brak miejsca powstrzymywał ich od bójek, chociaż nie obeszło się bez przekleństw, złorzeczeń, poszturchiwań łokciami, rozpychania nogami. Potem na jakiś czas w wagonie zaległa cisza i bezruch. Jechali już prawie trzydzieści sześć godzin, bez jedzenia, bez picia, nie licząc paru wiader wody, które pilnujący pociągu strażnicy wiali do środka przez otwór w dachu. Tłum spragnionych zafalował wtedy i ruszył w kierunku otworów w dachu. Byleby tylko złapać parę kropeł życiodajnego płynu. Osłabieni z głodu, otępiali z braku snu, kołysali się w ciszy wschodzącego słońca, nieczuli na piękno mijanych terenów, nieczuli na pierwszy dzień wiosny. Wokół rozchodził się smród uryny i kału. Wszystkie potrzeby fizjologiczne na początku podróży załatwiali w niedużym wiadrze w rogu wagonu, natomiast w miarę zmęczenia coraz mniej osób miało siłę i możliwość przedostania się do i tak przepełnionego już wiadra. Bogu dzięki, że na zewnątrz był mróz, bo gdyby to było upalne lato, podusiliby się we własnym smrodzie. Ale w wagonach nikt nie myślał o Bogu, nikt się nie modlił, a jeżeli już, to o rychłą śmierć. Przeżyli piekło za życia, czyściec na ziemi. Torturowani fizycznie, maltretowani psychicznie. Wraki ludzkie zbite w wagonach ze ślepo patrzącymi oczyma, z niemo otwartymi ustami.

W rogu wagonu, naprzeciwko wiadra, siedział wtulony w kąt mężczyzna,

który już na pierwszy rzut oka odróżniał się od swoich współtowarzyszy niedoli. Był w dużo lepszym stanie fizycznym. Co prawda kilkudniowy zarost pokrywał zapadnięte policzki, ale w odróżnieniu od pozostałych nieszczęśników jego twarz pozbawiona była trupiego wyglądu. Spojrzenie spokojnie przesuwało się po obliczach skłębionych wkoło mężczyzn. Jako jedyny w wagonie nie miał głowy wygolonej przez fryzjerów podległych generałowi Kriuczukowowi. Co parę sekund, jak w zegarku, z jego ust przez centymetrową szparę w przednich zębach wydobywał się cichy gwizd. Dwadzieścia lat temu poznał swoją przyszłą żonę. Uśmiechnął się i zamknął oczy. Dokładnie pamiętał ten jej niedowierzający uśmiech, gdy zaledwie po kilku godzinach znajomości wyznawał jej miłość. Choć ślub wzięli dwa lata później w sierpniu, to jednak jego pierwsze wyznanie było rokrocznie świętowane. Dwudziesta rocznica miała być szczególna. Jeszcze rok temu śmiał się, że w 1976 roku razem wsiedli do pociągu i rozpoczęli wspólną podróż w nieznane. Minęło dwanaście miesięcy, a on sam zaczął podróż w nieznane, pociągiem pędzącym po szerokich torach. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest stacja przeznaczenia. Zaczynał wątpić w to, czy jeszcze kiedyś zobaczy żonę i dzieci. Jedno było pewne: to, o czym czytał z niedowierzaniem, było teraz jego przeznaczeniem. Karne obozy pracy w pretendującej do miana państwa demokratycznego Federacji Rosyjskiej.

Próbował przedrzeć się przez czarną zasłonę, skutecznie skrywającą pamięć o ostatnich tygodniach. Szpital – to jedyne, co pamiętał dokładnie, ale już nie wiedział, skąd się tam wziął. Teoria wypadku podawana do znudzenia przez lekarza w miarę upływu kilometrów, w miarę wzrostu głodu, stawała się coraz bardziej niewiarygodna, abstrakcyjna. Nasilający się głód pobudzał oziębiały umysł do pracy. Zaczęły się pojawiać pierwsze obrazy, strzępy rozmowy...

Moskwa, 9 lutego 1996

– I jak pan sądzi, profesorze, jaki tekst przekazałem mojemu człowiekowi? – Generał zakończył beztrąsko opowiadać historię ostatnich godzin Kobalca i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Otóż kazałem mu napisać następujące słowa: „Dzwonił ordynator ze szpitala w Paryżu. Moja ciotka musi przejść poważną operację i prosi o natychmiastowy przyjazd. Adres szpitala: Institut Mutualiste Montsouris, 42 Boulevard Jourdan, 75014 PARIS”. Oczywiście, gdyby komuś przyszło do głowy sprawdzenie linii papilarnych, znajdzie przede wszystkim pańskie.

Mieszanka alkoholu wypitego w Le Petit Moulin Rouge i narkotyków, którymi został nafaszerowany przez agentów, nie wyszła profesorowi na zdrowie. Potworny ból rozsadał mu głowę, był senny i chciało mu się pić. Język w ustach był sztywny niczym dyszel krakowskiej dorożki, a przez głowę co chwila przelatywało mu galopem stado bizonów. Do tego jeszcze był zupełnie zdezorientowany. Nie wiedział, gdzie jest, i nie rozumiał, czego chce siedzący naprzeciw mężczyzna. Co prawda prowadził swój monolog po polsku, ale z obcym akcentem. Opowiedział mu historyjkę, według której teraz znajdowali się w Moskwie. Jednak ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było zderzenie z mężczyzną biegnącym po korytarzu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było, ale był pewny, że w Brukseli. Więc dlaczego ten obcy facet wmawia mu, że znajdują się w Moskwie? I skąd, do cholery, wie o jego ciotce w Paryżu? Patrzył prawie niewidzącymi oczyma na nieznajomego ubranego w szary, doskonale skrojony i dopasowany garnitur. Próbował zebrać myśli. Żeby tylko mógł wydobyć głos. Niestety każda próba kończyła się żałosnym charkotem. Chciał poprosić o szklankę wody stojącą na biurku, próbował wstać, lecz nie miał siły podnieść się ze stołka. Mięśnie rąk i nóg odmówiły posłuszeństwa. Nie był w stanie utrzymać się na nogach. Pamiętał, że zaraz po przebudzeniu dwóch mężczyzn ubranych w czarne mundury polowe i kominiarki chwyciło go pod ramiona i niczym worek przyniosło do tego pokoju. Odwrócił głowę, chcąc zobaczyć, co się znajduje za oknem. Lecz z miejsca, w którym się znajdował, widział tylko pozbawione liści szczyty drzew, oświetlone blaskiem ulicznych lamp. W pokoju rozległ się smaczny dźwięk przelewanej cieczy, piękny niczym szmer leśnego strumyka. Kobalt skierował oczy w stronę biurka. Nieznajomy powoli przelewał piwo z butelki do szklanki. Gdy szklanka była już w połowie napełniona piwem

pokrytym śnieżnobiałą pianą, mężczyzna podniósł szklanę do ust. Rozległo się głośne siorbanie. Po chwili odstawił naczynie na blat, odetchnął z wyraźnym zadowoleniem i znowu zaczął napełniać szklanę. Znow szmer leśnego strumyka dobiegł do uszu Polaka. Nie wytrzymał i zebrawszy resztki sił, poderwał się ze stołka, by chwycić butelkę z resztką piwa. W tym momencie sufit zwałił mu się na plecy. Nie był w stanie wytrzymać potwornego bólu, który przeszył jego kręgosłup od nerek po łopatki. Nieprzytomny upadł pod tym ciężarem.

– Oj, Wania, Wania... Nie można tak traktować gościa. – Jak przez mgłę usłyszał głos nieznanego. Wylany z wiadra strumień wody przywracał mu świadomość. Łapczywie oblizywał wargi, próbując zgarnąć do ust jak najwięcej tego życiodajnego płynu. – Proszę mu wybaczyć, profesorze. Jest jeszcze młody i wyrywny. Wania, podnieś gościa i posadź na krześle.

Mężczyzna nazwany Wanią, nie namyślając się, złapał Kobalta za poły marynarki i niczym manekina rzucił na stołek. W ostatniej chwili Michał chwycił lewą ręką za oparcie, ratując się tym samym przed ponownym spotkaniem z parkietem.

– Będziemy powoli kończyć naszą pogawędkę – kontynuował nieznanomy. – Sądzę, że po tylu przeżyciach należy się panu pokaźna porcja zabiegów rehabilitacyjnych. Mam nadzieję, że mimo zmęczenia zapamiętał pan choć trochę z naszej rozmowy, a gdyby nie, to niebawem się spotkamy i będzie pan miał okazję wszystko jeszcze raz usłyszeć. Wania, zaprowadź gościa do sali zabiegowej.

– Tak jest – wrzasnął i chwyciwszy Kobalta za kołnierz, wywlóknął go na korytarz.

– Pamiętaj, że chcę z profesorem jeszcze porozmawiać – krzyknął za nimi nieznanomy.

Wleczony za kołnierz profesor próbował zachować pozycję pionową i o własnych siłach podążać obok zamaskowanego mężczyzny. Niestety jeszcze było na to za wcześnie.

Doszli do końca korytarza. Wania otworzył metalowe drzwi i wepchnął Polaka do środka.

– *Nu, razbirajsja!* – rozkazał.

Michał z trudem utrzymał równowagę, ratując się przed upadkiem na kamienną podłogę. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystkie ściany i sufit pomalowano farbą olejną na kolor ciemnopopielaty. Nie było tu żadnych okien, a jedyne źródło światła stanowiła żarówka osłonięta metalowym koszem. Naprzeciwko drzwi, przez które weszli, znajdowały się inne,

bliźniaczo do nich podobne.

– *Nu, ja skazał, razbirajsja!* – powtórzył rozkaz.

– Tak – zachrypiał Kobalt i było to jedyne słowo, które w tej chwili mógł wypowiedzieć. Rozglądając się, zauważył, że pod ścianą znajdują się drewniane ławki, a nad nimi wbite w mur gwoździe. Próbował zrobić krok w kierunku ławki, lecz upadł. W tym momencie dosięgnął go celnie wymierzony kopniak. Uderzenie było tak mocne, że Michał niczym na zjeźdźalni przejechał po kamiennej podłodze, uderzając głową w ścianę. Na chwilę znów stracił świadomość. Potwornie ostry ból w okolicach nerek przywrócił mu ją natychmiast. Drugi cios długą pałką wylądował na łopatkach. Ból wywołany uderzeniami powoli przywracał jasność umysłu. Wściekłość rodziła siłę. Jeszcze był skory do oporu. Poderwał się na nogi i zdołał uchylić się przed kolejnym kopniakiem. Nie trafiwszy w cel, napastnik stracił równowagę. Michał już szykował się do skoku na leżącego, gdy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wpadł następny zamaskowany mężczyzna. Nie namyślając się, machnął pałką i trafił w głowę profesora. Ten upadł na ziemię. Przybyły systematycznie niczym wahadło zegara okładał Michała. Uderzenia były precyzyjnie mierzone, poza tym pierwszym żadne nie trafiło w głowę profesora. Sprawiały piekielny ból, lecz nie pozbawiały przytomności. Kobalt próbował parokrotnie wstać i osłonić się rękami, lecz miał na to za mało siły. W pewnym momencie ciosy ustały. Zamaskowani mężczyźni stali w rozkroku na środku sali, uderzając pałkami o swoje dłonie.

– *Poliak, razbirajsja! Bystro!* – krzyknął towarzysz Wani.

Michał, obolały, powoli ściągał poszczególne części garderoby. Ręce, nogi, klatka piersiowa poprzecinane były czerwonymi pręgami. Gdy został w samych slipach, spojrzał pytająco na oprawców.

– *Dalsze* – krzyknął Wania i widząc jego wahanie, znacząco machnął pałką.

Michał Kobalt posłusznie spełnił rozkaz. Zupełnie nagi stał naprzeciw katów. Nie odczuwał wstydu, nie czuł nawet złości czy nienawiści. Dziwił się własnej postawie. Być może działała jeszcze mieszanina alkoholu i narkotyków. Dawka musiała być spora, bo mimo wysiłków nie potrafił sobie przypomnieć żadnych szczegółów po wypadku w hotelu. Patrzyły na niego dwie pary zupełnie spokojnych oczu. Nie zauważył w nich nienawiści. Spełniają swoje obowiązki, pomyślał. Jedni przychodzą do pracy, żeby sprzedawać towary, inni, żeby uczyć, a ci, żeby bić. Dokładnie i precyzyjnie, ani za mało, ani za dużo. Po prostu dobrze wypełniają swoje obowiązki, przemykało Kobaltowi przez myśl. Chwila, w której ich spojrzenia się skrzyżowały, trwała ułamek sekundy.

– *Idi* – polecił Stiepan, otwierając drzwi.

Do pomieszczenia wpadł strumień mroźnego powietrza. Polak niepewnie popatrzył na strażników. Zrozumiał znaczące machnięcie pałką. Niepewnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Dreszcz wstrząsał całym ciałem, stopy parzyły, jakby chodził po nagrzanej do czerwoności blasze. Mimowolnie skrzyżował ręce na piersiach, jakby chciał osłonić się przed mroźnymi podmuchami wiatru. Rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na dziedzińcu z czterech stron otoczonym budynkami. Nieliczne światła w oknach sygnalizowały, że są tam żywi ludzie. Oprawcy czy więźniowie, zastanowił się Michał i w tym momencie uderzył go mocny strumień wody. Nieprzygotowany na to upadł na bruk. Wielkość i siła strumienia stale się zwiększały. Próbował wstać, lecz znów woda powaliła go z nóg. W zetknięciu z zamrożonym brukiem momentalnie utworzyła lodową powierzchnię. Powoli strumień wody przesunął nieszczęśnika po powstałym lodowisku. Z trudem łapał oddech. W pewnym momencie zachłysnął się. Zdołał odwrócić głowę w drugą stronę. Woda uderzała w plecy. Zdzierając sobie skórę z kolan i łokci, czuł, jak wyciekająca krew ogrzewa ciało. Nagle zwymiotował i w tym momencie zauważył, że jest oświetlony przez silny reflektor, który podąża za nim w miarę, jak przesunął się po dziedzińcu. Strumień wody równie niespodziewanie jak się pojawił, tak zanikł. Powoli, ciężko dysząc, profesor podniósł się. Nie czuł już zimna, nie czuł bólu. Dokoła panowała zupełna cisza. Czy krzyczałem? Zastanowił się, oślepiony światłem reflektora. Nie widział nic. Tylko poczuł, że na szyi ktoś zacisnął mu metalową obrozę. Ostre szarpnięcie o mało nie powaliło go na ziemię. Z trudem, ale na własnych nogach podążał za łańcuchem, do którego była przymocowana obroza. Siła zwiększała się systematycznie, jednak nadażał. Coraz szybciej, coraz szybciej i szybciej. Biegł uwiązany na łańcuchu dookoła dziedzińca niczym koń w kieracie. Cały czas reflektor świecił mu w oczy. Powoli zaczynał odczuwać ciepło. Co prawda wpadające przez otwarte usta powietrze mroziło gardło i płuca, ale na całym ciele zaczynał odczuwać wyższą temperaturę. Przekroczył czas, przekroczył przestrzeń, nie myślał o niczym, byle zdążyć, byle nie dać się przewrócić. Zatracił się w tym biegu. Przypomniał sobie czasy, gdy jako uczeń liceum, a potem student trenował zapasy. Ile lat, ile wieków minęło od tego czasu. Powoli wyrównał oddech. Już nie ustami, a nosem wciągał mroźne powietrze. W trakcie tych tortur zniknął ból głowy, wróciła jasność umysłu, po kacu nie pozostał najmniejszy ślad. Powoli docierały do niego ostatnie wydarzenia. Czy to możliwe, żebym był w Moskwie? Przecież to jest kilka tysięcy kilometrów od Brukseli. Chociaż

z drugiej strony, nie wiem, jak długo byłem bez świadomości. Mogli mieć wystarczająco czasu, aby mnie przewieźć. A kontrola paszportowa w Belgii? Przecież nie można ot tak sobie przeprowadzić przez granicę nieprzytomnego człowieka. Chociaż... Kto powiedział, że byłem nieprzytomny? To, że niczego nie pamiętam, wcale nie znaczy, że byłem nieprzytomny. Czytałem o takich sposobach podawania określonych narkotyków, że człowiek traci świadomość, ale zachowuje się tak, jakby był pijany. Po ustaniu działania środków nie jest w stanie sobie przypomnieć tego, co robił i co mówił.

Z dalszych rozważań wyrwało go gwałtowne uderzenie w klatkę piersiową. Mimowolnie skulił się, oczekując dalszych ciosów. Te jednak nie nastąpiły. Z ulgą spostrzegł, że uderzył o ciągnący go dyszel. Koniec biegu. Było mu gorąco. Pot spływał strumieniami po całym ciele, dając uczucie przyjemnego chłodu. Panowała temperatura blisko dwadzieścia stopni mrozu, a on pomyślał o miłym chłodzie. Poczul szarpnięcie obroży i bezwiednie ruszył przed siebie. Po chwili weszli do tego samego pomieszczenia, w którym wszystko się zaczęło. Wania ściągnął obrożę z łańcuchem.

– Ubieraj się – rozkazał jego kompan, rzucając Kobaltowi ręcznik. – Wania, dawaj samogon.

Strażnik sięgnął do skórzanej torby. Wyjął naczynie i nalał pół szklanki przezroczystej cieczy. Zakorkował butelkę, szklanekę zaś szybko podał Stiepanowi.

– Pij – polecił Stiepan.

– Nie – odparł więzień, dziwiąc się tembrowi swojemu głosowi. W tym momencie milicyjna pałka minęła o parę milimetrów nos Polaka. – No dobrze, tylko muszę usiąść.

Strażnik skinął głową. Kobalt podniósł szklanekę do ust, wciągnął powietrze i na pełnym wdechu duszkiem wypił jej zawartość. Mroźne powietrze, które przed chwilą rozdzierało mu płuca, było niczym w porównaniu z tym, co się teraz działo w jego gardle. Przez moment pomyślał, że dano mu do wypicia kwas, ale wyraźnie wyczuł zapach alkoholu. Całą swoją siłę skierował na przełknięcie wódki bez zakrztuszenia się. Płyn spłynął do żołądka, momentalnie rozgrzewając cały organizm. Po paru sekundach więzień zdołał wypuścić powietrze i normalnie oddychać. Spojrzał w oczy strażników. Chłód. Chociaż wydawało mu się, że w ich oczach na krótko zobaczył błysk podziwu. Chwilę siedział, delektując się ciepłem, które rozchodziło się promieniście od żołądka po całym organizmie. Przez moment mgła przykryła mu widok. Postacie mężczyzn rozpułyły się w powietrzu, ale trwało to zaledwie parę sekund. I wszystko wróciło do normy. Nie czuł nawet bólu po uderzeniach, nie czuł poranionych stóp i kolan. Czyżby w tym samogonie był

również jakiś narkotyk?

– *Nu, dawaj* – poleciał jeden z katów i otworzył drzwi.

Ruszyli korytarzem, a następnie windą wyjechali na piąte piętro.

– Witam! Witam pana profesora. – Nieznajomy, tym razem w ciemnym garniturze, podniósł się zza biurka. – Widzę, że pan jest w doskonałej formie. Prawda, że nasze metody pozbawiania skutków nadużycia alkoholu są rewelacyjne?

– Żądam natychmiastowego widzenia się z ambasadorem Polski – powiedział Kobalt, starając się, by jego głos zabrzmiał stanowczo. – Proszę mnie natychmiast uwolnić!

– Czyżby nie odpowiadała panu moja gościna, profesorze Kobalt?

– W gošcinę przychodzi się dobrowolnie.

– Niech pan będzie uprzejmy usiąść i uspokoić się – poleciał nieznajomy. – Zaraz wyjaśnię panu całą sytuację, choć w naszej poprzedniej rozmowie powiedziałem panu, gdzie pan jest i dlaczego. Widocznie skutki imprezy w Le Petit Moulin Rouge były znacznie silniejsze, niż przewidywałem.

– Nie będę z panem rozmawiał – protestował Kobalt. – Jakim prawem mnie więzicie?

– Niech pan się uspokoi. Proszę usiąść. Zaraz panu wszystko wytłumaczę. Nazywam się Kriuczokow i jestem generałem, szefem Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej – przedstawił się nieznajomy, gdy Kobalt usiadł na krześle. – Znajduje się pan w centrali, przy placu Dzierżyńskiego w Moskwie. A Moskwa, gdyby pan nie wiedział, leży niedaleko od Krakowa i trochę więcej kilometrów od Alma Grand Place Hotel w Brukseli, w którym pan do wczoraj mieszkał.

– Czego ode mnie chcecie? – przerwał mu niecierpliwie. Generał miał poniekąd rację. Jeżeli prawdą jest to, co opowiadał generał, to jest jeszcze dziewiąty lutego, a wtedy faktycznie miał być dzień wolny. John zapewne obudzi się około południa i zanim dojdzie do siebie, minie parę godzin. Być może zadzwoni do niego, ale brak odpowiedzi potraktuje jako przedłużające się skutki kaca. Istnieje więc obawa, że jego nieobecności nie zauważy nikt do jutra rana. – Nie sądzę, żebym posiadał informacje, które by pana mogły zainteresować.

– Cóż, skromność zawsze była pańską cechą, ale w tym momencie trochę pan przesadza. Rosja została zmuszona do podjęcia negocjacji na temat wycofania wojsk z Czeczenii. Stoimy chwilowo na przegranej pozycji i to dzięki panu.

– Teraz to pan mnie przecenia – odparł Kobalt. Więc o to chodzi, pomyślał.

Jednak Pietrow miał rację. Głośno dodał: – Fakt, że przebywałem w Brukseli, nie oznacza, że miałem coś wspólnego z wezwaniem Solany. Równie dobrze może mnie pan posądzić o próbę gwałtu na żonie waszego prezydenta. Jestem w Moskwie i jak pan zapewne wie, mam wszystkie potrzebne do tego instrumenty.

– Cenię sobie pańskie poczucie humoru – roześmiał się generał, lecz natychmiast spoważniał. – Chcę tylko wiedzieć, czyj podpis figurował w prawym górnym rogu dokumentów, które pan przekazał Amerykanom w imieniu Dasajewa.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Profesorowi, przynajmniej tak sądził, udało się ukryć wstrząs, jakiego doznał, słuchając słów Rosjanina. – Nie znam żadnego Dasajewa.

– Niech pan nie zaprzecza – kontynuował Kriuczokow, bacznie obserwując twarz Polaka. – Dwa tygodnie temu do pańskiej kancelarii przy Rynku Głównym w Krakowie przybyło dwóch cudzoziemców. Profesor Dasajew i generał Pietrow. Jak sądzę, wtedy właśnie przekazali panu kopie dokumentów, które mnie interesują.

– Skoro jest pan tak dobrze poinformowany, to dlaczego nie zapyta pan tych dwóch panów, którzy rzekomo u mnie byli? Sądzę, że oni zaspokoiliby pańską ciekawość.

– Zapewne ma pan wielu przyjaciół na Zachodzie, którzy w tej chwili są bardzo zmartwieni pańskim zniknięciem. – Kriuczokow zignorował pytanie Kobalta. – Mam powody przypuszczać, że zrobią wiele, by odkryć miejsce pańskiego aktualnego pobytu. Prywatnie powiem panu, że wcale im się nie dziwię. Powiem więcej. Rozumiem ich i rozumiem również pana. Mnie też nie podoba się to, co dzieje się w Czeczenii. Rozmawiałem nawet na ten temat z prezydentem, ale co innego prywatne poglądy, a co innego wypełnianie misji publicznej. Przyzna pan, że jako szef bezpieczeństwa państwa muszę dbać o to, aby żadne informacje nie opuszczały Rosji bez naszej wiedzy. Tak postępuje każde cywilizowane państwo. Za niecałe cztery miesiące są u nas wybory prezydenckie. Teraz szczególnie musimy się chronić przed przeciekami. Jeżeli pan chce jak najszybciej zobaczyć swoich znajomych i rodzinę, to proszę dobrowolnie odpowiedzieć na moje pytanie.

– A jeśli nie odpowiem?

– No cóż, to pański wybór. Jak pan się przekonał, dysponujemy świetnymi fachowcami w dziedzinie usuwania kaca. Może mi pan wierzyć, że ci od skłaniania do mówienia prawdy biją ich na głowę. – Wstał i podszedł do siedzącego Kobalta. Popatrzył mu prosto w oczy. – Prezydent dał mi wolną rękę. Nie interesuje go, jakimi sposobami dotrę do prawdy. Jest pan wybitną

osobistością, dlatego postanowiłem osobiście pana przesłuchać. Jestem przekonany, że doceni pan moje starania, zaspokoi naszą ciekawość i szybko wróci do Brukseli, zapominając o całym zdarzeniu.

– W innych okolicznościach, generale, byłbym zobowiązany – odparł Kobalt trochę zdeorientowany zachowaniem Kriuczkowa. Cholera, rozmyślał gorączkowo, to już druga osoba, która mi mówi, że traktuje mnie wyjątkowo, a ja wpadam w coraz większe bagno. Dodał: – Traci pan czas. Nic nie wiem o żadnych dokumentach. Nie znam Dasajewa ani tego drugiego człowieka. Proponuję więc, abyśmy zakończyli nasze uroczne spotkanie.

– Rozmowa z panem to przyjemność – zaooponował Kriuczkow – która rzadko mnie spotyka. A poza tym, liczę na pański rozsądek. Dokumenty, które przekazał pan Amerykanom, były w posiadaniu czterech ministrów, oczywiście piąty egzemplarz ma prezydent. Jego możemy jednak wykluczyć. Jeżeli z podejrzeń oczyścimy również mnie, to otrzymamy trzy osoby. Trzech ministrów, z których jeden albo jest zdrajcą, albo ma u siebie w gabinecie zdrajcę. Zapewne przyzna mi pan rację. Jeżeli komuś się nie podoba polityka rządu wobec Czeczenii, to powinien odejść z rządu, a nie w chwili słabości przekazywać wrogowi tajne informacje.

– Pozwoli pan na małą dygresję – przerwał mu Kobalt, który powoli odzyskiwał spokój. – Gdyby nie ta słabość ludzka, byłby pan bezrobotny.

– Bardzo celna uwaga, profesorze – roześmiał się Kriuczkow. – Niemniej jednak co innego jest wykorzystywać słabości ludzkie w celu zdobywania informacji, a co innego tracić je w ten sposób. Apeluję do pana rozsądku i uczciwości. Rosja jest potęgą nuklearną, czy się to komuś podoba, czy nie. Ten, który przekazał informacje Czeczenom, nie zrobił tego z pobudek ideologicznych. Może mi pan wierzyć na słowo, nie ma w naszym rządzie nikogo, kto coś takiego zrobiłby bezinteresownie. Podejrzewam, że albo otrzymał za to pokaźną kwotę, albo jest szantażowany. Niech pan sobie teraz wyobrazi, że Amerykanie znając jego nazwisko, bo inaczej nie kupiliby tych dokumentów, zwrócą się po inne, o wiele groźniejsze nie tylko dla Rosji, ale również dla Europy czy świata. Mają go w garści i mogą żądać wszystkiego, czego chcą. Lub jeszcze gorzej, mając dostęp do super tajnych dokumentów, dotrze do terrorystów. Chciwość ludzka nie zna granic. Weźmie pan na siebie taką odpowiedzialność? Musimy, profesorze, ten przeciek zlikwidować w imię pokoju na świecie.

– Sądzę, że niepotrzebne są te pańskie wywody – już trochę mniej pewnie odpowiedział Polak – ponieważ niczego nie wiem o żadnych dokumentach. Faktycznie byli u mnie wspomniani przez pana ludzie, ale przyszli w zupełnie innych sprawach.

– Broni pan przegranej sprawy. – Generał kontynuował niezrażony. – Nawet jeśli teraz opuścimy Czeczenię, to zaręczam panu, że w ciągu kilku lat wrócimy tam i zmiażdżymy ich. To, że pan ujawni nam nazwisko informatora z Moskwy, nie ma żadnego wpływu na los Czeczenii. Te ziemie były, są i będą pod rządami Moskwy i żadne sankcje Zachodu tego nie zmieniają. Radzę to przyjąć do wiadomości, panie profesorze. Oszczędzi to mnie kłopotów, a panu cierpienia.

– Zastanawiam się, dlaczego poświęca mi pan tyle czasu – wtrącił Kobalt – zamiast od razu oddać mnie w ręce pańskich katów.

– Niech pan nie będzie dziecinny, profesorze. Torturowanie ludzi nie należy do moich ulubionych rozrywek i chociaż tego nie robię osobiście, to jednak świadomość tego coraz częściej mnie dręczy.

– Teraz to pan jest dziecinny – odparował Michał. – Potwór ma wyrzuty sumienia, ale dalej pożera swoje ofiary.

– Dość, profesorze – przerwał mu generał, lekko podnosząc głos. – Ma pan trzy godziny na zastanowienie się. Jest punktualnie dwunasta w nocy. O trzeciej przyprowadzą pana do mnie. Jeżeli dalej będzie się pan upierał, to zastosujemy bardziej drastyczne środki. Wyprowadzić!

Profesor Michał Kobalt został sam w małej, ciasnej celi bez okna. Wisząca u sufitu żarówka dawała bardzo mocne światło, dokładnie oświetlając przedmioty znajdujące się w celi, chociaż nie było ich wiele. W jednym kącie wiadro, obok miednica i dzbanek z wodą, naprzeciw metalowa prycza przykryta cienkim, brudnym kocem. Stołek znajdujący się obok zawieszono na ścianie malutkiego stolika był przymocowany do podłogi. Michał usiadł na nim i zamknął oczy. Nawet przez zamknięte powieki docierało do niego światło żarówki. Powracał ból pleców poobijanych pałką oraz kolan i łokci poranionych na dziedzińcu. Najgorszy pochodził z lewej strony głowy. Pozbawiony zegarka nie wiedział, ile czasu minęło od zamknięcia metalowych drzwi celi. Generał, chociaż Kobalt nie bardzo wierzył, żeby nim był naprawdę, dał mu trzy godziny na zastanowienie.

Bardzo to ładnie i litościwie z jego strony, pomyślał z goryczą.

Współpracując z Fundacją Helsińską, Kobalt bardzo często spotykał się z przypadkami naruszenia nietykalności osobistej poprzez wymyślne tortury i stosowanie środków odurzających, ale tylko w formie sprawozdań różnego rodzaju komisji czy organizacji międzynarodowych. Nigdy nie przypuszczał, że sam może zostać ofiarą potępianych metod. Nie odczuwał lęku przed bólem czy poniżaniem. Nie bał się, że pod wpływem tortur lub narkotyków wyjawia nazwisko zdrajcy, jak go określił generał, bo po prostu go nie znał. Czeczeni przekazali mu zalakowane koperty, on zaś, nie naruszając

zabezpieczenia, dostarczył je Bushowi. John... Czy już dotarła do niego wiadomość o moim porwaniu? Jeżeli tak, to czy podjął jakieś kroki, żeby mnie odnaleźć? Zapewniał, że wszystko będzie okej, że nie popełniłem żadnego błędu, rozmyślał. Dlaczego więc znalazłem się w Moskwie? I najważniejsze, czy Agnieszka i dzieci są bezpieczne? Czy im nic nie grozi? Przecież jeśli Rosjanie mnie porwali z Brukseli, to o wiele prościej mogli ich porwać z Krakowa!

Z wielkim wysiłkiem Kobalt podniósł się z krzesła i położył na prycy. Zamknął oczy, próbując zasnąć. Niestety przed oczami pojawiły się sceny sprzed prawie szesnastu lat. Trzynastego grudnia osiemdziesiątego roku, pierwsza w nocy. Do pokoju w hotelu asystenckim zajmowanego przez magistrą Kobalta i jego żonę wtargnęła ekipa ubeków i bez słowa zaciągnęła zaspanego naukowca do radiowozu. Potem były przesłuchania, szantaże, próby przekupstwa, a następnie miesiące w obozie dla internowanych. Wtedy nauczył się tłumić w sobie bunt, nie kopać się z koniem, jak mawiał jego dziadek. Rozpacz nad rozlanym mlekiem była tylko wyniszczającym siły stanem ducha i nie wносиła niczego konkretnego, twórczego. Mąciła umysł, osłabiała odporność na ból. Poniżała człowieka, a tego zazwyczaj chcieli oprawcy, bez względu na to, jakim się posługiwali językiem. Można przegrać, zwłaszcza z perfekcyjnie wyszkoloną machiną reżimu, ale nie wolno się dać pokonać. Zachowanie godności, zachowanie życia wymagało opanowania, zimnej krwi i spokoju ducha. Nauczył się tego, internowany i pozbawiony jakichkolwiek wiadomości o tym, co działo się za otaczającym ośrodek murem. Żadnych wieści z Polski, żadnych wieści z domu. Skąd brać siłę i nadzieję na przetrwanie?

Z dwutygodniowym opóźnieniem dowiedział się o narodzinach córki. Zobaczył ją, gdy miała dziesięć miesięcy. Nie był wielkim działaczem, można powiedzieć, że w ogóle nie uczestniczył w działaniach Solidarności. Był tylko członkiem, niemniej zasłużył sobie na internowanie cyklem artykułów i wykładów poświęconych naruszaniu przez ówczesne rządy państw bloku wschodniego praw człowieka. Wtedy po raz pierwszy jego nazwisko pojawiło się na zachodzie Europy. Dzięki temu w osiemdziesiątym szóstym roku władze Polski zmuszone były wydać mu paszport i zgodzić się na dwuletnie stypendium w Stanach Zjednoczonych, podczas którego zaprzyjaźnił się z Nielsem, Johnem i Helmutem. Czy już odkryli jego zniknięcie? Pogrążony w rozmyślaniach nad historią swojego życia nie zmrużył oka. Z ulgą powitał szcęk zasuwy oznaczający, że minęły już trzy godziny i znowu stanie oko w oko z generałem. Spodziewał się, że teraz już skończą się uprzejmości i – jak mawiał jego dziadek – zaczną się prawdziwe

schody.

– No, i co mi pan teraz powie, profesorze? – przywitał go Kriuczkow, ostentacyjnie włączając magnetofon.

– W celi śmierdzi i jest za ostre światło – odpowiedział.

– Czy to wszystko?

– Koc jest brudny i... – nie dokończył, gdyż w tym momencie zważyło go z nóg uderzenie pałką. Ocknął się dopiero w windzie.

– *Nu, sobaka, tiepier budut igry* – powiedział zamaskowany strażnik, wywlekając go z windy na korytarz. – Wstawaj!

Powoli zaczął się przyzwyczajać do bólu. Nie spiesząc się, wstał. Byli teraz w innym korytarzu. Panujący smród pomógł Kobaltowi bardzo szybko odzyskać świadomość. Zebrało mu się na wymioty, lecz pusty żołądek nie miał już czego się pozbyć. Nie potrafił jednak opanować skurczów.

– Gdzie mnie prowadzisz? – zapytał drżącym głosem.

– *Uwidisz* – odpowiedział strażnik z uśmiechem i wskazując pałką, rozkazał: – *Idi!*

Michał posłusznie ruszył we wskazanym kierunku. Mijali drzwi. Pierwsze, drugie, trzecie. Przy czwartych strażnik kazał mu się zatrzymać. Zerknął przez wizjer do środka, a następnie zaczął otwierać zamki i zasuwę. Po chwili drzwi, skrzypiąc, otworzyły się. Owionął ich odór moczu, kału, potu, który wzmógł częstotliwość skurczów żołądka. Pchnięty przez strażnika Kobalt wpadł do celi, z trudem utrzymując się na nogach. Drzwi zgrzytnęły, zasuwę i zamki z trzaskiem zabezpieczyły drzwi. Dopiero po chwili spostrzegł, że w celi znajduje się mężczyzna. Leżał na górnej prycy, odwrócony twarzą do ściany. Ani drgnął podczas zamykania drzwi. Profesor spodziewał się, że zostanie poddany jakimś wymyślnym torturom. Był trochę zaskoczony takim obrotem sprawy. Nie wiedział, dlaczego zamknięto go w innej celi i do tego jeszcze z innym więźniem. Powoli przyzwyczajał się do smrodu. Udało mu się opanować skurcze. Przyjrzał się śpiącemu więźniowi. Był potężny, gruby i tak wysoki, że z trudem mieścił się na prycy. Potwór. Spod szarego koca wystawała tylko głowa z rzadkimi, posklejanymi zapewne z brudu włosami. W tej celi również nie było okna. Kobalt już miał usiąść na jednym z dwóch metalowych krzesel, gdy nagle zgasła żarówka. Zaskoczony, zmienił plan i postanowił się położyć. Nie zdejmując butów, niemalże padł na prycę. Sprężyny jęknęły metalicznie. Śpiący zamruczał coś przez sen. W innej sytuacji profesor nie potrafiłby wytrzymać na tak wygniecionym i śmierdzącym sienniku ani chwili, teraz jednak z ulgą wyprostował się i zamknął oczy. Ani się spostrzegł, jak zapadł w sen.

Wreszcie był w domu w Krakowie. Agnieszka podała świeżo zaparzoną kawę i tort. Trzynaście płonących świeczek umieszczonych na torcie rzucało ciepłe światło. Spojrzał na twarz syna. Od lat zawsze wielką atrakcją dla niego było zdmuchnięcie świeczek z urodzinowego tortu. Kiedy był młodszy, powtarzał tę czynność do znudzenia. Obecnie również z błyszczącymi oczami czekał, aż rodzice pozwolą mu zdmuchnąć świeczki. Jak to dobrze, że ten koszmar sen już się skończył. Na szczęście Moskwa jest daleko od Krakowa i teraz Rosjanie nie mają tu nic do powiedzenia, pomyślał, uśmiechając się. Jubilat wciągnął powietrze przez otwarte usta i z całej siły dmuchnął na świeczki. Wszystkie zgasły. Nad tortem unosiły się tylko smużki dymu, niosąc zapach niestrawionej cebuli i gnijących dziur w zębach. Jednocześnie zwałił się na niego ogromny, śmierdzący wór. Na chwilę stracił oddech. Obudził się, łapczywie próbując zaczerpnąć powietrza. Agnieszka, dzieci i dom uleciały z resztkami snu. Ogarnęła go smuga odrażającego smrodu. To Potwór przygniótł go swoim cielskiem, starając się rozpiąć mu pasek u spodni. Profesor podjął próbę uwolnienia się od śmierdzącego ciężaru, ale ręce i nogi miał unieruchomione. Znajdował się w uścisku. Napastnik sprawnie rozpiął pasek, i nie bawiąc się w rozpinanie guzików, próbował szarpnięciami zedrzeć z Michała spodnie. Teraz dopiero Kobalt uświadomił sobie, że więzień w brutalny sposób próbuje go zgwałcić. Leżał tak zakleszczony jak na macie. Przypomniawszy sobie podobne sytuacje i to, że zawsze wydostawał się z uścisku przeciwnika. Parę lat wyczynowego uprawiania zapasów dało mu umiejętności i doświadczenie, którego do śmierci miał nie zapomnieć. Co prawda od kilku lat sporadycznie tylko trenował i to więcej dla utrzymania kondycji niż dla poprawienia techniki, jednakże napastnik nie miał zielonego pojęcia o zapasach i nie spodziewał się ataku. Wykorzystując moment, w którym Potwór zajęty był jego spodniami i na chwilę obrócił się na bok, Michał przystąpił do błyskawicznego ataku. Odwrócił się na brzuch, przygotowując się do zrobienia wózka. Jeszcze tylko jeden oddech i zupełnie zaskoczony przeciwnik, wyniesiony przez Michała, uderzył brzuchem o kamienną posadzkę. Kobalt dosiadł go niczym konia wyścigowego, ścisnął kolanami i wykorzystał zabroniony w zawodach sportowych, aczkolwiek bardzo skuteczny uchwyt. Kręgi stawiały tylko chwilowy opór. Napastnik był wyższy i cięższy od Kobalta, szarpnął się. Michał zacisnął mocniej. Potwór podjął ostatnią próbę zrzucenia przeciwnika z siebie, lecz nie z mistrzem Polski te numery! Byłym co prawda, ale mistrzem. Michał wyteżył wszystkie siły i w tym momencie z lekkim chrzęstem kręgi, połączone tylko nietrwałymi dyskami, rozerwały się. Nidoszły gwałciciel zwiotczał i nie wydając żadnego odgłosu, pożegnał się

ze światem. Cała walka trwała niespełna dwadzieścia sekund, w czasie których w duszy Michała coś pękło. Podjął walkę nie po to, żeby zwyciężyć przeciwnika w walce *fair play*, jak to do tej pory bywało, tylko po to, żeby go zabić, ratując się tym samym przed gwałtem, a być może i śmiercią. Uświadomił to sobie, puszczając bezwładne ciało napastnika. Zdziwił go własny spokój. Zabiłem człowieka, pomyślał. Zabiłem człowieka i jestem spokojny. Nie wywołuje to we mnie obrzydzenia ani wyrzutów sumienia. Ale czy to był człowiek? Czy tylko trochę ucywilizowane i wytresowane zwierzę trzymane i karmione przez oprawców w celu gwałcenia dostarczanych ofiar? Ilu przede mną się nie obroniło?

W celi panowała zupełna ciemność. Kobalt nie ryzykował próby znalezienia drogi do krzesła, usiadł więc na pryczy. Stracił poczucie czasu. Nie mógł się zorientować, czy zbliża się rano, czy jest jeszcze noc. Wcześniej czy później pojawią się strażnicy i zastaną zwłoki leżące na podłodze. Nie mógł się ich pozbyć ani wytłumaczyć, dlaczego Potwór zginął.

Czy aby na pewno nie można tego wytłumaczyć? Przecież spał na górnej pryczy i zwyczajnie mógł spaść na betonową posadzkę. Nie wyglądał na takiego, który mógłby mu zrobić krzywdę. Jeżeli zachowam spokój, nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać mnie o morderstwo. Ale jak zachować spokój? Jak udawać sen? Rozmyślał gorączkowo.

Położył się na pryczy. Był zaskoczony swoim zachowaniem. Nigdy nie przyszło mu przez myśl, że może zabić człowieka, nawet w obronie koniecznej. Nigdy nie podejrzewał, że po dokonaniu morderstwa spokojnie będzie obmyślał plan zatarcia śladów zbrodni. Tymczasem najspokojniej w świecie układał się do snu obok stygnących zwłok i jedynym jego zmartwieniem było takie ułożenie koca, żeby chronił go przed zimnem, a jednocześnie nie dotykał twarzy.

Mój Boże, pomyślał przed zaśnięciem, nikt mi nie uwierzy. Ale czy ktoś oprócz tych oprawców będzie mnie jeszcze kiedyś oglądał?

Potężny ból, rozrywający plecy wzdłuż kręgosłupa, poderwał go na nogi. Stał obok pryczy, automatycznie napinając wszystkie mięśnie. Wspaniała pobudka. Momentalnie wróciła świadomość czasu i miejsca, gdzie się znajduje. Pozwoliło mu to zasłonić się ręką przed następnym uderzeniem pałki. Nie czuł bólu. Celę wypełniały wrzaski zdenerwowanych strażników. Chociaż kiedyś niezłe znał rosyjski, to jednak teraz nie potrafił zrozumieć, o co im chodzi. W słabym świetle żarówki zobaczył w całej okazałości leżącego u jego stóp martwego napastnika. Jego uwagę zwrócił potężny penis leżący wzdłuż prawego, mocno owłosionego uda. Mężczyzna wydawał się jeszcze

większy niż go ocenił przed paroma godzinami. Nad opuszczonymi do połowy ud szarymi spodniami sterczał wielki, siny brzuch. Kobalt spojrział na twarz leżącego. Otwarte, wręcz wytrzeszczone oczy patrzyły niewidzącym, zdziwionym wzrokiem w sufit. Nieogolone, pokryte rudą szczeciną policzki, razem z otwartymi ustami, z których zdawał się wypływać sinofioletowy język, nadawały mu upiorny wygląd. Leżąc na wznak, ręce miał rozrzucone po bokach. Oderwany rękaw brudnej koszuli odsłaniał potężne mięśnie.

Mój Boże, to faktycznie potwór, przemknęło Kobaltowi przez głowę. Dobrze, że wcześniej tak dokładnie go nie widziałem. Chyba nie potrafiłbym wykrzesać z siebie takiej determinacji.

Patrzył spokojnie na biegających i wrzeszczących strażników. Cały czas zaskoczony był swoim spokojem. Nie czuł nienawiści do bijących go strażników, nie czuł już obrzydzenia do martwego napastnika, który nie tak dawno próbował go zgwałcić. Myślał precyzyjnie, czujnie rozglądając się dokoła w oczekiwaniu na następny cios.

Do celi weszło dwóch wychudzonych mężczyzn z noszami. Sprawnie ułożyli na nich potężne zwłoki i w milczeniu wyszli na korytarz. Chwilową ciszę przerwało wejście oficera. Na jego widok strażnicy stanęli na baczność i przepisowo się zameldowali. Młody wysoki blondyn w perfekcyjnie wyprasowanym mundurze nie pasował do tego miejsca. Kobalt przyglądał się mu z ciekawością. Mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat, a już był w stopniu majora, jak zorientował się po słowach najstarszego stopniem strażnika. Wysokie czarne oficerki dodawały sylwetce majora surowości. Trzymana w prawej ręce szpicruta, zakończona stalowym harpunem, raz po raz uderzała z trzaskiem o cholewkę buta. Oficer, nie patrząc na więźnia, warknął komendę i dwie pary rąk poderwały Kobalta, wyciągając go z celi. Po chwili znaleźli się w windzie. Tym razem podróż trwała krócej. Zatrzymali się na drugim piętrze. Ponownie dwie pary rąk poderwały profesora, by po kilkunastometrowej podróży dostarczyć go wprost do gabinetu. Postawili więźnia na środku pomieszczenia, sami cofając się do dwóch przeciwległych rogów. Profesor się rozejrzył.

Ascetyczne wyposażenie pokoju, na które składało się biurko ze skórzanym fotelem i lampką, umywalka oraz wiaderko, świadczyło jednoznacznie o przeznaczeniu tego pomieszczenia. Ściany, pomalowane na jednolity szary kolor, w dwóch trzecich wysokości pokryte były farbą olejną. Na półce za biurkiem stały równo poustawiane prostokąty, zbite z nieheblowanych desek. Jak pudełka bez dna. Wszystkie miały wystający z jednej ściany gwóźdź, niektóre były dodatkowo pokryte czerwonymi plamami. Dominował jeden, ustawiony centralnie – z obu ścian prostokąta wystawało

po jednym gwoździu, ściany obficie skropione były czerwonymi plamami. Betonowa, również szara posadzka była lekko nachylona do środka pomieszczenia, gdzie znajdowały się dwie kratki ściekowe. W sufit wkręcone były dwa solidne, stalowe haki. Zakratowane okno wychodziło na dziedziniec. Dzięki temu Kobalt zorientował się, że znajdują się na parterze. Jeśli tak, to wszystkie cele, w których był do tej pory, były pod ziemią. Rozmyślenia przerwało mu wejście majora, na którego widok strażnicy karnie wyprężyli się na baczność. Szpicruta nadal uderzała o cholewkę buta. Oficer zatrzymał się przy biurku, dał rozkaz, by spoczęli, i zatrzymał wzrok na Kobalcie. Lustrował go w milczeniu przez dłuższą chwilę, jakby chciał ocenić wartość przeciwnika. W pewnym momencie spotkali się wzrokiem. Więzień wytrzymał spojrzenie Rosjanina. Postanowił, o ile będzie to możliwe, patrzeć cały czas prosto w oczy oficera. Przez chwilę trwał wzrokowy pojedynek, aż wreszcie Rosjanin odwrócił się, siadając w fotelu.

– Woli pan rozmawiać po rosyjsku czy angielsku? – zapytał z akcentem, którego nie powstydziliby się rodowity londyńczyk.

– Po angielsku – odparł po chwili namysłu Polak. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu ukrywać znajomości tego języka. O polskim tłumaczu chyba nawet nie mógł marzyć.

– Świetnie. Bardzo lubię ten język. A pan? – zapytał, jakby spotkali się tylko w tym celu.

– Wolę francuski – odpowiedział szczerze.

– Aha, ciekawe. Tego nie wiedzieliśmy. – Można było wziąć za dobrą monetę szczerść w jego głosie. – Gdybyśmy znali ten fakt, zapewne rozmawiałby z panem mój kolega. Ale do rzeczy. Nazywam się Aleksiej Stiepanowicz Orłow. Mam trzydzieści pięć lat i jestem majorem. Niech mi pan wierzy, że nie otrzymałem tego stopnia za osiągnięcia naukowe, a za wyjątkową skuteczność w zdobywaniu informacji od aresztowanych szpiegów.

Na chwilę zamilkł, jakby sprawdzając, jakie wrażenie wywrze ta prezentacja na Polaku. Profesor patrzył jednak spokojnie w oczy przesłuchującego, zbywając milczeniem jego wypowiedź.

– Po przestudiowaniu wszystkich informacji na pański temat – kontynuował, patrząc w okno – byłem pewien i nawet powiedziałem to generałowi, że trafi pan do mnie. Jest pan człowiekiem z charakterem, lecz proszę mi wierzyć, że pod moją opieką na nic się to panu nie przyda. Nie wyniesiono stąd ani jednego człowieka, który by przed śmiercią nie wyjawiał informacji. Nawet tych, których nie znał. Na polecenie generała ma pan specjalny status i w związku z tym jestem zobowiązany zastosować wobec

pana specjalne metody. Dlatego proponuję układ. Podaje mi pan nazwisko, które nas interesuje, a my dostarczamy pana do Brukseli. No więc, profesorze?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł Kobalt, patrząc na półkę nad głową Orłowa. – Nie miałem w ręku żadnych dokumentów, o które pytał mnie generał, w związku z tym nie mogę podać panu żadnego nazwiska.

– Patrzy pan na moje zbiory? – Major zauważył wzrok Kobalta. – To już historia. Wie pan, co to jest? – Wziął delikatnie skrzynkę z dwoma gwoździami.

– Nie mam pojęcia – odparł zaskoczony Kobalt.

– Okno do nieba – odpowiedział, uśmiechając się na widok zdziwionej miny profesora. – Dawniej, w zasadzie do czasów Breżniewa, funkcjonariusze rozgrywali swego rodzaju zawody. Potrzeba było paru chętnych, a tych, jak pan wie, nie brakowało w tamtych czasach. Podróżnicy, tak ich nazwijmy, ustawiani byli pod ścianą w metrowych odstępach tak, żeby prawym ramieniem opierali się o nią. Następnie każdy z nich zakładał na głowę takie okno w ten sposób, aby gwóźdź był na wysokości lewej skroni. Zawodnicy ustawiali się naprzeciw, każdy z kilowym młotkiem w ręce. Na dany znak kolejno rzucali narzędziem. Każdy miał trzy próby. Wygrywał ten, który wykorzystał najmniej prób. Z czasem doszli do takiego mistrzostwa, że już w pierwszej próbie paru funkcjonariuszy wbijało gwoździe w skroń podróżnika. Kwestię zwycięstwa rozstrzygał lekarz, który po otwarciu czaszki stwierdzał, jak daleko wszedł gwóźdź. Ideałem było, żeby przebił cały lewy płat skroniowy, nie naruszając prawego.

– Chce mnie pan zastraszyć, majorze? – Opowieść Orłowa wstrząsnęła Michałem, ale starał się zachować kamienną twarz. Przesłuchiwanie ofiar, oglądanie zdjęć dokumentujących przemoc i okrucieństwo, relacje świadków nie wywierają takiego wrażenia, jak bezpośredni kontakt z oprawcą, miejscem i narzędziami tortur. Kim byli rodzice Orłowa i wielu tysięcy jemu podobnych sadystów? Przecież każdy z nich był kiedyś dzieckiem, niewinną i bezbronną istotą. Nikt nie rodzi się zbrodniarzem. Gdzie popełniono błąd? Czy dzieci tych oprawców również będą skażone okrucieństwem?

– Nie, profesorze. Po prostu chcę wzbogacić pańską wiedzę. Pana, jako współpracownika Fundacji Helsińskiej. Ale pozwoli pan, że skończę swoją opowieść. – Major wstał zza biurka i wziął do ręki okno z dwoma gwoździami. Postawił je delikatnie na blacie, po czym usiadł i patrząc prosto w oczy Kobaltowi, kontynuował: – Otóż to jest mój najcenniejszy okaz. Jak pan zapewne zauważył, wszystkie okna prócz tego mają po jednym gwoździu. To ma dwa. Otóż w sześćdziesiątym piątym podczas zawodów

jeden z ochotników, Polak zresztą, był wyjątkowo odporny. Gdy nasz zawodnik jednym rzutem wbił gwóźdź, Polak, zamiast tak jak wszyscy upaść i podążyć do nieba, odwrócił się w kierunku szpaleru zawodników i zaczął śpiewać hymn Polski. Po chwilowej konsternacji dowódca zawodów kazał dobić drugi gwóźdź. Drugi rzut strażnika, to znaczy zawodnika, okazał się równie celny i dopiero wtedy nasz polski podróżnik udał się w drogę prosto do nieba. Co ciekawe, oba gwoździe były prawie w jednej linii i dzieliła je odległość milimetra! I co pan na to powie?

– Jaki kraj, takie rozrywki – odpowiedział Kobalt twardo. – Zawsze twierdziłem, że Rosją rządzą sadyści.

W tym momencie Rosjanin wykonał błyskawiczny, prawie niewidoczny ruch prawą ręką i lewy policzek Polaka trysnął krwią, rozdarty przez harpun umieszczony na końcu szpicruty. Kobalt zacisnął zęby, aby powstrzymać krzyk, nie spuszczać wzroku z oczu Orłowa. Krew cienką strużką spływała po szyi. Po chwili ból zmniejszył swoje natężenie. Do pokoju bezszelestnie weszło dwóch strażników. Stanęli za Kobaltem. Błysk flesza oślepił profesora. Jednocześnie drugi policzek eksplodował krwią. Podniósł ręce do twarzy i w tym samym momencie jeden ze strażników poraził go elektryczną pałką. Impuls był tak silny, że wstrząsnął ciałem profesora, który z trudem utrzymał równowagę. Opanowała go ciemność. Czarna, bezkresna przestrzeń. Następny impuls elektryczny powalił go na ziemię. Padając, nie czuł, że bezwiednie oddaje moc. Świadomość przywrócił mu strumień wody. Dwie pary rąk postawiły go na nogi.

– Widzi pan, profesorze, ci, co wążają kurz, nie mogą bezkarnie obrażać ani nawet oceniać tych, co go wzniecają. – Jak zza grobu doleciał go głos Orłowa. – Nie docenił pan przychylności generała. W tym momencie pański specjalny status stracił ważność. Podlega pan normalnym procedurom.

Nawet gdyby chciał coś powiedzieć, nie potrafił tego zrobić. Szczęki zaciśnięte przy pierwszym uderzeniu szpicrutą pozostały w tej pozycji. W przebłysku świadomości uzmysłowił sobie, że od czasu kolacji w Petit Moulin Rouge nie miał nic w ustach. Ile czasu mogło upłynąć od tamtego wieczora? Poczłł potwornie pragnienie. Suchy język bezskutecznie próbował przerwać barykadę zaciśniętych zębów, by pochwycić choć kroplę wody ściekającą po twarzy. Bezskutecznie. Nie czuł bólu. Nie potrafił krzyknąć. Patrzył tylko szeroko otwartymi zdziwionymi oczami na swego oprawcę. Ten skinął głową w kierunku strażników. Błyskawicznie i fachowo skrępowano mu ręce i nogi. Po chwili poczuł, że unosi się do góry. Przed oczami przeleciały mu migawki z kronik hitlerowskich. W ten sposób wieszano więźniów SS, chcąc ich zmusić do mówienia. Ból nie przyszedł od razu. Lata

spędzone na macie zapaśniczej wyrobiły odporność. Pomimo coraz rzadszych treningów mięśnie zachowały swoją siłę. Jednak ból, jak przestępca, skradał się małymi krokami. Najpierw zaatakował dłonie ściśnięte sznurem. Potem powoli przesunął się w górę, kolejno zajmując stawy w łokciach i barkach. Ściśnięte nienaturalnie łopatki zgniatały kręgosłup, powodując drętwy ból kręgów szyjnych. Ale najgorsze miało się dopiero rozpocząć. Na znak dany przez oficera strażnicy zaczęli na przemian to opuszczać, to gwałtownie podnosić więźnia. Przy opadaniu dotykał niemalże podłogi. Zmęczone mięśnie oczekiwały chwilowego choćby odpoczynku, lecz w tym momencie sznur gwałtownie podrywał Kobalta do góry. Po kilku takich huśtawkach mężczyzna stracił przytomność. Tym razem przywrócił mu ją impuls elektryczny skierowany prosto w krocze. Kobalt doznał gwałtownej erekcji. Ból wypełnił już całą jego świadomość. Nie był w stanie myśleć. Nie reagował na huśtania. Co chwilę tracił przytomność, by po uderzeniu prądu odzyskać ją i ponownie szybko zapaść w niebyt. Zatracił poczucie czasu. Zatracił poczucie bólu. Rejestrowane obrazy w chwili odzyskiwania świadomości przypominały widok, jaki ma fotograf wykonujący zdjęcia w całkowitej ciemności przerywanej błyskami flesza. Niczym szczerzenie psa docierał do niego krzyk: „Nazwisko! Podaj nazwisko! Nazwisko, nazwisko, nazwisko!”, aż wreszcie zawisł bezwładnie, nie reagując ani na prąd, ani na wodę. Strażnicy, wykonując rozkaz, puścili sznur. Więzień głucho opadł na podłogę, a po chwili został wyciągnięty i zawleczony do celi.

Znów był w Krakowie. Razem z całą rodziną przygotowywał się do wyjazdu na narty. Na błękitnym niebie jasno świeciło słońce, którego promienie padające na zmrożony śnieg rozbłyskiwały milionami skrzących się iskier. Kończył odmiatanie samochodu ze śniegu, który puszystą warstwą przykrył w nocy pojazd. Wypoczęty, we wspaniałym nastroju, przypinał właśnie narty, gdy na parking podjechała czarna wołga. Z ciekawością obserwował samochód, który już dawno zniknął z polskich dróg, a który jeszcze nie tak dawno kojarzył się wszystkim z panującym reżimem. Odwrócił na chwilę wzrok od niego, by pomachać zbliżającej się żonie z dziećmi, i w tym momencie poczuł, że jakaś nadludzka siła unosi go w powietrze. Wznosił się powoli, zaglądając sąsiadom do okien. Tym, którzy wyglądali przez okna, machał, lecz nie otrzymywał odpowiedzi. Tak jakby był niewidzialny. Z dołu dobiegł go głos żony: „Michał, ratuj! Michał!”. Spojrzał w dół i zauważył, że z czarnej wołgi wysiadło trzech mężczyzn, którzy teraz prowadzili do samochodu opierającą się i krzyczącą żonę. Dzieci znikły. Na niebie pojawiły się czarne chmury. Próbował wyrwać się tajemniczej sile i powrócić na ziemię. Bez skutku. Wciąż unosił się do góry.

Pod sobą zobaczył warstwę chmur i spłynął na niego spokój. Poczuł, że nikomu nie stanie się krzywda. Poczuł, jak wraca mu radość. Zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej i głośniej, aż jego śmiech wypełnił całą przestrzeń. Chciało mu się krzyczeć z radości. Chciał mówić, mówić. Opowiadał o Dasajewie, o Pietrowie, o Nielsie, Johnie, Helmucie. Śmiał się i krzyczał na przemian, lecz słuchający go ludzie na próżno wyczekiwali, aż poda interesujące ich nazwisko. Nagle wszystko się skończyło. Przestał się unosić. Słońce zniknęło. Znikła też radość. Leciał w przepaść, na próżno usiłując machać rękami, by powstrzymać spadanie. Przerazenie wzrastało, potęgował się strach. Ziemia, na której nie było już śniegu, przybliżała się z kosmiczną prędkością. Katastrofa była nieunikniona. W ostatniej chwili zdążył otworzyć oczy. Oślepił go blady blask zawieszanej u sufitu żarówki. Leżał na pryczy. Powoli, nie poruszając głową, samymi oczami rozejrzał się po celi. Był sam. Spróbował ruszyć ręką. Daremnie. Również i nogi nie słuchały jego poleceń. Kończyny miał przymocowane do pryczy, na której leżał. Zaskoczony, że nie czuje bólu, stracił przytomność.

Młot kowalski uderzał w głowę Kobalta sześćdziesiąt razy na minutę, trzy tysiące sześćset razy na godzinę, wypełniając bólem całą czaszkę i za każdym razem pozbawiając go słuchu. Nie mógł poruszyć ręką. Nie mógł poruszyć nogą. Nie mógł poruszyć głową. Ciało przytwierdzone pasami skózanymi do łóżka, na którym leżał, uniemożliwiała ucieczkę. Łóżko poznania wieczności, jak poetycko nazwał je major, uruchamiając piekielną maszynę. To było tysiące lat temu. Uderzenia na pewno rozerwałyby już dawno czaszkę profesora, rozrzucając kości i mózg po ścianach, gdyby nie to, że głowa znajdowała się w specjalnym uchwycie, kołysce obejmującej głowę od tyłu, aż do uszu i uniemożliwiający jakikolwiek jej ruch. Mógł poruszać jedynie gałkami ocznymi, ale że wkoło panowała prawie idealna ciemność, oczy po każdej próbie odwrócenia wzroku wracały w jedno i to samo miejsce odległe o około trzy metry i oświetlone bardzo cienką strugą światła. Z tego miejsca co sekundę, jak nie omieszkał poinformować Kobalta Rosjanin, spadał na głowę przeźroczysty kowalski młot. Stare egipskie tortury. Kropla wody spadająca z piekielną systematycznością na unieruchomioną głowę torturowanego nieszczęśnika. Początkowo starasz się nie zwracać na to uwagi, lecz ta systematyczność uderzeń zmusza cię najpierw do liczenia: pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt, dwieście i tak dalej, i tak dalej, aż twoją głowę wypełniają liczby. Jest ich tak dużo, że nie mogą się pomieścić, więc trącają się wzajemnie, wydając przy tym nieśmiały początkowo, a potem nasilający się stukot. Po chwili zaczynają się kłócić między sobą i ich jazgot zlewa się ze stukotem. Czasem uda ci się oderwać od liczenia, lecz wtedy spadająca kropla

wydaje dźwięk niczym potężny bęben w orkiestrze dętej. Zapominasz o liczbach, patrząc wytrzeszczonymi oczami na spadający młot, który co sekundę rozrywa ci głowę na kawałki. Ile może trwać sekunda? Godzinę? Dzień? Rok? Wieczność?! Tak, cała wieczność zamknięta na niespełna trzymetrowym odcinku, który ma do pokonania związek wodoru i tlenu. Wtedy Michał zrozumiał, co miał na myśli major, używając określenia „łóżko poznania wieczności”. Zamknięcie oczu nic nie da. Nawet jeżeli znajdziesz w sobie tyle silnej woli, żeby to zrobić, to nie pozwolą ci na to mięśnie naprężone do granic wytrzymałości. Patrzysz w te kryształowo przezroczyste bomby i nie wiesz, czy to one spadają na ciebie, czy też ty unosisz się do każdej i rozbijasz ją uderzeniem czoła, następnie opadasz z powrotem na łóżko, by w tej samej sekundzie zacząć całą męczarnię na nowo. Już dawno straciłeś poczucie czasu, a teraz tracisz poczucie swojego położenia. Wydaje ci się, że wszystko wiruje razem z tobą, nieustannie zwiększając prędkość. Michał Kobalt nigdy nie dowiedział się, jak długo wytrzymał. Stracił przytomność, nie dotarłszy do granic wieczności.

– Dzień dobry, profesorze – przywitał więźnia generał. – Widzę, że podoba się panu u nas i robi pan wszystko, żeby zostać naszym gościem jak najdłużej.

Na wynędzniałej, od kilku dni niegolonej twarzy Michała pojawił się gorzki uśmiech. Powoli, z nadludzkim wysiłkiem podniósł rękę i przeczesał palcami lepkie od potu włosy, poprawiając również kołnierzyk koszuli. Siedział, kiwając się lekko to w przód, to w tył, z zamkniętymi oczami oślepionymi dziennym światłem. Po raz ostatni widział naturalny słoneczny blask podczas swojej wizyty w gabinecie majora. Ale kiedy to było? Czy w ogóle było? Później była tylko ciemność. Nie było dnia, nie było nocy. Organizm stracił swój naturalny biologiczny rytm. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał. Czy w ogóle spał? Jedynym odpoczynkiem dla torturowanego organizmu były chwile utraty przytomności lub odurzenia narkotykiem. Już dawno stracił poczucie czasu, a teraz powoli zatracił poczucie rzeczywistości. Obrazy z przeszłości nakładały się na siebie, tworząc nowy wyimaginowany świat. Był zupełnie inną osobą. Bez przeszłości. Bez przyszłości. Jego przeszłość, żona, dom, dzieci, uniwersytet stały się majakami sennymi, wytworami odurzonego narkotykami i przepojonego cierpieniem umysłu. Czarna tablica z tyłu, czarna tablica z przodu. Migające obrazy, urywki zdań, oderwane słowa, to była przeszłość i przyszłość Kobalta.

– To, co pan przeszedł – kontynuował generał – to tylko przygrywka. Jeżeli nie poda mi pan natychmiast nazwiska, o które pytamy od początku, złączą się prawdziwe zawody. Wielu nie dotrwało do końca, a ci, którzy dotrwali, nie potrafią teraz nawet żałować swojego uporu. Żywe manekiny. Proszę się

zastanowić, czy warto przerywać karierę dla tak błahej informacji. Gwarantuję panu, że w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie pan z powrotem w Belgii albo w Krakowie, albo w dowolnie wybranym przez siebie miejscu na ziemi.

Milczał, nie wiedząc, o jakie nazwiska chodzi. Myślał tylko o jednym. Uciec stąd jak najdalej, na kwitnącą i pachnącą wiosenną łąkę. Położyć się na niej i spać, spać, spać...

– Upór nic panu nie da – przekonywał Kriuczkow. – Oprócz bólu i poniżenia. W końcu i tak wyjawi nam pan te nazwiska.

– Na nic wasze starania – z trudem rozpoznał swój głos – nie ma takiej ludzkiej siły, żeby zmusiła mnie do powiedzenia czegoś, o czym nie mam zielonego pojęcia. Po prostu, generale, pomylił się pan. Ja nigdy nie widziałem żadnych nazwisk, więc nie mogę ich panu podać. Wielka pomyłka, nie ten człowiek. Nie ten człowiek...

– Za dwadzieścia cztery godziny – powiedział generał, akcentując niemalże każdą literę – my poznamy nazwiska zdrajców, natomiast pan pozna granice wytrzymałości swojego organizmu. Wątpię, żebym jeszcze kiedykolwiek pana zobaczył, profesorze. Szkoda, jest pan, to znaczy był pan inteligentnym człowiekiem. Wyprowadzić!

Pochwycony przez dwie pary silnych rąk, prawie nie dotykając podłogi, profesor Michał Kobalt opuścił gabinet generała Kriuczkowa, by faktycznie już nigdy do niego nie powrócić.

– Nie ten człowiek, generale! – krzyczał przez całą drogę. – Wielka pomyłka!

Dopiero rzucony do windy, uderzając głową w ścianę, przestał krzyczeć, tracąc przytomność. Ocknął się na fotelu. Ostre światło raziło oczy. Ręce i nogi były przymocowane do poręczy. Jak na krześle elektrycznym, przemknęło mu przez głowę i w tym momencie całym ciałem wstrząsnął impuls. Nie na tyle mocny, by zabić, lecz pod jego wpływem znowu bezwiednie oddał mocz. Impuls ustał na chwilę, by powrócić ze zdwojoną siłą. Pęcherz moczowy był już pusty. Kurczył się i napinał, chcąc uronić choć kroplę. Znowu chwila spokoju. Następne uderzenie prądu na chwilę pozbawiło Kobalta przytomności. Gdy ją odzyskał, do jego uszu dotarł znajomy głos.

– No, Kobalt, wystarczy? – Major był w wyraźnie złym humorze i nie czekając na odpowiedź, zadysponował: – Obcegi!

Utrata pierwszego paznokcia pozbawiła Kobalta przytomności, lecz odzyskał ją pod wpływem zastrzyku. Powrócił ból, lecz mężczyzna nie mógł już krzyczeć. Bezgłośnie otwierał usta. Ból spowodowany utratą drugiego paznokcia, jak się za chwilę okazało, był niczym w porównaniu z następnym

pomysłem majora. W poprzek ust wciśnięto mu kawałek metalowej rurki, która pozostawiła je szeroko otwarte. Dźwięk wiertarki elektrycznej dotarł do uszu profesora jednocześnie z jej obrazem. To nie wiertarka, a szlifierka kątowna, pomyślał bez sensu i w tym momencie Rosjanin rozpoczął szlifowanie dwóch przednich zębów Polaka. Usta momentalnie wypełniły się pyłem i małymi drobinami piasku z kamiennej tarczy. Ślina znikła, z przeciętej wargi spływała do ust ciepła krew. A potem wszystko ustało, odleciało daleko. I znów była tylko ciemność. Zanim stracił przytomność, zdążył sobie przysiąc, że już nigdy nie będzie narzekał na Dominika, swojego dentystę, gdy ten z niebiańską delikatnością pozbawia go kamienia nazębnego.

Moskwa, 11 marca 1996

Promienie słoneczne rozświetlały pokój, a przez uchylone okno wpadały pierwsze zapachy zbliżającej się wiosny. Michał Kobalt z trudem otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Leżał na łóżku w czystej białej pościeli. Prawą rękę miał zabandażowaną, do lewej podpięta była kroplówka. Delikatnie się poruszył. Po raz pierwszy w swym nowym życiu nie odczuł bólu. Delikatnie językiem sprawdził zęby. Pomiędzy górnymi jedynkami znalazł szeroką na prawie pół centymetra przerwę. Jęknął.

– Aaa, ty budzisz się wreszcie! – Usłyszał męski głos co prawda mówiący po polsku, ale z wyraźnie rosyjskim akcentem. – Tak. I będziesz żył. Sława Bogu.

– Gdzie ja jestem? – zachrypiał.

– *A w bolnicy* – odpowiedział mężczyzna. – A ja się tobą opiekuję. Ot, i co.

– Długo tu jestem? – dopytywał się, próbując ruszyć głową, by zobaczyć mężczyznę.

– Ty leż spokojnie – odpowiedział tamten. – Bo igła wyleci. Leżysz tu dość krótko. Mnie nie wolno z tobą rozmawiać. Leż cicho.

Do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku ubrany w biały fartuch.

– No i jak tam, Iwan? – zapytał od progu.

– *Wsio w poriadku, tawariszcz doktor* – odpowiedział pielęgniarz. – On już nie śpi.

– Co ze mną jest? – wychrypiał Kobalt. – Skąd się tu wziąłem?

– Przeżył pan poważny wypadek i znajdował się jakiś czas w bardzo ciężkim stanie. Na szczęście wyciągnęliśmy pana z tego. Wszystko będzie dobrze. Niedługo wróci pan do zdrowia...

– Zaraz, zaraz – nie pozwolił mu dokończyć. – Jaki wypadek? Gdzie ja jestem?

– Jest pan w Moskwie, gdzie przybył pan z delegacją waszego rządu. Po bankiecie poszedł pan do restauracji. Sam. Trochę za dużo pan wypił i wdał się w niezbyt ciekawą rozmowę. Tamten był trzeźwiejszy i szybszy. Padając, uderzył pan w marmurową balustradę, doznając rozlicznych obrażeń. Przeleciał pan ze czterdzieści schodów, zanim zatrzymał się pan na zakręcie.

– A gdzie teraz jestem? – zapytał, niczego nie rozumiejąc.

– W szpitalu wojskowym. Jeszcze trochę musi pan u nas poleżeć, gdyż pański stan zdrowia, mimo że się znacząco poprawił, jest nadal poważny.

– A potem?

- Co potem?
- No... co będzie potem?
- Zostanie pan wypisany – odparł spokojnie lekarz.
- I co dalej? – Za wszelką cenę chciał znać przyszłość.
- Nie wiem – odpowiedział zaskoczony medyk. – Ja mam pana przywrócić do zdrowia. Reszta mnie nie interesuje. Iwan to dobry pielęgniarz, niech się pan nie obawia. Jest pan pod dobrą opieką.
- Aha – mruknął. Doszedł do wniosku, że musiał przybyć do Moskwy z delegacją rządową. Tylko po co? Nie pamiętał niczego z ostatnich wydarzeń. Skąd się wziął w Moskwie? Dlaczego wdał się w bójkę? Przecież nawet gdy wypił za dużo alkoholu, co mu się rzadko zdarzało, to zawsze wpadał w wesoły nastrój. Nie miał charakteru zabijaki. – Czy może pan zawiadomić kogoś z ambasady Polski w Moskwie, że tu jestem, i poprosić o przybycie?
- *Niet* – odpowiedział lekarz. – *But spokojny, ja skażu direktoru.*
- Dziękuję – zdążył powiedzieć i znów zapadł w sen.

W zasadzie Olga Siewiernaja była pierwszą kobietą, którą zobaczył od porwania w Brukseli. Specjaliści z FSB swoimi działaniami skutecznie pozbawili Kobalta nie tylko potrzeby seksu, ale nawet myśli o nim. Dopiero troskliwa opieka w szpitalu, kroplówki, witaminy, jedzenie i rehabilitacja rozbudziły u Michała potrzeby erotyczne. I wtedy właśnie zjawiała się ona. Piękna, wysportowana i diabelnie inteligentna suka. Tak, właśnie suka. Do tej pory nigdy nie zdarzyło się Kobaltowi tak obraźliwym określeniem nazwać kobietę, ale też nigdy do tej pory nie spotkał nikogo takiego, jak Olga.

- No, kochanieńki, ty pójdziesz na masaż – poinformował Kobalta stary pielęgniarz.

- A po co? – zapytał naiwnie.

- Po co? Po co? – niecierpliwiał się Iwan. – *Wracz* kazał, to idziesz!

I zaprowadził go, ubranego jedynie w obciste slipy i okrytego prześcieradłem, do gabinetu masażu. Masażysty nie było, więc pielęgniarz ściągnął z Michała prześcieradło, kazał się położyć na łóżku i wyszedł. Przyciemnione lampy i spokojna muzyka dobiegająca z głośników umieszczonych pod sufitem nastroiły go optymistycznie. Przymknął oczy, starając się zapomnieć, gdzie jest. I wtedy otworzyły się drzwi. Olga weszła energicznie. Kobalt nie zdążył ukryć erekcji, której doznał na jej widok. Czarnowłosa piękność w obcisłym podkoszulku podkreślającym jędrny biust i talię jak u osy, w mini odsłaniającej wspaniałe, długie nogi. Była bez rajstop. Z uśmiechem na ustach powitała go po angielsku. Przedstawiła się

jako Aleksandra Siewiernaja, dyplomowana masażystka z praktyką nabytą w Stanach.

Chwilę porozmawiali o muzyce. Kobalt zdołał zmienić pozycję i położyć się na brzuchu, by ukryć nadmiernie odstające slipy. Olga przystąpiła do masażu. Michał musiał obiektywnie przyznać, że był to profesjonalny zabieg. Jako były sportowiec, zapaśnik, rozpoznawał bezbłędnie fachowca. Po trwającym prawie czterdzieści minut zabiegu Kobalt wrócił do izolatki w zdecydowanie lepszej kondycji fizycznej. O psychicznej wolał nie myśleć. Leżąc w łóżku, z trudem opanowywał zwierzęce niemal pożądanie. Zapragnął seksu z obcą kobietą. Obojętnie z którą, byle dać upust pobudzonej żądzy. Nie! Nie obojętnie! Z Olgą! Nie pomogła naprzemienna – zimna i gorąca – kąpiel, którą wyprosił u pielęgniarki. Dopiero środek nasenny przerwał seksualne wariacje z czarnowłosą masażystką w roli głównej i pozwolił Kobaltowi zasnąć. Następnego dnia sytuacja powtórzyła się i również nie pomógł zimny prysznic. Cierpiał fizyczny ból. Do momentu porwania nie uświadamiał sobie roli seksu w życiu. Byli z Agnieszką szczęśliwi. Ich wymagania i intymne oczekiwania były zbieżne, toteż cieszyli się wspólnym pożyciem i Michałowi nigdy do głowy nie przyszło, by mógł uprawiać seks z inną kobietą. Dopiero spotkanie z Siewiernają, jej wyrefinowany masaż, wyzwoliły w nim pragnienie zbliżenia właśnie z nią. Na początku było to na tyle silne, że zupełnie zapomniał o Agnieszce. Niekończąca się erekcja wyłączyła opory moralne. Nie liczyło się nic i nikt poza Olgą i rozładowaniem napięcia.

Trzeciego dnia masażystka zaproponowała nową, eksperymentalną metodę polegającą na wyłączeniu funkcjonowania ręki. Poprzez ucisk w odpowiednim miejscu wybrana kończyna robiła się bezwładna.

– Dobrze wiesz – tłumaczyła Olga – że masaż skuteczny jest wtedy, gdy pacjent rozluźni całkowicie mięśnie. Żadnych napięć. Zresztą, sam zobaczysz.

I zobaczył. „Wyłączyła” mu obie ręce. Chyba tak czuje się człowiek częściowo sparaliżowany, pomyślał. Patrzył na dłonie. Kompletnie niczego nie odczuwał. Nie mógł poruszyć palcami. Piękna Rosjanka sprawnie wykonała masaż i błyskawicznie przywróciła władzę w rękach.

– Zadowolony? – spytała.

– Tak – odpowiedział, choć pełne szczęście mógłby osiągnąć po spełnieniu seksualnych fantazji.

– Jutro będzie jeszcze lepiej – zapowiedziała, uśmiechając się filuternie.

I było! Na wspomnienie owego „lepiej” Michał dostawał nerwowych drgawek i ogarniały go wyrzuty sumienia. Jak zwykle czarująca i piękna, ubrana tylko w podkoszulek i minispódniczkę, tym razem wniosła ze sobą

zapach perfum. Niepokojący. Drażniący. Jak zwykle Michał doznał potężnej erekcji i jak zwykle ona udawała, że tego nie widzi. Sprawnie rozluźniła jego ręce, nogi i tułów. W zasadzie nie miał ciała poza jednym nabrzmiętym i gorejącym organem. To, co nastąpiło potem, zostanie wielkim psychicznym cierpieniem Michała. Dziewczyna zmieniła płytę. Z głośników popłynęła nastrojowa muzyka. W jej rytm się rozebrała. Sposób, w jaki to zrobiła, mógłby zawstydzić najlepszą striptizerkę. Kobalt leżał nieruchomo na łóżku. Pożądanie osiągnęło niespotykany poziom. Pragnął kochać się z Olgą, ale nie miał ciała. Nie mógł poruszyć się, nie mógł rzucić się na nią, by zaspokoić swój rozbudzony instynkt. Masażystka otworzyła szafę i wyjęła całe naręczcie różnych gadżetów, które w jej rękach okazały się przedmiotami makabrycznych tortur. Doprowadzony na skraj szaleństwa krzyczał i jęczał, nie mogąc spełnić jej rozkazu. Nazwisko! Inicjały! Zatracił poczucie czasu. Fizyczne tortury specjalistów z FSB były przy praktykach Olgi dziecinnymi igraszkami! Co chwila zmieniała gadżety, a czarujący uśmiech nie znikał z jej twarzy. Perfekcyjna. Bezдушna. Doskonale wiedziała, w którym momencie przestać, by nie dopuścić do zaspokojenia. I powtarzająca się, kusząca propozycja „powiedz, a będziesz mnie miał!” ciągle dźwięczała w jego uszach. Był w takim stanie, że zapewne wyznałby wszystko, przyznałby się nawet do zamachu na Lenina, gdyby tego od niego zażądała. Ale on nie wiedział nic. Nie znał żadnych nazwisk, żadnych inicjałów.

Obudził się na szpitalnym łóżku, związany pasami. Trzy dni potem znalazł się w transporcie. Olgi nie zobaczył już więcej. Pozostały tylko koszmarne wspomnienia.

Południk 110, 20 marca 1996

Drogi Stiepanie!

Dziękuję ci za ostatnie bardzo ciekawe wiadomości. Zrobię wszystko, by je dobrze wykorzystać również w Twojej sprawie. Sądzę, że właśnie po tych ostatnich informacjach dzień Twojego awansu na komendanta obozu znacznie się przybliżył. Również i ja osiągam dzięki Twoim informacjom korzyści. Jak zapewne wiesz, pół roku temu awansowałem na majora, a ostatnio Władimir Władimirowicz powiedział mi w zaufaniu, że mam zostać pierwszym zastępcą generała. Byłby to oczywiście bezprecedensowy przypadek osiągnięcia w tak młodym wieku tak wysokiego stanowiska. Jeszcze raz proszę Cię, abys przemyślał moją propozycję pracy w Moskwie. Bylibyśmy blisko siebie i moglibyśmy nadrobić stracony czas. Teraz, kiedy awansuję, będę mógł Ci zaoferować jeszcze lepsze stanowisko i bezpośrednio czuwać nad rozwojem Twojej kariery.

A teraz mam do Ciebie kolejną prośbę. Niedługo przybędzie do Waszego obozu nowy transport więźniów. Chciałbym, abys otoczył szczególną opieką jednego z nich. Nazywa się Michał Kobalt i jest Polakiem. To wróg Rosji, człowiek wyjątkowo twardy i przebiegły, co jest ewidentnie sprzeczne z tym, jaką mamy opinię o Polakach. Trochę pracowaliśmy nad nim, ale zostałem zmuszony przez generała do przerwania tych jakże przyjemnych działań. Ciebie jednakże ten rozkaz nie dotyczy, więc musisz przystąpić ostro do pracy. Zresztą Władimir jest tego samego zdania. Potrzebuję poznać nazwisko albo inicjały osoby, która przekazała za pośrednictwem Polaka pewne dokumenty Amerykanom. Mam nadzieję, że jak zwykle powiadomisz mnie o swoim kolejnym sukcesie.

Pozdrawiam Cię.

Twój kochający brat Aleksiej Stiepanowicz Orłow

Dymitr Riabuszkin pieczołowicie złożył list od brata. Przez dwadzieścia pięć lat się nie widzieli i nie wiedzieli w ogóle o swoim istnieniu. Zapewne zostałoby tak do dziś, gdyby nie to, że pięć lat temu został wysłany na szkolenie do Moskwy. Jakież było jego zdziwienie, gdy pierwszego dnia do sali wykładowej wkroczył jego sobowtór. Kapitan Orłow słynął z opanowania i wyjątkowej zdolności zachowywania zimnej krwi w nawet najbardziej zaskakujących i niecodziennych sytuacjach, a mimo to nie mógł opanować wstrząsu, jakiego doznał podczas sprawdzania obecności, gdy wyczytawszy nazwisko Riabuszkina, zobaczył swoje odbicie. Spotkali się

w przerwie między zajęciami, lecz w ciągu paru minut nie znaleźli odpowiedzi, skąd wzięło się ich bliźniacze podobieństwo. I chociaż codziennie po zajęciach spędzali każdą wolną chwilę na badaniu swoich życiorysów, rozstali się, nie poczyniwszy najmniejszych postępów. Jednak kapitan Orłow nie na darmo zajmował wysokie stanowisko w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Cicho, bez zwracania na siebie uwagi, po dwóch latach odkrył, że są bliźniakami urodzonymi w Odessie. Gdy mieli po trzy lata, ich rodzice utonęli w Morzu Czarnym w niewyjaśnionych okolicznościach, a oni trafili do domu dziecka. Fakt, że w kartotekach KGB mieli adnotację „wróg ludu”, nie zrobił na kapitanie FSB żadnego wrażenia. Dwa lata później, w krótkim odstępie czasu, zostali adoptowani przez dwie rodziny z różnych stron ówczesnego Związku Radzieckiego. Żadnemu z nich przybrani rodzice nie powiedzieli o istnieniu brata. Dopiero przypadek sprawił, że się spotkali. Orłow przy każdej okazji naciskał, aby Riabuszkin przeszedł do pracy w Moskwie, lecz ten zdecydowanie odmawiał. Podczas następnego spotkania w Odessie przy symbolicznym grobie rodziców, gdyż jak się Aleksiej dowiedział, ich ciał nigdy nie odnaleziono, ustalili, że na razie nie będą nikogo informować o swoim odkryciu, natomiast będą się wzajemnie wspierać. Z racji tego, że Dymitr pracował w obozie tysiąc czterysta dwadzieścia pięć, a więc w miejscu przeznaczonym dla politycznych wrogów każdej aktualnej władzy, Orłow nauczył go, jak odpowiednimi metodami uzyskiwać od nich informacje, które nie zostały ujawnione podczas śledztwa. Dzięki tym wiadomościom Orłow dostał pół roku temu awans na stopień majora, a teraz, jak się Riabuszkin dowiedział z listu, jest przymierzany na zastępcę Kriuczkowa. Natomiast on sam dzięki dyskretnej pomocy brata został dwa lata temu zastępcą komendanta obozu, a obecnie dążył do tego, by zająć miejsce wiecznie pijanego Wołkowa. Nie martw się braciszku, już ja popracuję nad tym Polaczkiem.

Kraków, 22 marca 1996

– Puk, puk! Kto tam? Hipopotam! – Agnieszka usłyszała w telefonie męski głos. W pierwszej chwili pomyślała, że to żart przeznaczony dla kogoś innego, i chciała odłożyć słuchawkę, ale mężczyzna powtórzył: – Puk, puk! Kto tam? Hipopotam! – Dopiero wtedy rozpoznała ten głos.

– Sasza? Sasza Korytkin? – zapytała niepewnie. Przed oczyma pojawiły się obrazy niemalże sprzed dziesięciu lat. Malutka Julka uwielbiała Saszę, czeczeńskiego doktoranta Michała. Zawsze był uśmiechnięty. Wymyślał co rusz nowe zabawy dla dzieci. Gdy wchodził do ich mieszkania, dziewczynka zamykała się w łazience albo w pokoju dziecięcym. Sasza musiał odgadnąć, gdzie jest, kolejno pukając do drzwi i recytując słowa popularnej wyliczanki. Gdy trafiał na właściwe drzwi, Julia odpowiadała: – Nie otworzę, jestem sama, boję się hipopotama!

– *Da*, Sasza! Agnieszka?! Jak dobrze, że jesteś w domu! – Podczas pobytu w Krakowie pięknie mówił po polsku, teraz jednak wyczuwała w jego głosie rosyjski akcent. I to ją zmyliło. – Mam wiadomości o Michale...

– Michał nie żyje. – Początkowa radość znikła, tak jak bezpowrotnie odeszły wspaniałe dni, a raczej wieczory i noce, które spędzali na rozmowach i grze na gitarze. – Trzy tygodnie temu był jego pogrzeb...

– Nie! Agnieszka! Michał żyje! – krzyczał Sasza do słuchawki.

– Co ty mówisz?! – Agnieszce zrobiło się ciemno przed oczami. Opadła na krzesło. Nie, to niemożliwe! Przecież dostała oficjalny akt zgonu Michała. Przecież był pogrzeb, delegacje, kondolencje, łzy i rozpacz. Przecież była trumna... Właśnie, trumna! Była zaplombowana! Nie mogła po raz ostatni dotknąć jego twarzy, pożegnać się, pocałować...

– *Niet!* Michał żyje! Nie wiem, *co słuczyłos u was*, ale Michał żyje – krzyczał rozemocjonowany Korytkin, ze zdenerwowania mieszając polskie i rosyjskie słowa. – *On tiepier* w łagrze na Syberii, ale *żyw!*

– Skąd wiesz? – zdołała powiedzieć i rozplakała się.

Od pogrzebu Michała walczyła o prawdę. Nie pogodziła się z faktem, że trumna była zaplombowana, że nie wolno jej było go zobaczyć! Nie wiedziała, w co był ubrany! Nie rozumiała tego! Po słowach Saszy powróciły wątpliwości. Owszem, płakała na cmentarzu, łzy ściekały po twarzy, ale jej serce nie krwawiło. Gdzieś w podświadomości czaiła się wątpliwa nadzieja, że to nie Michał, nie jej mąż. Chociaż nie miała żadnego dowodu, ba, złoty napis

na marmurowym nagrobku codziennie i jednoznacznie jej przypominał, że tu jest pochowany Michał Kobalt, jej ukochany mąż, jednak nie czuła pustki, którą powinna była czuć po jego odejściu.

– Sasza! Jak możesz? Ja... – Ponownie zanosła się płaczem.

– Agnieszka, ja mówię prawdę! – Jej rozmówca nie wiedział, że oficjalnie Michał nie żyje. Słowa Agnieszki też były dla niego szokiem. – Przysięgam! Michał żyje! Jest w łagrze tysiąc czterysta dwadzieścia pięć, na Syberii. Będę u ciebie o piętnastej po... – Połączenie zostało przerwane.

Zaalarmowany telefonem od Agnieszki, Madera dopiero pół godziny po piętnastej dzwonił do drzwi jej mieszkania. Nic nie rozumiał z tego, co chaotycznie opowiedziała mu ciotka. Gdy Agnieszka dzwoniła, był akurat na porannym biegu. Ciotka też wiele nie wiedziała. Agnieszka to płakała, to się śmiała tak, że starsza kobieta nie mogła niczego zrozumieć z jej słów. Zapamiętała tylko tyle, że Michał Kobalt żyje, jest gdzieś w Rosji, a Sasza Korytkin będzie w domu Agnieszki o piętnastej. Kim był Korytkin, ciotka nie wiedziała. Madera również, chociaż gdyby nie elektryzująca, niewiarygodna wiadomość, zapewne przypomniaby sobie opowieści profesora o swoim doktorancie. Zapłakana i zdenerwowana Agnieszka wprowadziła Maderę do gabinetu Michała. Korytkina jeszcze nie było. Na biurku leżała rozłożona mapa Rosji, obok popielniczka z palącym się papierosem. Pokój aż gęsty był od dymu.

– Pani Agnieszko! Pani pali?! – zapytał Madera z wyrzutem.

– Tak, panie Janku – potwierdziła, biorąc do ust papierosa. – Od pogrzebu Michała nie mogę sobie poradzić z nerwami. Staram się, ale nie mogę. To pomaga mi przeżyć.

– Przepraszam. Zupełnie nie wiem, o co chodzi – rozpoczął Madera. – Ciotka niewiele zrozumiała z pani słów. Profesor żyje? Skąd ta pewność?

– Michał jakiś czas temu miał doktoranta z Czeczenii, Saszę Korytkina. – Agnieszka krótko opowiedziała historię ich znajomości. – Dzisiaj rano zadzwonił z wiadomością, że mój mąż żyje. Sasza powinien tu lada chwila dotrzeć.

– Ale skąd on ma takie wiadomości?! Jeżeli to jakiś makabryczny żart, to...

– Nie, panie Janku. Sasza to poważny człowiek. Walczył na wojnie czeczeńskiej, był ranny. Stracił prawą dłoń. On ... – Dalszą wypowiedź Agnieszki przerwał dźwięk domofonu.

Kobieta w pośpiechu wybiegła z gabinetu. Madera słyszał podniecone głosy, ale nie rozumiał słów. Po chwili do gabinetu wszedł mężczyzna z plecakiem, za nim rozgorączkowana Agnieszka.

– Panie Janku! – krzyczała, a łzy ciurkiem spływały jej po twarzy. – Michał

żyje! Żyje! Słyszysz pan?! Mój mąż żyje!

Mężczyzna wszedł powoli. Był zgarbiony, a na jego śniadej twarzy widać było potworne zmęczenie. Kilkudniowy zarost podkreślał podpuchnięte, zaczerwienione oczy. Wymięta koszula i spodnie, zakurzone buty świadczyły o tym, że nie rozstawały się z właścicielem przez kilka ostatnich dni. Zrzucił ciężko plecak na podłogę, przywitał się z Maderą, po czym opadł na fotel. Agnieszka wyszła do kuchni przygotować kawę dla gości.

– Słuchaj, jeżeli to jakiś żart, to długo nie pożyjesz – ostrzegł Madera.

– Przysięgam na moją matkę. – Korytkin zamasyście uderzył się prawą pięścią w pierś. – Trzy dni temu, jak wyjeżdżałem z Groznego, dostałem w stu procentach pewną wiadomość, że Michał Kobalt, polski profesor z Krakowa, żyje.

– Sasza! Mówiłam ci już rano, że pochowałam Michała trzy tygodnie temu. W każdej chwili możemy iść na jego grób. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w Brukseli. Nic z tego nie rozumiem! – powiedziała Agnieszka, wnosząc do gabinetu aromatyczny napój. Ręce jej drżały. Zdejmując filiżanki z tacy, wychlapywała kawę na spodeczki, lecz nikt z obecnych nie zwracał na to uwagi. Czająca się nadzieja nagle ożyła. W ciemności smutku pojawił się maleńki promyczek. Od zakończenia porannej rozmowy z Saszą nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Wykonywała bezsensowne czynności. Tysiące razy spoglądała na zegarek. Brała i natychmiast odkładała z powrotem różne przedmioty. Chodziła od okna do okna, a gdy zmęczona przysiadła w fotelu, natychmiast się podrywała, jakby na nowo porażona wiadomością „Michał żyje!”. Zwróciła się do Saszy: – Wiem, że jesteś zmęczony, ale mów. Musisz nam wszystko opowiedzieć! To niewiarygodne! Ja jeszcze nie wierzę!

– Agnieszko, nic nie wiem o śmierci Michała ani tym bardziej, kto leży w grobie. Ta wiadomość to dla mnie szok. Nic z tego nie rozumiem. Wiem jedno: Michał Kobalt, twój mąż, a mój przyjaciel, żyje. Co prawda przeszedł przez łapy tych z KGB, ale żyje! Wczoraj powinien dotrzeć do łagru tysiąc czterysta dwadzieścia pięć, to jest na Syberii.

– Ale skąd on się wziął w Rosji?! Przecież pojechał do Brukseli!

– To długa historia – rozpoczął Korytkin.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Madera. To wszystko nie trzymało się kupy. Profesor zniknął w Brukseli dziewiątego lutego. Dwa dni później na obrzeżach miasta odnaleziono jego zwłoki. Kto dokonał identyfikacji? To pierwsze pytanie zaniepokoiło Maderę. Że też nie pomyślał o tym wcześniej! Przyjął w ciemno wiadomość o odnalezieniu ciała profesora, a przecież tyle było innych pytań. Gdzie był przez te dwa dni od zniknięcia z hotelu? Gdzie

i skąd szedł poboczem autostrady, że potracił go samochód? Czy ktoś go widział przed wypadkiem? Wszystkie pytania policja belgijska zbywała krótkim „śledztwo w toku”. Wobec rewelacji tego Czeczena, oczywiście pod warunkiem że ten brudny i zarośnięty mężczyzna mówił prawdę, pojawiało się fundamentalne pytanie o to, kto i w jakim celu uprowadził profesora do Rosji. Wiadomość wspaniała, ale... No właśnie, czy można mu wierzyć? Gonitwę myśli zakończył trzeźwą uwagą: – Pani Agnieszka mówiła, że straciłeś prawą dłoń. Gdy witałeś się ze mną, to uścisnęliśmy sobie właśnie prawe dłonie. O co tu chodzi?

– Właśnie mówię, że to długa historia. – Korytkin nie dał się zbić z tropu. – Musicie jej całej wysłuchać. Może wtedy wspólnie do czegoś dojdziemy. Zgoda?

– Zgoda. – Agnieszka i Madera równocześnie odpowiedzieli na pytanie gościa.

– Nie potrafię wam wszystkiego wyjaśnić, ale wiem skąd Michał wziął się w Rosji. – Uniósł filiżankę kawy i łapczywie napił się gorącego płynu. – Jak zwykle pyszna – pochwalił.

– Sasza! Do rzeczy! – Madera się zirytował.

– Od trzech dni jestem w podróży. Muszę się napić kawy. Jeśli umrę z pragnienia, to nic wam już nie wyjaśnię – odpowiedział Korytkin. – Wy, tu w Polsce, macie dobrze. Sześć lat temu odzyskaliście niepodległość i macie swoją ojczyznę, a my od prawie stu pięćdziesięciu lat jesteśmy pod okupacją rosyjską.

– Sasza, na miły Bóg – zdenerwował się Madera. – Co wspólnego ma okupacja Czeczenii z profesorem?!

– A ma, ma. I to bardzo dużo. Ale jak będziesz mi bez przerwy przerywał i groził, to nigdy tego nie wyjaśnię...

– Panie Janku, spokojnie, ja też nie mogę powstrzymać ciekawości – włączyła się Agnieszka Kobalt. – Przecież to dotyczy mojego męża!

– No właśnie! – potwierdził Korytkin, lecz pod wpływem piorunującego wzroku Madery pospiesznie i chaotycznie zaczął tłumaczyć: – W grudniu dziewięćdziesiątego czwartego roku Jelcyn wydał rozkaz wojskom sowieckim, które wkroczyły do Czeczenii. Po fatalnej wpadce z Dumą, rok wcześniej, był mu potrzebny jakiś sukces. Przecież za dwa lata miały być wybory prezydenckie w Rosji. Rozpoczęła się nierówna wojna. Naprzeciw siebie stanęły potęga militarna i garstka szaleńców. Wszyscy skazywali nas na porażkę, a jednak po udanej akcji Basajewa w Budionowsku pojawiła się szansa na zwycięstwo. Trzeba było tylko skłonić Stany Zjednoczone do politycznej interwencji. Jak mówiłem, niedługo wybory prezydenckie

w Rosji. Jelcyń tak bardzo chce zdobyć władzę, że może ulec ultimatum Clintona. Tylko jak przekonać prezydenta Stanów?

– Sasza! – przerwał mu Madera.

– Spokojnie, spokojnie – uspokajał Korytkin. – Na początku wojny generał Pietrow zorganizował służbę wywiadowczą, z czasem udało nam się pozyskać agentów na Kremlu. Dwa miesiące temu dotarli do tajnych dokumentów Rosjan, tych na samym świeczniku. Numery kont, historie przelewów na tajne konta w Szwajcarii, w tym samego Jelcyna. Oprócz tego mnóstwo dowodów na to, że zachodnia pomoc wykorzystywana była między innymi na finansowanie wojny w Czeczenii. Dobrze wiecie, że nawet najlepszy towar potrzebuje właściwej reklamy, a w tym przypadku właściwego człowieka, który nie tylko dostarczy Amerykanom te dokumenty, ale również zagwarantuje swoim autorytetem ich prawdziwość i przekona potencjalnych sojuszników do wymuszenia na Rosji uznania niepodległości naszej ojczyzny. Profesor Dasajew, ojciec mojego przyjaciela z uniwersytetu, przypomniał sobie moje opowieści o Michale.

– Mój Boże, teraz już wiem, dlaczego Michał był taki przygnębiony. – Agnieszka się przeraziła.

– Nie wiem, czym skłonili Michała do współpracy, ale Pietrow nie wykluczał nawet szantażu. I to mi się nie spodobało. Ostro zaprotestowałem. W rezultacie wylądowałem w więzieniu. Chcieli mnie skłonić do napisania listu do Michała, ale odmówiłem, stąd pewnie bajka o straconej przeze mnie prawej dłoni.

– No dobra, ale dalej nie wyjaśniłeś nam, jakim cudem profesor znalazł się w Rosji – zapytał Madera, tym razem już nieco spokojniej.

– Dowodów nie mam. Dotarli do mnie strzępy informacji, a resztę potrafiłem sobie dopowiedzieć. – Sasza opróżnił filiżankę, ale zasłuchana Agnieszka tego nie zauważyła. – Nie tylko my mieliśmy agentów. Po wyjeździe Dasajewa i Pietrowa wypuszczono mnie na wolność i wtedy doszło do paru dziwnych wydarzeń. Rosjanie nie wpadali już w nasze zasadzki. Bardzo często wyprzedzali nas o krok. Zaczęliśmy podejrzewać, że w naszym kręgu jest jeden albo raczej paru sowieckich agentów. Doszło do nieudanej próby zamachu na Basajewa. Pojawiały się pogłoski o nowej ofensywie Rosjan. Tydzień temu dotarł do Groznego agent z Moskwy. Informacje, które przywiózł, były zatrważające. Rosjanie rozpracowali naszą siatkę na Kremlu, w wyniku czego profesor Dasajew zginął w zamachu bombowym w Brukseli, a Pietrow zniknął i nikt nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje. Padła informacja, iż uprowadzono również z Brukseli człowieka, który przekazał Amerykanom tajne dokumenty. Jednym słowem totalna

porażka.

Agnieszka i Madera z zapartym tchem słuchali opowieści Saszy. Każde z nich miało inne myśli. Agnieszka powoli zaczynała pojmywać całą sytuację. Przygnębienie Michała, brak radości z wyjazdu, częste telefony z Brukseli i tajemnicze zniknięcie. Nie mogła tylko zrozumieć, kto i dlaczego „uśmiercił” jej męża, a jej przydzielił główną rolę w tej makabrycznej historii. Cemu miało służyć kłamstwo o śmierci Michała i po co była ta cała szopka z jego pogrzebem?!

– Spotkałem się z tym agentem wieczorem w jego kwaterze – kontynuował Korytkin. – Potwierdził, że tym człowiekiem, którego KGB uprowadziło z Brukseli, jest Michał. Powiedział też bardzo ważną rzecz. Jeszcze nim dokonano aresztowań naszych agentów, z niewiadomych przyczyn przeniesiono Michała do rządowego szpitala i otoczono najlepszą opieką. Niemniej dostał wyrok dożywotniego pobytu w karnym obozie numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć. Wczoraj miał dotrzeć na miejsce, a ze słów naszego człowieka wynika, że ktoś czuwa nad Michałem, żeby mu się krzywda nie stała.

– Jezus, Maria – jęknęła Agnieszka. – To straszne! Ale najważniejsze, że Michał żyje i wiemy, gdzie jest. Może będę go mogła odwiedzić?

Zamknęła oczy. Panie Boże, spraw, żeby to była prawda. Żeby Michał żył. Żeby znów mogła się do niego przytulić, usłyszeć jego głos, pocałować... Ileż on musiał wycierpieć?! Porwany z centrum cywilizacji i wywieziony na koniec świata! Z pewnością był torturowany, poniżany, głodzony. I sam. Ona chociaż miała przyjaciół, dzieci, a on?! Nie ma nikogo, komu mógłby powierzyć smutek, kto by go pocieszył.

– W tego typu miejscach nie ma odwiedzin. – Odpowiedź Saszy wyrwała ją z zamyślenia.

– Ale może nasz MSZ...

– Pani Agnieszko – włączył się Madera. – Na jakiej podstawie chce pani zmusić ministerstwo do działania? Przecież oni mają akt zgonu Michała. Jak ich pani przekona, że to pomyłka? Że profesor żyje i do tego jest w Rosji? Kto uwierzy w tę historię?

– Janek ma rację – powiedział Sasza. – Nikt nie uwierzy, że Michał żyje. Nikt nie podejmie działań. Jadąc tu, nie wiedziałem, że Michał oficjalnie został uznany za zmarłego, że urządzono mu pogrzeb. Przywiozłem ze sobą osobisty list prezydenta Dudajewa do ministra Jankowskiego z prośbą o wystąpienie do Jelcyna z żądaniem natychmiastowego uwolnienia Michała, ale w tej sytuacji nie wiem, czy on się przyda. Jediną pociechą pozostaje fakt, że obok obozu mamy od paru lat naszego agenta. To daleki

kuzyn generała Maschadowa, człowiek pewny i oddany sprawie. Dostał polecenie zaopiekowania się Michałem i robi to najlepiej, jak potrafi. Ja wiem, Agnieszko, że w tej sytuacji to marna pociecha, ale Michałowi włos z głowy nie spadnie. Tymczasem my, tam w Groznych, uporzędkujemy sprawy ze zdrajcami i wtedy na pewno coś wymyślimy. A teraz opowiedzcie mi, co tu się wydarzyło. Skąd ten pogrzeb bez ciała?

– Zaraz, zaraz – przerwał Madera porażony niespodziewaną myślą. – Jaka w tym wszystkim była rola Magdy? Przecież to ona przekazała pani informację o śmierci profesora. Wobec tego, co powiedział Sasza, rola naszej korespondentki zaczyna wyglądać dwuznacznie. Nie mówiąc już o ministrze Jankowskim.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Agnieszka.

– A chociażby to, że od samego początku, przynajmniej tak pani mówiła, czuła pani, że coś jest nie w porządku, że nie mówią pani całej prawdy i to by się zgadzało. Pytanie, czy Magda i Jankowski grali w tej samej drużynie? Czy wiedzieli o mistyfikacji? Kto ją spreparował?

– Panie Janku, a czy to teraz ważne? – zapytała Agnieszka, ocierając łzy. – Jeżeli Michał żyje, to musimy wymyślić sposób, jak wyciągnąć go z tego piekła. Nie wiem, czy znajdę siłę, żeby to jeszcze raz rozgrzebywać. I po co? Szukać zemsty? Zadośćuczynienia? Jeżeli Sasza mówi prawdę, to pragnę tylko powrotu Michała, a jeżeli nie będzie takiej możliwości, to rzucam wszystko, zabieram dzieci i jedziemy na Syberię.

– Agnieszko, nie znasz realiów Rosji.

– Sasza ma rację – potwierdził Madera. – A poza tym bez wyjaśnienia roli korespondentki i ministra nie możemy wykorzystać listu prezydenta Dudajewa.

– Dlaczego?! – oburzyła się Agnieszka. – Co wspólnego ma jedno z drugim?!

– Bez odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego to wszystko wymyślił, niczego nie możemy zrobić – powtórzył Madera. – Czy pani sobie wyobraża, jak można ze środka Europy porwać człowieka i przetransportować go na koniec świata? I to po pierwsze dyplomatę, członka oficjalnej delegacji rządowej, a po drugie gościa, który dostarczył Amerykanom tajne dokumenty kompromitujące Rosję! Gdzie było CIA?! Dlaczego ściągnęli ochronę profesora?! Przecież jakąś musiał mieć, skoro dowoził im tajne dane. A nasz MSZ i Jankowski?! Dlaczego nie zareagowali na informacje Magdy? Ten Bush, rzekomo taki ważny, dyrektora agencji ściągnął, a profesora nie upilnował?! I na koniec, żeby się już dobić ostatecznie, jaka była w tym wszystkim rola Magdy? W tę aferę musiały być zaangażowane osoby na najwyższych stanowiskach i to w niejednym państwie. Przepraszam, pani

Agnieszko, ale bez odpowiedzi na te pytania jesteśmy w dupie. W czarnej dupie!

Zapadło milczenie. Kłopotliwe milczenie. Cała trójka pogрузyła się w rozmyślaniach. Szczęście, które zawitało przez chwilę, nagle schowało się za czarne chmury. Czarne, gęstniejące z każdą minutą chmury. Wszyscy wiedzieli, że stoją przed trudnym, niemalże niewykonalnym zadaniem. Z punktu widzenia prawa, z tego Agnieszka doskonale zdawała sobie sprawę, Michał Kobalt nie istniał. Miała w szufladzie akt zgonu męża, wystawiony jak najbardziej w zgodzie z przepisami. W prasie ukazało się mnóstwo klepsydr informujących o pogrzebie profesora Michała Kobalta. Ceremonia się odbyła. Wzięty w niej udział setki ludzi, kolegów z uczelni, aktualnych i byłych studentów, delegacja rządu z ministrem Jankowskim... Jak teraz udowodnić, że Michał żyje?! Jak przekonać do pomocy?! Komu można zaufać?

– Dzwonię do Magdy! – Agnieszka nie wytrzymała ciężkiej ciszy. – Musi mi opowiedzieć wszystko, co wie!

– Przez telefon? – zdziwił się Madera.

– Tak.

– To nie jest dobry pomysł – powiedział i zamyślił się. Tak, to nie jest dobry pomysł. Telefony mogą być na podsłuchu, a poza tym, czy Magda będzie chciała powiedzieć prawdę przez telefon? Musi jej patrzeć prosto w oczy, gdy będzie odpowiadała na pytania. Podczas kontraktów nauczył się rozpoznawać kłamstwo po oczach. Na początku pobytu w Afryce nie znał ani jednego słowa z języka tubylców, a zawsze bezbłędnie wyczuwał fałsz. Opowieść Saszy stawiała reporterkę w dwuznacznej sytuacji. Będzie musiała bardzo logicznie wytłumaczyć swoją rolę, patrząc mu prosto w oczy. A poza tym, nie będzie miała czasu na wymyślenie jakiejś bajeczki. Lepiej poczekać, postanowił. – Trzeba wymyślić powód, i to najlepiej niezwiązany z profesorem – wyjaśnił. – Powód, dla którego Magdalena błyskawicznie przyjedzie do Polski i nie będzie się nawet domyślać prawdziwych przyczyn.

– Ale Michał... – Agnieszka się zaniepokoiła.

– Mówiłem już – wtrącił Sasza – że mamy tam swojego człowieka, który czuwa nad Michałem, a poza tym z nieznanymi nam powodów jest pod szczególną ochroną. Chwila zwłoki niczego nie zmieni.

– Sasza ma rację – zgodził się Madera. – Teraz najważniejsze, to sprowadzić do nas Magdę, ale tak, by nie domyśliła się celu wizyty.

– Panie Janku, obiecuję panu, że w ciągu trzech, góra czterech dni Magdalena będzie w Krakowie.

Pomimo nalegań ze strony obu mężczyzn Agnieszka nie zdradziła, jakiego podstępu użyje, żeby sprowadzić Magdę do Krakowa.

Cztery dni później spotkali się ponownie w domu Agnieszki Kobalt, jednak rozmowa ta nie wniosła niczego nowego. Na nic zdały się podstępny Madery. Rozjeżdżali się więc w ponurych nastrojach. Janek nie był jednak przekonany, czy Magda niczego nie ukrywa, ona natomiast była urażona jego nieufnością.

Linia telefoniczna Wschód – Zachód

- Witaj, Henry. Gotowy?
- Jak zwykle.
- Pionek e sześć bije d pięć. Polak schowany. Południk sto dziesięć. Nie jest to co prawda kurort na Lazurowym Wybrzeżu, ale mamy tam w ofercie świeże powietrze. A dookoła jak okiem sięgnąć lasy, lasy, lasy...
- Ciekawe, choć mogłeś coś lepszego wymyślić. Wieża a jeden na c jeden. Były naciski na Billa, żeby zażądał od was zwrotu Polaka, ale nie ustąpił. Rodacy urządzili mu naprawdę ładny pogrzeb. Chyba nawet jakiś medal dostał. Znalazłeś już przeciek?
- Nie. Nadal nie wiemy, kto Pietrowowi dostarczył materiały. Goniec c osiem na e sześć.
- Przykro mi, ale generał niczego wam już nie powie. Ukrył się na dość długo na Rakowicach w Krakowie, a jako szef wywiadu zmienił nazwisko. Zgadnij na jakie? Hetman d jeden na a cztery.
- Jak zwykle dopisuje ci poczucie humoru. Wielka szkoda. Pionek c siedem na c pięć.
- Uwierz mi, Polak niczego nie wie. Dajcie mu spokój. Hetman a cztery na a trzy. Chyba udało wam się z Czeczenią?
- Tak... Dudajew dołączył do Pietrowa. Nasi wzmocnili swoją pozycję w rządzie Czeczenii. Borys trochę odpuścił. Wieża f osiem na c osiem.
- Solana długo się opierał, ale znasz Billa, zawsze ma jakiegoś asa w rękawie. W końcu przekonał go i Europa da wam na chwilę spokój, ale drogo cię to będzie kosztowało. Goniec f jeden na b pięć! Tak dalej być nie może. Musisz uszczelnić system.
- Uwierz mi, Henry, że robimy, co możemy.
- Wierzę. Jaka odpowiedź?
- Potrzebuję trochę czasu.
- Pamiętaj, że nie masz go zbyt wiele. Czekam.

Południk 110, 24 marca 1996

Po raz kolejny w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin z piskiem metalowych kół, stukiem zderzających się buforów, pociąg się zatrzymał. Szarpnięcie było tak mocne, że zbiło wszystkich nieszczęśników w jedną wielką kupę dogorywającego ludzkiego mięsa, opatulonego w łachmany i niemającego już siły, by zareagować na zatrzymanie inaczej niż martwą obojętnością.

Pierwszego dnia podróży każde takie zatrzymanie było pretekstem do kłębienia się przy wąskich szczelinach zastępujących okna. Nieliczni, którzy tam właśnie się znajdowali, byli zgniatani przez tych ze środka. Dopytywano, co to za stacja, lecz odpowiedź zawsze była taka sama: „Szczere pola. Niczego nie widać”. Trudy następnego dnia podróży osłabiły zainteresowanie więźniów widokami na zewnątrz, czasem tylko jakiś pojedynczy głos zapytał, z rzadka otrzymując odpowiedź. Teraz już nikt nie miał siły zainteresować się miejscem, gdzie się zatrzymali. Po chwili ciszy do wagonu zaczęły się przybliżać ludzkie głosy i jazgot psów, aż w końcu z chrzęstem otworzyły się drzwi wagonu. Lodowaty powiew arktycznego powietrza nie wywarł na stłoczonych więźniach większego wrażenia. Ścisnęli się tylko bliżej siebie. Również wyrzeszczana po rosyjsku komenda „wychodzić” nie poruszyła grupy. Teraz do akcji ruszyły gumowe pałki i psy. Strażnicy bili na oślep, pierwszy ich atak spadł na najbliższych siedzących. Ci poderwali się i strącani przez strażników wypadali na łeb, na szyję z wagonu, lądując na zamrożonym peronie. Tutaj bici przez drugą grupę oprawców, przepędzani byli na następny peron. Ociągający się otrzymywali dodatkową porcję uderzeń. Szczuci psami z trudem zmuszali do biegu zmarznięte i ścierpnięte nogi. A jakież to był bieg! Na sztywnych kolanach, zgarbieni jak upiorne, ożywione, pokraczne manekiny, potykając się na zmrożonym śniegu, upadając i podnosząc się, niezgrabnie przemieszczali się na miejsce zbiórki. Michał Kobalt zdecydowanie lepiej niż jego współtowarzysze niedoli zniósł podróż. Kiedy strażnicy otworzyli drzwi, znajdował się w swoim kącie dokładnie naprzeciwko wyjścia, miał więc chwilę na rozprostowanie nóg i zorientowanie się w sytuacji. Więźniowie wypadali z wagonu po trzech, czterech naraz. Najwięcej uderzeń pałkami otrzymywali ci z brzegu wypadającej grupy albo ci, którzy upadali na peronie. Profesor powoli przesunął się w stronę drzwi, zbierając jednocześnie siły. Z dużej grupy, która

bezpośrednio przed nim została wypchnięta, większość upadła, co wywołało wściekłość strażników. Natychmiast rzucili się na leżących, pałki niemalże niewidoczne, głucho zadudniły na plecach nieszczęśników. Kobalt wykorzystał to chwilowe zamieszanie i zrobiwszy krok w tył, nabrał rozpędu. Wyskoczył z wagonu, przelatując nad głowami więźniów i strażników. Wylądował na szeroko rozstawionych nogach, z trudem zachowując równowagę i natychmiast, najszybciej jak tylko mógł, ruszył biegiem w kierunku miejsca, gdzie formowała się kolumna więźniów. Kilkudziesięciometrowy bieg, w czasie którego nie uniknął uderzeń pałką, przyspieszył obiegł krwi. Ustąpiło uczucie chłodu. Starał się oddychać nosem, gdyż na zewnątrz, pomimo pierwszego dnia wiosny, panował co najmniej kilkunastostopniowy mróz, który ostrym sztyletem wbijał się w płuca przez otwarte usta. Po kilkadziesiąt minut kolumna została sformowana w czwórsheregu. Następowano odliczanie. Michał nieszczęśliwie znalazł się w pierwszym rzędzie. Nieudolnie wykrzyczał „sorok piat”. Gdy skończyło się liczenie, jeden ze strażników podszedł do stojącego z boku ubranego w kożuch mężczyzny, zapewne oficera, i zameldował gotowość orszaku do drogi, podając jednocześnie stan liczebny. Oficer sprawdził coś w grubym zeszycie, który następnie oddał składającemu meldunek. Następnie ruszył wzdłuż szeregu, co chwilę wskazując palcem na więźnia. Wskazany wychodził trzy kroki przed szereg.

– Michał Kobalt! – wrzasnął oficer.

– Jestem – odpowiedział Kobalt i wyszedł przed szereg.

– No tak – powiedział oficer, oświetlając twarz profesora mocnym światłem latarki. Po czym nie mówiąc nic, wskazał mu miejsce w wybranej grupie więźniów.

Profesor posłusznie dołączył do grupy. Baczenie rozejrzał się na boki. Wybrano ich około dziesięciu. Po komendzie ustawili się w dwuszeregu, a następnie ruszyli z powrotem w stronę wagonów. Kobalt nie wiedział, o co chodzi, niemniej bez oporów ruszył w przedostatniej parze. Tajemnica wyjaśniła się przy pierwszym wagonie. Na podłodze leżało kilku nieruchomych mężczyzn. Nie przeżyli morderczej, blisko dziewięćdziesięciosześciodzinnej podróży i teraz trzeba ich było wynieść z wagonów i przenieść na stojące z tyłu pociągu sanie. Właśnie wybrana dziesiątka miała to zrobić. Brali zmarznięte zwłoki za ręce i nogi, po czym wyrzucali je na peron. Gdy już wagon był pusty, trupy przenosili na sanie. Żeby umieścić zwłoki na saniach, musieli je rozhuścić, a potem na podaną komendę „tiepier” wyrzucić do góry tak, by przeleciały przez wysokie burty. Pierwszy wyrzucony w górę nieboszczyk uderzył w burtę i z hukiem upadł

na śnieg. Całą operację trzeba było powtórzyć od nowa. Tym razem odliczali „adina, dwa, trzy, następny”. Udało się. Niczym koszmarny latawiec, ciało przeleciało nad burtą sań i z łomotem wylądowało za nimi. Jeszcze jeden rzut, tym razem celny. Trzecie nie sprawiły im większego kłopotu. Powrót i następny wagon. W tym było pięciu. Pięć kursów do sań, pięć nieludzkich łomotów oznajmiło koniec pracy. Więzień, z którym Kobalt wykonywał tę nietypową pracę, wyciągnął z kieszeni papierosa i go poczęstował. Michał machinalnie wyciągnął rękę i włożył papierosa między wargi. W tym momencie uświadomił sobie, że nie palił od czasu kolacji w Le Petit Moulin Rouge. Więzień chwycił Kobalta za rękę i wciągnął go między wagony. Niewidoczni dla strażników mogli zapalić. Skończyli pierwsi, reszta czyściła wagony z brudu, jaki pozostawili więźniowie. W milczeniu wypalili papierosa i niezauważeni przez nikogo, stanęli przy saniach. Pierwsze pociągnięcie spowodowało zawrót głowy, lecz opanował go. Gdy dopalił papierosa do końca, ciśnienie podskoczyło mu, powodując pulsowanie w skroniach. Niemniej poczuł się trochę lepiej. Pierwszy raz w życiu miał tak bliski i brutalny kontakt z ludzkimi zwłokami. Początkowo przeszył go dreszcz obrzydzenia, zwłaszcza gdy spadł na niego pierwszy nieumiejętnie rzucony nieboszczyk. Potem opanował się. Teraz spora dawka nikotyny na chwilę poprawiła mu samopoczucie, o ile można mówić o poprawie nastroju po morderczej dwudniowej podróży w towarowych wagonach. Kobalt, choć nieźle zniósł warunki transportu, był potwornie zmęczony. Fizycznie i psychicznie. Otumaniony smrodem, zmarznięty, głodny i spragniony, miał tylko jedno marzenie. Chciał się położyć. Choćby na brudnym i zimnym łożku. Zamknąć oczy i spać. Było mu obojętne, czy się obudzi, czy zamarznie, czy umrze z głodu. Pragnął rozprostować zdrętwiałe nogi i dać ulgę kręgosłupowi. Leżeć. Spać. W bladym świetle lamp zobaczył, że kolumna więźniów rusza wśród krzyków strażników i szczekania psów. Po chwili i oni do nich dołączyli. Podążali niczym kondukt pogrzebowy za saniami pełnymi zwłok.

Kwiecień, maj, czerwiec 1996

O wszystkim zadecydował przypadek. Ciotka Madery, kobieta bardzo wrażliwa, z czystej, ludzkiej życzliwości i troski często dzwoniła do Agnieszki, przeprowadzając z nią długie rozmowy. Z czasem kobiety zaprzyjaźniły się, a jako że zbliżały się Święta Wielkanocne, pani Nowakowa zaproponowała spotkanie. Propozycja została przyjęta z wdzięcznością.

Agnieszce oprócz dzieci towarzyszyła również korespondentka Radia Smog w Brukseli, Magdalena Strzelecka-Pommieur. Madera, nieuprzedzony o jej przyjeździe, nie wiedział, jak się zachować. Magda spodobała mu się od pierwszego spotkania. Już wcześniej oczarował go jej głos, jednakże nie mógł pozbyć się przekonania, że ona coś ukrywa. I to przecucie właśnie powodowało, że Janek w towarzystwie Magdy był skępowany i spięty. Nie przeszkadzało mu to jednak wodzić wzrokiem za piękną korespondentką, gdy – jak mu się wydawało – nikt nie widział. Przeżywał faktyczne męki. Z jednej strony pragnął zacieśnić swoją znajomość z Magdą, a z drugiej powstrzymywały go przed tym podejrzenia. Z jednej strony nie mógł uwierzyć, by tak troskliwa i wrażliwa kobieta mogła okazać się nielojalna wobec Agnieszki, z drugiej jej inteligencja wywoływała nieufność. Pragnął, by jego podejrzenia okazały się błędne, jednak bał się przeprowadzić zdecydowaną rozmowę, by się nie potwierdziły. Zarówno jego ciotka, jak i Agnieszka doskonale wyczuwały nastrój Madery.

Do decydującej rozmowy między Magdą i Jankiem doszło w drugi dzień świąt, gdy Nowakowa i Agnieszka wraz z dziećmi udały się na Dzwonek. Madera właśnie przyrządzał sobie herbatę, gdy do kuchni weszła Magda.

– Możesz mi zrobić zieloną? – zapytała.

– Nie ma sprawy – odparł, nie patrząc na nią.

– Janku, myślę że musimy poważnie porozmawiać – powiedziała, siadając przy stole. – Zmieniłeś się. Nic nie zostało z tego chłopaka, którego poznałam u Agnieszki. Masz taki dziwny ton głosu... Przestałeś mi ufać?

– Nie. To nie tak – odpowiedział, nie podnosząc na nią wzroku.

– A jak? – nie ustępowała. – Nie zrobiłam niczego złego. Nie masz powodu, żeby mnie tak traktować. Możesz to nazwać szantażem, ale jeżeli tu i teraz nie wyjaśnisz mi swojego zachowania, to wyjeżdżam. O osiemnastej mam autobus do Krakowa. Zrobisz Agnieszce wielką przykrość. Ja jestem jej potrzebna tak samo, jak ty.

– To nie tak, Madziu – powiedział Madera, który właśnie skończył parzenie herbaty, i stawiając dwa kubki na stole, usiadł naprzeciwko niej. – Połóż ręce na stole i popatrz mi prosto w oczy – powiedział, a zaskoczona jego tonem Magdalena posłusznie wykonała polecenie. Madera ujął jej ręce w swoje dłonie i patrząc prosto w oczy, zapytał: – Czy możesz przysiąc na zdrowie i życie swoich przyszłych dzieci, że mówisz prawdę i nie wiesz o zaginięciu profesora nic więcej, niż nam powiedziałaś?

– Kpisz, czy o drogę pytasz?! – krzyknęła zaskoczona tym pytaniem. – Czy ty myślisz, że byłabym w stanie okłamywać Agnieszkę?!

Madera próbował odwrócić wzrok. Był zaskoczony jej otwartością. Zawsze był nieśmiały w stosunku do kobiet. Jednak Magda nie ustępowała:

– Patrz mi prosto w oczy i odpowiedz!

– Tak – szepnął speszony.

– To wreszcie mi zaufaj – powiedziała zdecydowanie. – Jeżeli nie będziemy sobie wierzyć, to jak widzisz naszą wspólną pomoc Michałowi?!

– Wspólną?! – Madera aż się zakrztusił herbatą.

– Tak, Janku, wspólną – potwierdziła. – Przecież Michał może liczyć tylko na nas. Od pięciu lat zajmuję się komentowaniem polityki. Poznałam dobrze to środowisko. Więcej w nim jest polityków niż politykierów. Na oficjalną pomoc Polski czy Stanów nie możemy liczyć. Czeczenia to śmierdząca sprawa zarówno dla Rosji, jak i dla Zachodu. John jest co prawda przyjacielem Michała i ja mu wierzę, ale on jest przede wszystkim Amerykaninem. Dla niego Stany to rzecz święta. Jankowski? To z gruntu uczciwy facet, ale ideowiec i marzyciel. Nie zapominaj, że w Rosji toczy się walka o władzę. Wygrana Jelcyna nie jest jeszcze przesądzona. Ziuganow i Żyrynowski nie odpuszczą, a Clinton popiera Jelcyna i nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzić jego reelekcji. Nawet atak na Czeczenie mu wybaczy.

– Jasna cholera! Jeżeli wszystko, o czym mówisz, jest prawdą, to profesor wpadł w niezłe gówna! – zaklął.

– Widzisz więc, że na placu boju pozostaliśmy tylko my – skwitowała Magdalena. – Ja, ty i...

– I? – zapytał.

– Odpowiem podczas spaceru. Zbieraj się!

Do dworku, w którym znajdowało się muzeum Emila Zegadłowicza w pobliskim Gorzeniu Dolnym, było niedaleko. Jakieś trzy, może cztery kilometry. Słońce i ciepły wiosenny wiatr zachęcały do pobytu na świeżym powietrzu. Madera obawiał się, że mogą stać się ofiarami tradycji drugiego dnia Wielkanocy, która przyjęła niebezpieczną postać. Watahy chłopaków z wiadrami wody uganiały się po ulicach w poszukiwaniu łatwych ofiar.

Jednak Magda rozwiała jego wątpliwości prostym stwierdzeniem: „Nie jesteśmy z cukru. Prawda?”.

Podążyli śladem pozostałych domowników i wspięli się na Dzwonek. Licząc się ze spotkaniem z kobietami, prowadzili luźną rozmowę. Co prawda Madera chętnie zasypałaby Magdę tysiącem pytań, ale przyłapany przez nią na niesłusznych podejrzeniach, stracił resztki śmiałości. Zadowolony, ale z rzadka zabierający głos, trzymając Magdę za rękę, prowadził ją asfaltową dróżką na szczyt niewielkiego wzniesienia. Magda była szczęśliwa, że udało się jej wyjaśnić narastające między nimi nieporozumienie. Zaraz po wyjściu z ogrodu chwyciła Janka za rękę i teraz szła uśmiechnięta. Przy nim wreszcie czuła się bezpiecznie i powoli odzyskiwała wiarę w mężczyznę, której tak brutalnie została pozbawiona przez małżonka. Lęk, który towarzyszył jej przez ostatnie miesiące, po każdym spotkaniu z Jankiem stopniowo malał. Na moment zatrzymali się pod starą dzwonnica, która kiedyś ostrzegała okolicznych mieszkańców o zbliżającej się burzy. Od paru lat niewielki dzwon odzywał się rzadko.

– Raczej nie spotkamy już ciotki i pani Agnieszki z dziećmi. – Madera przerwał kolejną opowieść Magdy. – Nie ma też nikogo w pobliżu, więc wyjaśnij mi, proszę, kogo oprócz nas miałaś jeszcze na myśli?

– Nie domyślasz się?

– Magda!

– No dobrze. Widzę, że przez te swoje podejrzenia stałaś się mało kumaty – skapitulowała, widząc grymas rozdrażnienia na twarzy Janka. – Przecież to proste. PMC!

– Myślałem o tym – przyznał – ale boję się, że nie wystarczy mi kasy, a nie chcę narażać pani Agnieszki na wydatki, które mogą nie przynieść efektu. Poza tym nigdy jeszcze w Rosji nie prowadziliśmy akcji. To nie Afryka.

– Wiem, ale masz inny pomysł?

– Nie – bezradnie wzruszył ramionami.

– Ile może kosztować sprzęt na taką wyprawę? – zapytała.

– Sprzęt to nie problem – odparł. – Na to i na podróż wystarczy to, co zarobiłem. Sformułowanie oddziału kosztuje. Ci najlepsi bardzo się cenią.

– A Oswald i Gunter?

– Nie, oni pojedą za darmo.

– To kogo ci jeszcze potrzeba?!

– No... – zająknął się zaskoczony tym prostym pytaniem. Przyzwyczajony był do tego, iż w takich wyprawach bierze udział kilkuset najemników podzielonych na kilkunastoosobowe oddziały. Wyliczył bardzo dokładnie, ile wyniesie koszt utrzymania oddziału.

– Was trzech i ja. Co ty na to?

– Nie, to niemożliwe! – zareagował błyskawicznie.

– A jednak konieczne – upierała się Magda. – Jak ty sobie wyobrażasz przyjazd do Rosji grupy kilkunastu facetów ze sprzętem? Po pięciu minutach pójdziecie śladami Michała.

– Ale we trzech? – zastanowił się.

– Plus ja i Sasza ze swoimi ludźmi – uzupełniła.

Przez chwilę szli w milczeniu wschodnim stokiem góry. Słońce skryło się za lasem i zrobiło się chłodno. Opracowanie akcji nie przerastało możliwości Madery, niejednokrotnie w swojej pracy w PMC uczestniczył w przygotowaniach. Był też pewny pomocy ze strony Oswalda i Guntera. Pamiętał dobrze przysięgę, którą złożyli sobie tuż przed odlotem. *All for one, one for all* to słowa, które opisywały ich relację. Ale czy we trzech podołają? Nawet biorąc pod uwagę fakt, że wykorzystają informacje zdobyte przez Czeczenów, będzie to graniczyło z cudem. Z zakłopotaniem potarł czoło. Może jednak Magda ma rację? Trzech facetów nie wzbudzi podejrzeń celników. Poza tym łatwiej trójce wtopić się w tłum czy ukryć na bezkresnych obszarach Syberii. Tak. To jest pomysł! Uśmiechnął się.

– Masz rację! – Popatrzył z podziwem na Magdę. – To jest pomysł!

– Wiedziałam, że to zaakceptujesz. – Mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Jest tylko jeden problem – powiedział. – Sposób przekroczenia granic Rosji i poruszania się po jej terytorium. To nie Europa, Afryka czy Stany. Z tego co wiem, to tam nie można ot tak sobie wybrać się w podróż bez odpowiednich zezwoleń.

– Nie wiem, nad czym się zastanawiasz – odparła. – Przecież to w sumie proste.

– Jeśli proste, to wymyśl coś – zaproponował Janek.

– Nie muszę. Już wymyśliłam. Coraz więcej ludzi chce przeżywać ekstremalne przygody w ekstremalnych warunkach, płacąc za to ekstremalne pieniądze. Po prostu otworzymy fikcyjne biuro podróży oferujące tego typu wyprawy na terenach Rosji. Problemem jest tylko znalezienie odpowiedniego partnera tam na miejscu, ale przy odpowiednio wysokim honorarium i kontaktach Saszy nie powinniśmy mieć z tym problemu.

– Nie znam się na biurach podróży – zauważył Madera.

– Już moja w tym głowa żeby ta strona akcji nie zawiodła i była perfekcyjnie przygotowana.

– Dzięki! – Madera z uznaniem i podziwem popatrzył na nią. – Jednak pozostaje jeszcze jeden problem. Pani Agnieszka. Czy powiedzieć jej o naszym

pomyśle, czy robić to wszystko w tajemnicy?

– Ja myślę, że trzeba zachować tajemnicę. Agnieszka tyle przeszła, że nie mam sumienia rozbudzać w niej nadziei – powiedziała zdecydowanie.

– Nie, Madziu – zaprotestował Janek. – Nie możemy jej okłamywać. Właśnie z tych powodów, o których mówisz, musi znać prawdę.

Poznała. Wieczorem, gdy dzieci zasnęły, Magda opowiedziała o planach odbicia profesora. Radość i strach targały kobietami. Agnieszka chciała natychmiast ruszyć do działania. Do północy Magda i Janek tłumaczyli potrzebę utrzymania tajemnicy i wielką wstrzeźliwość w przewidywaniu szczęśliwego zakończenia misji. W końcu Agnieszka zaakceptowała, że teraz najbardziej jest potrzebna dzieciom, a Janek jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jediną osobą dopuszczoną do tajemnicy była Nowakowa, ciotka Jana Madery.

Południk 110

Michał Kobalt z dnia na dzień zatracił poczucie czasu, natomiast dokładnie pamiętał swoją pierwszą noc w obozie. Wryła się w jego pamięć na zawsze, wielokrotnie wracał do tych kilku pierwszych godzin w łagrze numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć.

Ruszyli za saniami pełnymi zwłok współtowarzyszy. Powoli, majestatycznie niczym kondukt pogrzebowy przemierzali zmarzniętą ziemię, przybliżając się do nieznanego miejsca. Misza, tak miał na imię więzień, który poczęstował go papierosem, starał się odgadnąć w trakcie marszu ich najbliższą przyszłość, lecz Michał nie miał ochoty na pogawędki. Pomimo że ostatnie kilkanaście dni w szpitalu wzmocniło jego organizm, podróż w wagonach towarowych ponownie go wyczerpała. Przenosił doczesne szczątki nieznanym sobie ludzi, wrzucał je na sanie i nic nie czuł. Uczucia przyszły potem, gdy maszerował za saniami, z trudem utrzymując równowagę na zaśnieżonej drodze. Początkowo cieszył się, że przeżył tę długą podróż, jednak w miarę jak uświadomił sobie, że być może to jego ostatnia droga i do końca życia będzie więźniem, nie zobaczy już nigdy Agnieszki i dzieci, nadciągnęły czarne chmury. Złapał się na tym, że zaczynał zazdrościć tym, którzy nie dożyli końca podróży. Przynajmniej nie myślą, nie czują, nie boją się. Tak, strach przed ostatecznym i nieodwracalnym wyrokiem paraliżował jego umysł i kazał zazdrościć nieboszczykom. Co prawda starał się wykrzesać iskry nadziei, przypominając sobie fakty z historii drugiej wojny światowej, które świadczyły o tym, że trzeba mieć nadzieję, by przeżyć. Było trochę Polaków, którzy przeżyli sowieckie obozy i wrócili do kraju, ale i tak zawsze jego myśli wracały do tysięcy bezimiennych ofiar dyktatury, których ciała na zawsze pozostały z dala od ojczyzny. Zajęty rozmyślaniami, ani nie zauważył kiedy dotarli do bramy obozu. Kolumna skręciła na prawo, a sanie ze zwłokami na lewo. Na komendę zrzucili zwłoki na jedną górę, przykryli je płachtą starego brezentu i dopiero wtedy mogli dołączyć do kolumny.

Więźniowie odbierali właśnie metalowe miski, kubki i łyżki, po czym przechodzili w szyku do kuchni polowej, by tam napełnić naczynia ciepłą cieczą z kawałkami rozgotowanych ziemniaków i warzyw pływającymi po wierzchu. Nie miało to żadnego smaku, ale że było mokre i ciepłe, pochłaniali łapczywie, stojąc naprzeciw kolejki i patrząc, czy aby ktoś nie

dostał większej albo lepszej porcji. Michał starał się jeść powoli i wykorzystać czas posiłku na rozpoznanie miejsca pobytu. Ciekawie się rozglądał. Znajdowali się na placu otoczonym ze wszystkich stron parterowymi barakami. Ich dachy przykryte były wielkimi czapami śniegu. Między zabudowaniami widać było niewysoki płot z drutu kolczastego, jasno oświetlony przez lampy. Chociaż, jak śmiał się Misza, ten drut to psu na budę, bo w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żadnych miast, a tereny wkoło to lasy, śniegi, zasy i kilkunastostopniowy mróz. Nikt nie miał szans na ucieczkę i przeżycie w lesie dłużej niż kilka godzin. Strażnicy opatuleni w kożuchy pokrzykiwali, chodząc wokół zgromadzonych. Nagle padła komenda: „Koniec jedzenia!”. Następna zbiórka i ponowne odliczanie. Pokrzepieni ciepłym posiłkiem więźniowie stali się senni, toteż trzeba było kilka razy odliczać, nim stan się zgodził. Nareszcie pozwolono im udać się do baraków. Padli na prycze i momentalnie pogrążyli się we śnie.

Pierwszy dzień pracy w lesie był upiorny. Po morderczym parokilometrowym marszu, w czasie którego, gdyby mieli więcej sił, to mogliby zaobserwować wschód słońca, dotarli wyczerpani do polany, na której rozdano im narzędzia. Ręczne piły i siekiery. Nieprzyzwyczajeni do pracy przy ścinie drzew więźniowie szybko opadli z sił, co wywołało agresję strażników. Pod pałkami padło trzech mężczyzn, następnych dwóch uśmierciły spadające drzewa. Około południa na polanie pojawił się obcy. Jego przyjazd zaanonsował dobiegający zza drzew głośny śpiew. Zajechał saniami zaprzężonymi w trójkę koni i przywitał się ze strażnikami jak ze starymi znajomymi. Przez ponad pół godziny stali przy ognisku, popijając wódkę przywiezioną przez znajomego. W tym czasie więźniowie mogli odpocząć. Kobalt znalazł sobie miejsce w rogu polany i zmęczony padł na śnieg. Nie czuł mrozu. Nie zastanawiał się, jaka jest temperatura. Wystawił twarz do słońca i zamknął oczy. Gdyby nie to, że strażnicy głośno rozmawiali, poczułby się jak w Tatrach, na Gubałównie lub Kalatówkach. Otrząsnął się ze wspomnień, one osłabiały, a Michał potrzebował sił i nadziei. Otworzył oczy, gdy jeden ze strażników pokazywał go nieznanemu. Przez ułamek sekundy ich oczy się spotkały. Twarde męskie spojrzenia bez mrugnięcia powiek. Gdy opróżnili butelkę, nieznanomy z pomocą wybranych więźniów udał się do lasu, skąd powrócił po jakimś czasie z saniami wyładowanymi drewnem. Znowu razem ze strażnikami opróżnił przy ognisku butelkę samogonu, po czym pożegnał się wylewnie i ze śpiewem na ustach zniknął za zasłoną drzew. Od starszych więźniów Kobalt dowiedział się, że nieznanomy to dziwak, samotnik, trochę niespełna rozumu, który mieszka kilkanaście kilometrów od obozu i trzy razy

w tygodniu przyjeżdża do lasu po drzewo. Więźniowie, którzy mu pomagają zbierać drewno, zawsze dostają od niego coś do jedzenia, papierosy, a czasem nawet pół szklanki samogonu.

Powrót do obozu rozpoczął się równo z zapadającym zmierzchem. Poganiani przez strażników z trudem zachowywali wymuszony szyk. Zmęczone nogi, skurcze mięśni i ból przepracowanego kręgosłupa nie pozwalały utrzymać tempa narzuconego przez sanie wiozące nieboszczyków. Dotarli na miejsce w zupełnych ciemnościach. Przez kilka tygodni nikt z nowych więźniów nie miał siły na posiłek – lurowatą zupę, której jedyną zaletą było to, że była cieplejsza od temperatury powietrza. Padali zmęczeni na prycze i zasypiali, nieraz w pół słowa. Chociaż praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Po dwóch tygodniach pracy w lesie, gdy organizm przyzwyczał się do panującego zimna i ogromnego wysiłku fizycznego, Michał został wybrany przez „szalonego śpiewaka”, jak nazywany był przez więźniów częsty gość w lesie, do pomocy w ładowaniu drewna.

– Hej, ty! – krzyknął, wskazując palcem na Michała. – Wskakuj na sanie.

– Dobra – odpowiedział i wykonał polecenie.

– Przepraszam, panie profesorze, że mówię do pana na „ty” – powiedział po angielsku woźnica, gdy oddalili się od polany – ale nikt nie może się dowiedzieć, że wiem, kim pan jest. Mielibyśmy cholerne kłopoty.

Zaskoczony faktem, że tu, w środku puszczy syberyjskiej, słyszy język Szekspira i tym, że nieznajomy zwraca się do niego per profesorze, Michał Kobalt nie mógł wydobyć głosu.

– Dziwi pana – kontynuował nieznajomy – że mówię po angielsku, a na dodatek wiem, że jest pan profesorem, nazywa się pan Michał Kobalt i pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie? Został pan porwany przez agentów Federalnej Służby Bezpieczeństwa z hotelu w Brukseli i po zaaplikowaniu narkotyków przewieziony do Moskwy. Nie wiemy, dlaczego nie został pan zlikwidowany, tylko wysłany do obozu dla więźniów politycznych, ale mniejsza o to. Najważniejsze, że pan żyje. Mam dla pana przygotowane jedzenie. Proszę się posilić, bo niestety, żeby nie wzbudzać podejrzeń, musimy załadować pełne sanie drewna.

– *Thank you.* – Tylko tyle zdołał odpowiedzieć, po czym zajął się pochłanianiem podanej kiełbasy i kilku kromek chleba. Powoli otrząsał się z szoku i zaczynał logicznie myśleć. Pierwsza rzecz, jaka przyszła mu na myśl, to podejrzenie, że jest to kolejna prowokacja agentów FSB, żeby wyciągnąć z niego informacje. Postanowił nie odzywać się wiele, bacznie słuchając tego, co nieznajomy miał mu do powiedzenia.

– Mam dla pana również pozdrowienia od Saszy Korytkina. – Zamilkł na chwilę, oczekując reakcji. Jednak Michał milczał, więc on mówił dalej: – Po tym, co pan przeszedł w ostatnich paru tygodniach, nie dziwię się, że jest pan nieufny i podejrzliwie słucha moich słów. Nie oczekuję zaufania od zaraz. Jeszcze nieraz się spotkamy. Na razie mam panu przekazać informację, że są ludzie, którzy nie zapomnieli o panu i zrobią wszystko, by pana uwolnić. Jednakże póki co mam dbać o pańskie zdrowie i dostarczać jedzenie, witaminy, a w razie konieczności także lekarstwa.

– Dziękuję – odezwał się wreszcie profesor, nie przerywając jedzenia. – Jestem panu wdzięczny za kanapki i herbatę. Tak się składa, że znam Saszę i jeżeli to on faktycznie prosił pana o dostarczenie mi jedzenia, to proszę mu bardzo podziękować. Niczego nie zrobiłem, ale w tej chwili, z mojego punktu widzenia, nie jest to ważne. Liczy się to, że mogłem wreszcie zjeść coś smacznego. I do syta. Jeszcze raz dziękuję.

– Proszę na siebie uważać, nie dać się sprowokować i jak najlepiej udawać, że ciężko pan pracuje – instruował woźnica. – Za parę tygodni będziemy gotowi wyrwać pana stąd i przewieźć do Polski. Na razie niestety musimy załadować drewno. Jeżeli ma pan siłę, to proszę mi pomóc.

W drodze powrotnej woźnica nie odezwał się ani słowem. Na polanie Kobalt ciężko zeskoczył z sań i bez słowa udał się do swojej grupy.

Wieczorem, gdy leżał na pryczy, jeszcze raz rozważał treść niespodziewanej rozmowy. Był pewien, że to prowokacja, jednak gdzieś na dnie serca pojawiła się iskierka nadziei. Przecież cuda się zdarzają, dlaczego ja miałbym nie dostąpić cudownego ocalenia? Na razie trzeba zachować daleko idącą ostrożność, rozmyślał.

Poza tym nieznamy przekazał mu informacje dotyczące wydarzeń poprzedzających pobyt w szpitalu. Tej nocy Kobalt nie zasnął. Jego mózg intensywnie poszukiwał w swoich zakamarkach najmniejszych choćby śladów jego pobytu w Moskwie. Nad ranem pojawiły się pierwsze oderwane od siebie strzępy wspomnień.

Przez trzy tygodnie Dymitr Riabuszkin grał wobec Kobalta rolę dobrego wujka. Ile razy dowodził pracą więźniów w lesie, a starał się to czynić jak najczęściej, tyle razy wyznaczał Kobalta do lżejszej pracy, najczęściej w pobliżu. Dużo rozmawiał z Polakiem, starając się zyskać jego zaufanie. Dobrze wyszkolony przez brata robił to po mistrzowsku, lecz jego starania szły na marne.

Wielka futrzana czapa zawsze szczelnie okrywała twarz Riabuszkiną, lecz profesor od pierwszego spotkania z nim nie mógł się pozbyć wrażenia, że już gdzieś tę twarz widział, i nie było to miłe spotkanie. Usilnie starał się

przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich tygodni, ale doznane cierpienia wymazały z pamięci szczegóły. Co prawda parę razy był bliski odkrycia, skąd go zna, ale coś tu jednak nie pasowało. Jego futrzana czapa, kożuch, mróz, śnieg... To było inne miejsce. Kilka razy w nocy budził się ze świadomością, że wreszcie wie, lecz kiedy sen uciekał, rozmywał się również obraz tamtej twarzy.

– Widzi pan, profesorze... – Riabuszkin rozpoczął decydującą rozmowę, gdy pewien był, że jego praca przyniosła pożądane efekty. Odeszli od grupy pracujących więźniów dość daleko, tak że nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy.

– Pan tu jest dopiero od niedawna, a ja ponad dziesięć lat. Pan jeszcze nie zna praw, jakie rządzą w obozie. Żeby przeżyć, trzeba się do nich dostosować. Wbrew pozorom pan i ja mamy ten sam cel. Obaj chcemy mieć święty spokój. Pan chce przeżyć i doczekać uwolnienia, ja chcę przeżyć i nie mieć kłopotów. Jeżeli pan będzie wobec mnie w porządku, to ja nie pozwolę panu zginąć, a wręcz przeciwnie, pomogę panu choćby przez nakazanie strażnikom przydzielania panu lepszej pracy. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak – odparł pewnie Kobalt, choć nie miał zielonego pojęcia, do czego zmierza Riabuszkin. – Ale jak pan zauważył, jestem tu dopiero od niedawna. Jeśli mogę prosić, to chciałbym, aby pan mi to dokładnie wytłumaczył.

– W porządku. – Rosjanin w tym momencie był już pewien, że osiągnął to, co nie udało się jego bratu. – Jest pan inteligentnym człowiekiem. Nie to, co większość tu w obozie i dlatego nie powinien pan mieć kłopotów ze zrozumieniem podstawowej zasady, dzięki której wszyscy żyjemy. Ja mam nad sobą szefa, który z kolei ma swojego szefa. Ten ma nad sobą następnego szefa i tak dalej, aż dochodzimy do szefa szefów, który siedzi w Moskwie. Wydawać by się mogło, że jest to bardzo daleko, a jednak zawsze boleśnie odczuwamy jego zły humor. Cała tajemnica sprowadza się do tego, aby ten najwyższy szef miał zawsze dobry humor. Rozumie pan?

– Chyba tak. – Kobalt przejrzał zamiary Rosjanina i wcale nie zamierzał ułatwiać mu zadania. Postanowił udawać głupiego, by zmusić go do jasnego postawienia sprawy. Był jednak trochę rozgorączony, bo nie takiego obrotu sprawy się spodziewał.

– No więc, panie profesorze, od pewnego czasu szef w Moskwie ma zły humor – zawiesił na chwilę głos, jakby chciał podkreślić znaczenie słów, które miały za chwilę paść: – Pan jest tego przyczyną.

– Ja? – Tym razem Michał naprawdę się zdziwił. Sądził, że przemowa Riabuszki i jego wcześniejsze zachowanie miały na celu uczynienie z niego kapusia obozowego. Jednak ostatnia wypowiedź wskazywała jasno, że

Moskwa nie zrezygnowała, że nawet tu, kilka tysięcy kilometrów od stolicy, będą wszelkimi sposobami starali się tak do niego dojść, by ujawnił im informacje, których nie posiadał. Ogarnęła go złość. Chciał rzucić się na strażnika, lecz w ostatniej chwili się opanował. Nie da mu powodu do satysfakcji, nie będzie kusił losu. – Nie rozumiem, przecież staram się, jak mogę, żeby pracować dobrze, a poza tym jestem jednym z wielu i nie bardzo wiem, czy w ogóle ktoś w Moskwie wie o moim istnieniu.

– Wiedzą, wiedzą. – Głos Riabuszkin zaczął zdradzać zdenerwowanie. – Powiem otwarcie. Moskwa oczekuje, że w sytuacji, w której się pan znalazł, nie ma pan innego wyjścia, tylko powinien pan jak najszybciej zdradzić mi nazwisko, które było na dokumentach przekazanych przez pana Amerykanom. Ja to potrafię docenić i nie będzie pan żałował. Bez względu na to, czy zdradzi pan nam to nazwisko, czy nie, zapadł wyrok, na mocy którego spędzi pan resztę życia w obozach. Czy będzie to ten, czy inny, zależy tylko od pana. Będę z panem szczery, jeżeli mi pan pomoże, to w niedługim czasie zostanę komendantem tego obozu, a wtedy doczeka pan swojego ostatniego dnia w luksusowych, jak na nas, warunkach. Żadnej pracy w lesie. Zostanie pan pomocnikiem obozowego kancelisty. Dwa razy w tygodniu gorąca kąpiel, posiłki w kantynie. Gra pan w szachy?

– Tak – odparł bezwiednie.

– No właśnie! – uśmiechnął się Riabuszkin. – Codziennie wieczorem partyjka szachów z komendantem...

– A jeśli nie powiem? – zapytał Kobalt, zatrzymując się przed Riabuszkinem.

– No cóż, wybór należy do pana – odpowiedział strażnik. Stali twarzami do siebie, oddaleni zaledwie o metr, i patrzyli sobie prosto w oczy. – Pomimo że jesteśmy tysiące kilometrów od Moskwy, mamy swoje sposoby wydobywania informacji. Niech mi pan wierzy. To, co przeżył pan w Moskwie, to przygrywka do tego, co pana może tu czekać.

– Drogi panie – Kobalt odsłonił uszkodzone zęby – to nie jedyne ślady, jakie pozostawili na mnie oficerowie z Moskwy. Przeżyłem jaskótkę, maskę gazową, wilcze kły i parę innych przyjemności. Czy sądzi pan, że gdybym znał te inicjały, to byłbym w stanie zachować je w tajemnicy?

– Więc odmawia pan? – przerwał mu Riabuszkin. – Niech się pan dobrze zastanowi.

– Nie odmawiam – odparł Kobalt zdziwiony swoimi słowami. Nazwy tortur wypowiadał tak beznamiętnie, jakby czytał prognozę pogody, jakby nie dotyczyły jego, a jednak... Pojawiły się znów strzępy wspomnień. Przypomniawszy sobie ból. Doprowadzający do utraty przytomności ból. Nie, pomyślał, nigdy do tego nie dopuszczę, prędzej zginę. Opanował się jednak.

Dodał: – Tylko po prostu ich nie znam. Dokumenty były zapakowane i nawet nie wiem, co zawierały.

– Niech pan będzie rozsądny – przekonywał niestrudzenie Riabuszkin. – Pobyt w naszym obozie, jak zdążył się pan zapewne zorientować, to nie wczasy nad Morzem Czarnym. Można nie dożyć następnego oddechu. Niech się pan nie łudzi, że kiedykolwiek stąd wyjdzie. Jeżeli już, to na saniach do dołu w lesie. Może pan resztę swoich dni przeżyć jak człowiek albo...

– Proszę mnie nie straszyć. Przeżyłem już wszystko i nikt nie jest w stanie mnie zastraszyć.

– To się jeszcze okaże – odpowiedział twardo Riabuszkin. – Na razie jest pan „panem profesorem” i jest traktowany specjalnie. Jeżeli jednak w ciągu tygodnia nie zmieni pan zdania i dalej będzie się upierał przy swoim, to się zmieni. Też będzie pan na specjalnych warunkach. Zdany na mój humor, a często miewam złe humory, zwłaszcza jak nie osiągam tego, czego chcę. Mogę cię zabić w każdej chwili! – Błyskawicznym ruchem wyciągnął zatkniętą za pas pałkę. Polak jednak okazał się szybszy. Rzucił się w kierunku strażnika. Lewą ręką chwycił uniesioną pałkę, a prawą pociągnął zaskoczonego Riabuszkina na siebie, zrobił błyskawiczny unik i Rosjanin poleciał na ziemię. Nim jego twarz zetknęła się ze śniegiem, miał już na plecach Kobalta, który gwałtownym ruchem odciągnął mu głowę do tyłu.

– Nie tak prędko, komendancie. – Tygodniami tłumiona złość wybuchła w jednym momencie. Riabuszkin był jednym z nich, świetnie wyszkolonych, bezdusznych oprawców, ale tym razem popełnił błąd. Źle ocenił Kobalta. Nie powinien sam atakować z dala od reszty strażników. A Michał nie miał nic do stracenia. I tak resztę swojego życia spędzi w obozach, więc obojętne mu było, czy umrze teraz, czy za parę lat. Nie pozwoli się już upokarzać i torturować. – Wystarczy jeden mały ruch i już nigdy nikogo nie będziesz straszył.

Zaskoczony Riabuszkin nie stawiał oporu. Nawet gdyby chciał, to wobec umiejętności Kobalta nie miał żadnych szans. Zaczynało mu już brakować powietrza, więc wydobywający się z jego otwartych ust charkot był jedyną odpowiedzią.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Kobalt był zdeterminowany. – Jeszcze nie wiem, czy daruję ci życie, czy też wyprawię cię w ostatnią podróż. Pomimo to chcę, żebyś wiedział, że wszystko, co miałem do powiedzenia, wyciągnęli ze mnie twoi zasrani kumple z Moskwy. Nie znam żadnego nazwiska, a nawet gdybym je znał, to żaden z was, zasrani aparatczyków, nie jest w stanie zmusić mnie do jego wypowiedzenia. Zrozumiano?

– Tak. – Tylko dzięki temu, że profesor lekko zwolnił uchwyt, Riabuszkin

mógł odpowiedzieć, lecz natychmiast po tym słowie ręka profesora wzmocniła ucisk. Strażnik nie był tchórzem, lecz w tym momencie strach sparaliżował jego umysł. Był przekonany, że za chwilę rozwścieczony więzień pozbawi go życia. Podjął pierwszą i ostatnią próbę uwolnienia się, lecz gdy chciał się wyswobodzić, na moment stracił przytomność. Nie takich przeciwników Michał Kobalt, mistrz Polski w zapasach w stylu wolnym, pozbawiał chęci do życia. W gruncie rzeczy nieznający zapasów Riabuszkin był wobec Kobalta bezbronny jak dziecko. I to zaważyło, że profesor nie skreślił karku swemu oprawcy. Na macie zawsze przestrzegał *fair play*, nigdy nie znęcał się nad pokonanym. Przewrócił nieprzytomnego na plecy i powoli zaczął przywracać mu świadomość.

– Jednak daruję ci życie – powiedział, gdy Rosjanin, z trudem łapiąc powietrze, otworzył oczy. Pomimo siarczystego mrozu pot strugami spływał mu po twarzy. Wytrzeszczone oczy ze strachem obserwowały Kobalta. Profesor poczuł litość dla tego nieszczęśnika. Cóż jest winien? Tak został wytresowany i tak reaguje. Jego śmierć niczego nie zmieni. – Mógłbym zostawić cię tutaj pod śniegiem i nikt nigdy by cię nie znalazł. Nikt też nie domyśliłby się, że to ja cię zabiłem, bo nikt nie wie, że jesteśmy tu razem. Ale to był twój ostatni wybryk. Gdyby ci czasem przyszło do głowy znęcać się nade mną w obozie, to wiedz, że przeżyję wszystko tylko po to, żeby przy najbliższej okazji cię zabić. Wtedy nie będę miał dla ciebie litości. Pamiętaj, już raz zabiłem w obronie własnej i nic nie stoi na przeszkodzie, żebym zrobił to jeszcze raz. A gdybyś ty mnie zechciał usunąć, to pamiętaj, że Moskwa chce mnie żywego i twój szef szefów na wypadek mojej śmierci ma dla ciebie przygotowane specjalne atrakcje. Żadne tłumaczenia ci nie pomogą.

Wstał, i nie interesując się losem leżącego Riabuszkin, przedarłszy się przez krzaki, dołączył do grupy pracujących więźniów. Wtedy dopiero pojął sens swojego czynu. Podniósł rękę na strażnika. Mało tego, na zastępcę komendanta. Upokorzył go. Na pewno nie ujdzie mu to płazem i chociaż miał w pamięci słowa starego sanitariusza ze szpitala w Moskwie, by się nie martwił, bo czuwa nad nim jakiś wielki człowiek, to spodziewał się ostrej reakcji Rosjanina. Ścisnął mocniej siekierę i jak szalony zaczął odrąbywać gałęzie z wielkiego drzewa.

Ciężka praca fizyczna przywróciła Kobaltowi jasność myślenia, ale próżno głowił się nad pobudkami swojego działania. Przeszedł piekło w Moskwie i jeszcze jedno uderzenie pałką na pewno by go nie zabiło, a mimo to zaatakował pewnego siebie strażnika i bliski był popełnienia kolejnego zabójstwa. Mój Boże, co się ze mną dzieje? Zastanawiał się, czy tortury

psychiczne i fizyczne, poczucie niesprawiedliwości, beznadziejnej bezsilności i brak nadziei na zmianę losu pozbawiły go zasad moralnych i religijnych. Zabił Potwora i nie miał wyrzutów sumienia, ale po pierwsze to było w obronie własnej, a po drugie wtedy zaczęło się piekło i jego umysł skupił się tylko na jednym, na przetrwaniu. Być może długotrwałe cierpienia i, w co nie wątpił, spore dawki narkotyków uszkodziły mu mózg do tego stopnia, że zaczął reagować jak zwierzę. Zagrożone rzuca się do ataku, nie zastanawiając się nad proporcjami sił między nim a napastnikiem. Te kilka tygodni pobytu w obozie też nie pozostały bez wpływu na jego psychikę. Zhardział, stał się bardziej szorstki, czasami bezwzględny. Otoczony szpiclami, którzy za obietnicę dodatkowej miski zupy czy dzień lżejszej pracy gotowi byli każdego sprzedać strażnikom. Każde nieopatrznie wypowiedziane słowo, każdy nieprawomyślny gest, każdą myśl byli w stanie wyciągnąć. Jeżeli współwięźniowie wyczuli słabszego, to ginął. Był przez nich szykanowany, zmuszany do dyżurów poza kolejną, do cięższej pracy, pozbawiany i tak skąpych racji żywności. Jeżeli chciał przeżyć, musiał walczyć. Musiał udowodnić, że jest silny. Kobalt stoczył parę bójek w swojej obronie, zdobywając nie tylko szacunek, ale i strach współwięźniów. Wszyscy przekonali się, że lepiej z *Poliakiem* nie zaczynać. To dawało mu pewien komfort i pozycję. Liczono się z nim, pytano o zdanie. Ale to, że między więźniami był „kimś”, nie dawało mu żadnych podstaw do tak jawnego łamania regulaminu, jak rzucanie się na strażnika, bicie i upokorzenie go. Przypomniawszy sobie relacje tych, którzy przeżyli hitlerowskie obozy koncentracyjne. Opisywali oni desperackie zachowania więźniów rzucających się z gołymi rękami na uzbrojonych strażników oraz próby sforsowania drutów kolczastych pod napięciem. Oba tego typu przypadki występowały zazwyczaj na oczach współwięźniów i oba kończyły się śmiercią desperata. No właśnie, kim byli? Desperatami czy bohaterami niemogącymi się pogodzić z niewolą, wybierającymi śmierć jako swoistą formę demonstracji swojej niezależności wobec okupanta? Kobalt usilnie próbował dociec, czy jego atak na Riabuszkina nie był właśnie taką demonstracją niezależności. Czy świadomość słów starego sanitariusza z jednej, a wywalczenie „pozycji” wśród więźniów z drugiej strony, nie doprowadziło go do szaleństwa? Do zbytnej pewności siebie? Wściekle uderzał siekierą, nie przerywając ani na chwilę. Drzewo za drzewem. Nie przerwał nawet wtedy, gdy więźniowie wezwani zostali przez strażników na krótką przerwę. Wydawało się, że zmęczenie jest czymś obcym dla jego organizmu, że posiada nadludzkie wręcz siły. Terminator. Tłumiona narkotykami, torturami i głodem godność ludzka

wybuchła pod wpływem szaleńczego czynu, wyzwalaając w profesorze złość i wściekłość z jednej strony, a siłę życia z drugiej. Psychicznie narodził się nowy człowiek. Żeby przeżyć, gotów był walczyć i zabijać. Owszem, świadomość, że w Moskwie ktoś dał mu żelazny list, wsparła znacznie tę przemianę, ale przede wszystkim odzyskał wreszcie pamięć i zdolność myślenia. Ciężka praca fizyczna i świeże powietrze oczyściły jego organizm z resztek narkotycznych toksyn, pomimo prawie głodowych racji żywieniowych wzmocnił się fizycznie, nie bez znaczenia była pomoc szalonego śpiewaka. Trzy razy w tygodniu mógł się najeść do syta, a bardzo często przemyślał do obozu dodatkowe porcje.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Kobalt poczuł zmęczenie. Przestał rąbać, wsparł się na siekierze. Był sam. Pozostali więźniowie pracowali oddaleni o kilkanaście metrów. Riabuszkin, stojąc w grupie strażników z zawieszonym na szyi karabinem, śmiał się głośno. Wkoło Michała leżały dziesiątki perfekcyjnie ogołoconych pni. Popatrzył w stronę pracujących więźniów, wyciągnął papierosa i zapalił. Nie było przerwy na papierosa, nikt z więźniów nigdy nie złamał tego zakazu, a jeżeli już, to padał pod pałkami strażników. Kobalt zaciągnął się dymem i po chwili wydmuchał w stronę strażników niebieską smugę. Patrzył bezczelnie w ich stronę, prowokując do reakcji. Riabuszkin na moment przestał się śmiać. Odwrócił głowę od ogniska i popatrzył na Michała. Ich oczy na moment się spotkały. Dwie sekundy trwał ten pojedynek wzrokowy, po czym strażnik odwrócił wzrok i dołączył do rozmowy, nie reagując na prowokację. Misza, z którym Kobalt wypalił pierwszego po uprowadzeniu papierosa, z szacunkiem podniósł do góry zaciśniętą pięść.

Bruksela, maj 1996

Wiosna na dobre już opanowała Europę. Po trzech tygodniach ciężkiej pracy Jan Madera ukończył plan uwolnienia profesora Kobalta z obozu pracy. Dwudziestego pierwszego kwietnia, dokładnie dwa tygodnie po decydującej rozmowie z Magdą w Wadowicach, zginął prezydent Dudajew i w Czeczenii do głosu zaczęli dochodzić ludzie, dla których niekoniecznie ideały, które wznieciły powstanie, były najważniejsze. Nieocenionej pomocy udzielił mu Sasza, który wreszcie przestał narzekać na bezczynność. Madera spotkał się z nim trzy razy, za każdym razem w innej kawiarence na krakowskim Kazimierzu. Na pierwszym spotkaniu wyjaśnili sobie role, które w tej operacji przejmują.

– Jechałem tu – rozpoczął uzalanie Korytkin, gdy kelnerka postawiła przed nimi dwie filiżanki pachnącej kawy – w nadziei, że moje informacje zostaną wykorzystane, że zaczniemy kampanię na rzecz uwolnienia Michała, że zostanę wciągnięty w wir pracy, a tu nic.

– Tak ci się tylko wydaje – odpowiedział Madera.

– Masz coś na myśli? – zdumiał się.

– Tak, ale ci tego nie zdradzę – odparł Janek. – Nie obraż się, ale w tej sytuacji, jaka u was panuje, im mniej będziesz wiedział, tym lepiej i dla ciebie, i dla profesora.

– Skoro tak uważasz – odpowiedział urażony Sasza.

– Tak uważam. I nie wracajmy już do tego tematu – uciął dyskusję Madera.

– Chcesz pomóc profesorowi?

– Inaczej by mnie tu nie było!

– To dobrze! – sucho skwitował Madera, po czym wyciągnął złożoną kartkę.

– Tu masz spis potrzebnych mi informacji i materiałów. Przeczytaj i zastanów się, czy jesteś w stanie w ciągu dwóch tygodni to przygotować.

Korytkin pochylił się nad wręczonym mu arkuszem, uważnie czytając. Przez chwilę się zastanawiał, marszcząc czoło.

– Sądzę, że z mapami wojskowymi nie będzie problemu. Z posterunkami milicji też. Gorzej wygląda sprawa z biurami podróży w Rosji i ich powiązaniem politycznymi, ale pomyślę, co się da zrobić.

– Jesteś przyjacielem profesora? – zapytał Madera.

– Tak! – ochoczo zapewnił Korytkin.

– Więc nie myśl, tylko bierz się do roboty – podsumował Madera. – Sam

mówił, że okres ochronny profesora w każdej chwili może się skończyć.

Sasza dostarczył mu żądane informacje błyskawicznie, w bonusie dołączając prywatne opinie zaufanych agentów. Plan powstawał szybko. Jedyne cię na przygotowaniach kładła niedokończona sprawa zdekonspirowania siatki szpiegowskiej w szeregach czeczeńskich wojowników. Aby zachować w całkowitej tajemnicy kontakty z Maderą, Sasza zrezygnował z działalności w tymczasowych władzach Czeczenii, a co za tym idzie, znacznie zmniejszył swoje możliwości pomocy. Ale coś za coś. I tak mieli zapewnione współdziałanie kilku najbardziej zaufanych agentów, przyjaciół Saszy. Na tym etapie to wystarczało. Mały Jaś nie wykluczał, że po bezpośrednich rozmowach ze swoimi przyjaciółmi coś zmieni się w jego planach, ale wierzył w powodzenie całej akcji.

Zaskakująco dużą skarbnicą informacji okazała się Magdalena. Nie zdradzając szczegółów swojego planu, Madera bardzo często dzwonił do Brukseli i otrzymywał wyczerpujące informacje. Miał coraz większe wyrzuty sumienia, że początkowo podejrzewał dziewczynę o nieczystą grę. Często myślał też o pięknej reporterce niejako prywatnie, w oderwaniu od swojego zadania. A myśli te były wiosenne i powoli zapadały w serce najemnika. Coraz częściej rozmawiali też na intymne tematy. Słuchał jej cierpliwie, nie przerywając. Wyrzucanie z siebie problemów i rozterek przynosiło jej ulgę, pozwoliło spojrzeć na przyszłość optymistycznie. Rodziła się wzajemna sympatia. Ona dostrzegała w nim męczyznę odpowiedzialnego, który nie boi się podejmować trudnych, z pozoru niewykonalnych zadań, męczyznę, dla którego honor był na pierwszym miejscu. On widział w niej mądrą, piękną, pełną uroku i ciepła kobietę, która mimo młodego wieku już została ciężko doświadczona przez los, choć na to nie zasługiwała. Powoli i niezauważalnie, wraz z rozkwitaniem wiosny, rozkwitało w nich uczucie, z którego jeszcze nie zdawali sobie sprawy. Nic więc dziwnego, że spotkanie operacyjne najemników odbyło się w mieszkaniu Magdy w Brukseli. Gunter i Oswald wezwani przez Maderę telefonicznie lakonicznym komunikatem: „Jest robota. Spotykamy się piętnastego maja w Brukseli”, spokojnie pili kawę, żartując i śmiejąc się. Zauroczeni piękną gospodynią nawet nie podejrzewali, jaką robotę przygotował dla nich Le Petit Jean, chociaż miejsce spotkania, mieszkanie korespondentki radiowej, powinno im dać wiele do myślenia.

– Moi panowie – rozpoczął Madera.

– Madera, ślepy jesteś? – przerwał mu Oswald. – Nie widzisz, że jesteśmy w towarzystwie pięknej kobiety?! – Zwracając się do Magdy, dodał: – Proszę mu wybaczyć, w sumie to porządny facet, tylko ma jeden mały feler. Nie

dostrzega kobiet.

– Jakoś tego nie zauważyłam – uśmiechnęła się Magdalena na wspomnienie ostatnich rozmów z Maderą.

– Moi panowie – powtórzył niezrażony słowami Oswalda. – Chciałem powiedzieć, żebyście mi nie przerywali. I dotyczy to przede wszystkim ciebie, Oswald, bo tylko ty masz ten paskudny zwyczaj. Magdalena jest osobą kulturalną i taktowną, czego o tobie niestety nie mogę powiedzieć.

– Ależ ci się dowcip wyostrzył! – zaśmiał się Oswald. – No dobra, od tej chwili milczę jak grób, tylko nawijaj już o tej nowej robocie.

– Opowiadałem wam o adwokacie, który uratował mnie od więzienia – rozpoczął Madera, a dwójka przyjaciół kiwnęła potakująco głowami. – No to wiecie, o kogo chodzi. Resztę opowie wam Magda, tylko skupcie się, bo to poważna sprawa.

Opowieść Magdy była precyzyjna. Reporterka starała się trzymać faktów, a o swoich domysłach opowiedziała na końcu. Obaj mężczyźni w milczeniu słuchali, a w końcu zgodzili się z nią, że w tej sytuacji nie tylko nie można liczyć na oficjalną pomoc rządu polskiego czy CIA, ale nawet nie wiadomo, komu można zaufać.

– Tak więc widzicie – podsumował Madera. – Jesteśmy w dupie. W czarnej dupie.

– I co w związku z tym? – zapytał przekornie Oswald. A potem sam odpowiedział, patrząc na Guntera: – Gdybyśmy cię nie znali, to pewnie umieralibyśmy z ciekawości, co się kryje za tą opowieścią, ale twoje popisy w Ruandzie jednoznacznie wskazują, że masz jakąś niecną propozycję dla nas...

– Nie nazwałbym tego niecną propozycją – oburzył się Madera. – Wymyśliliśmy z Magdą, to znaczy Magda wymyśliła, że uratować profesora może jedynie prywatna ekspedycja...

– Prywatna, powiadasz – powtórzył Oswald, który słuchając w skupieniu słów Magdy, teraz nie mógł już powstrzymać swego gadulstwa. – Niech zgadnę, Jan Madera, Gunter Reizacher i Oswald Kooistra to trzech wspaniali faceci, którzy rzucą się na białego niedźwiedzia, żeby ratować polskiego dyplomatę. Mam rację?

– Zawsze byłem fanem twojej inteligencji – uśmiechnął się Madera. – Tym razem również mnie nie zawiodłeś.

– Może już dość tych błyskotliwych popisów – wtrącił się Gunter. – Pragnę zauważyć, że Rosja to nie Afryka. Tam nie można ot tak sobie wjechać z bronią i sprzętem, napaść na karny obóz, uprowadzić więźnia, a potem spokojnie wrócić do Europy! KGB, policja...

– I białe niedźwiedzie – dokończył Oswald ze śmiechem. – Oj, Gunter, Gunter. Jesteś beznadziejny. Skoro Le Petit Jean coś wymyślił, to musi być git. On albo nie myśli, a i tak zawsze ma szczęście, albo jak nie ma szczęścia, to...

– On nawet jeśli nie myśli – przerwał mu bezceremonialnie Gunter – to i tak bije cię na głowę inteligencją...

– Panowie! Spokój! – krzyknął Madera, uderzając ręką w blat stołu. Zapowiadało się na dłuższą utarczkę słowną i tylko jego zdecydowana postawa mogła ją przerwać. – Przypominam, że jesteśmy gośćmi Magdy. Wychwalałem was przed nią, więc zachowujcie się. To nie džungla!

– Okej, okej – odpowiedzieli chórem. – To tylko takie niewinne żarty.

– Więc zostawcie je sobie na później – powiedział Madera poważnie. – Mam nadzieję, że pamiętacie o obietnicach, które mi składaliście.

– Królu złoty... – zaczął Oswald, lecz pod ganiącym spojrzeniem Guntera spoważniał i potwierdził: – Oczywiście, że pamiętamy. Prawda, Gunter?

– Prawda.

– W takim razie stawiam sprawę jasno. Ja finansuję całą ekspedycję. Sprzęt, transport, wyżywienie i ubezpieczenie. A pracujemy za darmo.

– To się wie – wyrwał się Oswald. – Prawda, Gunter?

– Dziękuję – powiedział Madera, gdy Niemiec potwierdził ruchem głowy.

– No, to nie marudź już i przedstawiaj plan – pośpieszył go Holender.

– Profesor Kobalt jest więźniem obozu pracy numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć – rozpoczął opowieść Madera – który leży na granicy Niziny Północnosyberyjskiej i Środkowosyberyjskiej, dokładnie na południku sto dziesiątym.

– Mówiłem?! Białe niedźwiedzie! – Oswald próbował żartować.

– Zamknij się i słuchaj! – Reizacher mu przerwał. – Jean, przedstaw pokrótce plan, na szczegóły przyjdzie czas potem. Trudno mi uwierzyć w realność tej ekspedycji. Oczywiście nie zmieniam zdania i jadę z tobą, ale chcę wiedzieć, czym i kim dysponujemy.

– Cały plan jest bardzo prosty – kontynuował Madera. – Zakładamy w Brukseli albo w Rotterdamie, to zależy, gdzie będzie szybciej i prościej, biuro podróży specjalizujące się w organizowaniu wypraw typu szkoła przetrwania. Nawiązujemy kontakt z jednym z trzech podanych przez Saszę biur podróży w Moskwie i pod pretekstem opracowania trasy oraz uzgodnienia szczegółów dostajemy się do Czirindy. Niestety w drodze do Ajchału zostajemy uprowadzeni przez bojowników czeczeńskich. Będzie ich tylko dwóch, więc w razie silnego oporu naszych opiekunów będziemy musieli trochę pomóc w porwaniu. Od tego momentu jesteśmy zdani tylko

na własne siły i przebiegłość. Co prawda jeden z nich będzie nas pilotował w okolicy obozu, ale będziemy jechać przez nieznanne tereny, unikając jakiegokolwiek kontaktu z tubylcami. Na trzech skuterach śnieżnych powinniśmy ten odcinek pokonać w cztery, pięć dni. Zamieszkamy u czeczeńskiego agenta, który ma swoją chatę w odległości kilkunastu kilometrów od obozu. O tym, kiedy wykonamy dalszą część planu, zadecyduje właśnie ten agent.

– Myślisz, że nikt nas nie będzie szukał? – zaniepokoił się Oswald.

– Na pewno będą nas szukać, ale zanim rozpoczną poszukiwania, upłynie parę dni, a poza tym my pojedziemy w przeciwnym kierunku do tego, w którym z reguły są uprowadzani zakładnicy. Zresztą Czeczeńcy obiecali, że podrzucą Rosjanom fałszywe informacje, które powinny skierować poszukiwania na południe Rosji, a nie na północ.

– No dobra – jeszcze raz przerwał mu Oswald – a co zrobimy z rosyjskimi przewodnikami? Ilu ich będzie?

– Zażyczymy sobie dwóch – odpowiedział spokojnie Polak. – A zajmie się nimi drugi z naszych porywaczy. Jego głowa, żeby ich wypuścić w odpowiednim momencie i skierować w przeciwną stronę.

– W porządku. Jesteśmy w domu agenta. Co dalej? – niecierpliwił się Gunter.

– W odpowiednim dniu pojedę z nim ukryty w saniach do lasu, gdzie pracują więźniowie, a wieczorem wrócimy z profesorem.

– Sam!? – wykrzyknął Oswald. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież obóz jest zapewne dobrze chroniony przez uzbrojonych strażników. Wiem, że jesteś wariat, ale sam nie dasz sobie z nimi rady. To nie Hutu.

– Wcale nie będę musiał z nikim walczyć – uśmiechnął się. – Po pierwsze, jak wynika z relacji agenta, dyscyplina strażników pozostawia wiele do życzenia. Ma to swoje uzasadnienie, albowiem nikt nie przeżyje w lesie dłużej niż jeden dzień, a w tym czasie nie dojdzie do żadnych siedzib ludzkich. Albo zamarznie w lesie, albo zjedzą go wilki. Po drugie nikt nie zauważy zniknięcia profesora przynajmniej przez dwanaście godzin.

– Zawiążesz im oczy? – kpiąco zapytał Oswald.

– Nie. Po prostu profesor, a raczej jego dubler, wróci do obozu jako nieboszczyk.

– Jaki nieboszczyk? Skąd ty tam weźmiesz nieboszczyka i to jeszcze podobnego do profesora?!

– Nieboszczyka już mamy i zabierzemy go ze sobą.

– Czy ci już całkiem odbiło? Jechać z nieboszczykiem przez całą Europę i pół Azji. Przecież pierwsza kontrola celna nas zatrzyma.

– Jesteś pewien? – zapytał Madera, a potem zwrócił się do Magdy. – Czy możesz przynieść tu zwłoki?

– Z największą przyjemnością. – Magdalena z tajemniczą miną wyszła z pokoju i po chwili wróciła, taszcząc wielką gumową lalkę kupioną w pobliskim sex shopie, której twarz okolona piękną brodą przypominała twarz mężczyzny. – No i co, jak wam się podobają zwłoki profesora?

– Madera! – wrzasnął Oswald. – Ty myślisz, że ktoś się da na to gówno nabrać?!

– Oczywiście. – Zadowolony ze swojego kawału, Janek zapalił papierosa. – Oczywiście, że w takim stanie jak jest, to nikt się nie nabierze, ale jeśli ubierzemy go w ubranie takie, jak noszą więźniowie, środek wypełnimy wodą i podrzucimy uformowanego w odpowiedniej pozycji w krzakach, to i owszem. Gdybyście mi nie przerywali, to wiedzielibyście, że jeżeli więzień umrze w lesie, to jest wrzucany na sanie i transportowany w ten sposób do obozu. W związku z tym, że śmierć przy wyrębie lasu zdarza się dość często, nikt nie przejmuje się identyfikacją zwłok wieczorem. Robią to odpowiedni więźniowie drugiego dnia rano, po wyjściu wszystkich do pracy. Więźniowie kończą pracę o zmierzchu, więc jeżeli wtedy odnajdą zwłoki profesora, nikt ich nie rozpozna, a poza tym zawsze po wizycie agenta, który jest w lesie częstym gościem, strażnicy są lekko zawiani. Przyzwyczaił ich do tego, że ma ze sobą dwie, trzy butelki samogonu. W ten dzień będzie on odpowiednio mocniejszy.

– Super, a co potem?

– To zależy od stanu, w jakim będzie profesor – wyjaśniał dalszy ciąg swojego planu. – W tej chwili jest dożywiany przez agenta i powinien znajdować się w na tyle dobrej kondycji, żeby w nocy wyruszyć w powrotną drogę. Jeżeli nie, to będziemy musieli podjąć ryzyko i poczekać kilka dni, aż do siebie dojdzie.

– Założmy, że wszystko jest tak, jak zaplanowałeś. – Oswald był bardzo dokładny i zawsze rozważał każdy plan. – Wskakuje-my na skutery i wyruszamy w powrotną drogę. Co dalej?

– Wracamy dokładnie tą samą drogą i docieramy w okolice miasta Ekonda nad rzeką Wiluj. Tam przekazujemy profesora w ręce Czeczenów, którzy wykorzystując kanały przemytników, przeprowadzają profesora do Polski.

– A my?

– A my zostajemy uwolnieni przez wojska rosyjskie i powracamy legalną drogą do Polski.

– To jest zbyt proste i naiwne, żeby się udało – podsumował Gunter. – Po pierwsze to mam wątpliwości co do przejazdu skuterami. Trzeba uzupełniać

paliwo. Po drugie nie można jechać nieprzerwanie przez trzy, cztery dni. Trzeba przespać się choć parę godzin. O ile się orientuję, to panują tam raczej niskie temperatury. Po trzecie...

– Na razie wystarczy – przerwał mu Madera. – Po pierwsze zapasy paliwa będą przygotowane w górach. Czeczeniec, który pojedzie z nami, będzie znał te miejsca. Jeżeli chodzi o spanie, to kupimy puchowe śpiwory, takie, jakich używają wyprawy wysokogórskie w Himalaje. Śpi się w nich wybornie. A jedzenie będziemy wieźli ze sobą. Te skutery, które mam na myśli, mogą zabrać oprócz kierowcy około sto pięćdziesiąt kilogramów ładunku. Jeżeli pomnożymy to razy trzy, otrzymamy około pół tony.

– W porządku, to jest do wykonania – włączył się do rozmowy Oswald. – Mnie natomiast niepokoi to, czy faktycznie identyfikacja zwłok następuje dopiero następnego dnia rano. Co będzie, jeśli strażnicy odkryją mistyfikację wieczorem, albo, nie daj Boże, jeszcze w lesie?

– Słuchajcie. – Madera jak zwykle miał dopracowane perfekcyjnie najdrobniejsze szczegóły planu i zawsze uwzględniał wszystkie możliwe warianty. – To faktycznie jest niebezpieczeństwo, z którym musimy się liczyć. Jednakże do tej pory, przez pięć lat, to jest tyle, ile mieszka tam agent, nie było takiego wypadku. Wszystko odbywało się tak, jak wam opisałem. Gdyby jednak coś nie wypaliło, to będziemy mieli schronienie w chacie agenta. U niego nikt nie będzie szukał, bo stworzył tam z siebie postać nieszkodliwego świrusa, a gdyby nawet przyszli do jego domu, to będziemy w takiej skrytce, której nikt nie odkryje. W ostateczności użyjemy broni. Czy w tej chwili macie jeszcze jakieś pytania?

– To mi się podoba! – rozpogodził się Oswald. – Już się bałem, że pojedziemy z gołymi rękoma. Ale jak przemycimy broń? Rosjanie są podobno bardzo na to wyczuleni.

– Nic nie będziemy musieli przemycać – odparł spokojnie Madera. – Sasza zapewni odpowiedni arsenał. Nie zapominaj, że u nich jest wojna. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Tysiące, ale sądzę, że będziemy to rozgryzać powoli. – Gunter wstał od stołu i podszedł do okna. Zapalił fajkę i po chwili myślenia zapytał: – Czy ty jesteś pewien Saszy i jego ludzi? Powodzenie zbyt wielu punktów jest uzależnione od nich. Nie podoba mi się to.

– Mnie też – odparł spokojnie Madera. – Ale po pierwsze nie mamy innego wyjścia, a po drugie przygotowujemy tutaj alternatywny plan, na wypadek gdyby coś nie wypaliło.

– O to mi chodziło. – Gunter uśmiechnął się z zadowoleniem, lecz już po chwili spoważniał. – Niepokoi mnie fakt, że Jankesi dali się tak łatwo

wyprowadzić w pole Rosjanom i uwierzyli w śmierć Kobalca.

– Mnie też – odpowiedziała Magda. – Mało tego, czuję, ale nie mam na to dowodów, że to ich pomysł ze śmiercią Michała.

– Co?! – krzyknęli jednocześnie mężczyźni, a Madera zaskoczony powiedział: – Nic mi wcześniej o tym nie mówiłaś!

– Nie mówiłam – wyjaśniała Magdalena – bo tak mi mówi moja intuicja i nie mam na to żadnych dowodów. Tu potrzeba konkretnych działań, a nie wróżenia z fusów. Na wyjaśnienie wszystkich zagadek przyjdzie, mam nadzieję, czas po szczęśliwym zakończeniu akcji.

W sumie spotkanie trwało jeszcze przez cztery dni z małymi przerwami na sen. W tym czasie mieszkanie korespondentki Radia Smog wyglądało jak kwatera polowa dowództwa wielkiej armii. Dwa z trzech pokoi zostały przejęte przez ekipę Madery. W stosach map, zapisanych kartek, pełnych niedopałków popielniczek powstawały szczegóły planu opracowanego przez Polaka. Minuta po minucie została przeanalizowana, próbowano wymyślać nietypowe sytuacje, które mogły ich zaskoczyć. Ba, opracowali nawet alternatywną trasę powrotu, wreszcie sporządzili spis rzeczy, które powinni zabrać, oraz dokładną listę wyposażenia, które winno zapewnić im rosyjskie biuro podróży. Na koniec opracowali zamówienie na broń, jaka powinna dotrzeć wraz z czeczeńskimi kurierami.

Magdalena zwykle przebywała poza domem. Jej prywatne sprawy, a tak traktowała akcję uwolnienia profesora, nie powinny przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków korespondentki zagranicznej. W Brukseli zawsze działo się coś ważnego, stąd też codziennie otrzymywała nowe zamówienia z centrali. Maderze było nawet na rękę to, że przez większość dnia Magdalena była poza domem. W jej obecności czuł się trochę skrępowany, co błyskawicznie zostało zauważone przez Oswalda i stało się przedmiotem jego niewybrednych żartów. Gunter też się czasem przyłączał do tego. Nie znali Madery z tej strony. Przez wszystkie lata ich znajomości Janek unikał rozmów na temat kobiet, co było ewenementem w środowisku najemników. Nigdy też nie uczestniczył w wypadach na panienki, które były niemal rytualnym wydarzeniem w trakcie trwania każdej misji, a to już było zupełnie niezrozumiałe i dawało okazję do niewybrednych żartów. Nie było jednak w tych żartach nic ze złośliwości. Maderę wszyscy lubili. Był perfekcyjny, uczynny i przede wszystkim nie wdawał się w żadne personalne rozgrywki.

Najwięcej radości miał Oswald, gdy zbliżała się godzina powrotu Magdy, a ona się spóźniała. Wtedy Janek zaczynał się denerwować, co chwila spoglądał na zegarek, często podchodził do okna. Holender niestrudzenie

przypominał mu jego własne słowa o kobietach, że rozpraszają, że wywołują zawiść wśród mężczyzn, że wnoszą niepokój i tak dalej. Madera sam też ułatwiał zadanie Oswaldowi. Gdy tylko Magdalena wracała, on od razu się zmieniał. Zazwyczaj robił krótką przerwę w pracy, biegł do przedpokoju i stremowany witał się z Magdą, pomagając jej wnieść zakupy, zdjęć płaszcz. Potem zwykle przez chwilę rozmawiali, a gdy wracał do chłopaków, bardzo długo dochodził do siebie i nie potrafił się skupić na zadaniach.

Pod koniec tygodnia trójka mężczyzn pożegnała gościnne progi Magdy i udała się do Rotterdamu, gdzie spodziewano się w krótkim czasie doprowadzić do zarejestrowania agencji turystycznej, tak by wreszcie można było oficjalnie rozpocząć korespondencję z podanymi przez Saszę agencjami w Moskwie. Po trzech tygodniach w prasie holenderskiej ukazały się anonse reklamujące nową formę sprawdzenia się w trudnych warunkach, adresowaną przede wszystkim do ludzi majątnych. Oferowano niezwykle interesujące tereny z ciekawym programem, a wszystko pod nadzorem ludzi o wyjątkowych kwalifikacjach i doświadczeniu. Wśród wymienianych państw Afryki i Azji znalazła się również Federacja Rosyjska. Wszystkie te informacje firmowała nieznana jeszcze agencja Madeleine – Live of Adventure z siedzibą w Rotterdamie. Oczywiście „Madeleine” było na cześć uroczej gospodyni pierwszego spotkania. Polka, oprócz tego że pisała ogłoszenia prasowe, prowadziła przede wszystkim korespondencję z rosyjskimi biurami wskazanymi przez Korytkina. Pod koniec czerwca, gdy zbierała się dość pokaźna paczka listów, prospektów i informacji, trzech mężczyzn ponownie się spotkali w Brukseli, żeby wybrać jedno biuro, z którym będą mogli uzgadniać szczegóły planowanej wyprawy. Wybór padł na firmę Odys Tour z siedzibą w Moskwie. Była to spółka prowadzona przez dwóch młodych mężczyzn, którzy – jak wynikało z raportu Czeczenów – byli synami polityków zasiadających w rosyjskiej Dumie. Madera, wychowany w Polsce, zapewniał, że pomoże to rozwiązać ewentualne problemy z akceptacją wybranej przez nich trasy. Pomimo zmiany ustroju, w Rosji nadal funkcjonowały ograniczenia w dostępie do niektórych rejonów. Korzystne warunki finansowe oferowane przez biuro z Rotterdamu powinny przełamać wszelkie bariery, co zresztą później się potwierdziło. Po wstępnych próbach oferowania innych terenów do przeprowadzenia wyprawy Rosjanie zaakceptowali proponowaną, oczywiście żądając za to dodatkowej sumy. Po pozornym targowaniu się o wysokość dopłaty uzgodniono ostatecznie cenę, za którą Rosjanie zobowiązali się być przewodnikami ekipy holenderskiego biura. Ekipa chciała przed zorganizowaniem pierwszej wyprawy naocznie przekonać się o walorach trasy. Bardzo szybko uzgodniono wykaz sprzętu,

który zapewnią na miejscu Rosjanie oraz ten, który zostanie przywieziony. Oczywiście nie było żadnych problemów z uzyskaniem zgody na przywóz i korzystanie z telefonu satelitarnego. Pozostało jeszcze tylko uzgodnić termin i liczbę osób. Tutaj zaczęły się schody. Co prawda termin uzgodniono błyskawicznie, ale problem, i to poważny, pojawił się przy liczbie osób. Gdyby Mały Jaś znał się choć trochę na kobietach, to przewidziałby te problemy. A zaczęły się one kilka dni po wyjeździe Oswalda i Guntera. Madera, oczarowany Magdą, pod pretekstem zwiedzania Brukseli został jeszcze w Belgii. Prawdą jest, że Magda równie chętnie przebywała w jego towarzystwie. Uczestnicząc w opracowywaniu planów ekspedycji, miała okazję poznać go dobrze. Zaimponowały jej jego spokój i opanowanie, z jakim radził sobie nie tylko z problemami, ale przede wszystkim ze swoimi partnerami. Bez wahania zgodziła się więc być jego przewodniczką po stolicy. Po wywiązaniu się ze swoich obowiązków wobec radia i tygodnika dla kobiet cały wolny czas poświęcała przyjacielowi. Sobotniego popołudnia Madera trafił na kolację do mieszkania Magdy. Gdy nakrywał do stołu, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Kiedy skończysz nakrywać, to zapal świece – poprosiła Magdalena, wychodząc z kuchni. – Nikogo się nie spodziewam, więc to pewnie dozorca. Zaraz siadamy do kolacji.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział i trochę pogłośnił odtwarzacz.

– Czego tu szukasz? – usłyszał podniesiony głos Magdy, po czym rozległ się głośny huk zamykanych drzwi.

Wyjrzał przez niedomknięte drzwi salonu. Widok, który zobaczył, na chwilę go sparaliżował. Wysoki mężczyzna z długimi włosami lewą ręką obejmował Magdę od tyłu, krępując jej ręce, natomiast trzymany w prawej dłoni długi nóż niebezpiecznie balansował koło szyi dziewczyny. W przedpokoju roznosił się smród niestrawionego alkoholu i kilkudniowego potu.

– Ja ci jeszcze pokażę! – Napastnik mamrotał po francusku. – Zobaczysz! Żaden Pommieur... – beknął głośno – nie pozwoli sobą pomiatać. A wyrokiem rozwodowym to możesz sobie dupę wytrzeć.

Madera zahipnotyzowany patrzył, jak mężczyzna wpycha dziewczynę do sypialni. Intruz widocznie nie był świadom jego obecności i nie zamknął drzwi do pokoju. Polak potrzebował tylko paru sekund, żeby ochłonąć. Podjął błyskawiczną decyzję. Delikatnie otworzył drzwi od salonu i bezszelestnie przeszedł korytarzem pod drzwi sypialni. W wiszącym naprzeciwko lustrze mógł dostrzec, co dzieje się wewnątrz. Nieznajomy nieudolnie próbował przewrócić dziewczynę na łóżko i zedrzeć z niej ubranie. Śnieżnobiała bluzka pękła, odsłaniając piersi Magdy. Dziewczyna dzielnie

walczyła, ale napastnik był silniejszy. Madera odczekał, aż mężczyzna ustawi się do niego lewą stroną. Ułamek sekundy trwał skok najemnika, zakończony z pozoru niegroźnym ciosem w kark. Po nim nieznamy, jak rażony piorunem, padł na ziemię, wypuszczając z rąk nóż. Magdalena, broniąc się przed wepchnięciem na łóżko, całym ciężarem swojego ciała napierała na byłego męża. Teraz, gdy padł na ziemię, straciła oparcie i runęła na niego. Madera błyskawicznie porwał ją na ręce. Dziewczyna bezwładnie zwisała. Delikatnie przeniósł ją do salonu i ułożył na dywanie. Zajęty pomocą Magdzie, zapomniał o napastniku, który powoli odzyskał przytomność. Lata spędzone na walkach pozwoliły mu wyczuć niebezpieczeństwo. Klęcząc obok nieprzytomnej Magdy, miał ograniczone pole manewru, jednak zdołał zrobić unik przed nożem wymierzonym w jego plecy, łapiąc jednocześnie uzbrojoną rękę za nadgarstek. Mocne szarpnięcie pozbawiło mężczyznę równowagi i gdy zdawało się, że całym ciężarem swego ciała uderzy w odzyskującą przytomność Magdę, Mały Jaś wykonał ledwo widoczny ruch drugą ręką i napastnik znalazł się w powietrzu. Przez chwilę zawisł prawie nieruchomo. Ten moment wystarczył Maderze, aby błyskawicznie stanąć na nogi i rzucić swą ofiarę na podłogę. Sprawnie wyciągnął pasek od spodni. Magda, która się ocknęła i zaskoczona obserwowała walkę, nie zdążyła nawet zauważyć, kiedy Madera związał napastnika.

– Kto to jest, do jasnej cholery? – zapytał, kiedy zauważył wpatrzony w siebie oczy Magdy.

– Co?... Co się stało? – Magdalena z trudem odzyskiwała świadomość.

– Znasz tego faceta?

– Tak. To jest mój były mąż – odparła, dysząc. Powoli przypominała sobie wydarzenia ostatnich kilku minut. – Nie spodziewałam się go tutaj. Zupełnie nie wiem, co go skłoniło... – i nie kończąc zdania, rozplakała się.

– Już po wszystkim. – Madera pomógł jej wstać i usiąść na krześle. Ukląkł przed nią. Magda starała się zakryć rozdartą bluzką odkryte piersi. – Jesteś już bezpieczna i przysięgam, że dopóki będę przy tobie, nikt nie zrobi ci krzywdy. Chyba że mnie wcześniej zabije.

– Jak to dobrze, że tu byłeś – szepnęła przez łzy, przytulając swoją twarz do jego. Płacz ponownie przerwał jej słowa.

– Już dobrze, kochanie. Już nic ci nie grozi – powiedział Madera, tuląc ją do siebie. – Zaraz wywalę tego drania z domu...

– Rany boskie! Moja pieczeń! – wykrzyknęła, podrywając się ze stołka i znikając w drzwiach kuchni.

Tymczasem były małżonek zdawał się odzyskiwać świadomość. Leżąc

twarzą do podłogi ze związanymi na plecach rękami, nie miał szansy wstać. Przewrócił się więc na bok i właśnie próbował uklęknąć, gdy zauważył to Madera. Niezbyt delikatne spotkanie prawej stopy Janka z częścią ciała napastnika leżącą kilkanaście centymetrów poniżej kręgosłupa, ułożyło go ponownie w pozycji poziomej.

– Jeżeli jeszcze raz spróbujesz – ostrzegł go po francusku.

– Rat... – próbował krzyknąć, lecz prawa ręka Madery była szybsza. Jego głowa bezwładnie stuknęła o podłogę.

– Co z nim zrobimy? – zapytał, gdy Magdalena wróciła do salonu. Przez tę krótką chwilę zdążyła zmienić rozdartą bluzkę na inną.

– Nie wiem – odparła, nie mogąc ukryć przerażenia. – Zabiłeś go?

– Nie, chociaż nie powiem, żeby mu się to nie należało. – Madera chwycił leżącego za włosy i szarpnął jego głowę do góry. – Posłuchaj mnie uważnie. Teraz ja tu mieszkam i tylko dlatego, że mam dziś dobry humor, ujdzie ci to na sucho. Następnym razem, jak się tu zjawisz, wylądujesz na dnie Senne w niezbyt gustownych, ale bardzo praktycznych betonowych kamaszach i nawet za sto lat nie wypłyniesz na powierzchnię. Aha, zapomniałbym, oczywiście będziesz nurkował przytomny. Sądzę, że potrafisz sobie wyobrazić, co się stanie, gdy zabraknie ci powietrza. Zanim umrzesz, będziesz cierpieł. Zapewniam cię, że jak pękają płuca, to trochę boli. – Janek po raz pierwszy posunął się do gróźb, ale w tym wypadku nie miał innego wyjścia. Michel jawił się jako wyjątkowa kanalia, damski bokser, taki, któremu trzeba brutalnie przemówić do rozumu, żeby pojął, a co najważniejsze zastosował się do polecenia. – Madziu, przynieś papier i długopis. Nie wiem, czy nie zmieniłem zdania i czy dzisiaj nie będzie pływał w rzece. Nie chciałbym go pozbawiać możliwości napisania testamentu.

– Nie – próbował krzyknąć Francuz, lecz Madera sprawnie poderwał jego głowę jeszcze wyżej i głos uwiązał mu w gardle.

– Posłuchaj mnie uważnie – mówił spokojnie. – Opiszesz całe wydarzenie bardzo dokładnie. Przyznasz się do winy i przysięgniesz, że już nigdy nie zbliżysz się do swojej byłej żony. Pamiętaj, że ja będę miał twoje wyznanie winy. Jeżeli umiesz, to módl się, żeby Madzi nic się nie stało, bo w przeciwnym razie znajdę cię, i o nic nie pytając, wykonam moją groźbę. Przysięgam ci, że nim wrzucę cię do Senne, zrobimy sobie mały poligon doświadczalny. Będziesz długo i boleśnie umierał.

Groźby Madery odniosły pożądany skutek. Po piętnastu minutach nie było śladu po intruzie, natomiast Janek miał w kieszeni własnoręcznie napisane i podpisane oświadczenie byłego męża Magdy. Kiedy wyrzucał go z mieszkania, ten wyglądał jak zбитy pies z podkulonym ogonem.

Najdobitniej o stanie jego ducha świadczyły oczy. Puste, rozbiegane, zionęły przerażeniem. Magdalena, zaskoczona nagłym wtargnięciem swojego eks, nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Polubiła Janka, miała wobec niego jakieś plany, marzenia, a tu ta nieoczekiwana napaść. Podała kolację. Ani świece, ani nastrojowa muzyka nie były jednak w stanie przywrócić atmosfery, a rozmowa się nie kleiła.

– Niepokoję się o ciebie – powiedział Madera, otwierając butelkę czerwonego wina. – Będę ci musiał założyć specjalną blokadę do drzwi i wizjer. Nie możesz otwierać, nie upewniwszy się, kto za nimi stoi.

– Wiesz, mam lepszy pomysł. – Magdalena wstała i zbliżyła się do Madery. Pomimo że była wysoką kobietą, jej twarz znajdowała się prawie na wysokości jego ramion. Objęła go za szyję, i patrząc prosto w oczy, powiedziała: – Oznajmiłeś mojemu byłemu, że teraz ty tu mieszkasz, więc nie widzę powodu do wydawania pieniędzy na blokadę. Po prostu ty będziesz zawsze otwierał drzwi.

– Aaa... – nie potrafił wydobyć z siebie składowej odpowiedzi.

– Głuptasie, przecież ja mam oczy i widzę, co się z tobą dzieje. – Usiadła mu na kolanach, przytulając się do niego całym ciałem.

– Madziu! – Wreszcie odzyskał głos i obejmując ją, szeptał jej do ucha: – Zakochałem się w tobie...

– Ciii... – Pocałunek na bardzo długo wprowadził do pokoju ciszę.

A potem, gdy już nacieszyli się swymi ustami, szeptali, wspominali i co chwila upewniali się, że to nie sen. Jedno drugiemu wyznawało miłość, delektując się brzmieniem tych słów. Delikatnie, jakby bojąc się przekroczyć niewidzialną granicę, ich ręce krążyły po włosach, szyi, plecach. Zapamiętali się w tych pieszczotach, pocałunkach i zupełnie naturalnie znaleźli się w sypialni. Powoli niczym żaglowce nabierające wiatru w żagle, wpływali na bezkresny, nieznany im ocean. Odkrywali nowe, nieskażone ludzką obecnością wyspy i wybuchali radością jak dzieci, którym po raz pierwszy udało się postawić babkę z piasku. Aż wreszcie żagle całą swoją mocą uniosły ich okręty nad wzburzone fale oceanu. Upojeni nieznanymi dotąd wrażeniami, pogrążyli się w miłosnym uniesieniu, przekraczając barierę czasu, zatracając się w sobie. Aż nagle, niespodziewanie, wpłynęli na spokojne wody portu przeznaczenia. Pozbawione wiatru żagle opadły, zmęczeni żeglarze, łapczywie pochłaniając powietrze, powoli wracali do świadomości.

Następnego dnia po południu Madera wymeldował się z małego pensjonatu na obrzeżach Brukseli i przeniósł swoje rzeczy do mieszkania Magdy.

Bruksela, piątek, 23 sierpnia 1996

O godzinie osiemnastej w mieszkaniu dziennikarki Radia Smog FM rozpoczęła się ostatnia narada najemników. Co prawda na początku trudno było zachować powagę, gdyż zorientowawszy się w sytuacji, Oswald i Gunter pożartowali sobie trochę z Jasia i Magdy, ale te niewinne żarty szybko ustały.

– Proponuję, żebyśmy ustalili datę pierwszego października jako pierwszy dzień akcji. – Madera został bezdyskusyjnie szefem całego przedsięwzięcia, chociaż był najmłodszy. – Przylatujemy do Moskwy, po czym przez następne dwa dni formalnie zapoznajemy się z trasami, które wybraliśmy. Najpóźniej czwartego października wylatujemy do Czirindy, gdzie po załadowaniu sprzętu na skutery następnego dnia wyruszamy w drogę. Po dwóch dniach powinniśmy dotrzeć do wyznaczonego przez Saszę punktu. Tu, porwani przez czeczeńskich separatystów, spędzamy spokojnie noc i rano wyruszamy co koń wyskoczy do obozu. A następnie według planu albo według zastanej sytuacji. Czy przygotowaliście dane, o które was prosiłem?

– Oczywiście. – Najemnicy podali Maderze spisane na kartkach swoje dane. Niespodziewanie na stole wylądowała czwarta kartka, rzucona niedbale przez Magdę.

– A co to jest? – zapytał zaskoczony i szybko przebiegł wzrokiem po literkach. – Twoich danych mi nie potrzeba. Znam je na pamięć.

– Ale z pamięci trudno wysłać je bezpośrednio do Moskwy – odparła niezrażona niczym dziewczyna.

– Do Moskwy? – Madera nie mógł pojąć sensu jej słów.

– A na jakiej podstawie wyrobią mi zezwolenia na przemieszczanie się po terenach Federacji Rosyjskiej? – zapytała z miną niewiniątka.

– Federacji Rosyjskiej? – Dopiero powtórzywszy jej słowa, pojął, o co chodzi. Nie zdołał się opanować i krzyknął: – Nigdy, przenigdy nie zgódzę się na to! Po moim trupie!

– Janku, jesteś potrzebny żywy. – Wstała i oparła obie dłonie na stole, nachylając się w kierunku siedzących mężczyzn. – I musisz się z tym pogodzić, jak również wy panowie, że wyprawa będzie liczyła cztery osoby. Trzech mężczyzn i jedna kobieta, Magdalena Strzelecka, i radzę się z tym szybko pogodzić, gdyż mamy jeszcze trochę spraw do omówienia.

Przez najbliższe dwie godziny najemnicy na próżno roztaczali przed Magdą

wizje niebezpieczeństw czyhających w górach Rosji. Wymyślali najbardziej nieprawdopodobne historie, które im się przydarzyły podczas wielu akcji, zapewniając, że jest prawie nieuniknione, iż te sytuacje spotkają ich znowu. Skapitulowali dopiero o dziesiątej wieczorem.

– Do jasnej cholery! – Magdalena była wściekła. – Chcę wam przypomnieć trzy fakty. Po pierwsze to ja wymyśliłam sposób, w jaki można bez podejrzeń poruszać się po niedostępnych terenach Rosji, nie sądzę, żeby trzech stuprocentowych facetów wpadło na tak genialny pomysł. Po drugie tylko ja mogę wam zagwarantować, że akcja nie zostanie zapomniana i po kilku lub kilkunastu latach usłyszy o niej cały świat. I po trzecie, najważniejsze, jestem oficjalnym pełnomocnikiem rodziny porwanego profesora i bez mojej zgody nie można podjąć żadnej akcji, w której narażone mogłoby być zdrowie albo życie Kobalta. A ta akcja, jak sami dowiedliście, aż roi się od niebezpieczeństw. Muszę czuwać nad zdrowiem profesora.

W ten sposób pierwszego października z lotniska w Rotterdamie w podróż do Moskwy wyruszyło czworo przedstawicieli agencji turystycznej Madeleine. Live of Adventure.

Linia telefoniczna Wschód – Zachód

- Cześć, Aleks!
- Witaj, Henry. Który ruch?
- Dwudziesty szósty. Pionek f cztery na f pięć. Oj, urządzili wam festyn Czezeńcy. I jaki ładny prezent dostał Borys na początek drugiej kadencji.
- Prezent? Pionek e sześć bije pionka f pięć.
- Grozny znów wrócił do Czezeńców. Czyż to nie wspaniały prezent? Wieża f jeden bije pionka f pięć. I co dalej?
- Skoczek f osiem na h siedem. Borys obiecał Billowi, że przyhamuje generałów i da odetchnąć Czezeńcom. Nie będzie kontrataku.
- I słusznie! Wieża c jeden na f jeden!
- Sprytne. Sprytne, ale jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Hetman e siedem na d osiem.
- Hetman h trzy na g trzy. Lebień ma niezły pomysł na zakończenie tej bezsensownej wojny.
- Lebień to pomysł Borysa. Wieża a siedem na e siedem.
- Pionek h dwa na h cztery! Nie macie innego wyjścia. Czezeńcy są przebiegli.
- Trzydziestego pierwszego sierpnia podpiszemy rozejm. Wieża b osiem na b siedem.
- Bądźcie ostrożni. Pionek e pięć na e sześć! Czezeńcy tak łatwo nie skapitulują. Co tam u naszego Polaka?
- Żyje. Pracuje.
- Pilnujcie go jak oka w głowie. Gdyby uciekł, wszyscy mielibyśmy kłopoty.
- Prędszej zginie, niż ucieknie. Do najbliższego miasta jest ponad sto kilometrów przez tajgę. Nie ma takiej możliwości.
- Ale uważaj! To puszka Pandory!
- Uważam. Prędszej rosyjska flaga zawisnie na szczycie Statui Wolności, nim Polak opuści obóz. Wieża b siedem na c siedem.

Moskwa, 1 października 1996

Stolica Federacji Rosyjskiej przywitała pasażerów lotu numer dwieście czterdzieści osiem z Amsterdamu wyjątkowo piękną i słoneczną pogodą. W powietrzu wyczuwało się co prawda nadciągającą zimą, lecz w miejscach osłoniętych od delikatnych podmuchów wiatru promienie słoneczne przyjemnie rozleniwiały, stwarzając złudzenie, że jeszcze trwa lato. Cała czwórka po raz pierwszy przybyła do Moskwy, w związku z tym ciekawie rozglądali się dokoła, chcąc jak najszybciej wyczuć atmosferę tego tajemniczego kraju. Polacy znali rosyjski – Magda bardzo dobrze, Mały Jaś trochę słabiej – toteż wsłuchiwali się w odgłosy lotniska, które docierały do nich w oryginale. Holender i Niemiec, nie znając języka, starali się szóstym zmysłem wyczuć klimat kraju, w którym mieli przeprowadzić swoją pierwszą, całkowicie samodzielną akcję. Do tej pory zawsze działali pod dowództwem, które nakreślało im zadania, dając choćby strzępy informacji o przeciwniku. Teraz cała akcja od pomysłu do wykonania była ich autorstwa. Praktycznie nie odpowiadali przed nikim za jej niepowodzenie. Uświadomili sobie, że dotychczas pracowali za pieniądze i dla pieniędzy. Nie interesowało ich, kto ma rację ani po czyjej stronie stoi prawo. Zleceniodawca był kimś anonimowym, zazwyczaj były to wielkie korporacje lub rządy małych państw. Nie mieli z nim żadnych emocjonalnych związków. Tym razem sytuacja była inna. *All for one, one for all*. Podjęli się akcji na prośbę Madery, wywiązując się z zawartego w Afryce honorowego paktu. Nie znali Kobalta, lecz dzięki tygodniom przygotowań do wyprawy oraz opowieści Magdy i Jasia poczuli do niego sympatię. Trudno mówić o bardziej emocjonalnym związku. Przyjaźń z Maderą sprawiła, że coraz częściej zastanawiali się nad pojęciem sprawiedliwości. Chociaż w przypadku profesora używanie pojęcia sprawiedliwości nie było takie jednoznaczne. Według informacji, które przekazała Magdalena, Kobalt dostarczył Amerykanom jakieś dokumenty. Jakie? Dla nich było jasne, że były to materiały szpiegowskie, a w tej sytuacji każde normalne państwo podejmie akcję w celu zlikwidowania siatki szpiegowskiej. W normalnym, demokratycznym państwie powinna się odbyć rozprawa sądowa, każdy powinien mieć możliwość obrony. Powinien? Oswald dwa razy brał udział w akcji likwidowania szpiegów na zlecenie „bardzo” demokratycznych państw. To czasem wygodniejsze niż wielomiesięczny proces. Nic nie trzeba

nikomu wyjaśniać i można ukryć własne błędy. Czuli się odpowiedzialni wobec samych siebie i własnego pojęcia honoru. Tymczasem stali w kolejce do odprawy paszportowej na lotnisku Szeremietiewo. Gdy podali paszporty urzędnikowi, ten po uważnym ich przestudiowaniu podniósł słuchawkę telefonu i powiedział coś bardzo szybko, po czym wskazał przybyłym miejsce obok barierki. Nastąpiła chwila nerwowego oczekiwania.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytała Magdalena po rosyjsku.

– *Niet* – odpowiedział oschle urzędnik. – *Padażdi*.

– Ale na co mamy poczekać? – nie ustępowała.

– *Padażdi!* – uciął dyskusję Rosjanin.

– Nic nie chce powiedzieć – szepnęła dziewczyna swoim towarzyszom.

– Czyżby był jakiś przeciek? – zastanowił się Gunter.

– Nie sądzę – uspokoił go Madera. – Gdyby był przeciek, to nie zatrzymywaliby nas na lotnisku, tylko pozwolili przejść kontrolę paszportową i aresztowali albo w drodze, albo w hotelu.

– Mimo wszystko nie podoba mi się to – stwierdził Niemiec i zwrócił się do Oswalda. – A ty co o tym sądzisz?

– Przychylam się do opinii Jasia – odpowiedział, rozglądając się czujnie. – Wydaje mi się, że za chwilę sprawa się wyjaśni. Jak sądzę, to w naszym kierunku zmierza dwóch wysokich, elegancko ubranych młodych facetów.

Wszyscy jak na komendę powędrowali wzrokiem za Holendrem. Istotnie w tłumie podróżnych dało się wyróżnić sylwetki dwóch młodych mężczyzn ubranych w jeansy i skórzane kurtki, którzy wyraźnie się spiesząc, przybliżali się do punktu odprawy paszportowej. Niebawem dotarli do urzędnika i po zamienieniu z nim paru słów skierowali się do oczekującej grupki.

– Serdecznie witamy w Moskwie! – powiedział blondyn, podając rękę Magdzie. – Nazywam się Igor Stiepanow i od razu przepraszam, że czekaliście na nas, ale niestety korki na ulicach są o tej porze tak wielkie, że pomimo wcześniejszego wyjazdu i tak się spóźniliśmy. Jeszcze raz przepraszam. Pozwolicie, że przedstawię wam mojego współnika. Wołodia Worodnikow.

Po tym krótkim powitaniu Stiepanow wziął ich paszporty od urzędnika i skierował się w stronę wyjścia. Jego towarzysz znikł za barierką, by po chwili wyprowadzić wózek z wszystkimi bagażami. Mikrobusem z napisami w języku angielskim dotarli do hotelu. Dwie godziny po lądowaniu byli już w swoich pokojach. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Po wspólnym obiedzie odbyli krótką przejażdżkę po Moskwie. Dokładniejsze zwiedzanie mieli zaplanowane na następny dzień. Wieczorem, gdy Madera przeglądał po raz kolejny mapy z zaznaczoną trasą wyprawy, zadzwonił

telefon.

- Słucham? – powiedział zaskoczony.
- Pan Jan Madera? – zapytał męski głos.
- Tak – odparł.
- Sasza zaprasza pana na drinka do baru – poinformował rozmówca.
- Sasza?
- Tak, Sasza. Proszę zaraz zejść do baru.

- W porządku, już schodzę – odpowiedział i odłożył słuchawkę. Podszedł do drzwi łazienki. Na szczęście ustał już szum prysznica. – Madziu! Przyjechał Sasza i koniecznie chce się ze mną spotkać. Wychodzę.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytała Magdalena.
- Nie. Poczekaj na mnie, to nie powinno długo trwać.

Ubierając się, rozważał, co takiego się stało, że Sasza przybył do Moskwy. Wszystko uzgodnili przed wyjazdem z Amsterdamu. Nie było żadnej potrzeby kontaktu, nie mówiąc już o grożącym mu niebezpieczeństwie. Czyżby to była prowokacja, zastanawiał się. Wiążąc krawat, doszedł do wniosku, że chociaż ostrożności nigdy za wiele, to jednak chyba jest trochę przeczulony. W takim razie musiało się wydarzyć coś szczególnego, że pomimo niebezpieczeństwa, przed którym wielokrotnie przestrzegał, Korytkin zdobył się na dodatkowy osobisty kontakt i to na terytorium wroga. Podobno pod latarnią najciemniej, przypomniał sobie polskie przysłowie. Zawsze mam prawo zejść do baru i wypić przed snem jednego czy dwa drinki, powiedział sobie i zjechał windą na dół. Po wejściu do nowocześnie urządzonego lokalu rozejrzał się dokładnie i nie znajdując Saszy wśród obecnych, zajął miejsce przy barze. Zamówił whisky z lodem. Zapalając papierosa, jeszcze raz zlustrował salę. Nie rozpoznał nikogo z gości siedzących przy stolikach.

- Proszę nie odwracać wzroku od sali – usłyszał głos za sobą. – Niech pan spokojnie wypije swój trunek, po czym opuści lokal. Wejdzie pan schodami na trzecie piętro. Sasza czeka na pana w pokoju trzysta trzydzieści. Za piętnaście minut. Proszę bez pukania wejść do środka.

Madera opróżnił szklaneczkę, wodząc znudzonym wzrokiem po sali. Miejsce koło niego było puste. Piętnaście minut później, skoncentrowany i przygotowany do odparcia niespodziewanego ataku, otworzył drzwi wskazanego pokoju. Zamiast ataku spotkało go bardzo ciepłe przyjęcie.

- Witaj, Jan! – Korytkin wstał na jego widok. Uścisnęli sobie ręce, po czym zasiedli w fotelach. – Zaskoczył cię ten telefon? I dobrze podejrzewasz, wystąpiły u nas nieciekawe wydarzenia. Po podpisaniu układu z Rosją Maschadow osłabił czujność i do głosu doszli ludzie, dla których

najważniejsza jest kasa. Ideały wolnościowe są dla nich o tyle warte, o ile można je przeliczyć na dolary.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z naszą akcją?! – zaniepokoił się Madera.

– Sprawa ruskich szpiegów w naszym rządzie zeszła na dalszy plan.

– To znaczy przestaliście ich rozpracowywać – zdenerwował się Janek.

– To nie tak...

– Tak czy nie?! – Madera pojął groźbę sytuacji.

– Tak! – przyznał z oporem Sasza. – Ale...

– W porządku. To nie twoja wina. Nie ściemniaj, tylko powiedz, co z waszą pomocą!

– *Woobszcze goworia wsio w par...* – Sasza przerwał w pół słowa. Ze zdenerwowania przeszedł na rosyjski. – Przepraszam cię. Ogólnie rzecz biorąc, nic się nie zmieniło. Na szczęście Basajew był przyjacielem profesora i po jego śmierci nie zapomniał o swoich obietnicach. Mam jego prywatną prośbę o pomoc w naszej akcji...

– Prośbę?! – zdziwił się Madera. – To u was się prosi żołnierzy o pomoc, a nie wydaje rozkazy?!

– Z obawy o groźbę wycieku informacji do Rosjan musieliśmy zastąpić naszych ludzi cywilami... ludźmi, którzy od lat poruszają się po tych trasach i są obeznani, mają swoje układy niezależnie od...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Madera. – O jakich cywilach mówisz?!

– No... – zająknął się. – No wiesz... prowadzą różne interesy i mają układy.

– Jeżeli dobrze cię rozumiem, to do całej akcji zaangażowaliście waszą mafię?

– No, tak – potwierdził opornie.

– Czy was popierdoliło?! – Madera nie wytrzymał. – Ja mam być zdany na łaskę albo niełaskę bandytów?! Czy ty zdajesz sobie sprawę, że od nich zależy nasze życie?!

– Tak i jestem o wasze zdrowie i życie spokojny. W tej sytuacji oni dają największe gwarancje – powiedział, a widząc niedowierzający wzrok Madery, dodał: – Tą akcją spłacają dług honorowy, który mają u generała. Nie to mnie martwi...

– Ty jesteś jak puszka Pandory! – wykrzyknął Madera. – Co otworzysz usta, to nowe nieszczęście! Co tym razem?

– Od dwóch miesięcy nie mamy kontaktu z naszym człowiekiem mieszkającym w pobliżu obozu – wyjaśnił szybko. – Dwóch kolejnych kurierów nie wróciło. Nie wiemy, czy zginęli, czy przechwycili ich Rosjanie.

Jeżeli ich przechwycili, to nie wiemy, ile powiedzieli...

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wiecie, czy wasz człowiek żyje, czy wie o akcji i o swojej roli, tak?

– To nie do końca tak. Dwa dni temu wyruszył trzeci kurier. Mają się spotkać w połowie drogi. To taki awaryjny plan – wyjaśnił.

– Kur... – Madera z trudem powstrzymał przekleństwa cisnące mu się na usta. Przez chwilę trawił w milczeniu rewelacje Korytkina, po czym zapytał z przekąsem: – Dużo masz jeszcze takich optymistycznych wieści?

– Tylko jedną – odpowiedział stropiony.

– Wal śmiało, chłopie!

– Musicie dotrzeć do miejsca porwania dwa dni później, niż zakładał twój plan – jednym tchem wyrecytował Sasza.

– I to wszystko? A broń? Skutery? Paliwo?

– Wszystko zgodnie z planem.

– Na pewno?

– Słowo honoru. – Korytkin uderzył prawą pięścią w pierś na wysokości serca.

– A skąd będę wiedział, że to nasi porywacze?

– Jeden z porywaczy będzie miał taki zegarek. – Sasza ściągnął z ręki zegarek i wręczył go Maderze, który z ciekawością zaczął go oglądać. – Nie musisz mu się przyglądać, to dla ciebie.

– Swoisty znak rozpoznawczy – zdziwił się. – Przecież mogą go kupić...

– Nikt nie może go kupić – przerwał mu Sasza. – Tych zegarków jest kilkadziesiąt sztuk i wszyscy ich właściciele są doskonale znani. Wykonał je dziadek generała i noszą je tylko potomkowie w linii męskiej.

– Ja... – Madera powstrzymał kolejną wiązkę przekleństw, którą chciał skomentować fakt, że jeden z członków rodziny przedstawiciela najwyższych władz siedzi tu przed nim, a drugi jest zaangażowany w przemyt. Zamiast tego powiedział: – W tej sytuacji lepiej będzie, jak pójdę już i nigdy się nie spotkamy. Chyba że po zakończeniu akcji, w Krakowie.

Wstał, włożył zegarek do kieszeni i bez pożegnania wyszedł z pokoju.

Nazajutrz rano Rosjanie zabrali przybyszów na wycieczkę po Moskwie. Niestety Jan Madera nie mógł im towarzyszyć. Przewodników uraczył bajeczką o kłopotach ze zrealizowaniem czeków i w związku z tym konieczną wizytą w banku. Z Magdą poszło gorzej, nie uwierzyła mu, że chce w samotności sprawdzić wszystkie szczegóły planu, ale zgodziła się, by został w hotelu. Madera poczekał pół godziny, po czym nie zostawiając klucza w recepcji, chyłkiem wymknął się do miasta. Wrócił na tyle wcześniej, że

towarzysze zastali go siedzącego w fotelu i przeglądającego ulotki z banku. Po raz pierwszy okłamał Magdę i miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Po prostu bał się przekazać jej rewelacje Saszy. Był za bardzo wstrząśnięty zasłyszanyymi informacjami, żeby spokojnie jej to wytłumaczyć. Mafię znał tylko z literatury, i to w dodatku sycylijską. Będąc w Polsce, przeczytał co prawda parę doniesień prasowych na temat rozprzestrzeniających się w kraju wpływów mafii czeczeńskiej, ale były to w większości domysły dziennikarskie i niesprawdzone plotki. Przekonanie o wyższości moralnej przepojonych ideologią wyzwolenczą bojowników o wolność nad ludźmi stojącymi poza prawem wyssał z mlekiem matki. W końcu był Polakiem wychowanym na kultywowaniu pamięci o zrywach narodowowyzwoleńczych przodków. I to właśnie przekonanie spędzało mu sen z powiek. Nie mógł pogodzić się ani w żaden sposób wytłumaczyć sobie, że chwalebna i patriotyczna akcja uwolnienia profesora będzie uzależniona od zwykłych bandytów. Nie potrafił sobie wyobrazić, że tym ludziom można zawierzyć, że będą lojalni, zdyscyplinowani i dochowają tajemnicy. To po prostu nie mieściło mu się w głowie. Zwykli bandyci, nie, nie zwykli, najgorsi z najgorszych, członkowie mafii, mafiosi i wzór moralny, profesor prawa! Ale co mógł w tej sytuacji zrobić? Nic. Nie miał alternatywy. Po prostu albo stłumi rozterki moralne i przeprowadzą akcję z mafią, albo zrezygnują z próby uwolnienia profesora, a tego nie brał zupełnie pod uwagę. W grę wchodziło również bezpieczeństwo Magdy. Mając cały czas wątpliwości, czy powinna uczestniczyć w wyprawie, teraz po rozmowie z Korytkinem był zdecydowany zmusić dziewczynę do powrotu. Postanowił porozmawiać z chłopakami. Niechętnie, bo nie lubił, kiedy była bez jego opieki, namówił Magdę do samotnego zwiedzania pobliskiego centrum handlowego.

– Co ty, kurwa, kombinujesz? – zapytał Oswald, gdy razem z Gunterem usiedli naprzeciw leżącego Madery. – Mnie nie oszukasz. Po co ten cały cyrk?

– Są problemy – zaczął powoli Polak. – Wczoraj wieczorem spotkałem się z Korytkinem.

– No, to nawijaj – odparował Holender, zapalając papierosa.

Madera przekazał bardzo dokładnie informacje uzyskane od Saszy. Podzielił się również swoimi wątpliwościami dotyczącymi udziału Magdy w wyprawie.

– Nic lepszego nie mogło nas spotkać – stwierdził Oswald. – Chłopaki mają swój honor i nigdy nie nawalają.

– A ty skąd to wiesz? – zapytał Gunter, który również podzielał obawy Madery.

– Wykonywałem kiedyś takie małe zlecenie dla mafii – powiedział, jakby to była informacja o godzinie odjazdu pociągu, lecz widząc niepokój w oczach wpatrującej się w niego dwójki mężczyzn, szybko dodał: – Ale poza tym jednym przypadkiem nie miałem z nimi żadnego kontaktu. To była prośba kumpla z ławy szkolnej, który wybrał taki sposób życia. Umowa była jasna. Ja wykonuję małą robótkę, kasuję forszę i zapominamy o sobie, chyba żebym nagle znalazł się w kłopotach. Wtedy miałem zadzwonić pod podany numer. Skorzystałem tylko raz, gdy Alice miała kłopoty z natrętną szajką handlarzy narkotykami. Do dziś jest spokój.

– Wierzę – odpowiedział Madera. – Ale Rosja to nie Holandia i niekoniecznie tutejsi mafiosi muszą być tacy honorowi. Martwię się o Magdę.

– Teraz dopiero Magda będzie bezpieczna – przerwał mu Oswald, a widząc zamglone niepokojem oczy Madery, dodał: – Honor jest wszędzie taki sam. Biała, żółta czy czerwona mafia rządzi się tymi samymi prawami. Śpij spokojnie, nawet jak my nawalimy, oni wyciągną nas z kłopotów.

Południk 110

Michał Kobalt, objęty opieką Stiepana, nieźle znosił katorżnicze warunki pobytu w obozie pracy. Najważniejsza dla niego była świadomość, że nie jest sam, że ktoś nad nim czuwa i stara się mu pomóc w przetrwaniu, a może w odzyskaniu wolności. Nie bez znaczenia były przemycane przez woźnicę pokaźne dawki żywności. Lata treningu teraz procentowały, jego organizm powoli odzyskiwał kondycję. Przebywanie przez większość dnia na mrozie, ciężka praca fizyczna i całkowity brak opieki lekarskiej wykończyłyby go tak, jak większość więźniów, gdyby nie to dokarmianie i doskonała adaptacja jego organizmu do nowych warunków. Skóra na dłoniach stwardniała od siekiery i piły. Ręce już nie paliły, przyzwyczał się do brudu, wszy i pluskiew.

Przez pierwszą noc po incydencie z Riabuszkinem nie spał, tylko czuwał przygotowany na jakiś nocny atak, próbę skrytobójczą. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Również następny dzień upłynął spokojnie. Riabuszkin nie dowodził grupą więźniów pracujących w lesie. Dopiero po trzech dniach pojawił się na miejscu zrywki drewna i od razu wyznaczył Kobalta do najcięższych prac, nie przydzielając mu nikogo do pomocy. Norma, jaką mu wyznaczył, spokojnie wystarczała na dwóch, trzech więźniów. Kobalt miał ją wykonać sam, a to wykluczało jakąkolwiek przerwę w ciągu dnia. Niewykonanie normy oznaczało głodówkę wieczorem i następnego dnia rano. Jednak nie to mobilizowało Polaka do pracy. Powtórne niewykonanie normy karane było pobyt w karcerze. Kobalt, dokarmiany przez szalonego woźnicę, nie bał się głodu, natomiast o pobycie w karcerze krążyły różne opowieści i gdyby tylko w połowie były prawdziwe, to lepiej było nie jeść, nie pić i nie palić przez cały dzień, żeby wykonać swoją normę, niż wylądować w karcerze. Dobrze odżywiony Kobalt z trudem, ale jednak wykonał założony cel. Na drugi dzień sytuacja się powtórzyła i pod wieczór potwornie zmęczony Kobalt mógł mieć satysfakcję, że znowu wykonał normę. Przywiezioną przez Stiepana żywność przemycił do obozu i zjadł w nocy, gdy wszyscy już zasnęli. Ta sytuacja powtarzała się przez cały następny tydzień, a w końcu zdenerwowany Riabuszkin wysłał Kobalta do samodzielnego ścinania drzew i co chwila go kontrolował, czy aby ktoś mu nie pomaga. Właśnie podczas takiej niespodziewanej wizyty zdarzył się wypadek, w którym Dymitr Riabuszkin o mało nie stracił życia. Profesor

wiedział, że co kilkanaście minut jest kontrolowany, jednakże gdy Stiepan przywiózł mu jedzenie i zaproponował, że zastąpi go na chwilę przy podcinaniu drzewa, by mógł jednak posilić się co nieco, zgodził się. Stiepan przyzwyczajony był do ciężkiej pracy, jednak nie miał prawie żadnego doświadczenia, jeżeli chodzi o wycinanie drzew. Rąbał więc siekierą tak, jak mu pokazał Kobalt, a że był młodszy i miał dużo więcej siły, czynił postępy zdecydowanie większe niż profesor. Ten zaś, zjadając ze smakiem przywiezione kanapki, bacznie obserwował ścieżkę, na której lada moment mógł się pojawić Riabuszkin. I faktycznie po paru minutach na tle zarośli pojawiła się sylwetka strażnika. W tym momencie drzewo wydało charakterystyczny trzask poprzedzający upadek. Stiepan krzyknął na Kobalta. Na dźwięk głosu woźnicy Riabuszkin poderwał się do biegu i wpadł na polanę w momencie, gdy kilkudziesięciometrowa sosna straciła pozycję pionową i zaczęła nabierać prędkości w podróży na pokrytą ubitym śniegiem ziemię. Ułamek sekundy wystarczył, aby Kobalt, który widział już parę takich sytuacji, zorientował się, że sekundy dzielą ciało Riabuszkina od zmiżdżenia przez spadającą masę drzewa. I znów zadziałał instynkt. Ryzykując własnym życiem, w trzech potężnych susach pokonał odległość dzielącą go od Riabuszkina i z całej siły rzucił się na niego. Uderzenie było tak mocne, że zważyło Rosjanina z nóg. Upadli na ubity śnieg i poślizgiem przebyli jeszcze ze dwa metry. To wystarczyło, żeby potężny pień zmiądzzył śnieg niespełna półtora metra od nich. Przez chwilę leżeli nieruchomo przykryci wielkimi gałęziami. Riabuszkin oszołomiony sytuacją, z otwartymi ustami, jakby zastygłymi w bezgłośnym krzyku, patrzył wytrzeszczonymi oczyma w odległą zaledwie kilkanaście centymetrów, zarośniętą twarz więźnia. Nie mógł wymówić ani słowa, gdyż dopiero teraz dochodził do niego sens wydarzenia zaledwie sprzed kilku sekund.

– Po raz drugi darowałem ci życie. – Kobalt pierwszy odzyskał spokój i wygramolił się spod gałęzi. – Ale do trzech razy sztuka.

Riabuszkin nie odzywał się i nie dawał żadnych znaków życia. Stiepan podbiegł i zatrzymał się na dźwięk słów profesora.

– Żyjesz! – wykrzyknął z radością, a zaraz potem zapytał z wyrzutem: – Po jasną cholere ryzykowałeś życiem, żeby ratować taką gnidę? Przecież mogłeś zginąć!

– Wiem – odpowiedział tak spokojnie Kobalt, że aż sam się zdziwił, skąd u niego takie opanowanie. – Wiem, ale to był instynkt. Nie mogłem inaczej. Jeszcze nie przywykłem do nowych zasad i już chyba nie przywyknę. Przecież to jest człowiek.

– Człowiek?! – nie ukrywał zdziwienia. – Przecież gdyby mógł, to dawno już

wysłałby cię tam, gdzie spoczywa kilkunastu więźniów, których zamęczył. Ciągłe liczy, że podasz mu to cholerne nazwisko i dlatego jeszcze pozwala ci żyć. Jak straci nadzieję, nie przeżyjesz ani dnia dłużej.

– Stiepan, nie mogłem inaczej – tłumaczył się. – Tak zostałem wychowany, i pomimo że zabiłem już człowieka, nie straciłem swoich zasad. Tamto było w obronie życia.

– Wiem, panie profesorze. – Stiepan powrócił do formy pan.

– Niech tak zostanie – powiedział Kobalt, wyciągając rękę. – Mam na imię Michał.

Przez ten czas Riabuszkin nie zmienił pozycji, łapczywie łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Uchwyciwszy go za rękę, nie bez trudu wyciągnęli spod gałęzi. Po dokładnych oględzinach okazało się, że i on nie odniósł obrażeń.

– Dymitr! – zawołał woźnica. – Już po wszystkim. Żyjesz i nic ci nie dolega.

Riabuszkin śmiertelnie przestraszonymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń nad nimi, nie reagując na głos. Skurcz mięśni usztywnił jego ciało, tak że wyglądał jak pomnik zrzucony z cokołu. Próbowali go posadzić, lecz naprężone mięśnie nie pozwoliły ciału się zgiąć.

– Nie ma innej rady – powiedział Stiepan i wymierzył strażnikowi potężny cios otwartą dłońią w policzek. Głowa pod wpływem tego uderzenia odskoczyła na bok, lecz wyraz twarzy nie zmienił się, więc woźnica powtórzył uderzenie. Tym razem osiągnął zamierzony skutek. Riabuszkin poderwał się na nogi – No wreszcie. Dziękuj Kobaltowi i Bogu, że żyjesz. Gdyby nie on, dołączyłbyś już do swoich przodków.

– Co, co... się stało – zachrypiał, z trudem odzyskując głos.

– Twoja głupota o mało cię nie zabiła – wyjaśniał Stiepan. – Gdyby nie profesor, już dawno byłbyś sztywny. Szkoda, że uratował ci życie, ale na to nie ma już rady. Może chociaż dojdzie do twojej głupiej pały, że profesor to porządny człowiek i powinieneś się odpiardolić od niego i pozwolić mu spokojnie żyć. Zawdzięczasz mu teraz życie, więc radzę ci po dobroci, zostaw go w spokoju. Najlepiej zapomnij, że taki ktoś jest w ogóle w obozie.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. – Riabuszkin powoli odzyskiwał pewność siebie. – Zrobię, co będę uważał za stosowne.

– Ja sędzę, że jednak zrobisz to, o co cię proszę – powiedział woźnica i znacząco machnął trzymaną w rękę prawie półtorametrową siekierą. – Wbij sobie do głowy fakt, że profesor nic więcej nie wie, niż powiedział na śledztwie w Moskwie i nic nie może ci więcej powiedzieć. Przecież tak naprawdę, to możesz już nie żyć, prawda, profesorze? Przecież pan nie ma takiego refleksu, żeby uchronić naszego zastępcę przed uderzeniem

spadającego drzewa. Jak pan sądzi, czy ktoś potrafi odróżnić śmierć zadaną przez pień drzewa od śmierci zadanej siekierą?

– Sądzę – powoli odpowiedział Kobalt – że do tego potrzeba bardzo dobrego lekarza i odpowiednich warunków, których tu na pewno nie ma. A ja mam jeszcze do wycięcia niejedno drzewo. Gdyby tak podłożyć zwłoki pana Riabuszkinina...

I wtedy stała się rzecz niespodziewana. Dymitr Riabuszkin, zastępca komendanta obozu, który słynął ze swojego twardego charakteru i sadyzmu, padł na kolana i rozplakał się jak dziecko. Nie ma bardziej plugawego widoku niż obraz płaczącej bestii. Stiepan odwrócił się i splunął na śnieg, po czym poszedł do swojego plecaka, wyjął z niego butelkę wódki i podał ją strażnikowi.

– Pij i zapomnij o profesorze, a będziesz miał moją dozgonną wdzięczność – powiedział, podając strażnikowi butelkę samogonu. – A jeśli mu się stanie krzywda, to zjedzą cię wilki!

Kobalt patrzył, jak Riabuszkin ciągle jeszcze w szoku ściąga czapę i ociera pot z czoła. Wtedy doznał olśnienia! Tak. To było w Moskwie! Pułkownik Orłow! Riabuszkin i Orłow! Czy to możliwe? Bracia? Pokręcił z niedowierzaniem głową, ale postanowił to odkrycie zachować dla siebie. Skoro Riabuszkin nic nie wspominał o bracie w Moskwie, to znaczy, że chciał to zachować w tajemnicy. Dlaczego? To nie było istotne dla profesora.

Po tym wydarzeniu Riabuszkin zaprzestał znęcania się nad profesorem. Sytuacja wróciła do jako takiej normy. Kobalt żył świadomością, że jego pobyt w obozie będzie miał swój kres. Pamiętał jednak o przypadku pewnego Kazacha, który został skazany za jakąś bzdurę na dziesięć lat. Odmierzał dni i tygodnie dzielące go od końca kary. Jego obliczenia były precyzyjne i zgadzały się z obliczeniami władz obozu. Dzień, który miał być ostatnim dniem wyroku, stał się ostatnim dniem jego życia.

Na porannym apelu komendant wyczytał jego nazwisko. Jak każe regulamin, mężczyzna wystąpił przed szereg. Kobalt pierwszy raz widział, żeby któryś z więźniów uczynił to tak energicznie i dostojnie. Kazach wystąpił jak żołnierz do odznaczenia, pewien, że komendant odczyta tekst zwolnienia. Przez parę sekund jego twarz wyrażała bezgraniczną radość. Wydawało się, że znikły ślady po odmrożeniach i zmarszczki. Na małą część swojego życia stał się innym człowiekiem, nawet nie nadzieją, a pewnością uwolnienia się od koszmaru obozu odmieniła go. I wtedy stało się. Komendant odczytał swój komunikat, którym przedłużał Kazachowi pobyt w obozie o następne dziesięć lat. Przez moment wszystkim wydawało się, że czas się zatrzymał. Zapanowała idealna cisza, której nie przerywał

nawet kaszel chorych na gruźlicę więźniów. Kazach zastygł w bezruchu i pomimo komendy nakazującej powrót do szeregu ani drgnął. W momencie gdy strażnicy ruszyli w jego stronę, aby siłą wymusić posłuszeństwo, ten, jak drzewo ścięte w lesie, padł na plecy i już nigdy się nie podniósł. Cała jego postać nagle zmałała, zszarzała, jakby świadomie chciała zniknąć z powierzchni ziemi. Tylko jego oczy były nienaturalnie wielkie i przeraźliwie zdziwione. Kobalt stojący w pierwszym szeregu nie mógł oderwać od nich wzroku. Nigdy wcześniej i nigdy później nie zobaczył już takich oczu. Śniły mu się po nocach, prześladowały go w lesie, w baraku. Te oczy pojawiały się zawsze, ilekroć pomyślał o tym, że być może niedługo już opuści obóz. Więźniowie mieszkający w baraku razem ze zmarłym Kazachem opowiadali potem, że w dniu, gdy agenci FSB zabrali go z rodzinnego domu, został ojcem. Po paru latach oczekiwania jego żona urodziła wreszcie szczęśliwie ich pierwsze dziecko. To był syn. Kazach nawet nie zdążył go wziąć na ręce, gdyż został wyprowadzony przez żołnierzy. Przez całe dziesięć lat żył nadzieją spotkania ze swoim pierworodnym. Ciągłe wspominał zapewnienia, które żona zdążyła za nim wykrzyknąć: „Będę czekała na ciebie choćby do śmierci!”. Biedny człowiek wierzył w to i chyba tylko dzięki temu przeżył dziesięć lat katorżniczej pracy. Przez ostatni miesiąc odliczał niemalże godziny dzielące go od wolności, nic więc dziwnego, że wiadomość przeczytana przez komendanta zabiła go niczym piorun w czasie burzy. Nikt nie robił w obozie sekcji zwłok, ale profesor był pewien, że Kazach zmarł na zawał serca. Starsi więźniowie, którzy przebywali w kilku różnych obozach, wspominali, że nagminnie zdarzały się wypadki bezprawnego przedłużania wyroku i to ogłaszane zawsze w ostatnim dniu. Ludzie po tym zapadali w odrętwienie, wariowali, popełniali samobójstwa, ale jeszcze nigdy nie słyszeli, żeby ktoś zmarł natychmiast po wysłuchaniu wyroku.

I właśnie drugiego października 1996 roku, gdy słońce minęło zenit, a woźnica nie pojawił się w lesie, Kobalt przypomniał sobie po raz kolejny tę scenę. Chociaż wizyty Czeceńca obudziły w nim nadzieję na wolność i dodawały otuchy, to jednak gdzieś w podświadomości oczekiwał na dzień, kiedy ten nie przyjedzie. A to oznaczało tylko jedno. Woźnica został aresztowany. Chociaż nigdy nie powiedział jednoznacznie, Michał domyślał się, że był on tajnym czeceńskim agentem, który tu, w pobliżu obozu pracy, realizował zadania swojego rządu. Gdy zaczynało zmierzchać, Kobalt poczuł się jak ten Kazach obdarty z nadziei na wolność, pozbawiony pomocy, samotny. Był to najcięższy jego powrót do baraku. Nawet pierwsze dni w obozie nie wywarły na jego psychice takich szkód, jak ten październikowy

dzień. Wtedy wiedział, że jest sam i nie może na nikogo liczyć. Teraz rozbudzone nadzieje ciągnęły go w otchłań rozpacz. Idąc samotnie kilkanaście metrów za kolumną więźniów, próżno usiłował wytłumaczyć sobie nieobecność woźnicy chorobą, alkoholem czy innym zleconym mu zadaniem. Nic nie potrafiło przywrócić mu optymizmu. Odstąpił swoją rację żywności pierwszemu napotkanemu więźniowi, a sam padł jak kłoda na pryczę.

Stiepan Maschadow już trzydziestą szóstą godzinę był w drodze. Zmierał do odległej o dwa dni drogi wsi Kołomoje. Przez cały okres zamieszkiwania w pobliżu obozu raz zdarzyło się, że kurier nie dotarł do niego w precyzyjnie wyznaczonym terminie. Podczas pamiętnej nocnej rozmowy z Siergiejem obaj doszli do wniosku, że kurier wpadł w łapy tych z FSB. Co prawda przywieziony list nakazywał mu czekać na posłańca, ale wcześniejsze instrukcje wskazywały kowala ze wsi Kołomoje jako ostateczny i niezawodny kontakt, gdyby coś szczególnego się wydarzyło. A zdarzyło się przedwczoraj. Trzydziestego września wrócił z lasu jak zwykle przed zmierzchem. Wyprzągnął konie, zaprowadził je do stajni, nasypał obroku i skierował się do domu. Kłódka, do której klucze miał on i kurier, wisiała na swoim miejscu. Był to znak, że w domu nie ma nikogo. Stiepan otworzył drzwi i wszedł do izby. Ogień na kominku przygasł. Następny znak, że podczas jego pobytu w lesie w domu nie było nikogo. Jeżeli Stiepan mógł się łudzić nadzieją, że kurier był i z tylko sobie wiadomych powodów udał się na chwilę do wsi albo zostawiwszy polecenia, niezwłocznie ruszył w drogę powrotną, to po wejściu do środka nie miał już żadnych złudzeń. Według instrukcji powinien natychmiast udać się do punktu kontaktowego. Stiepan postanowił jednak poczekać kilka godzin. Liczył, że wydarzyło się coś, co opóźniło, a nie uniemożliwiło przyjazd kuriera. Rozpalił ogień w kominku, zawiesił na prowizorycznym ruszcie parę kawałków mięsa, tak na wszelki wypadek, gdyby jednak musiał ruszyć w drogę. Również na wszelki wypadek przygotował paszę i wodę dla koni na kilka następnych dni. Gdy minęła dwudziesta druga i nikt nie zapukał w charakterystyczny sposób do drzwi, Maschadow pozbył się złudzeń. Kurier najprawdopodobniej został zatrzymany przez agentów FSB. Z listów przywiezionych przez ostatniego kuriera wynikało, że po śmierci prezydenta Dudajewa osłabło zainteresowanie wykryciem i unieszkodliwieniem rosyjskiej siatki szpiegowskiej w Czeczenii. Jak dotąd udało się zachować w tajemnicy jego misję, teraz jednak musiał być przygotowany na wszystko. Pośpiesznie spakował rzeczy potrzebne w podróży, wygrzebał ukryty w sianie skuter

śnieżny, uzupełnił stan paliwa, przymocował na specjalnych uchwyty sześć kanistrów i skierował się do stajni. Zgodnie z instrukcją powinien przed wyjazdem zostawić otwarte drzwi i nie wiązać koni, tak by mogły wyjść na podwórze. To powinno im uratować życie. Stiepan kochał konie. Jak powiedział kiedyś kurierowi: „Tylko one mnie nie zdradziły”. Artyści są bardzo wrażliwi, dostrzegają to, co dla zwykłego śmiertelnika jest okryte tajemnicą. Konie to bardzo inteligentne i oddane zwierzęta, nic więc dziwnego, że parę lat opiekowania się nimi wytworzyło niezauważalną i niedostępną dla zwykłych ludzi więź, toteż od razu po wejściu mężczyzny do stajni wyczuły napięcie i zaczęły nerwowo strzyc uszami i stukać kopytami. Maschadow próżno głaskał je po karkach i przemawiał czule. Stiepan miał nadzieję, że wróci do swojej zagrody. Liczył, że kurier prędzej wyjdzie na spotkanie z Allachem, niż zdradzi cel swojej podróży. To była walka o najwyższe wartości i zakończeniem mogło być zwycięstwo albo śmierć. Z listu, w którym Korytkin polecał profesora Kobalta jego opiece, wywnioskował, że jest to nie tylko priorytetowa sprawa dla władz czeczeńskich, ale również dla samego Saszy. A Saszę znał od dziecka. Razem dorastali na przedmieściach Groznego, chodzili do tych samych szkół, przeżywali pierwsze miłości i rozczarowania. Razem też związali się z budzącym się ruchem wyzwoleniczym. Ich drogi rozeszły się dopiero, kiedy Maschadow wybrał szkołę aktorską, a Korytkin studia prawnicze. I chociaż od ich ostatniego spotkania minęło prawie dziesięć lat, przyjaźń i zaufanie przetrwały w stanie nienaruszonym. Analizując sytuację, Stiepan był pewien, że wróci tu, chociażby tylko po to, żeby uwolnić Kobalta. Nie wyobrażał sobie, by Sasza mógł zrezygnować z tego planu.

Nie miał czasu zawiadomić Polaka o swoim wyjeździe, dlatego też dręczyły go obawy, jak profesor zareaguje na jego nieobecność. Sytuacja była napięta. Po scysji z zastępcą komendanta na chwilę udało się całą sprawę wyciszyć. Stiepan jednak znał dobrze Riabuszkiną. Wiedział, że to zawzięty i fałszywy typ, który dla własnej kariery gotów sprzedać FSB własną matkę. Dopóki Maschadow był na miejscu, udawało mu się utrzymywać na wodzy zapędy strażnika, ale co będzie, gdy jego nieobecność się przedłuży? Albo jeśli nigdy tu nie wróci? Tym bardziej się spieszył, ograniczając swój odpoczynek do krótkich przerw na wypicie kieliszka samogonu i zjedzenia paru kęsów pieczonego mięsa z podpłomykiem.

Rzadko trafiały się odcinki drogi, na których mógł usiąść. Przez większość trasy musiał stać, amortyzując nogami wszystkie nierówności terenu. Nawet on, zahartowany pięcioletnim pobytem w lesie, odczuwał trudy podróży przez leśne bezdroża. Mógł co prawda wybrać równiejszą drogę i mniej

męczącą fizycznie, jednak obawa przed spotkaniem przypadkowych ludzi kazała mu zrezygnować z komfortu jazdy na rzecz bezpieczeństwa. Chciał być jak najszybciej na miejscu spotkania. Po raz pierwszy od trzech lat opuszczał swoją wioskę na dłużej niż jeden dzień, a to już było niebezpieczne. Nikt nie powinien wiedzieć, że są sprawy, dla których wyjeżdża poza teren obwodu. Prowadził życie chłopa, a jedyne wyjazdy, na jakie chłopi z tego terenu się decydowali, to wyprawy na jarmarki.

Do wsi Kołomoje dotarł wczesnym popołudniem. Kontaktem był kowal mieszkający samotnie na skraju lasu, z dala od wsi. Z kuźni leniwie unosił się dym, koło obejścia nie było widać żywej duszy. Maschadow zamaskował swój skuter w krzakach, okrywając go gałęziami sosny. Początkowo chciał poczekać do zmroku, lecz po prawie godzinnej obserwacji kuźni doszedł do wniosku, że nie ma tam nikogo obcego, a i nie wiadomo, czy kowal nie wyjechał do wsi. Mając na sobie biały kombinezon, był prawie niewidoczny na tle śniegu. Powoli, zachowując maksymalną ostrożność, zaczął czołgać się w stronę zabudowań. Co chwila zatrzymywał się i uważnie lustrował teren, lecz nie zauważył niczego niepokojącego. Po kilkunastu minutach dotarł do drewnianego płotu i odrywając jedną na w pół zgniłą deskę, dostał się na podwórko. Schylony przebiegł pod ścianę domu, a następnie na czworakach obszedł budynek i dotarł do drzwi. Były uchylone, więc delikatnie je otworzył i znikł w ciemności sieni. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, zaczął rozróżniać otaczające go sprzęty. Na palcach, bezszelestnie, zbliżył się do niedomkniętych drzwi prowadzących do izby i gdy miał je otworzyć, usłyszał głos mężczyzny.

– Sam nie wiem, co mam zrobić, *tawariszcz* Paługin. – Głos wskazywał na zaawansowany wiek mówiącego. – Jestem tylko kowalem. Kazaliście złożyć meldunek, jak przyjedzie kto obcy, tak też zrobiłem, ale nie wiedziałem, że go aresztujecie. Ci ze wsi widzieli i pewnie już zaczęli gadać, że jestem waszym agentem. Z kowalstwa ciężko wyżyć, a taki obcy zawsze parę groszy zostawi. Jak oni będą gadać, to kto u mnie zanocuje?!

– *Słuszaj*, Baniuszyn. – Drugi głos wskazywał na dużo młodszego mężczyznę. – Z tym towarzyszem to nie przesadzajcie, mamy nową władzę. *Tieper budiem diełat inacze*. Jeśli dziś, jutro lub pojutrze znowu przyjedzie jakiś obcy mężczyzna, to zaproponujecie mu kawę. *Kanieszno*. On *budiet* zmęczony, więc chętnie się napije. Posadzicie go tu w pokoju, a sami pójdziecie do kuchni. Wsypiecie po prostu proszek z tej torebki do garnuszka i podacie mu. Jak wypije, to od razu zaśnie, a wtedy zamkniecie dom i pójdziecie do wsi. Będziemy was obserwowali. Wejdziecie do baru, zamówicie wódkę

i pójdziecie do wygódki. Tam zostawicie klucz od domu. Gdy się ściemni, tak samo go odbierzecie, a potem wróćcie do domu. Nas już tu nie będzie, a wy zapomnicie o wszystkim.

– *A jak kto nibut uwidi?*

– *Nie bojsa*, to jest jego sprawa, żeby go nikt nie widział, jak wchodzi do twojego domu. My przyjedziemy i wyniesiemy go, gdy się zrobi ciemno. Na posterunek jest niedaleko, nikt nie zauważy, a rano przyjedzie po nich auto z obwołu i będzie po sprawie.

– A jak się nie zgodzę?

– A jak się nie zgodzisz, to my zabawimy się z twoją córką – zaśmiał się młodszy. – Ma już chyba trzydziestkę, a jeszcze chłopca nie widziała. Przydałby ci się wnuk? *Nie bojsa, my zdarowi* jak byki, to i wnuk *budiet zdarow*.

– Od mojej córki wara wam! – krzyknął kowal.

– A może ty ją używasz? – zapytał bezczelnie. – Od śmierci twojej żony nikt cię nie widział z żadną kobietą!

– Wynocha mi z domu! – Kowal krzyknął ponownie, a jego donośnemu głosowi towarzyszył huk rozbijanego garnka.

– Baniuszyn! – powiedział agent ostrym tonem. – Albo złożycie meldunek, albo waszą córkę wsadzimy do aresztu i będzie musiała na każde wezwanie grzecznie rozkładać nogi. Każdemu z nas! Nawet nie będziecie wiedzieli, kto jest ojcem waszego wnuka. Takiego ścierwa już żaden chłop nie będzie chciał.

Zapadło milczenie. Słysząc było tylko nerwowe kroki, zapewne kowal chcąc uspokoić nerwy, przechadzał się po izbie.

– Dobra – odparł zrezygnowany.

– No, widzicie. Nie mogliście tak od razu gadać – ucieszył się agent. – Chodźcie do kuchni, pokażę wam, jak przyrządzić specjalną kawę.

Podłuchana rozmowa wyjaśniła los zaginionego kuriera. Również co do swojej przyszłości, którą zgotował mu agent FSB, Maschadow miał pełną jasność. Zachowanie kowala i jego słowa świadczyły dobitnie, że dobrowolnie nie zdradził. Po prostu groźbą został zmuszony do wydania kuriera. Chronił w ten sposób swoją córkę przed brutalnymi metodami Sowietów. Czy tak do końca ochroni, to inna sprawa. Pozostawało jednak pytanie co dalej. Agent miał przywieźć instrukcje dotyczące akcji uwolnienia Kobalta. Czy miał ze sobą list, czy też zapamiętał całą treść? Jeżeli miał list, to z pewnością tutejsi agenci przekazali go do centrali i całą akcję diabli wzięli. Jeżeli jednak ze względów bezpieczeństwa zapamiętał wszystkie informacje, to jak do nich dotrzeć? Ze słów agenta wynikało, że kurier jest w areszcie na

posterunku milicji. Stiepan wiedział, że takie posterunki są zazwyczaj obsadzone przez dwóch, trzech milicjantów, którzy na noc zamykają celę oraz biuro i wracają do domu. Czy mężczyzna, który zmusił kowala do współpracy, był milicjantem, czy raczej agentem FSB? To było bardzo istotne. Stiepan już podjął decyzję.

Stosując te same środki ostrożności co przy wejściu do domu, zaczął się wycofywać w kierunku lasu. Po kilkunastu minutach, trzymając silnik na wolnych obrotach, powoli jechał w głąb lasu. Ukrył się w gąszczu młodych sosen i opatulony w puchowy śpiwór, zasnął. Obudził się o dwudziestej drugiej. Była bezksiężycowa noc, ciężkie chmury przykrywały niebo i lada moment powinien spaść śnieg. Maschadow podjechał na skraj lasu i objuczony dwoma kanistrami, wyruszył do wioski w poszukiwaniu stacji benzynowej. Było cicho. Z rzadka tylko dolatywało go szczekanie psów. Wioska wyglądała na uśpioną. Szczęście mu sprzyjało, bo zaczął padać śnieg maskujący jego ślady. Stacja benzynowa ukryta była za wielkim magazynem. Mdłe światło z małej żarówki skąpo oświetlało teren stacji. Maschadow ostrożnie podszedł do otworów, którymi paliwo było spuszczone do zbiorników. Po paru minutach za pomocą małej ręcznej pompki i kawałka gumowego węża miał napełnione oba kanistry. Powtórzył tę czynność jeszcze dwa razy i z zapasem stu dwudziestu litrów paliwa po niespełna godzinie pojawił się na podwórku kuźni. Otwarcie prymitywnego zamka nie nastąpiło mu żadnych kłopotów. Wszedł do sieni, zamknął cicho masywne drzwi wejściowe i dopiero wtedy zapalił latarkę. W sieni panował idealny porządek. Na gwoździach wbitych w belki ścian wisały płaszcze i kurtki, pod nimi stały w równym szeregu buty. Podszedł do drzwi, pod którymi po południu podsłuchiwał rozmowę kowala. Wyciągnął pistolet i otworzył je. Omiótł światłem latarki izbę. I tu panował porządek rzadko spotykany na sowieckiej wsi. Kredens, komoda, krzesła równo poustawiane, na podłodze ręcznie utkany chodnik, na ścianach parę czarno-białych fotografii. W rogu, na łóżku, lekko pochrapując, spał mężczyzna. Zapewne kowal. Maschadow podszedł do śpiącego i świecąc mu latarką prosto w oczy, przyłożył do szyi pistolet.

– *As-salāmu Alaikum wa rahmatu Allāhi wa barakātuh*^[4] – powiedział półgłosem.

– *Wa Alaikum s-salām wa rahmatu Allāhi wa barakātuh*^[5] – odpowiedział kowal po chwili milczenia.

– *La maaa adraaka maa Lajlatul – Quadr?*^[6] – zapytał Maschadow.

– *Lajlatul – Quadri khajrum – min alfi szahr!*^[7] – odparł Baniuszyn bez chwili

namysłu. – Allah nie wysyła swych wojowników, by napadali przyjaciół nocą.

– Zdradziłeś, więc nie wiem, czy jeszcze jesteś przyjacielem – powiedział Maschadow, nie zmieniając położenia pistoletu i zakpił: – Może zrobisz mi kawę?

Baniuszyn drgnął, a Stiepan odbezpieczył pistolet.

– Jeden głupi ruch, a zginiesz – ostrzegł Maschadow.

– Jeśli mnie zabijesz, to nie dostaniesz informacji, którą zostawił dla ciebie kurier – odparował kowal.

Stiepan zamilkł zaskoczony reakcją kowala. Zastanawiał się, czy Baniuszyn nie blefuje, chcąc uratować swoje życie. Teraz to nie był ten sam człowiek, co po południu. W rozmowie z agentem FSB cichy i przestraszony, tylko raz zareagował gniewem, natomiast teraz od samego początku był opanowany i zadziorny.

– Nie zdradziłem – zapewnił stanowczo. – Nie miałem innego wyjścia. Podejrzewają mnie o współpracę. Zagrozili, że zgwałcą moją córkę. Czy miałem inne wyjście?! Trzy lata temu straciłem przez nich żonę. Długo cierpiała, zanim Allah zabrał ją do siebie! Możesz mnie zabić, ale nie pozwolę tknąć córki!

– Nie mam zamiaru nikogo zabijać – powiedział Maschadow. – Jeżeli będziesz wykonywał moje polecenia, to nic ci się nie stanie. Gdzie ta wiadomość?

– Pozwól wstać – poprosił kowal. – Jest schowana pod materacem. Muszę wstać, żeby ją wyciągnąć.

– Tylko pamiętaj! Jeden ruch...

– Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył – stwierdził kowal. – Możesz być pewien, że mówię prawdę i nie mam wobec ciebie złych zamiarów.

Maschadow, cały czas świecąc w oczy kowala, cofnął się, pozwalając mu wstać. Baniuszyn podniósł się powoli, klęknął obok łóżka i podniósł materac. Stiepan wstrzymał oddech, celując w głowę kowala. Ten powoli wyciągnął kopertę i nie wstając, podniósł ręce ponad głowę. Maschadow ostrożnie wziął przesyłkę.

– Podejdź do stołu – polecił. – Tylko powoli. I usiądź. Obie ręce na stół.

Gdy kowal wykonał polecenie, Stiepan usiadł naprzeciw niego.

– Otwórz kopertę – zakomenderował, rzucając ją w kierunku Baniuszyna. – Wyciągnij list i połóż go na stole.

Kowal posłusznie wykonał i to polecenie. Maschadow przebiegł wzrokiem po zapisanej kartce. To były instrukcje, na które czekał.

– Gdzie jest twoja córka? – zapytał Stiepan.

Baniuszyn zbył milczeniem to pytanie. Maschadow wstał, schował do kieszeni kombinezonu kartkę, następnie nachylając się błyskawicznie nad stołem, przyłożył pistolet do głowy kowala.

– Zadałem ci pytanie! Gdzie twoja córka?!

– U siostry – odpowiedział z ociąganiem. – W miasteczku.

– Kiedy wraca?

– Za trzy dni.

– W zasadzie to powinienem cię zastrzelić. – Stiepan ważył broń w dłoni. – Ale nie zrobię tego. Nigdy się już nie zobaczymy.

Jedno uderzenie kolbą pistoletu pozbawiło kowala przytomności. Bezwładnie osunął się na podłogę. Maschadow rozejrzał się po izbie. Wziął wiszące na stołku spodnie kowala, wyciągnął z nich pasek i sprawnie skrępował mu ręce na plecach. Następnie przeciągnął mężczyznę i z niemałym wysiłkiem ułożył na łóżku. Oświetlił latarką izbę. Podeszedł do szafy, otworzył drzwi i przeglądał wiszące ubrania. Skórzany ozdobny pasek wisiał na drzwiach szafy. Stiepan wziął go do ręki i wrócił do nieprzytomnego. Fachowo związał mu nogi i połączył oba paski tak, żeby po odzyskaniu przytomności Baniuszyn nie mógł się wyswobodzić. Następnie usiadł przy stole, wyciągnął z kieszeni list i uważnie go przeczytał. Instrukcja była krótka, więc bez problemu zapamiętał jej treść. Kartkę wrzucił do kominka i patrzył, jak rozbłyska płonieniem, a następnie gaśnie. Dokładnie wymieszał resztki z popiołem w palenisku i wyszedł z domu kowala.

Piętnaście minut później uruchomił skuter. Nie musiał się obawiać, że ewentualna pogoń dotrze za nim po śladach pozostawionych przez skuter. Padał coraz gęstszy śnieg, a Rosjanie, którzy spodziewają się go w Kołomoje dopiero za kilkanaście godzin, muszą najpierw znaleźć kowala. Wcześniej nie mają powodu do zorganizowania pościgu. Uśmiechając się pod wąsem, znikł w ostępach leśnych.

Tymczasem Baniuszyn odwrócił się na łóżku na lewy bok i również się uśmiechnął. Po chwili dało się słyszeć skrzypienie bramy i do uszu leżącego doszły odgłosy cichych kroków. Do izby wszedł ciemno ubrany mężczyzna. Zapalił małą latarkę i podeszedł do łóżka.

– No, Baniuszyn – szepnął, rozwiązując supły. – Moglibyśmy grać w filmie.

– Allach ześle mnie do piekła – odpowiedział kowal, masując nadgarstki.

– Kowal jesteś – zaśmiał się gość. – Piekło dla ciebie nie jest straszne. A na ziemi Drobkow i matka Rosja ci to wynagrodzi.

– Moja matka i tak już mnie przekleła – odparł Baniuszyn ze smutkiem. – Idź już. Swoje zrobiłem i na ciebie patrzeć nie muszę.

– Bywaj – odpowiedział tamten i zniknął w ciemnej sieni. Po chwili dał się

słyszeć odgłos zamykanych drzwi. Kowal wstał, podszedł do kredensu, wyciągnął butelkę samogonu i pociągnął spory łyk.

– Na pohybel mi, na pohybel Rosji – szepnął i przytknął ponownie do ust szyjkę butelki. Chwilę trwało, zanim opróżnił prawie ćwiartkę, po czym zwałił się na łóżko, a ciszę nocy przerwało głośne chrapanie.

Późnym popołudniem dotarł do jaskini. Zatrzymał skuter w odległości prawie kilometra od niewielkiej polany, z której było wejście do znajomej grotty. Dokładnie zbadał cały teren w poszukiwaniu śladów, ale padający śnieg, który przyszedł mu z pomocą w czasie ucieczki od kowala, teraz czynił te poszukiwania bezsensownymi. Po dwugodzinnej obserwacji zdecydował się na wejście do mrocznego korytarza. Zaopatrzony w zestaw sztyletów, pistolet i silną latarkę wkroczył niepewnie do środka. Już pobieżne oględziny wskazywały, że we wnętrzu nie było człowieka od bardzo dawna. Po dokładnym zbadaniu wszystkich zakamarków wrócił do skutera po swoich śladach i ukrył go, dokładnie zabezpieczając przed padającym śniegiem. Zabrał ze sobą zapasy żywności i mały gazowy palnik. Po spożyciu skromnego posiłku i przyrządzeniu sobie dużej ilości herbaty Stiepan położył się spać. Obliczył, że ma dwanaście godzin do przybycia ekipy fałszywych porywaczy.

Już trzeci dzień byli w drodze. Po przekroczeniu rzeki Kotuj przemierzali Anabarskoje Płoskogorje, kierując się ku rzece Anabar. Oczywiście Magda pojechała z nimi. Na nic zdały się prośby i groźby. Nie powstrzymały jej również informacje uzyskane od Saszy. Była tak stanowcza, że w końcu Madera ustąpił.

Teraz Janek niepokoił się, czy spotkają agentów Korytkina, gdyż zaskoczył go bezkres przestrzeni. Równie dobrze mogli się umówić w otchłani kosmicznej, chociaż tam chyba prawdopodobieństwo spotkania było większe. Piątego października opuścili miasto Jeszej i od tego czasu przemierzali prawie trzysta kilometrów, nie spotkawszy na swej drodze ani jednej osady, nie mówiąc już o jakimkolwiek człowieku. Rosjanie okazali się fantastycznymi przewodnikami i organizatorami. Pomimo dużych opadów śniegu i słabej widoczności bezbłędnie prowadzili wyprawę. Madera, sprawdzając kurs na kompasie, był zaskoczony ich profesjonalizmem i coraz częściej myślał o tym, czy po zakończeniu tej wyprawy nie zająć się właśnie organizowaniem takich turnusów dla ludzi szukających przygód. Tereny, które przemierzali, były piękne. Pokryte śniegiem lasy, niespodziewanie wyłaniające się polany, przełęcz, zamrożone strumienie i całkiem duże

rzeki. Co rusz spotykali też dzikie zwierzęta.

Gdyby nie czekające ich zadanie, wszyscy tryskaliby świetnym humorem. Chociaż i tak udzielił im się pogodny nastrój. Kontakt z tak wspaniałą przyrodą odstręczał czarne myśli. Zatrzymali się na krótką chwilę w celu zrobienia zdjęć i odpoczynku. Madera, który formalnie był szefem grupy, zarządził ten postój, gdyż według jego wyliczeń byli już prawie u celu swej podróży.

– Dobra, panowie – krzyknął do Rosjan. – Mamy bardzo dobry czas, możemy więc napić się czegoś ciepłego. Chyba wszyscy na to zasłużyliśmy.

– Nie wiem, czy jest sens – zauważył Igor. – Do zaplanowanego obozowiska mamy niespełna dziesięć kilometrów.

– Sądzę, że nie zaszkodzi nam mały odpoczynek – odparł spokojnie, aczkolwiek stanowczo – a poza tym chcę zwiedzić ten wąwóz. Może będzie tu możliwość urządzenia małej niespodzianki dla naszych klientów. Przecież płacą nam właśnie za niespodziewane przygody.

– Okej. Ty tu jesteś szefem – zgodził się Rosjanin i natychmiast zajął się gotowaniem wody.

– Oswald, pojedziesz ze mną? – zapytał Janek, uruchamiając silnik skutera.

– Jasne – odpowiedział i zajął miejsce za Maderą.

– Trochę się niepokoję – powiedział Madera chwilę później, gdy zatrzymał skuter w miejscu niewidocznym dla pozostałych członków wyprawy. – Jesteśmy, jak to zauważył Igor, niespełna dziesięć kilometrów od naszego noclegu, czyli od spotkania z porywaczami. Co prawda udało nam się opóźnić wyprawę o dwa dni, jak polecił Sasza, ale nie mogę się pozbyć poczucia niepokoju. Może powinniśmy się umówić na jakiś kontakt?

– Ciekaw jestem jaki? Przecież tu nawet gołębie pocztowe nie latają, nie mówiąc już o telefonach komórkowych^[8] – stwierdził Holender i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Musimy postępować zgodnie z planem. Jeżeli coś nie wypali, to zawsze będziemy mieli czas na modyfikację. Chociaż, jeśli cię znam, to pewnie masz już gotowy plan awaryjny. Nie mylę się, prawda?

– Nie mylisz się. – Madera zapalił papierosa i popatrzył na otaczające ich gęste lasy. – Ciekaw jestem, czy oni tam są, a jeżeli tak, to czy nas już zauważyli.

– Jestem przekonany, że wszystko potoczy się zgodnie z planem. – Oswald wiedział, że nie ma sensu wypytywać Polaka o jego plan. Skoro nie powiedział od razu, to żadna siła nie zmusi go do jego wyjawienia. – Wracajmy. I tak musimy stawić czoło nieznanemu.

– Masz rację. – Mały Jaś potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić czarne

myśli. W planach to porwanie miało być piękną sceną filmową. Teraz jednak, po rewelacjach Korytkina, mogło dojść do nieprzewidzianych wypadków. Tylko jakich? Tego Madera nie był w stanie wymyślić, chociaż usiłował to zrobić od paru dni. Musiało istnieć większe niebezpieczeństwo niż to wynikało ze słów Saszy, skoro sprowadził do tej akcji bratanka generała, każąc mu przemierzyć kilkaset kilometrów tylko po to, żeby wziąć udział w sfingowanym porwaniu. – Miej jednak oczy otwarte na wszystkie strony.

– Ty też.

Po dziewiczym śniegu wjechali na rozległą polanę, rozglądając się za swoimi towarzyszami. Skutery zatrzymały się prawie na środku. Powoli schodzili z niezbyt wygodnych fotelików. Madera przeciągnął się, chcąc w ten sposób rozprostować napięte podczas jazdy mięśnie. W tym momencie padły pierwsze strzały. Krótka seria z karabinu maszynowego odbiła się głośnym echem. Odruchowo padł na ziemię, pociągając za sobą Magdę. Prawie wgniół ją w puszysty śnieg. Cholera, tego nie było w planie, pomyślał, gdy padające pociski ponownie wznieciły wokół nich fontanny śniegu. Po jasną cholere te gnojki strzelają? Jeszcze zrobią sobie albo, nie daj Boże, nam krzywdę! Po chwili, nie przerywając ognia, z przeciwległych stron polany wyłoniło się trzech mężczyzn. Madera obejrzał się na swoich kolegów. Przepisowo leżeli w śniegu, ukryci za skuterami. Zauważył również, że zaskoczeni Rosjanie stali nieruchomo, patrząc wytrzeszczonymi oczami na zbliżających się napastników. Ci, zbliżywszy się na odległość kilkunastu metrów, przestali wreszcie strzelać.

– Wstawać i ręce do góry! – polecił najwyższy z napastników łamaną angielszczyzną, a gdy wykonali polecenie, lufą karabinu wskazał na Rosjan. – Wy Rosjanie? Stańcie z boku!

– Jesteśmy żołnierzami Czecheńskiej Armii generała Maschadowa – oznajmił najstarszy z mężczyzn, może trzydziestopięcioletni, jak ocenił go Madera. – Wobec bandyckich metod stosowanych przez Rosjan w naszym kraju, zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć tym samym. Od tej pory jesteście naszymi więźniami, strzelamy przy każdej próbie ucieczki albo niewykonaniu naszego polecenia. Zrozumiano?! – ryknął.

– Co z nami zrobicie? – zapytał Madera.

– Dowiesz się w swoim czasie – odpowiedział najstarszy, w którym Madera wyczuwał przywódcę grupy. – Związać ich!

Milczący dotąd mężczyzna zarzucił karabin na plecy i wyjął sznur z plecaka. Asekurowany przez pozostałych, którzy ani na moment nie opuszczali karabinów, związał po kolei wszystkich bez wyjątku. Magdalena, która miała więzy zakładane przed Maderą, syknęła z bólu. Janek chciał zrobić krok w jej

stronę, lecz szcęk odbezpieczanego karabinu powstrzymał go.

– Czy nie za bardzo się staracie? – zapytał szeptem, gdy napastnik mocno zacisnął sznur na jego rękach.

Mężczyzna udał, że nie słyszy, i więzów nie poluzował. Następnie napastnicy kazali im stanąć na środku polany, plecami do siebie. Dowódca, jak go w myślach nazywał Madera, po kolei przeszukał ich bagaże. W milczeniu obserwowali tę rewizję.

– W porządku. Gdzie macie broń? – zapytał, gdy skończył.

– Nie mamy żadnej broni – odpowiedział Madera, starając się zachować spokój. Drażniło go zachowanie napastników. Powinni się starać, żeby całe zdarzenie w oczach Rosjan wyglądało na prawdziwe. Od tego zależało bardzo wiele. Gdy będą przesłuchiwani przez milicję, powinni być przekonani, że uczestniczyli w prawdziwym porwaniu. Niemniej trochę przesadzili. Cała akcja wyglądała sztucznie. Gdzieś w głębi duszy zapaliła się lampka ostrzegawcza. Skąd, u diabła, wiedzieli, którzy to są Rosjanie? Pytanie przemknęło mu przez myśl. Głośno dodał: – Jesteśmy turystami i nie wybieramy się na polowanie, stąd nie zabraliśmy żadnej broni.

– W porządku – odpowiedział porywacz, po czym rozkazał Rosjanom wejść do przyczepy, w której wcześniej wiezione były bagaże i paliwo.

Przewiezienie całej szóstki do położonej kilkaset metrów wyżej jaskini zajęło porywaczom niecałą godzinę. Gdy ostatni skuter został zaparkowany u wejścia do grotty, zapadła noc. Temperatura na dworze zapewne spadła już poniżej trzydziestu stopni mrozu, lecz w jaskini nie odczuwało się tego. Płonące prawie na środku ognisko dawało przyjemne ciepło. Panowała tu cisza przerywana tylko trzaskaniem palącego się drewna. Madera z ciekawością rozglądał się po jaskini. Przypominała formę do odlewu tradycyjnego polskiego kościoła. Zaraz za wejściem rozszerzała się, tworząc potężną komnatę, mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści metrów, z lewej strony wejścia były trzy półki skalne przypominające widownię w amfiteatrze. Część jaskini, znajdująca się naprzeciwko wejścia, ginęła w mroku, jednak można było zauważyć wyraźne zwężenie. Madera zastanowił się, jak to się dzieje, że pomimo płonącego ogniska wewnątrz prawie nie wyczuwało się dymu. Spojrzał w górę i wtedy zauważył wysoki komin niczym dzwonnica w kościele, niknący w mroku. Tędy dym znajdował ujście. Gdyby nie to, że sytuacja była niejasna, Madera z przyjemnością wszedłby do takiej pieczary. Jeden z porywaczy przygotowywał posiłek, drugi na zewnątrz okrywał skutery płachtami materiału, zabezpieczając je na wypadek śnieżycy. Ten, którego Madera określił mianem dowódcy, siedział w rogu jaskini, paląc papierosa.

– Czy mógłby mnie pan poczęstować papierosem? – poprosił Madera, siadając obok mężczyzny.

Dowódca spojrział na niego i w milczeniu podniósł się z głazu, na którym siedział. Wyciągnął paczkę papierosów i skierował ją w stronę Madery.

– Ręce – powiedział Polak, wzruszając znacząco ramionami.

Mężczyzna bez słowa przeciął nożem krępujący go sznur.

– Czy możemy wyjść na zewnątrz? – poprosił Madera, biorąc papierosa i dodał tonem bardziej zdecydowanym: – Po prostu muszę!

– Chodź – odparł mężczyzna, wstając i biorąc do ręki karabin.

– A tak w ogóle, to która jest godzina?

Bez słowa podciągnął rękaw kurtki, odsłaniając tarczę zegarka. To nie był jednak taki zegarek, jaki Madera otrzymał od Saszy.

– Czy nie przesadzacie trochę? – zapytał Polak, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Wykonujemy tylko polecenia komendanta – odparł porywacz. – Ma wyglądać jak prawdziwe porwanie.

– Zaraz, zaraz – zreflektował się Madera. – Jakiego komendanta masz na myśli?

– A jak sądzisz? – odpowiedział pytaniem i nie czekając na odpowiedź, szybko wyjaśnił: – Oczywiście komendanta Maschadowa.

– Nie wiedziałem... – Madera się zastanowił. Nikt nigdy nie nazywał Maschadowa komendantem. Jakiego komendanta miał więc na myśli nieznajomy? Zachował jednak te rozważania dla siebie i szybko zmienił temat: – No, to w porządku. Czy, do jasnej cholery, musimy być skrupowani? Przecież wiadomo, że nie uciekniemy.

– A jak to sobie wyobrażasz? – oburzył się Rosjanin. – Dwóch będzie związanych, a reszta porwanych swobodnie będzie sobie chodziła? Przecież nawet dziecko pozna, że to fikcja.

– Może masz rację – zgodził się Madera, lecz w jego mózgu ponownie zapaliła się ostrzegawcza lampka. – Byłoby dobrze, gdybyśmy jutro jak najszybciej wyruszyli. Oczywiście po wcześniejszym wywiezieniu Rosjan.

– Nastąpiła mała zmiana planu – stanowczo stwierdził mężczyzna. – Jedziemy razem.

– Jak to razem?! – zdenerwował się Madera. – Jak sobie wyobrażasz przeprowadzenie naszej akcji w obecności Rosjan?

– Kto mówi, że oni będą cały czas z nami? Doszliśmy do wniosku, że są trochę za blisko wioski. Musimy wywieźć ich głębiej w góry.

– Kto podjął taką decyzję? – Madera wiedział, że aby niezauważeni przez nikogo mogli jak najszybciej dotrzeć do obozu, powinni tutaj ostro skrócić na północ i jechać skrajem lasów. Podróż w głąb gór, a więc na południe,

oddalała ich od celu podróży, a jednocześnie przybliżała do innego obozu. Nie mówiąc o tym, że zabieranie ze sobą Rosjan po pierwsze znacznie opóźniałoby podróż, a po drugie stwarzałoby dodatkowe niebezpieczeństwo dekonspiracji. A tego Madera chciał uniknąć.

– Nic na to nie poradzę. Takie instrukcje dostałem od komen... generała – poprawił się szybko. – Wracajmy, nie ma potrzeby wzbudzać podejrzeń u naszych więźniów.

Pchnął lekko Maderę karabinem w plecy i zmusił do wejścia do jaskini.

– Chwileczkę! – Madera odwrócił się szybko, zmuszając porywacza do zatrzymania się. – Przecież i tak będziecie trzymać straż, więc możecie nas spokojnie rozwiązać. Tylko idiota próbowałby w nocy uciezki, a zapewniam cię, że Rosjanie nie są idiotami. Poza tym możecie unieruchomić skutery.

– Hm... – Zaskoczony propozycją Madery mężczyzna przez chwilę ją rozważał. Podrapał się po czole i w końcu odpowiedział bez przekonania: – Dobrze, ale...

Madera wyczuł na sobie pytający wzrok przyjaciół. W milczeniu skinął więc głową na znak, że wszystko jest w porządku, choć nie był o tym do końca przekonany. Miał nadzieję, że myli się w swych podejrzaniach.

W trakcie posiłku zauważył, że również drugi z porywaczy ma na ręce zegarek, jednak również inny niż ten, który podarował mu Sasza. Pozostał trzeci. Madera postanowił wykorzystać okazję, kiedy po kolacji dowódca wyszedł na chwilę z jaskini. Podeszedł do trzeciego mężczyzny.

– Czy możesz mi powiedzieć, która jest godzina?

– Pięć po ósmej – odpowiedział zapytany, podświetlając elektroniczną tarczę zegarka.

– Dziękuję. – Madera nawet się nie zdziwił.

Co tu się, do cholery, dzieje?, zastanawiał się, chodząc nerwowo po jaskini. Sasza obawiał się komplikacji i dlatego specjalnie ściągnął bratanka generała, co jego zdaniem czyniło akcję w stu procentach bezpieczną. Tymczasem żaden z mężczyzn nie był synem brata generała. Czyżby nie zdążył dojechać? Nie, to niemożliwe. W takim razie na miejscu spotkania nie byłoby nikogo. A może Rosjanie dowiedzieli się o ich akcji i zlikwidowali czeczeńskich kurierów, podstawiając w ich miejsce agentów FSB? Madera chciał w ciszy i samotności przeanalizować sytuację, wybrał więc kąt jaskini leżący naprzeciwko wejścia i prawie całkowicie pogrążony w ciemności.

– Kocham cię – powiedział cicho, przytulając Magdę siedzącą przy ognisku. – Muszę przez chwilę pobyć sam.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się. – Zauważyłam, że ci rzekomi porywacze są za bardzo autentyczni – szepnęła, udając miłosne wyznanie.

– Nie denerwuj się – uspokoił ją. – Po prostu jutro czeka nas ciężki dzień i chcę to wszystko jeszcze raz przemyśleć, a do tego potrzeba mi spokoju. Tu nie mogę się skupić.

– Wychodzisz z jaskini?

– Nie. Będę tam. – Wskazał głową skalną półkę.

– Wracaj szybko – odparła i pocałowała go w policzek. – Jesteś mi potrzebny blisko.

Oddał jej pocałunek i skinął głową Oswaldowi oraz Gunterowi, odpowiadając na ich pytający wzrok. Przeszedł w kąt jaskini i wspiął się na ogromny głaz oparty o pionową ścianę. Zapalił papierosa. Zaciągnął się i jak to zwykle robił, gdy był zajęty rozmyślaniami, wypuścił kółko dymu. Najpierw jedno, a zaraz potem drugie. Jakież było jego zdziwienie, gdy zauważył, że dym zamiast spokojnie rozejść się w powietrzu jednolitą smugą, zniknął w skale po jego lewej stronie. Kąt, w którym się znajdował, był ciemny, jednak siedząc twarzą do ogniska, widział wyraźnie szarą smugę dymu. Spróbował jeszcze raz. I tym razem dym błyskawicznie zniknął w poprzednim miejscu. Madera rozejrzał się uważnie po jaskini i uspokojony tym, że wszyscy skupili się przy ognisku i nikt nie zwracał na niego uwagi, powoli nachylił się w kierunku, gdzie – jak sądził – znajdowała się szczelina w skale, przez którą zniknął dym. Powoli przesunął palcami po chropowatej, chłodnej powierzchni, nie zauważając, że niebezpiecznie przechyliła się na bok. W pewnej chwili stracił równowagę i spadł z kamienia, z trudem lądując na twardym dnie jaskini. Zaniepokojony spojrzał w stronę ogniska. Nic się nie zmieniło. Był na tyle daleko od towarzyszy, że nikt nie zauważył jego upadku. Usiadł, opierając się o ścianę i mocno masując stłuczony łokieć. Na prawym policzku poczuł wyraźnie podmuch chłodniejszego powietrza. Klęknął i opierając się lewą ręką o głaz, prawą próbował znaleźć źródło powietrza. Odkrył, że między głazem a skalną ścianą jaskini była szeroka szczelina. Madera naparł z całej siły na głaz. Efekt był natychmiastowy. Wielki głaz prawie bezszelestnie przesunął się, odsłaniając wejście do ciemnego korytarza. Janek na czworakach wszedł w odsłonięte przejście, czując na dłoniach chłód kamienia, lecz po paru krokach zatrzymał się i powoli zaczął wycofywać się do jaskini. W wąskim korytarzu panowała idealna ciemność, nie wiedział, czy gdzieś nie rozgałęzia się na dwie lub nawet trzy odnogi. Łatwo było zabłądzić, a poza tym na razie nic nie zmuszało go do penetracji korytarza w jakiejś rosyjskiej grocie. Cofając się w dalszym ciągu na czworakach, w pewnym momencie poczuł ostry ból w prawym kolanie. Musiał oprzeć je na czymś wystającym. Odruchowo przesunął nogę, a dłońmi próbował zlokalizować źródło bólu. Trafił na

kawałek metalu. Zegarek z metalową bransoletą. Podniósł go i schował do kieszeni. Ostrożnie wy dostał się z korytarza. Popatrzył w głąb jaskini. Dowódca porywaczy wracał, zacierając zmarznięte dłonie. Madera oddalił się od głazu, nie mając czasu wepchnąć go na poprzednie miejsce. Znajdując się poza kręgiem światła rzucanego przez ogień, zbliżył się do wejścia. Dopiero teraz wyszedł z ciemności. Zegarek parzył go w kieszeni, jednak z jego oglądaniem musiał się wstrzymać do bardziej sposobnej chwili. Porywacze rozdali śpiwory i polecieli wszystkim się położyć. Przewodnicy rosyjscy pośpiesznie wsunęli się do śpiworów, zakrywając twarze. Madera zwlekał z wyborem miejsca, czym zaniepokoił Magdę. Chcąc być jak najbliżej niej, chciał jednocześnie mieć koło siebie Oswalda. Być może będzie okazja do przekazania mu wątpliwości i podzielenia się znaleziskiem. Bardzo tego potrzebował. Układając śpiwór, kątem oka zauważył, że porywacze siedzą przy ognisku zajęci rozmową. Zapewne ustalają plan wart, pomyślał. Wyciągając zegarek z kieszeni, tak obrócił się w stronę światła, że zasłonił go przed ewentualnym spojrzeniem strażników. Jeden rzut oka wystarczył, by go rozpoznał. Zanim ponownie zacisnął dłoń, zdążył zauważyć, że szkiełko pokryte było rdzawymi plamami. Zaskoczony odkryciem wsunął się do śpiwora. Pocałował leżącą obok niego dziewczynę.

– W porządku? – zapytał szeptem.

– Chyba tak – odparła drżącym głosem. – Trochę się niepokoję, ale gdy jesteś przy mnie, to jestem spokojniejsza.

– Czy umiesz udawać chrapanie?

– Chrapanie? – powtórzyła zaskoczona.

– Tak, chrapanie – potwierdził cicho. – Chcę porozmawiać z Oswaldem, a wolałbym, żeby ci faceci tego nie zauważyli.

– Mam nadzieję, że tak.

– Odwróć się teraz na drugi bok – polecił – i zapytaj o to samo Guntera. Musicie udawać pogrążonych we śnie, którzy ze zmęczenia chrapią. Jednak nie spuszczaście w tym czasie oka ze strażników. Gdyby któryś zainteresował się nami i próbował zbliżyć, odwróć się w moją stronę i przerwij chrapanie. Okej?

– Okej. O czym chcesz rozmawiać z Oswaldem? – Wyraźnie wyczuła napięcie w głosie Madery.

– O niczym szczególnym. – Starał się, by głosem nie zdradzić swoich podejrzeń. – Po prostu chcę ustalić plan na jutro.

– Nie wierzę ci – odparła. – Ale nie będę cię na razie o nic wypytywała. Mam nadzieję, że jak skończycie, to przytulisz się do mnie, bo trochę mi zimno. Dobranoc.

– Oczywiście – odpowiedział, całując ją, a potem szepnął jej do ucha: – Kocham cię i cały czas jestem przy tobie.

– Ja ciebie też – odparła leniwie i odwróciła się w stronę Guntera.

– Musimy pogadać – szepnął Polak do ucha Oswalda. – Staraj się nie zasnąć.

– Dobra – odpowiedział Holender, układając ręce pod głowę.

Madera ułożył się w podobny sposób. Wcześniej zerknął na zegarek. Postanowił po dziesięciu minutach dać znać Magdzie. Tyle chyba powinno wystarczyć, aby po całodziennej podróży i niespodziewanych wrażeniach pogrążyć się w głębokim śnie. Tak głębokim, że aż zmęczony organizm chrapaniem będzie dawał znać o odpoczynku. Zanim porozmawia z Oswaldem, musi sobie to sam uporządkować. Wszystko wskazuje na to, że plan Saszy nie wypalił. Doszło do przecieku informacji. Gdzie? Teraz nie było sensu się nad tym zastanawiać. Na to przyjdzie czas później. Trzeba jednak dożyć do owego później. Na tę chwilę wszystko wskazywało, że znajdują się w rękach agentów FSB. Zakrwawiony zegarek najlepiej o tym świadczył. To by wyjaśniało nazbyt gorliwą postawę rzekomych porywaczy i strzały oddane z karabinu. Jednak z drugiej strony skoro wywiad rosyjski wiedział o ich akcji, to dlaczego nie zatrzymali ich w Moskwie albo w Jessieju? Po co ta cała szopka? Chyba że, jak mówił Sasza, agenci nie znali celu wyprawy, nie wiedzieli kogo albo co mają transportować i być może spodziewali się znaleźć przesyłkę w ich bagażach. Stąd ta dokładna rewizja. Niczego nie znaleźli, więc sądzą, że ich grupa jedzie po tajną przesyłkę. Udając agentów generała, chcą, aby doprowadzić ich na miejsce. Wtedy będą mogli przejąć towar. To, że do akcji zostali wciągnięci obcokrajowcy, Rosjanom dawało zapewne wiele do myślenia. Być może podejrzewali, że to coś ekstra, coś, co po przechwyceniu będą mogli wykorzystać przeciwko Czeczenom. Ciekawe, czy do akcji zostało zaangażowanych tylko tych trzech, czy też gdzieś w pobliżu czekają inni, gotowi w razie potrzeby wkroczyć. Poczuł, że zbiera go senność. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby teraz zasnął. Zerknął na zegarek. Minęło już prawie piętnaście minut. Delikatnie położył rękę na policzku Magdy, która obróciwszy głowę, delikatnie musnęła wargami jego palce. Po chwili dało się słyszeć delikatne chrapanie, po następnej dołączyło drugie, niższe i bardziej donośne. Madera uśmiechnął się. Możemy występować w cyrku albo w telewizyjnych operach mydlanych, pomyślał. Odwrócił się na bok i nie odwracając wzroku od ogniska, przy którym widać było masywną sylwetkę jednego ze strażników, szeptem przekazał wszystko Oswaldowi. Przyjaciel się z nim zgodził. Również doszedł do wniosku, że rosyjscy agenci zabili kurierów generała. Wspólnie wywnioskowali, że ich zwłoki ukryli

w ciemnym korytarzu. Dopuszczali możliwość, że jeden z kurierów był agentem Moskwy i pomógł zlikwidować pozostałych, w tym bratanka generała. Tak czy inaczej wpadli w niezłe gówna.

– Mnie się to również nie podobało – powiedział szeptem Holender – ale nie miałem tak przekonujących dowodów. Chociaż nie wiem, czy zauważyłeś, że gdy dowódca zwraca się do nich z poleceniem, to tamci przyjmują postawę na baczność. Ten niższy raz nawet zsalutował. Szkoda, że nie widziałeś miny dowódcy. O mało go nie zabił wzrokiem, a ten nieszczęśnik tak szybko zrobił w tył zwrot, że prawie się przewrócił. Tak zachowywać się może tylko zawodowy żołnierz. Masz jakiś plan?

– Sądzę, że trzeba się najpierw dobrze wyspać. W nocy nic nam nie grozi. Musimy udawać, że wszystko jest okej. Zaatakujemy w drodze. To nasza jedyna szansa. Nawet jeśli w pobliżu są większe siły, to nie mogą się poruszać równoległe z nami. Są albo z tyłu, albo z przodu. Co prawda jest nas trzech na trzech. Naszych Rosjan nie liczę. Oni pewnie zbaranieją ze strachu, ale będziemy mieli przewagę przez zaskoczenie. Mam tylko nadzieję, że nas nie zwiążą. Postaram się jechać na pierwszym skuterze. Gdy spadnę, to będzie znak do ataku.

– Spoko! – odpowiedział Holender. – Damy radę. A jakby tak zaatakować przy wsiadaniu na skutery? Będzie trochę zamieszania. Jakbyś nie liczył, muszą upilnować pięć osób. Chyba że nasi przewodnicy grają w ich drużynie.

– Nie sądzę. – Madera popatrzył na śpiących kilka metrów dalej Rosjan. – Chociaż i tej możliwości nie możemy wykluczyć, ale atak przy wyjeździe mi się nie podoba. Nie wiemy, czy w pobliżu nie ma więcej fałszywych porywaczy. Tu mają nas jak na widelcu. W trasie, jak sądzę, mamy większe szanse. Cholera, że też nie udało nam się zostawić Magdy w Moskwie. Boję się o nią – przeniósł wzrok na dziewczynę. Gdyby przewidział taki rozwój sytuacji, nigdy by się nie zgodził na jej udział w wyprawie. A to dopiero początek. Nie panikował, po prostu zbyt krótko znał Magdę i nie był pewien jej reakcji na krwawe wydarzenia, których musiała być teraz świadkiem.

– Możesz się bać, ale to nie jest kobieta, która pozwoli zrobić sobie krzywdę – uspokajał go Oswald. – Może się okazać, że będzie nam potrzebna jej pomoc. A co z Gunterem?

– Powiemy mu rano – odpowiedział Madera. – Ja zajmę porywaczy, a ty przekaż mu to, co ustaliliśmy. Okej?

– Jasne. Śpijmy już. Jutro będzie ciężki dzień i musimy być wypoczęci.

– Masz rację. Czekaj, jeszcze jedno. – Madera zniżył głos. – Na razie Magdzie ani słowa, dobrze?

– Spoko – odpowiedział Holender i odwrócił się na drugi bok.

Polak delikatnie pocałował Magdę w policzek. W słabym świetle padającym od ogniska zobaczył jej pytający wzrok. Przytulił ją. Położyła głowę na jego ramieniu.

– Mamy kłopoty? – zapytała szeptem, a gdy zamiast odpowiedzi znów ją pocałował, przytuliła się do niego mocniej, obejmując go ręką za szyję. Zażądała: – Powiedz mi całą prawdę. Zdecydowałam się z wami jechać na dobre i złe, więc proszę cię, nie ukrywaj niczego przede mną.

– Możemy mieć kłopoty – szepnęła.

– To są agenci Federalnej Służby Bezpieczeństwa – stwierdziła.

– Tak. Ale przede wszystkim musimy się wyspać.

Magda przyłgnęła mocno do Janka, a on wsłuchiwał się w jej spokojny oddech. Głowa dziewczyny spoczywająca na jego prawym ramieniu stawała się coraz cięższa i cięższa. Po chwili i on zapadł w sen.

Może noce spędzone w buszu, gdzie każdy szmer inny od naturalnego śpiewu przyrody oznaczał niebezpieczeństwo utraty życia, może nadprzyrodzony szósty zmysł, o jaki podejrzewali go wszyscy, którym dane było razem z nim walczyć, a może po prostu czujniejszy sen spowodował, że Madera obudził się po niespełna godzinie. Uchylił powieki na tyle, by ewentualny obserwator nie mógł tego zauważyć. Nie poruszywszy się ani o milimetr, powoli zlustrował całą jaskinię. Pozornie wszystko było tak, jak przed zaśnięciem. Wartownik siedział przy ognisku twarzą do wejścia i palił papierosa. Na kolanach miał karabin. Dwóch pozostałych porywaczy okrytych szarymi pledami spało nieopodal. Po jego lewej ręce Oswald ciężko sapał. Magdalena spała, oddychając równomiernie. Gunter, prawie niewidoczny, lekko pogwizdywał, wypuszczając powietrze. Niemniej coś obudziło czujność Madery. Jeszcze raz, tym razem otwartymi oczami, uważnie, metr po metrze, oglądał wnętrze jaskini. W mroku po przeciwnej stronie coś drgnęło. Początkowo najemnik myślał, że to cień rzucany przez płomień ogniska. Dopiero po chwili bardzo intensywnego wpatrywania się zauważył go.

Czołgał się tą samą drogą, którą on wracał po odkryciu korytarza. Spokojnie jak na ćwiczeniach pokonywał metr po metrze. Nawet gdyby wartownik gwałtownie się odwrócił, to i tak nie miał żadnych szans, żeby go zobaczyć. Po prostu oczy nie były w stanie tak szybko przestawić się z blasku rzucanego przez płonący ogień do patrzenia w prawie zupełną ciemność. Zatrzymał się w odległości niespełna pięciu metrów od wartownika. W tym momencie Madera poczuł, że Oswald się obudził. Delikatnie chwycił go za rękę, dając znak, by nie wykonywał żadnego ruchu. Kątem oka zobaczył, że Holender również obserwuje zachowanie nieznanego. Ten zaś zatrzymał

się i powoli rozejrzał po jaskini. Chyba nie zauważył nic podejrzanego, bo wstał. Lekko się zachwiał. Z trudem odzyskał równowagę, opierając się o ścianę. Jeszcze raz ogarnął wzrokiem jaskinię. Od tego momentu wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przybysz ledwo zauważalnym ruchem wyciągnął sztylet. Madera dostrzegł przytłumiony błysk ostrza. Mężczyzna podniósł prawą rękę, biorąc nią potężny zamach. Lewą nadal opierał się o ścianę. Zastygł na ułamek sekundy niczym kamienny posąg. Madera poczuł się jak widz w teatrze, który w oczekiwaniu na finał aż wstrzymał oddech z przejęcia. Lecz ten bezruch skończył się szybkim cięciem powietrza, po którym strażnik wydał ciche westchnienie i jak na zwolnionym filmie majestatycznie osunął się na ziemię. Madera po raz drugi ścisnął rękę Oswalda, nakazując mu spokój. Niezależnie od tego, kim był tajemniczy nieznajomy, zabijając strażnika, świadomie lub nie, poprawił ich sytuację. Teraz ponownie znieruchomiał przyczajony w cieniu. Madera nie mógł zobaczyć jego twarzy, choć dzieliła ich niewielka odległość. Widział, że tamten powoli rozgląda się po jaskini, oczekując reakcji na zabicie strażnika. Polak był przekonany o tym, że porywacz zginął, choć pozornie jego upadek mógł wyglądać jak zaśnięcie.

Po raz drugi chwilowy bezruch zakończył się niespodziewanie. Madera oczekiwał, iż zabójca po upewnieniu się, że jego czyn nie wywołał żadnej reakcji, ruszy w kierunku zabitego, by usunąć go z pola widzenia. Tymczasem mężczyzna osunął się na ziemię. Jak na komendę obaj najemnicy poderwali się ze swoich śpiworów. Oswald ruszył w kierunku zabitego strażnika, natomiast Madera w paru susach dotarł do nieznajomego napastnika. Już pierwszy rzut oka na leżącego odślonił tajemnicę jego niespodziewanego upadku. Twarz mężczyzny okolona gęstą czarną brodą pokryta była ciemną lepka mazią. Zastygła krew. Dlatego Mały Jaś nie mógł zobaczyć jego twarzy. Chwycił nieznajomego pod pachy, żeby odciągnąć go w bezpieczne miejsce i w tym momencie zauważył, że prawa nogawka jego spodni jest przyklejona do ciała. Bliższe oględziny nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Nieznajomy miał przestrzeloną łydkę. Dokładnego miejsca nie można było ustalić, gdyż spodnie były zakrwawione. Obejrzał się. Oswald właśnie zniknął w wejściu do jaskini, ciągnąc za sobą martwego strażnika. Madera ułożył nieprzytomnego nieznajomego i popatrzył na pozostałych agentów. Owinięci kocami i śpiworami, z rękami na karabinach, pogrążeni byli we śnie. Chwycił bezwładną rękę mężczyzny i wyczuł przerywany puls. Życie widocznie nie chciało opuścić zmasakrowanego ciała. W wejściu do jaskini pojawił się Oswald, trzymając odbezpieczony karabin zabitego strażnika. Madera skinął na niego.

- Przynieś trochę wody – poleciał szeptem, gdy Holender podszedł bliżej.
- Żyje? – wskazał głową na leżącego.
- Tak. Pospiesz się!

Wziął metalowy czajnik, w którym strażnik gotował wodę, i dolał zimnej z metalowego kanistra. Nigdy nie dowiedzieli się, jak to się stało, że metalowy, prawie pusty kanister z hukiem spadł na kamienne podłogę. W pograżonej we śnie jaskini zabrzmiało to jak wystrzał armatni. Madera, padając na podłogę, zauważył zrywających się strażników. Sekundę później jaskinią wstrząsnęły wystrzały. Rosjanie przykuli ich do ziemi. Madera próbował zmienić pozycję tak, by mógł zobaczyć, co z Oswaldem, ale odłamki skał padające na jego twarz unieruchomiły go ponownie.

- Koniec zabawy! – usłyszał krzyk Rosjanina. – Wstawać powoli z rękami wysoko w górze! Jeden fałszywy ruch i was nie ma!

Madera odwrócił głowę w kierunku nieznanego. Mężczyzna leżał pod ścianą jaskini, nie dając oznak życia. Polak powoli uniósł głowę i rozejrzał się. Rosjanie z karabinami gotowymi do strzału powoli zbliżali się do ogniska. Magdalena, Gunter i przewodnicy siedzieli owinięci śpiworami. Madera popatrzył w stronę Niemca i przecząco pokręcił głową. Dawał mu tym samym znak, by nie podejmował żadnej akcji. Miał nadzieję, że Gunter zaopiekuje się Magdą. Było zbyt ciemno, żeby mógł zobaczyć reakcję Niemca. Tymczasem starszy z agentów zatrzymał się, stojąc tyłem do ogniska. Młodszy natomiast, popychając lufą karabinu Oswalda, kierował się w stronę Madery. Płomienie oświetlały mu twarz. Janek popatrzył w oczy Rosjanina. Wściekłość. Gdzieś w głębi błyskających złością oczu dostrzegł czający się strach. Masz uczucia, pomyślał Janek. Agent nie wytrzymał jego spojrzenia i uciekł wzrokiem. Dzielili ich odległość może pięciu metrów, gdy cofający się Holender potknął się o wystającą z podłoga skałę. Stracił równowagę i padł jak długi na ziemię. W tym samym momencie Madera wyczuł delikatny ruch powietrza, jak przelot nietoperza, i młodszy ze strażników bezgłośnie osunął się na ziemię.

- *Hands up!* – padł rozkaz. – *Drop the gun!*

Madera uratował życie tylko dlatego, że nie czekając na drugą część komendy, wykonał przepisowe „padnij”. Starszy z Rosjan, nie zważając na rozkaz, otworzył ogień. Ponownie jaskinią wstrząsnęły wybuchy, a odłamki skał i rykoszety posypały się na głowy leżących. Może i strzelający Rosjanin osiągnąłby cel, gdyby celował niżej, tuż przy samej ziemi. Nieznajomy, gdyż to on był autorem rozkazu, nie zmienił pozycji. Leżał niewidoczny pod ścianą jaskini. Rosjanin wystrzelał cały magazynek i bezradnie rozejrzał się wkoło.

Dostrzegł oparty o skałę karabin, który Oswald zabrał pierwszemu zabitemu agentowi. Również i Holender dostrzegł w tym karabinie swoją szansę. Ruszyli równocześnie, obu dzieliła prawie taka sama odległość, jednak pierwszy do broni dotarł Rosjanin. Poderwał ją, lecz nim zdążył wycelować, najemnik niczym bramkarz wykonał salto w powietrzu, zwalając z nóg przeciwnika. Karabin stuknął o skałę, a szepieni mężczyźni przeturlali się na krawędź ogniska. Początkowa przewaga Oswalda znikła. Rosjanin był świetnie przygotowany do walki zapaśniczej. Szybko wyswobodził się z klamry założonej przez Holendra, którego jednym mocnym rzutem przerzucił nad sobą. Oswald boleśnie odczuł zderzenie ze skalistym podłożem. Przez ułamek sekundy leżał oszołomiony i to wystarczyło, by dopaść przeciwnika. Strażnik wskoczył na jego pierś, nogami ścisnął jego ciało, blokując jednocześnie ręce. Uniósł prawą rękę, zaciskając dłoń w pięść, by zadać decydujący cios.

Gdy Rosjanin przestał strzelać, Madera uniósł głowę i skierował wzrok na Magdę. Siedziała z zaciśniętymi pięściami wpatrzona w rozgrywające się sceny. Wyglądało na to, że nie trafił jej żaden odłamek ani kula. Natomiast miejsce obok niej było puste. Gunter zniknął. Madera rozejrzał się po jaskini, lecz światło padające od ogniska było zbyt nikłe jak na tak dużą i wysoką jaskinię. Nigdzie nie dostrzegł Niemca. Spojrzał na walczących w momencie, gdy Rosjanin przygotowywał się do zadania decydującego ciosu Oswaldowi. Poderwał się, lecz nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, nieludzki wrzask rozdarł ciszę jaskini. Jednocześnie z mroku wyskoczył Gunter. Lądowanie na twardym skalistym podłożu zachwiało nim trochę, lecz trwało to ledwie ułamek sekundy. Wyprostował się i kantem prawej dłoni uderzył w kark Rosjanina. Ten zwałił się bezwładnie na ziemię.

- Mogłeś jeszcze dłużej czekać! – Oswald wstawał, dysząc ciężko.
- Nie chciałem ci przeszkadzać – odpowiedział Niemiec.
- Panowie, spokój – wtrącił się Madera. – Sprawdźcie, co z naszym nieznanym wybawcą i z tym tu. – Wskazał głową na leżącego agenta.
- Janku! Co... co to było?! – Magdalena podbiegła do ogniska. Była roztrzęsiona.
- Już po wszystkim! – Madera mocno przytulił dziewczynę. Głaskał i całował, starając się ją uspokoić. – Już po wszystkim, kochanie.
- Dobrze, że jesteś – szepnęła i jeszcze mocniej przylgnęła do niego. Magdzie udzielił się spokój Janka. Starając się opanować drżenie głosu, zapytała: – Mogę jakoś pomóc?
- Mieliśmy w naszych rzeczach apteczkę. Spróbuj ją znaleźć i pomóż chłopakom. Pierwszy w kolejności jest nasz tajemniczy nieznanomy –

powiedział. – Panowie, co z nim?

– Jest w kiepskim stanie, ale żyje – odparł Oswald, pomagając nieznanemu usiąść przy ognisku.

– *It is not wrong with me* – zachrypiął nieznajomy. – Trochę jestem poobijany.

– Zajmijcie się nim. Ja tymczasem spróbuję wyjaśnić sytuację naszym przewodnikom.

Rosyjscy przewodnicy przez cały czas siedzieli w śpiworach, ze zdumieniem i ciekawością obserwując rozgrywające się poniżej sceny. Madera podszedł do półki skalnej, na której ulokowane były legowiska, i skinął ręką.

– Zejdźcie na dół – polecił. – Należą się wam wyjaśnienia, ale najpierw musimy uporać się z agentami. Co z tym tutaj? Mam nadzieję, że go nie zabiłeś?

– Przeżyje – odpowiedział Gunter, taszcząc nieprzytomnego mężczyznę.

Ułożył go blisko ogniska, a następnie przy pomocy paru uderzeń w twarz i polewania wodą przywrócił agentowi świadomość. Rosjanin nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na stojących wokół niego ludzi. Następnie rozejrzał się po jaskini, zapewne w poszukiwaniu podwładnych. Dokonawszy oględzin, popatrzył pytającym wzrokiem na Maderę. Próbował coś powiedzieć, ale jeszcze zbyt mocno odczuwał skutki uderzenia Guntera. Z półotwartych ust dobył się tylko niezrozumiały bełkot.

– Gunter, weź go w kącie jaskini – polecił Madera. – I przepytaj dokładnie. Tylko żeby przeżył pogawędkę.

– Okej – odpowiedział Niemiec, po czym złapał agenta za kołnierz i zmusił do wstania. – Idziemy!

– Panowie. – Madera zwrócił się do przewodników, gdy Gunter wraz z Rosjaninem znikli w mroku. – To, co tu się wydarzyło, i dla nas jest niespodzianką. Żeby jednak wyjaśnić wam sytuację, muszę wcześniej porozmawiać z tym oto człowiekiem. – Wskazał ręką na nieznajomego. – Niestety nie możecie być świadkami tej rozmowy. Im mniej wiecie, tym lepiej i dla was, i dla nas. Weźcie kubki z kawą i pod opieką Magdy wróćcie do swoich śpiworów.

– Ale... – próbował protestować jeden z nich.

– Proszę! – Ton głosu Madery wskazywał jednoznacznie, że nie przyjmuje żadnych uwag i prosi o bezwzględne wykonanie polecenia. Począł, aż cała trójka zniknie w mroku. Wyciągnął z kieszeni zegarek i zapytał nieznajomego: – Która godzina?

– Niestety nie mam zegarka – odparł. Po chwili wyjaśnił: – Albo ci dranie mi go ukradli, albo zgubiłem w czasie bójki.

– Pamiętasz, jak wyglądał? – zapytał Madera.

– No jasne! To nasz rodowy wzór – odpowiedział i w paru słowach precyzyjnie opisał wygląd zegarka.

– Czy to ten? – zapytał Janek po wysłuchaniu odpowiedzi mężczyzny. Wyjął z kieszeni znaleziony przedmiot. – Stiepanie Maschadow, czy to ten?

– Tak – odpowiedział ranny wyraźnie zaskoczony.

– Dzięki niemu przeżyłeś.

– Ja? – zdziwił się Maschadow.

– Tak. Chyba nie sądzisz, że pozwolilibyśmy ci zabić strażnika, gdybyśmy nie wiedzieli, kim jesteś – odpowiedział Madera.

– Zawsze przynosił mi szczęście. – Mężczyzna pokiwał głową z powagą.

– Wiem, że możesz nie mieć siły, ale musisz mi opowiedzieć, co tu się wydarzyło. – Madera patrzył na sponiewieranego mężczyznę i gdyby nie okoliczności, pewnie dałby mu trochę odpocząć. Jednak nie było na to czasu.

– Dam radę – uspokoił go Stiepan. – Gdy w umówionym terminie nie zjawił się kurier, wyruszyłem w drogę. – Czeczeniec rozpoczął opowieść, odstawiając na ziemię kubek. Krótko i zwięźle zrelacjonował swoje przygody we wsi Kołomyje, a następnie to, co wydarzyło się w jaskini. – Musieli na mnie czekać, bo gdy wszedłem do jaskini i rozpałem tu ognisko, wpadło ich pięciu. Gdyby mnie chcieli zabić, nie miałoby problemu. Po krótkiej walce obezwładnili mnie i wtedy zaczęło się przesłuchanie. Z ich pytań zorientowałem się, że nie wiedzą nic poza tym, że ma się odbyć jakiś przerzut. Domyśliłem się, że podejrzewali przerzut narkotyków, diamentów albo złota. Jak zapewne wiesz, jestem, a w zasadzie byłem, aktorem, więc starałem się grać i próbowałem przekonać ich, że ja też niczego nie wiem, że dostałem rozkaz stawienia się w jaskini i czekania na kuriera. Niestety w tym czasie zjawili się kurierzy, którzy mieli zorganizować porwanie. Jeden z agentów przebywał na zewnątrz i ostrzegł pozostałych o ich przybyciu. Zakneblowali mnie błyskawicznie i zawlekli w kąt jaskini. Kurierzy, niczego nieświadomi, wkroczyli do jaskini i dali się nabrać. Ten tu – Stiepan wskazał głową kierunek, w którym Gunter odprowadził agenta – został sam przy ognisku i musiał nieźle odegrać moją rolę, bo po chwili związani i zakneblowani dołączyli do mnie. Rosjanie chwilę się naradzali, po czym dwóch z nich zabrało kurierów i odjechali na skuterach. O mnie jakby zapomnieli. Siedziałem sam, nie wiem jak długo, aż nagle rozległ się meldunek o tym, że się zbliżacie. Wtedy podbiegli do mnie i... Straciłem przytomność. Ocknąłem się w korytarzu. Powoli się wyczołgałem, a resztę już wiesz.

Madera dorzucił drwa do ogniska. Rozwazał słowa Czeczeńca. Wygląda na

to, myślał, że nie znają celu naszej wyprawy. Według ustaleń z Saszą, kurierzy mieli dokonać fikcyjnego porwania rosyjskich przewodników, a następnie wywieźć ich na południe i w odpowiednim momencie uwolnić. Cel wyprawy Madery miał być dla nich tajemnicą. Za parę dni inna ekipa miała przejąć i przerzucić profesora do Europy. Bez względu na wszystko trzeba kontynuować wyprawę. Gunter przycisnie tego agenta i wydusi z niego, co tak naprawdę wiedzą.

– A ty jak się czujesz? – zapytał Madera. – Będziesz mógł jechać?

– Jeżeli pojedziemy trochę wolniej, to dam radę – odpowiedział z namysłem. – Kość w nodze nie jest uszkodzona. Kula przeszła przez mięsień. Jak dobrze zabandażuję, to będę mógł prowadzić skuter. Beze mnie i tak nic nie zrobicie.

– A co z nimi? – Madera wskazał głową Rosjan.

– Agentą wziąłbym ze sobą – odpowiedział Stiepan. – Na pewno musi co jakiś czas składać meldunek, więc nie możemy tego zaniedbać, a całą resztę zostawiłbym pod opieką jednego z was. Zbyt dużą grupę łatwiej wyśledzić, to raz, a dwa, im mniejszy orszak, tym szybciej dojedziemy.

Madera obejrzał zranioną nogę Stiepana. Miał doświadczenie w opatrywaniu tego typu ran, więc szybko się uporał z założeniem odpowiedniej opaski, która umożliwiała Czeczeńcowi w miarę bezbolesne poruszanie się. Stiepan obmył twarz z krwi.

– Gdyby coś takiego spotkało mnie parę lat temu, pewnie bym nie przeżył – powiedział, siadając ponownie obok Madery. – Jednak te sześć lat na Syberii w ciężkich, prymitywnych warunkach uodporniło mnie.

Tymczasem do ogniska zbliżyli się towarzysze wyprawy. Trochę z tyłu szła Magda.

– Wydusiłem z niego wszystko, co wiedział – powiedział Gunter.

– I?

– Dostali informacje z centrali, że Czeczeńcy szykują coś ekstra. Co, nie wiedzą. Zresztą w centrali też nie wiedzieli. Drobkow, bo tak się nazywa nasz sympatyczny gość, wymyślił, że sprzątnie Czeczeńców i wraz z dwoma albo trzema współpracownikami zastąpią ich. Będą grać swoje role do momentu, kiedy nie dowiedzą się, o co tu chodzi. Wiesz, z jednej strony wojna, z drugiej mafia. Nie mogli znaleźć nic takiego, co by łączyło te dwie sprawy. Nie mają w pobliżu żadnego wsparcia, bo jego szefowie niezbyt chyba wierzą w celowość ich akcji. W każdym razie tych dwóch, którzy zabrali kurierów, pojechało do Czirindy. Mają zameldować, że wszystko przebiega zgodnie z planem, a Drobkow ma się meldować dwa razy dziennie.

– Musimy kontynuować wyprawę – powiedział Madera po chwili

milczenia.

– A oni? – zapytał Gunter.

– Drobkow jedzie z nami – wyjaśnił Madera. – A tych dwóch zostawiam pod opieką Oswalda. Ja, Magda, ty i Stiepan ruszamy w dalszą drogę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się za cztery dni.

Zaskoczenie było tak duże, że przez dobre parę minut nikt się nie odezwał. Madera wstał i dorzucił drwa do ogniska. Płomień na moment przygasł, lecz po chwili wybuchnął większym blaskiem. Snop iskier poleciał w górę ku ukrytemu wysoko otworowi. Polak popatrzył na Magdę. Siedziała jak inni, zaskoczona jego pomysłem, lecz patrząc na jej twarz, wiedział, że była zadowolona z jego decyzji. Stiepan zamknął oczy i nie wiadomo było, czy śpi, czy zastanawia się nad jego słowami. On jeden wiedział, że musi wracać. Bez niego nigdy nie dotarliby do profesora Kobalta.

Oswald i Gunter nerwowo palili papierosy. Co chwila zerkali na siebie, lecz żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Madera odczekał jeszcze kilka minut, po czym zapalając papierosa, powrócił do milczącej grupki.

– To jedyne rozsądne rozwiązanie – oznajmił. – I tak planowałem jechać sam do obozu. Ze względu na Drobkova i stan zdrowia Stiepana muszę wziąć ze sobą jeszcze Magdę i Guntera.

– Oszukałeś nas – krzyknęli niemal równocześnie Oswald i Gunter.

– Nie oszukałem – powiedział Madera, zachowując spokój – tylko nie powiedziałem wam całej prawdy od razu. A to jest istotna różnica. I bardzo was proszę, nie próbujcie mnie przekonywać. Nie zmienię zdania, a teraz potrzebny nam jest wypoczynek. Przed wieczorem wyruszamy.

Nikt nie zaprotestował. Magdalena i Gunter byli zadowoleni z decyzji Madera, a Oswald poznał go dobrze i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że żadne argumenty nie pomogą, kiedy Madera podejmie decyzję. Zwłaszcza że w odczuciu Holendra była to słuszna decyzja.

[4] Pokój niech będzie z wami i łaska, i błogosławieństwo boże.

[5] I z wami pokój i łaska, i błogosławieństwo boże.

[6] A co cię pouczy, czym jest Noc Przeznaczenia?

[7] Noc Przeznaczenia lepsza jest od tysiąca miesięcy.

[8] Pierwsza spółka oferująca usługi telefonii komórkowej została zarejestrowana w Moskwie w 1991 roku, ale zajmowała się głównie montowaniem aparatów

w samochodach. Mobile TeleSystems powstała w 1993 roku, jednak swoje usługi rozpoczęła rok później, od rejonu Moskwy. W 1996 roku Syberia nie była objęta żadną siecią telefonii komórkowej.

Południk 110

Odkąd Stiepan Maschadow dostał rozkaz objęcia szczególną opieką profesora Kobalta, był coraz częstszym gościem w lesie, gdzie pracowali więźniowie obozu numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć. Przywożony przez niego samogon, a czasem i państwowa wódka, znieczulały czujność strażników, więc obaj mężczyźni mieli zawsze trochę czasu, żeby ze sobą porozmawiać. Początkowo Kobalt traktował szalonego woźnicę jak przeciętnego pijacka, który pozyskane z lasu drewno sprzedawał, by zdobyć pieniądze na życie, a głównie na alkohol. Zupełnym zaskoczeniem dla Polaka był fakt doskonałej znajomości przez niego, i to w oryginale, twórczości Szekspira, Moliere, Becketa, a nawet Mickiewicza i Słowackiego. Wtedy zrozumiał, iż tak wspaniale gra rolę chłopca pijaka, że sam się dał na to nabrać. Przyzwyczał się już do tych wizyt, nie tylko ze względu na otrzymywaną żywność, ale głównie na możliwość rozmów, które pozwalały choć na chwilę zapomnieć o niewoli i dawały nadzieję na wyswobodzenie się z obozowego koszmaru. Przedłużająca się nieobecność aktora, znanego tu szalonego woźnicy, pogłębiała depresję Michała Kobalta, któremu nie pomagały nawet rozmowy z dieduszką – popem, jak nazywali wszyscy autentycznego duchownego uwięzionego jeszcze za czasów pierwszych lat rządów Breżniewa. Dieduszka był dobrym duchem obozu. Zawsze pogodny, zawsze znajdował słowa pociechy dla współwięźniów, nigdy nikomu nie odmówił pomocy, a nierzadko bywało, że z własnej woli pomagał słabszym więźniom, wykonując swoją i ich pracę w lesie. To właśnie on przez pierwsze tygodnie podtrzymywał na duchu profesora, by w końcu dzięki długim nocnym rozmowom wyrwać go z odrętwienia. Kobalt polubił te nocne rozmowy. Pop miał swój bardzo jasno sprecyzowany światopogląd i lata spędzone w odosobnieniu nie spowodowały zmiany. Przekonywał Polaka o nieuchronności wyroków boskich, a jednocześnie dodawał mu sił do walki o zachowanie człowieczeństwa w tych jakże nieludzkich warunkach. Wierzył w uczciwość i dobroć ludzką.

– Bo popatrz, synu, choćby na naszych strażników – tłumaczył Kobaltowi. – Na pierwszy rzut oka są to bestie pozbawione sumienia, którym znęcanie się nad nami sprawia przyjemność. Jednakże gdy ich bliżej poznasz, zmienisz zdanie. Każdy z nich ma rodzinę, żonę, dzieci, dla których jest na swój sposób czuły, których, jeżeli nie kocha, to traktuje z szacunkiem. To system zrobił

z nich oprawców. Oni mieli na to niewielki wpływ.

– Ale przecież nikt ich nie zmuszał do pracy w obozie – oburzał się Polak.

– I tak, i nie – odpowiadał pop. – Nierzadko nie mieli wyjścia. Albo przyjmą rolę strażników, albo zajmą miejsce więźniów. Albo będą przymierać z głodu w lepiankach, albo dostaną drewnianą chałupę i pensję co miesiąc, której nie zarobiliby przez całe swoje poprzednie życie.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz – ripostował Kobalt – to przecież nie muszą się nad nami tak znęcać.

– Nie masz racji – spokojnie ciągnął duchowny. – Jeżeli obóz nie wykona planu, to kto będzie winny? Oczywiście komendant. Czy komendant pilnuje nas przy pracy? Oczywiście, że nie. Ma od tego swoich strażników. Jeżeli obóz nie wykona planu, to komendant będzie miał bardzo duże nieprzyjemności. Jeżeli komendant będzie miał nieprzyjemności, to jego podwładni będą mieli jeszcze większe. W skrajnym wypadku mogą zostać jego więźniami. Czy chciałbyś z kata stać się ofiarą? Miałbyś wielki dylemat, a przecież ty jesteś wykształcony, zwiedziłeś świat, a oni z biedą składają litery, żeby przeczytać gazetę, i nie widzieli nic oprócz nędzy swoich wiosek. Gdyby mogli poznać literaturę, historię, gdyby zobaczyli, jak ludzie żyją w innych krajach, gdyby ktoś im wytłumaczył, co to jest demokracja, gdyby wreszcie mogli ją poznać we własnym życiu i wtedy jeszcze zachowywali się tak, jak to robią teraz, to wtedy mógłbyś ich potępiać. Czy jeżeli wrona zrobi kupę na krzyż, to należy ją zabić za zbezczeszczenie symbolu religijnego?

Bardzo często pytania popa wprawiały go w zakłopotanie i dawały pożywkę do długich rozmyślań. Pogrążony w rozważaniach zapominał o swojej niedoli. Powoli przejmował elementy filozofii życiowej pogodnego popa i dzięki temu wyzwał się ze stresu, który przynosiło życie w nowych warunkach. Od roku, może nawet dwóch, dieduszka dokładnie nie pamiętał, mógł prawie oficjalnie odprawiać msze w niedzielę. Chętnych początkowo nie było wielu. Zmęczeni więźniowie wykorzystywali każdą wolną chwilę na odpoczynek, nie mając, w większości, nawyku modlenia się. Ani im w głowie było tracić cenny czas.

– Na pierwszej mszy, którą pozwolono mi tu odprawić, było nas razem może trzydziestu – wspominał pop. – A teraz, popatrz, prawie pół obozu przychodzi. Zauważ, że nawet strażnicy ukradkiem żegnają się, i niby to zmęczeni, przyklękają w odpowiednim momencie.

Kobalt popowi zawdzięczał również to, że Święta Wielkanocne obchodził co prawda tydzień później, ale za to w sposób zupełnie inny niż do tej pory. Oficjalnie nie było dni wolnych od pracy, ale komendant obozu w poniedziałek po apelu ogłosił, że wszyscy zostają w obozie. Pop odprawił

mszę, po czym więźniowie rozeszli się do swoich baraków i w małych grupkach świętowali dzień wolny. Chociaż od tego czasu minęło prawie pół roku, Kobaltowi wydawało się, jakby to było wczoraj. Teraz wracał z lasu, patrząc na plecy dieduszki, który szedł przed nim i nucił jakąś kościelną pieśń. Już czwarty dzień woźnica nie przyjechał do lasu. Niepokój, że został aresztowany, przeradzał się powoli w pewność, a to nie podnosiło na duchu. Dodatkowo jeszcze awantura wywołana przez strażników wyprowadziła go z równowagi.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Najmłodszy ze strażników, Wowka, został właśnie ojcem dorodnego syna i przyniósł ze sobą parę butelek wódki, którą razem z innymi strażnikami pili za zdrowie nowo narodzonego i jego matki. W pewnym momencie okazało się, że zginęła im ostatnia butelka. Pomimo zarządzonej rewizji alkoholu nie znaleziono. Żaden z więźniów nie wyglądał na to, by wypił choć gram. Co prawda obozowy kapuś Waleryj dwoił się i troił, przepytывał więźniów, jednak niczego nie wykrył. Strażnicy biegali jak szaleni, bijąc pałkami na lewo i prawo. Po powrocie do obozu Kobalt odebrał swoją porcję żywności, ale prawie natychmiast odstąpił ją popowi, a ten wiedział, który z więźniów najbardziej potrzebuje dodatkowej porcji. Kobalt zmęczony i przygnębiony wracał do baraku, osłaniając twarz przed podmuchami mroźnego wiatru. Starannie zamknął drzwi, zatrzymując się, by otrzepać z ubrania płatki śniegu. Nagle jego uwagę przykuł ruch w głębi baraku. Zdziwiony, gdyż wszyscy więźniowie powinni byli teraz stać w kolejce po kolację albo spożywać ją w prymitywnej jadalni, popatrzył dokładniej. W mdłym świetle żarówki zobaczył, jak Waleryj poderwał się z przyczepa. Profesor, nie zwracając na niego uwagi i nie odpowiadając na mamrotanie speszzonego kapusia, rzucił się w ubraniu na swoją przyczepę i prawie natychmiast zasnął. Piekło rozpętało się niecałą godzinę później. Wyrwany ze snu, początkowo nie wiedział, o co chodzi. Wrzaski strażników i jęki bitych więźniów mieszały się ze sobą. Ktoś zdzielił go pałką. Poderwał się natychmiast na nogi i dołączył do stojących w szeregu więźniów.

- Co się dzieje? - zapytał pierwszego z brzegu więźnia.
- Strażnicy znaleźli u dieduszki wódkę - odpowiedział tamten szeptem.
- Jaką wódkę?
- Tę, która im zginęła w lesie.

Wtedy Kobalt zobaczył popa leżącego w przejściu między przyczepami, bitego i kopanego przez strażników. Profesor poderwał się, chcąc ochronić go przed zabiciem, lecz podłożona mu noga spowodowała, że upadł na ziemię. Podnosił się powoli, otaczały go przerażone twarze współwięźniów. Takiego nasilenia agresji dawno nie było w obozie. Każdy starał się odwracać wzrok

od katowanego popa. Nagle Kobaltowi mignęła przed oczyma czyjaś uśmiechnięta twarz. W baraku panował lekki półmrok, więc profesor nie był pewien, czy nie jest to złudzenie. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie mógł się uśmiechać wobec takiego bestialstwa. Lecz twarz, którą zobaczył, wydawała mu się znajoma. Powoli, korzystając z półmroku i zamieszania, Kobalt przesunął się za plecami stojących na zbiorce więźniów w kierunku, gdzie powinien się znajdować ten, który złamał obozową regułę mówiącą, że jeśli nie możesz pomóc, to staraj się nie widzieć cudzego nieszczęścia. Uważnie patrzył na więźniów, lecz na wszystkich twarzach widział tylko strach lub obojętność. Już zaczął tracić pewność, gdy nagle zauważył kapusia. Waleryj o mało nie wyrwał głowy z ramion, tak ją wyciągał, żeby zobaczyć bitemo popa. Na moment ich oczy się spotkały. Kobalt otwarcie wyzywał go na pojedynek. Rosjanin nie wytrzymał spojrzenia. Odwrócił wzrok, lecz nim to uczynił, uśmiech zamarł mu na twarzy. W tym momencie Kobalt przypomniał sobie, jak po powrocie z lasu wszedł do baraku i zastał tutaj Walerego. Teraz nie miał wątpliwości, że Rosjanin poderwał się z przyczyn popa. Więcej, dla profesora stało się jasne, po co kapuś wrócił wcześniej do baraku. Waleryj, który zawsze wykorzystywał okazję, by dokuczyć popowi czy się z niego naśmiewać, nigdy nie potrafił wyprowadzić duchownego z równowagi. Mało tego, dieduszka zawsze podkreślał, że wybacza mu te wszystkie świństwa w imię miłości bliźniego. I to chyba tak wściekało kapusia i mobilizowało do wymyślania coraz bardziej prymitywnych zaczepki. Wszyscy w obozie wiedzieli, że Waleryj nie przepuści żadnej okazji, by uprzykrzyć życie popowi. Wiedział o tym też Kobalt, ale takiego świństwa nie spodziewał się po prymitywnym kołchoźniku. Uświadomiwszy sobie ogrom jego podłości, profesor nie wytrzymał. Krew zagotowała się w jego żyłach i pomimo panującego w baraku chłodu kropelki potu wystąpiły mu na skroniach. Gwałtownie odepchnął otaczających go więźniów. Dwóch upadło na ziemię. Kobalt ruszył w kierunku Walerego i tamten to zauważył. Strach wypełnił jego tępą twarz. W tym momencie grupa strażników ruszyła do wyjścia z baraku, wlokąc półżywego popa. To na chwilę wstrzymało profesora, a kołchoźnik to wykorzystał i zdołał razem ze strażnikami uciec z baraku. Kobalt krzyknął z wściekłości i wałąc pięściami na lewo i prawo, błyskawicznie utorował sobie drogę do wyjścia. Zatrzymał się na moment, żeby zorientować się, w którą stronę pobiegł kapuś. W ciemności nocy nie był w stanie zauważyć zbiega. Z lewej strony dolatywały przekleństwa strażników zmierzających w kierunku prymitywnie urządzonych cel więziennych, nazywanych w obozie karcerem, w których zamykano niepokornych. Ruszył w tym kierunku, przeczuwając, że Waleryj będzie

szukał ochrony u strażników. Dogonienie grupy nie zajęło mu więcej niż dziesięć sekund. Wykorzystując panującą ciemność, profesor starał się dotrzeć jak najbliżej, żeby zorientować się, czy ścigany przez niego mężczyzna jest razem z nimi. Pokryta lodem droga nie ułatwiała mu zadania. Raz po raz się potykał, niemal upadając. Jednak wysiłek się opłacił, a intuicja go nie zawiodła. Waleryj, ślizgając się i potykając, starał się trzymać jak najbliżej grupy strażników. Kobalt dostrzegł go w chwili, gdy ten stracił równowagę i upadł. Strach czy zmęczenie spowodowały, że przez chwilę nie mógł podnieść się z ziemi. Ta chwila wystarczyła Kobaltowi. Jednym susem dopadł leżącego i nim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje, już był w morderczym uścisku Polaka. Są pewne chwytów zapaśniczych, których nie można stosować w sportowej walce, a które umiejętnie zastosowane pozbawiają ofiarę jakiejkolwiek możliwości obrony, nie mówiąc już o krzyku czy jęku. Kobalt znał parę takich sztuczek. Obezwładnienie niespodziewającego się ataku kapusia było niemalże dziecinną igraszką. Dla pewności profesor wcisnął twarz Rosjanina w zmarznięty śnieg. W tym czasie wlokący nieprzytomnego popa oddalili się na taką odległość, że nie byli w stanie zauważyć, co się dzieje za nimi.

– Wstawaj, skurwysynie! – szepnął Kobalt, zaciskając uchwyt. Waleryj posłusznie wykonał polecenie. – Nie próbuj żadnych sztuczek, tylko idź przed siebie.

Polak prowadził swojego więźnia w przeciwnym kierunku. Powoli odległość między dwiema grupami się zwiększała. Nie było obawy, że ktoś dostrzeże akcję Kobalta.

– Już dość świństw wyrządziłeś innym więźniom – zaczął przemowę. – Tolerowałem to, ale wszystko ma swoje granice. Teraz przegiąłeś. Co ci zawinił biedny pop?

Zaciśnięty chwyt uniemożliwił Waleremu odpowiedź. Przez chwilę szli w milczeniu. Początkowo profesor chciał pokazać wszystkim więźniom w baraku, kto ukradł wódkę strażnikom i w jaki sposób znalazła się ona u popa, lecz szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nie był pewien, czy wśród pozostałych nie ma innych, którzy donoszą strażnikom. Ruszył więc w kierunku baraku, w którym znajdowały się łaźnie. Tam było małe prawdopodobieństwo spotkania kogoś ze służby obozowej. Co chwila potykali się, z trudem utrzymując równowagę. W pewnym momencie Waleryj, wykorzystując potknięcie profesora i chwilowe poluzowanie uchwytu, rzucił się przed siebie, próbując wyswobodzić się z morderczego uchwytu. Ten ruch zaskoczył Kobalta, jednak zamiast spodziewanego uwolnienia kołchożnik poczuł jeszcze silniejszy ucisk. Odruchowo szarpnął

się jeszcze mocniej, lecz w tym momencie Kobalt stracił grunt pod nogami i żeby nie upaść, zacisnął swoje ramiona na ciele prowadzonego więźnia. Parę miesięcy pracy w lesie i dodatkowe dożywianie, załatwiane przez szalonego woźnicę, nieprawdopodobnie wzmocniły siłę byłego zapaśnika. Rozległ się głuchy chrupot, który mógł oznaczać tylko jedno. Kręgosłup Walerego nie wytrzymał siły ramion Polaka i pękł. Kobalt nachylił się nad bezwładnym ciałem Rosjanina. Nie miał już żadnych wątpliwości. Obozowy kapuś był martwy. Kobalt uważnie się rozejrzył. Po awanturze w baraku i wywleczeniu popa do karczeru w obozie zapanowały spokój i cisza. Strażnicy wrócili do swojego baraku, więźniowie zapewne cicho dyskutowali, skupieni wokół piecyków. Kobalt jedynie słyszał szybkie bicie swojego serca. Nie poczuł ani strachu, ani wyrzutów sumienia, a przecież parę sekund wcześniej pozbawił życia człowieka. Nie, nie człowieka, kanalię, ale mimo wszystko była to istota żywa. Parę głębokich wdechów i serce wróciło do normalnego rytmu. Profesor zastanowił się, co zrobić z ciałem Walerego. Panujący mróz bardzo szybko zamieniał zwłoki w lodowy słup. Jeszcze raz rozejrzył się po obozie i wzrok jego padł na magazyn drewna. Nie namyślając się, zarzucił sobie na plecy ciało Rosjanina i biegiem ruszył w to miejsce. Ukrycie zwłok wymagało przerzucenia sporych ilości drewna, tak by przez kilka dni, a może nawet tygodni nikt do nich nie dotarł. Uporał się z tym szybko.

Praktyka nabyta w lesie przydała się, uśmiechnął się zadowolony. Na szczęście nikt mnie nie widział, pomyślał. Powoli uchylił drzwi baraku. Śnieg przestał padać, a chmury rozstępowały się, odsłaniając księżyc. Jego blask oświetlił obóz. Przyczajony za drzwiami Kobalt uważnie obserwował teren, lecz nie zauważył niczego podejrzanego. Ostrożnie wychylił się zza drzwi i wykorzystując cień rzucany przez dach, ruszył w kierunku swojego baraku. Niestety, aby tam dotrzeć, musiał przemierzyć kilkadziesiąt metrów po zupełnie odsłoniętym terenie. Dotarł do rogu baraku i zatrzymał się na chwilę, zbierając siły do biegu. W tym momencie poczuł szturchnięcie w plecy. Wyprostował się w oczekiwaniu na cios.

– *Ruki w wierch* – usłyszał cichy, lecz bardzo wyraźny szept. – *Ruki w wierch*.

Nie oglądając się za siebie, posłusznie podniósł ręce do góry. Był pewien, że strażnik widział, jak ukrywał zwłoki Walerego. Za chwilę wszystko się wyda. Kobalt nie wiedział, jaka może go czekać kara za zabicie współwięźnia, ale zważywszy na to, że zabity był donosicielem, więc kimś cennym dla strażników, momentalnie wyobraził sobie pluton egzekucyjny i siebie stojącego naprzeciw. Zgromadzeni na placu apelowym więźniowie z ciekawością przyglądali się egzekucji. Ten obraz był tak sugestywny, że

Polak nie usłyszał słów strażnika.

– No, i co, Polak? – powtórzył. – Udajesz, że nie słyszysz?

– Tak jest – odparł machinalnie. Kopniak w tyłek powalił go na ziemię.

– Spaceru ci się zachciało?! – krzyknął strażnik. – A może chciałeś ukraść drewno? Co? Odpowiadaj!

– Co? Nie, nie wiem – jękał się, powoli wstając. Jeszcze nie dotarł do niego sens pytania.

– Chciałeś ukraść obozowe drewno?! – krzyknął strażnik. – Przyznaj się!

– Drewno? – Teraz dopiero dotarło do niego, że strażnik podejrzewał go o próbę kradzieży drewna, żeby podłożyć do piecyka w baraku. Nagle obraz plutonu egzekucyjnego zniknął. Kobalt odetchnął. – Tak, chciałem.

– Dwa tygodnie karceru – wrzasnął strażnik i prędko dodał: – O chlebie i wodzie.

Kobalt szczęśliwy, że zabicie Walerego nie zostało odkryte przez strażnika, niemal w podskokach ruszył w kierunku, gdzie niedawno zniknął dieduszką. Brakowało tylko, żeby zaczął śpiewać z radości, taką odczuł ulgę. W innych okolicznościach zapewne nie spieszyłby się tak bardzo, ale teraz potraktował to jak wybawienie. Karcerem nazywano parę prymitywnych cel pozbawionych okien, urządzonych w starych ziemiankach na obrzeżu obozu. Drzwi, zbite z bali sosnowych, zamykane były na prymitywne skoble, które strażnicy po zamknięciu polewali wodą. Niska temperatura sprawiała, że na skoblach tworzyły się potężne kule lodu uniemożliwiające szybkie otwarcie. Jedzenie, o ile strażnicy o nim nie zapomnieli, podawano przez małe okienko umieszczone w górnej części drzwi, za którym powieszona została mała półka. Na niej najczęściej strażnicy kładli dzienną porcję żywności przysługującą więźniowi: pół bochenka chleba i pół litra ciepłej wody. Strażnicy z reguły nie odzywali się do więźniów, jeśli więc któryś zmarł w celi, dowiadywano się o tym nieraz z kilkudniowym opóźnieniem. Zamknięty więzień przez cały czas odbywania kary nie widział nikogo i nikt jego nie widział. Siedząc w zupełnych ciemnościach, tracił poczucie czasu. Nie orientował się, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Karę karceru stosowano najczęściej na okres tygodnia, góra dwóch. Dłuższe przebywanie najczęściej kończyło się pomieszczeniem zmąglony albo śmiercią. Z racji tego, że po zmianach na początku lat dziewięćdziesiątych coraz mniej więźniów trafiało do obozu, komendant w trosce o wykonanie planu zakazał stosowania karceru dłużej niż na dwa tygodnie. Nieszczęśnik, który odsiedział swój wyrok w tej celi, był wypuszczany na poranny apel, po czym po zjedzeniu śniadania razem z innymi więźniami ruszał do pracy. Musiał nadrobić straty, jakie spowodował swoim urlopem, jak określali pobyt w karcerze strażnicy.

Na porannym apelu zapewne zauważą brak Walerego. Poszukiwania nie dadzą rezultatu, więc pomyślą, że odbiło mu i spróbował ucieczki. Po paru dniach uznają, że zamarzył w lesie, i wystawią mu akt zgonu. W obozie były dwa magazyny drewna. W jednym drewno schło, natomiast z drugiego było brane do obozowej kuchni i do ogrzewania baraku strażników. Zapas drewna z jednego baraku wystarczał średnio na dwa miesiące. W tym czasie w drugim baraku, po uzupełnieniu drewna przez więźniów, schło, o ile w tych warunkach można mówić o suszeniu. Właśnie trzy dni temu skończono zwożenie drewna do baraku, w którym spoczywało ciało Walerego. Kobalt miał więc prawie pewność, że zwłoki nie zostaną odnalezione przed upływem co najmniej sześciu tygodni, a do tego czasu strażnik zapewne zapomni, że tej właśnie nocy przyłapał go w baraku z drewnem. Uspokojony padł na pryczę. Przez ścianę słyszał pojękiwania popa, lecz po chwili pogrążył się we śnie.

Południk 110, 11-13 października 1996

Droga do chaty Maschadowa zajęła im prawie trzy dni. Jedenastego października, tuż przed północą, dotarli na miejsce. Padający gęsty śnieg zamaskował ślady skuterów tak, że po ukryciu ich w stajni mogli spokojnie zająć się przygotowaniem posiłku. Rozpalony w kominku ogień szybko wypełnił izbę przyjemnym ciepłem. Przyzwyczajeni przez ostatnie dwa tygodnie do przebywania ciągle w temperaturze grubo poniżej zera, nagle poczuli się senni i zmęczeni. Jedli więc w milczeniu przygotowany przez Magdę posiłek.

– Jutro rano ruszamy po profesora – oznajmił Stiepan, gdy ulokował Drobkova w piwnicy.

– Absolutnie się nie zgadzam – sprzeciwiła się Magdalena. – Jesteś ranny i musisz wypocząć.

– Wszystko w porządku – odparł stanowczo. – Musimy się spieszyć, żebyście zdążyli wrócić na czas do jaskini. Nie wiadomo, co jeszcze może się wydarzyć po drodze. A musimy jeszcze coś zrobić z naszym pasażerem.

– Jeden dzień nas nie zbawi, a ty musisz być w pełni sprawny.

– Magda ma rację – wtrącił Madera. – Nie wiadomo, jak wygląda sytuacja w obozie, a poza tym przez ostatnie dni byłeś cały czas na mrozie. Nie wiemy, co będzie z twoją nogą, gdy prześpisz tę noc w ciepłym domu.

– Nic mi nie będzie.

– Mam taką nadzieję, ale jutro zostajemy w domu, a pojutrze wyruszamy do lasu i nie wracamy bez profesora. – Janek zakończył dyskusję tonem nieznośnym sprzeciwu.

– Ty tu jesteś szefem – odpowiedział Maschadow i poszedł przygotować posłania.

Byli zbyt zmęczeni na rozmowy, więc zaraz po skończeniu posiłku padli w ubraniach na rozestlane koce i zapadli w głęboki sen.

– Janku, wstawaj. – Magdalena szarpała go za ramię. – Stiepan zniknął!

– Jak to zniknął? – Madera poderwał błyskawicznie. Przez małe okienka do izby wpadały pierwsze promienie słońca. – Jak to? Może wyszedł na zewnątrz albo do stajni?

– Właśnie wróciłam ze stajni – odpowiedziała nerwowo. – Nie ma koni, nie ma Stiepana! Natomiast na podwórku ślady wyraźnie wskazują, że odjechał

saniami.

– Cholera! – Gunter, który przysłuchiwał się rewelacjom Magdy, zaklął pod nosem. Nie mówiąc nic, narzucił kurtkę i wybiegł z izby. Czyżby Stiepan był agentem? Gorączkowo myślał, zbiegając po schodach do piwnicy. Jeżeli tak, to Drobkowa też nie będzie. Przekręcił klucz w zamku i z hukiem otworzył drzwi. Drobkow poderwał się z siennika i przestraszony wpatrywał się w Niemca. Gunter rozejrzał się po prowizorycznej celi i nie znajdując nic niepokojącego, dokładnie zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Gdzie w takim razie zniknął Stiepan?! Czyżby coś się wydarzyło, gdy spali?! A może po prostu pojechał do wioski, żeby pokazać się mieszkańcom i jakoś wyjaśnić prawie tygodniową nieobecność? Niemiec otworzył drzwi na zewnątrz. Mroźne powietrze było przyjemną odmianą zaduchu panującego w chacie. Gunter, nie przekraczając progu, rozejrzał się dookoła. Spokój. Cisza. Nie było żywej duszy. Za zamkniętą bramą świeże ślady sań wskazywały kierunek, w którym udał się Stiepan. Jedyna droga prowadząca do chaty biegła kilkaset metrów wzdłuż lasu, by potem zniknąć za oszronionymi drzewami. Gunter z przyjemnością wciągnął mroźne powietrze. Nawet gdyby przyjechał z całą armią agentów, to nie może tego uczynić niepostrzeżenie, pomyślał z chytrym uśmieszkiem, zamykając drzwi. Przygotujemy im komitet powitalny.

– Powinniśmy podjąć jakieś środki – powiedział, ściągając kurtkę.

– Myślisz, że Stiepan zdradził?

– Janku, wydaje mi się, że on ma rację – powiedziała Magdalena, podchodząc do okna. – Nawet gdyby Stiepan był w porządku, to powinniśmy przynajmniej obserwować drogę.

– Nooo, i co? – zdenerwował się Polak. – Myślisz, że jak nas będą chcieli wziąć, to przyjadą z procesją?

– Nie – spokojnie odpowiedziała i zamyśliła się. – Przecież to proste. Nikt nie ma potrzeby, żeby zbliżyć się do domu Stiepana, więc jeżeli ktoś już pójdzie w tę stronę, to albo będziemy mogli się przygotować na jego wizytę, albo będziemy mieli czas, żeby się gdzieś ukryć. Trzeba po prostu tylko obserwować drogę. No, może jeszcze z drugiej strony warto by obserwować teren, chociaż tam prawie dwumetrowa pokrywa śniegu tylko szaleńca skłoniłaby do próby przejścia. Poza tym przecież nie znamy ani Stiepana, ani tutejszych ludzi. Może dla nich przedzieranie się przez takie zwały śniegu to codzienność? Trzeba zmienić tok myślenia. W Europie wszystko jest inne. Tutaj nawet śnieg jest bardziej biały.

– Zapominasz, że Stiepan pojechał saniami – przypomniał Niemiec. – Spokojnie może w nich ukryć trzech, czterech ludzi i nie wzbudzając naszych

podejrzeń, podjechać pod dom. Jeśli ich tu wprowadzi, to nie mamy żadnych szans.

– Broń! – wykrzyknął Madera. – Musimy poszukać broni. Niemożliwe, żeby Stiepan nie miał ukrytej w domu broni. Madziu, zajmij się obserwacją, a my zabieramy się za rewizję.

– Nie, mój drogi – sprzeciwiła się łagodnie. – Gunter zajmie się obserwacją, a my poszukiwaniami. Obaj umiecie to zapewne robić, ale odrobina kobiecej intuicji nie zaszkodzi.

– W porządku. Gunter, wiesz, co masz robić?

– Tak – odpowiedział i wyszedł.

– Idziemy do stajni – poleciał Madera, gdy prawie godzinne przeszukiwania domu nie przyniosły żadnych rezultatów. Maschadow albo nie miał broni, albo miał ją schowaną poza domem.

W stajni panował idealny porządek. Nic nie wskazywało na to, że przez prawie tydzień były tu konie bez dozoru. Maschadow musiał przed opuszczeniem domu wszystko wysprzątać. Przy okazji poszukiwań mieli możliwość poznać bardzo przemyślną konstrukcję, która umożliwiała pozostawianie koni na dłuższy czas bez obawy, że umrą z głodu albo z pragnienia. Wszystko to nie pasowało do rzekomej zdrady.

Wrócili do izby i dowiedzieli się od Guntera, że nikt nie pojawił się na horyzoncie. Po wczorajszej śnieżycy nie było ani śladu. Świeciło słońce, które powoli kierowało się ku zachodowi. Z północy nadciągała gruba warstwa prawie granatowych chmur i Madera był pewien, że za parę godzin śnieżycy znowu powróci. Pomyślał, że może to i lepiej, bo gdyby przyszło nagle uciekać, padający śnieg maskowałby ślady. Ale może nie będzie tak źle, miał nadzieję.

– Niedługo zapadnie noc – zaniepokoił się Gunter, gdy Magda wyszła do kuchni. – Co zrobimy, jeżeli do tego czasu Stiepan nie wróci?

– Cały czas się nad tym zastanawiam – odpowiedział Madera, który przez ostatnią godzinę krążył nerwowo po chacie. Zegar bezlitośnie wybijał kolejne godziny, a Stiepan nie wracał. Janek nie lubił czekania. Denerwowało go zawsze wyczekiwanie, aż ktoś inny podejmie pierwszy akcję. Zawsze był człowiekiem, który wzniecał kurz. Parogodzinne plątanie się po obcej chałupie, wypatrywanie przez okna, picie kolejnej herbaty czy powtarzanie wszystkich wariantów planu przygotowanego na powitanie Stiepana to nie jego klimaty. Akcja jest jego żywiołem. Dokładnie przemyślana i perfekcyjnie wykonana. Przeklęty Czeczen, myślał. Nie zastosował się do uzgodnień. Madera na własnej skórze odczuł, czym się kończy samowola. Rygorystyczne przestrzeganie planu, nawet błędnego, może w najgorszym wypadku

doprowadzić do porażki, brak subordynacji zaś zawsze prowadzi do klęski. A na klęskę nie mogli sobie pozwolić. Byli tak blisko celu. Bim, bam, bim, bam. Madera z wściekłością popatrzył na zegar. Bliski był rozbicia go, gdy do izby wpadła Magda.

– Stiepan wraca! – krzyknęła.

– Dzięki. Wracaj do kuchni i pod żadnym pozorem nie wychodź, dopóki cię nie zawołam. Gunter, wiesz, co masz robić?

– Tak jest!

Madera przetarł rękawem zabrudzoną szybę małego okienka i wtedy dopiero zauważył zaprzęg wjeżdżający na podwórze. Uważnie obserwował zachowanie woźnicy. Stiepan zatrzymał sanie pod stodołą i spokojnie wyprzągł konie. Łagodnie do nich przemawiając, skierował się w stronę stajni. Madera był pewien, że przyjechał sam. Gwałtownie otworzył drzwi i wybiegł na zewnątrz.

– A ty gdzie byłeś, do kurwy nędzy? – krzyknął i podbiegł do sań. Wskoczył do środka, przygotowany na odparcie ewentualnego ataku. Wewnątrz była sterta świeżo ściętych gałęzi. Nie spuszczać wzroku z Czeczeńca, zaczął wyrzucać gałęzie na ziemię. Nagle pod palcami wyczuł materiał. Chwycił całą stertę gałęzi i z wysiłkiem wyrzucił je z sań. Na dnie, ubrana w obozowe łachmany i wypełniona lodem, leżała gumowa lalka, którą sam kupił w Brukseli. – Dlaczego potajemnie wymknąłeś się z domu, zabierając ze sobą kukłę?

– Jan, ja chciałem... ja wszystko wytłumaczę. – Maschadow zaskoczony zachowaniem Polaka jękał się. – Tylko konie...

– Stój! – krzyknął Madera. – Przyjechałeś sam?

– Tak. Profesora nie było na robocie w lesie – odpowiedział, nie patrząc na Maderę. – Jest zamknięty w karcerze.

– Czekaj, co ty gadasz. Jaki karcer?

– Byłem w lesie. Chciałem przywieźć profesora – tłumaczył nerwowo, drepcząc w miejscu. – Ale profesor jest w karcerze i będzie tam jeszcze przez ponad tydzień.

– Zaprowadź konie do stajni i chodź do izby – polecił Madera.

Nie rozumiejąc zachowania Madery, Stiepan odprowadził konie do stajni. Co chwilę z niepokojem zerkał na towarzyszącego mu Polaka.

– A teraz siadaj i mów! – polecił Madera, gdy weszli do izby, a odpowiadając na pytające spojrzenia Magdy i Guntera, uspokoił ich: – Stiepan jest w porządku.

Gunter z zadowoleniem kiwnął głową i odłożył siekierę. Gospodarz ściągnął kozuch i zacierając dłonie, kucnął przy kominku.

– Chyba powinieneś nam coś wyjaśnić! – Magda nie wytrzymała. – Wymknąłeś się po kryjomu i nie było cię przez cały dzień! Co ty sobie myślisz?!

– Moment. – Popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

– Magda! Daj mu spokój, proszę – włączył się Madera. – Odwalił kawał dobrej roboty. Usiądźmy lepiej.

Zasiedli po jednej stronie stołu, Stiepan usiadł naprzeciwko. Przez chwilę milczał, zbierając siły. Nie mogąc jeszcze opanować zdenerwowania, drżącym głosem opowiedział wszystko. Nie mógł zasnąć, gdyż zaczął mu dokuczać ból nogi. Po cichu wyszedł do stajni i zabrał się za porządki. Gdy skończył, prawie już świtało, więc zajrzał do izby, ale wszyscy spali. Wtedy wpadł na pomysł, że sam zrealizuje plan. Napełnił kukłę wodą i ucharakteryzował ją, po czym szybko wyruszył do lasu. Po dotarciu na miejsce stwierdził z przerażeniem, że wśród pracujących przy wyrębie nie ma profesora. Od więźniów dowiedział się, że trzy dni temu został wtrącony do karceru. Strażnicy, którym dał większą niż zwykle ilość samogonu, wyjaśnili mu, że profesor został przyłapany na kradzieży drewna i za to posiedzi w celi jeszcze dziesięć dni. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, naciął trochę gałęzi i wrócił do domu.

– Najważniejsze, że wszystko się wyjaśniło – podsumował zmartwiony Madera. – Chociaż pobyt profesora w karcerze komplikuje całą akcję.

– I tak, i nie – odparł filozoficznie Stiepan.

– Znów coś wymyśliłeś? – zaniepokoił się Madera.

– Yhy... – Kiwnął głową i popatrzył z niepokojem na Janka. Wyjaśnił: – Co prawda nie możemy przeprowadzić uwolnienia profesora według waszego planu, ale jadąc z powrotem, wymyśliłem swój.

– Jaki? – Trzy pary oczu wlepiły się w niego.

– Powoli. – Stiepan uśmiechnął się wyrozumiale. – Najpierw, skoro nie jestem już agentem, to pozwolicie, że napiję się trochę samogonu, bo czuję, że ból narasta. – Wstał i wyciągnął z kredensu butelkę wypełnioną do połowy. – Chce ktoś jeszcze? To w małych ilościach dobrze robi również na trawienie. Nie mówiąc o tym, że rozjaśnia umysł, a niektórym by się to przydało. – Puścił oko do mężczyzn.

– Dobra, nalej wszystkim – zaproponowała Magda i popatrzyła z rozbawieniem na Janka, który wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Wszystkim? – wydusił z siebie.

– No nie dziw się – odpowiedziała wesoło. – Jako korespondentka radiowa piłam i jadłam wiele dziwnych rzeczy, a coś czuję, że Stiepan chce nas poczęstować czymś specjalnym.

– Masz rację. Ale co się tak na mnie patrzycie? – zapytał, widząc ich oczy wlepione w butelkę. Odpowiedziała mu cisza. Popatrzył na nią uważnie, wyciągnął korek i nalał trochę do kieliszka, po czym wychylił go jednym haustem. Znowu spojrzął na zgromadzoną przy stole trójkę i roześmiał się. – A, teraz rozumiem, chcieliście sprawdzić, czy was nie otruję?

– Ale wy jesteście dranie! – wybuchła Magdalena. – Nie posądzałam cię o to, Le Petit Jean.

– Żartowałem – roześmiał się Janek. – Ale czyż tak nie mogło być? Rozpracowany agent nie traci zimnej krwi i próbuje uśpić swoje ofiary, żeby jego kumple z FSB mieli ich jak na talerzu? No, ale dość żartów. Stiepan, przedstaw swój plan.

– Jest prosty. Uprowadzimy profesora z terenu obozu.

– No, faktycznie genialnie proste – Gunter aż zgrzytnął zębami. – Tyle to i ja sam wymyśliłem. Lepiej powiedz, jak to zrobić.

– Nie denerwuj się – odpowiedział spokojnie Stiepan, wyjmując z kredensu kartkę i nalewając sobie drugi kieliszek samogonu. – Siadajcie i nie przerywajcie mi.

Wraz z nastaniem nocy zaczął padać śnieg. Początkowo drobnymi płatkami, ale po chwili ostre podmuchy wiatru rozpętały niespotykaną, nawet na południku sto dziesiątym, zamieć. Wiatr był tak silny, że momentami zapierał dech w piersiach trójce mężczyzn skulonych na saniach. Konie przyzwyczajone do takich skrajnych warunków szybko pokonywały drogę. Woźnica nie musiał wiele nimi kierować. Znały doskonale trasę i na to liczył Maschadow, gdy przedstawiał swój plan. Początkowo wszyscy zaprotestowali, gdyż wydawał im się szalony, ale po pierwszych protestach przyszedł czas na poważne rozważenie propozycji Czeceńca. Wtedy musieli przyznać, że tylko ten szaleńczy plan gwarantował prawie w stu procentach powodzenie misji uwolnienia profesora. Tak więc trójka mężczyzn wieziona przez parę koni podążała w stronę obozu. Jechali przez zasypaną puszystym śniegiem równinę, którą parę godzin wcześniej przemierzała kolumna zesańców. Prowadząca ją trojka wiozła zwłoki trzech więźniów. Ołowiane chmury zakryły księżyc. Miliony srebrnych płatków przykrywały ślady sań. Niewidoczny przez śnieżną ścianę las cicho zawodził. Tylko dzięki doświadczeniu Stiepana mogli dotrzeć do bramy. Szczelnie opatuleni w niedźwiedzie skóry, troskliwie ściskali wielki wojskowy termos wypełniony gorącą wodą. Początkowo, gdy Stiepan poinformował ich o konieczności wzięcia wody, myśleli, że sobie z nich żartuje. Jednak gdy objaśnił mechanizm działania skobli w drzwiach do karceru, wszystko stało się jasne. Musieli przyznać, że był to prymitywny, ale genialny sposób

zabezpieczenia oraz informowania strażników o tym, czy ktoś próbował otworzyć drzwi. Więźniowie nie mieli bezpośredniego dostępu do wody, więc gdyby któryś z nich pomógł wyjść na noc koledze zamkniętemu w karczerze, musiałby rozbić lodową kulę. Żeby ją ponownie stworzyć, potrzebne było wiadro wody, a więźniowie nie mieli do niej dostępu. Maschadow kilka razy był w obozie, oczywiście za pozwoleniem strażników, i właśnie podczas jednej z takich wizyt miał okazję zobaczyć, jak wygląda skobel i w jaki sposób strażnik tworzy lodową kulę. Zapamiętał to dokładnie. W termosie zawierającym gorącą wodę zatopione były ostrza kilku długich noży. Rozgrzane noże powinny bez większych przeszkód przeciąć kulę tak, by można ją było ściągnąć ze skobla. Po zamknięciu drzwi gorąca woda jak najlepszy klej złączy wszystkie części lodowej kuli w jedną całość. Dla większego efektu poleje się ją jeszcze wodą i wtedy wszelkie ślady znikną. Nikt nie będzie w stanie odkryć, co się tu w nocy działo.

Zastanawiali się, czy cztery dni pobytu w karczerze nie osłabią profesora na tyle, by był w stanie niemal z marszu ruszyć w powrotną drogę. Co prawda Stiepan twierdził, że profesor przed jego wyjazdem był w bardzo dobrej kondycji, ale było to ponad tydzień temu, a cztery dni w mroźnej celi, tylko o chlebie i wodzie, mogły pozbawić go sił. Nie było jednak innego wyjścia. Za trzy dni muszą być z powrotem w jaskini. Nagłe szarpnięcie omal nie wyrzuciło ich z sań. Stiepan zatrzymał konie, a to oznaczało, że dalszą drogę muszą odbyć pieszo. Pierwotnie Jan Madera i Stiepan Maschadow, niosąc wspólnie dwudziestolitrowy termos i czterdziestokilogramową lalkę, mieliby do pokonania w ciemności i śnieżycy odległość około pół kilometra dzielącą ich od obozu. Gunter miał zostać przy koniach, a dzięki małym radiotelefonom, w które byli wyposażeni, mogli utrzymywać ze sobą łączność. Ten Stiepan to w gruncie rzeczy porządny i pomysłowy chłop, pomyślał Madera, mocując za pomocą bandaża słuchawkę do ucha, a mikrofon przypinając do kołnierza kurtki tak, by mógł utrzymywać łączność i mieć jednocześnie wolne ręce. Sprawdził łączność i zadowolony z efektu, podszedł z tyłu do sań.

– No, Drobkow, twoja kolej! – krzyknął i uśmiechnął się.

Na pomysł zastąpienia Kobalta Drobkowem wpadł Stiepan, gdy zapoznawał ich ze swoim planem. Siedzieli wtedy w ciepłej kuchni przy stole.

– Dwudziestolitrowy termos i prawie czterdziestokilogramowa lalka. Czy to nie za dużo jak na wasze siły? – zaniepokoiła się Magdalena.

– Damy radę – uspokajał ją Madera. – Zresztą, nie ma innego wyjścia.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął nagle Stiepan. – Że ja na to wcześniej nie

wpadłem!

Nalał jeszcze jeden mały kieliszek samogonu, wypił i uśmiechnął się szeroko.

– No tak, to będzie świetne! – powiedział. – Dwie pieczenie na jednym ogniu. Tak to chyba określacie w Polsce?

– Tak to określamy – mruknął Madera. – Ale nie widzę związku.

– To zaraz zobaczysz! – Samozadowolenie nie opuszczało Maschadowa. – Mamy do rozwiązania dwa problemy. Uwolnić profesora Kobalta i unieszkodliwić naszego agenta.

– Odkryłeś Amerykę. – Gunter nie mógł się powstrzymać od złośliwości.

– A żebyś wiedział! Mało tego, obniżyłem o czterdzieści kilogramów wagę naszego ładunku. – Stiepan był radosny i nie zważał na coraz bardziej zniecierpliwione miny. – Dodatkowo znalazłem siłę pociągową, która przeniesie za nas termos. Czy to nie świetne?

– Może jak przestaniesz być tak tajemniczy i zdradzisz swój pomysł, to sami ocenimy.

– Drobkow – powiedział Stiepan.

– Co Drobkow?! – krzyknęli prawie jednocześnie, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Drobkow zastąpi gumową lalkę. Mało tego, sam zaniesie termos do karceru – wyjaśnił bardzo z siebie zadowolony i nim się roześmiał, zdążył jeszcze dodać: – Dla niego będzie to niezapomniane przeżycie. O ile przeżyje!

Madera brutalnie ściągnął opierającego się Drobkowa z sań. Agent doskonale wiedział, co go czeka, ale w tej sytuacji nie miał innego wyjścia. Ucieczka nie wchodziła w grę. Świetnie zdawał sobie sprawę, że tu nie przeżyłby nawet godziny. Wsadzenie do karceru dawało marną, bo marną, ale szansę na przeżycie. Ponaglany przez Maderę, zarzucił na plecy termos i ruszył w ślad za Stiepanem.

Abstrahując od pomysłu zastąpienia profesora agentem FSB, cały plan wydawał się szalony. Janek nie znał tutejszych realiów, a pamiętając podobne obozy w Afryce, nie bardzo wierzył w możliwość sforsowania zabezpieczeń i wejścia na strzeżony teren.

– Ale przecież muszą być jakieś straże – denerwował się, gdy Stiepan powiedział, że wejdą i wyjdą z obozu, jakby chodziło o wycieczkę do parku. – Nie uwierzę, że obóz jest niestrzeżony.

– Jasne, że jest strzeżony – odpowiadał spokojnie Czeczeniec. – Tylko nie tak, jak ty to sobie wyobrażasz. Tu nie ma gdzie uciec. W wiosce mieszkają prawie sami strażnicy i ich rodziny, więc więźniowie nie mogą liczyć na żadną pomoc. Ucieczka w każdą inną stronę równa się samobójstwu.

W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie ma osady. Poza tym, mój drogi, nie ma pieniędzy. Strażnicy otrzymują wypłatę z kilkumiesięcznym opóźnieniem, a i tak część w towarach. Wódka, ziemniaki, mąka. Czy to jest motywacja do pracy? Obchodzą więc teren obozu dwa razy w ciągu nocy, jeżeli nie mają nic innego do roboty. A dzisiejszej nocy będą bardzo zajęci. Dostarczyłem im kilkanaście butelek samogonu i cały koszyk kiełbasy.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – niechętnie wyznał Polak. – W przeciwnym razie możemy tak szybko nie wrócić.

– Spokojnie, nawet jeśli spotkamy strażników, to damy sobie radę – uspokajał Stiepan. – W związku z oszczędnościami w obozie, w nocy świeci się tylko kilka lamp. Jeżeli już strażnicy wychodzą na obchód, to i tak niewiele widzą. Chyba że któryś z więźniów próbuje coś ukraść z magazynu. Wtedy reagują zdecydowanie, tak jak w wypadku profesora. Ciekaw jestem, po co mu było drewno.

Madera zastanawiał się nad tą rozmową, brnąc w śniegu po kolana. Płatki śniegu, niesione przez lodowate porywy wiatru, wbijały się niczym opiłki metalu w twarz i oczy. Zaczął żałować, że nie wziął z sobą okularów. Nie odczuwał zimna, głównie z powodu bardzo szczelnego kombinezonu. Choć Maschadow utykał, odczuwając zapewne dość boleśnie skutki spotkania z agentami, to i tak z trudem dotrzymywali mu kroku. Przed wyjazdem Stiepan polecił Maderze wziąć ze sobą kompas z podświetlaną tarczą i teraz co kilkadziesiąt kroków zatrzymywał się i sprawdzał kierunek marszu.

Nogi coraz trudniej wychodziły ze śniegu, z każdym oddechem coraz większa ilość pary zamarzała na wąsach. Wiatr wykorzystywał każde potknięcie, by na nowo podjąć próbę przewrócenia intruza i przykrycia białym puchem. Skoncentrowany na walce z wiatrem i śniegiem Madera nie zauważył, że Drobkow zatrzymał się i z całym impetem uderzył w jego plecy. Przez moment chwiali się, aż silny podmuch wiatru przewrócił ich. Zniknęli w metrowej zaspie. Maschadow natychmiast się poderwał i jednym szarpnięciem postawił Polaka na nogi. Wspólnie wyciągnęli z zasy Drobkova.

– Jesteśmy kilka metrów od bramy – wołał, starając się przekrzyczeć wycie wiatru. – Chwilę odpoczniemy i ruszamy prosto po profesora.

Pomimo ostrych treningów, które Madera aplikował sobie podczas pobytu w domu, z ulgą przywitał chwilę odpoczynku. Mięśnie zmuszone do ciągłej walki ze śniegiem paliły niczym rozżarzone węgle, krew w skroniach pulsowała, chcąc rozerwać żyły. Powietrze, wciągane łapczywie przez otwarte usta, niczym rozpalony do białości sztylet parzyło gardło. Polak powoli starał się wyrównać oddech, lecz zamrożone wąsy i pokryta warstwą lodu twarz

nie ułatwiały oddychania przez nos. W końcu udało mu się odzyskać głos:

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, aby wejść przez główną bramę? – upewnił się.

– Nie ma lepszego rozwiązania – odpowiedział Czeczeniec. – Nawet jeśli nas ktoś zauważy, to do głowy mu nie wpadnie, że jakiś szaleniec chce bez przymusu wejść do obozu. Tylko idiota.

– Nie podoba mi się to. – Madera zauważył nie bez zdziwienia, że Maschadow nie był wcale zmęczony. Oddychał normalnie i nawet się nie zasapał. Pomimo zmęczenia wziął od staniającego się na nogach i otoczonego kłębamii marznącej pary Drobkowa termos i zarzucił go sobie na plecy. – Możemy ruszać dalej.

Dopiero po paru krokach Madera zobaczył w blasku słabej lampy potężną obozową bramę zbitą z drewnianych belek, teraz pokrytych świeżym, ubitym przez wiatr śniegiem. Stiepan, nie rozglądając się, podszedł śmiało do bramy i otworzył ją jednym szarpnięciem, jakby wchodził do siebie na podwórko. Madera podążył za swoim przewodnikiem, lekko wzdrygnąwszy się, gdy przechodził pod lampą. Po chwili pograżyli się znowu w półmroku. Szli teraz obozową drogą, która pomimo padającego śniegu wymagała dużo mniejszego wysiłku.

Aleksiej Bykow miał pięćdziesiąt lat, a właściwie to miał skończyć pięćdziesiątkę dopiero za dwa dni. Od dziesięciu pracował jako strażnik w obozie numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć. Przedtem był agentem FSB. Ludzie go szanowali. Miał normalną rodzinę, dom, do którego wracał po pracy. Raz w tygodniu spotykał się z kolegami z pracy, by w restauracji milicyjnej utopić w wódce swoje żale i radości, choć tych ostatnich było coraz mniej. Pomimo wszystko miał unormowane życie aż do dnia, w którym popełnił swój pierwszy i ostatni błąd. W zasadzie to nie była jego wina, ale przełożeni uznali, że to on powinien ponieść konsekwencje lekkomyślności swojego brata. Brata, którego kochał i za którego oddałby życie. Swojego największego idola. Do końca życia nie zapomni tego piątku, kiedy na prośbę brata zrezygnował z cotygodniowego spotkania i zamiast udać się do milicyjnej restauracji, przyjął jego zaproszenie na kolację. Ich ostatnią wspólną kolację. Ostatnią, albowiem parę godzin później jego brat odleciał samolotem do Paryża, by już nigdy nie powrócić do Moskwy. Gdy po dziesięciu dniach powróciła do Moskwy delegacja i brakowało w jej składzie Władimira Sergiejewicza Bykowa, Aleksiej natychmiast został zabrany z domu i przewieziony do gabinetu swojego szefa. Byłego, jak się okazało po pięciu minutach rozmowy, gdyż dwie godziny wcześniej został wyrzucony ze

służby. Po kilkunastu dniach przesłuchań prowadzonych przez byłych kolegów, został karnie przeniesiony do pracy w obozie tysiąc czterysta dwadzieścia pięć. Został zwykłym strażnikiem. Żona odmówiła wyjazdu, wnosząc pozew o rozwód. Wymiar sprawiedliwości ówczesnego Związku Radzieckiego działał w takich sytuacjach błyskawicznie. Jeszcze nim mężczyzna został wysłany do obozu, jego żona uzyskała stosowne dokumenty, gdyż jak stwierdził jej adwokat w pozwie, nie mogła żyć pod jednym dachem z bratem zdrajcy idei Lenina. Od tego czasu Aleksiej coraz częściej sięgał po alkohol i przy byle jakiej okazji upijał się, starając się zapomnieć o żonie, dzieciach i bracie. Z czasem czy to pogłębiające się rozgoryczenie, czy też systematyczny trening sprawiły, że przestał się upijać. Bez względu na ilość wypitego alkoholu umysł pozostawał trzeźwy, przywołując wspomnienia utraconego bezpowrotnie życia. A przecież mógł wtedy po kolacji wrócić do pracy i o wszystkim zameldować oficerowi dyżurnemu. Wtedy nie on, Aleksy, tylko jego brat spędzałby życie w obozie. I to nie jako strażnik, a jako więzień, wróg rewolucji. I co z tego, że zmienił się ustrój? Przecież większość więźniów tutaj to właśnie wrogowie rewolucji. Czy ktoś będzie sobie teraz nimi głowę zawracał? Jeszcze długo po wyjściu brata siedział w restauracji, a kelner donosił coraz to nowe porcje alkoholu.

Przyjechał tu parę dni po skończeniu czterdziestu lat. Dużo wcześniej planował swoje czterdzieste urodziny. Miało to być wielkie święto w rodzinie. Po cichu dowiedział się, że przymierzano go do awansu. Wydawało się, że szczęście uśmiechnęło się do niego. I nagle, jak za dotknięciem różdżki złośliwej czarownicy, wszystko się rozsypało. Urodziny obchodził w więzieniu. Zamiast spodziewanych prezentów i awansu, żarówka w oczy i pytania, pytania, pytania. Wtedy właśnie na jego domowy adres przyszedł list od brata. To go chyba uratowało. Właśnie w swoje urodziny dowiedział się, że brat, raczej z premedytacją, napisał w liście, iż bardzo wszystkich przeprasza, ale decyzję o pozostaniu na Zachodzie podjął w ostatniej chwili, już w Paryżu, i dlatego nie mógł się z nikim pożegnać. Tak, to był najprzyjemniejszy prezent, jaki mógł wtedy otrzymać. Co prawda nie zwróciło mu to wolności, jednak wysłany został do obozu nie jako więzień, a jako strażnik.

Dzisiaj ten szalony woźnica przywiózł tyle samogonu i kiełbasy, że wszyscy strażnicy już dawno leżeli pokotem na podłodze jadalni. Powoli Bykowa zaczynały jednak męczyć pijaństwa w tym samym męskim gronie. Był od nich inteligentniejszy i na samym początku wiedział już, jak się który zachowa, kto się upije i zaśnie pod stołem, kto będzie narzekał na żonę i dzieci, kto po paru kieliszkach wyruszy w poszukiwaniu więźnia, którego

będzie mógł zgwałcić, aby zaspokoić swój zboczony organizm. Od dawna miał tego serdecznie dość i dlatego wypijał od razu dwie szklanki samogonu i wychodził z baraku.

Tak było i tym razem. Co prawda szalała zamieć śnieżna, ale było to i tak o wiele przyjemniejsze niż towarzystwo jego kolegów. Coraz bardziej gnębiła go ta sytuacja. Wiedział, że Związek Radziecki już się rozpadł, że w domu nikt na niego nie czeka, bo nie miał domu i nie miał dokąd wracać, ale coraz bardziej tęsknił za wyrwaniem się stąd. Może to już ten wiek, kiedy człowiek chciałby mieć gdzie wracać po pracy, swój fotel, ciepły domowy obiad. Coraz częściej podczas tych samotnych nocnych wędrówek po obozie marzył i planował, co będzie robił po opuszczeniu tego miejsca. Bo w to, że je kiedyś opuści, wierzył jak w nic innego w swoim życiu. Już od czterech lat pisał prośby, podania, petycje do różnych urzędów, ale zawsze otrzymywał odpowiedź odmowną. Pół roku temu odważył się napisać bezpośrednio do prezydenta. Żeby wysłać list, wziął urlop i pojechał do oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów miasta, gdzie nikt go nie znał. Po trzech miesiącach stracił nadzieję, że otrzyma jakąkolwiek odpowiedź. Aż tu dziś razem z zaopatrzeniem przywieziono przesyłkę z Moskwy dla niego. List, na którym była pieczęć gabinetu prezydenta. Drżącymi rękoma delikatnie otworzył kopertę, ważąc ją przedtem długo w dłoni. Prezydent, po rozpatrzeniu jego prośby, zobowiązał ministra spraw wewnętrznych do przeniesienia Aleksieja Sergiejewicza Bykowa do pracy w milicji w Moskwie już od pierwszego listopada. Dwudziestego piątego października miał pożegnać obóz na zawsze. Litery rozmazały mu się przed oczami. Czytał ten akt łaski kilka razy i nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Krążąc myślami po ukochanej Moskwie, nie mógł wytrzymać w towarzystwie pijanych strażników. Pomimo szalejącej śnieżycy i mrozu spacerował po obozie w rozpiętym kożuchu. Nie czuł zimna. Rozpierała go radość, która nie pozwalała mu siedzieć z bandą opojów. Przystanął na chwilę przy ścianie magazynu żywności, by osłonięty od wiatru zapalić kolejnego papierosa. Ręce, drżące jeszcze, nie potrafiły rozniecić ognia. Jedna, druga, trzecia zapałka łamały się, wydając jasne błyski. Dopiero za czwartym razem drewnienko rozbłysło ogniem. Pochylił głowę, osłaniając dłońmi mały ogienek. Usłyszał za sobą skrzypnięcie śniegu. Odwrócił się gwałtownie, ściągając karabin z ramienia, lecz usta nie wydały okrzyku, karabin nie wystrzelił. Tylko wytrzeszczone z przerażenia oczy świeciły białymi gałkami, a zapalony papieros pogrążył się w śniegu.

Przemierzyli już spory kawałek. W obozie panował spokój. Tylko z jednego baraku dochodziły odgłosy pijackiej imprezy. Podniesione głosy męskie

przekrzykiwały się. Ktoś próbował śpiewać.

– Smakuje im mój samogon – stwierdził Stiepan, uśmiechając się.

– Myślisz, że wszyscy tam są? – zapytał Madera.

– A jak sądzisz? – odpowiedział, przystając na chwilę. – Chciałoby ci się wychodzić na taką pogodę zamiast siedzieć w cieple i popijać darmową wódkę, zagryzając prawdziwą kiełbasą?

– Nieźle to wykombinowałeś – pochwalił go Madera, ale mimo to rozglądnął się czujnie dokoła. – Daleko jeszcze?

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Musimy przejść koło magazynu żywności i potem już tylko pięćdziesiąt metrów dzieli nas od profesora.

– Stój – polecił cicho Polak, sam zastygając w bezruchu i przygniatając ręką Drobkova do ściany. – Cofnij się i oprzyj plecami o ścianę.

– Co się stało? – zapytał Stiepan, wykonując jednak polecenie.

– Tam, z lewej strony... – Janek pokazał ręką kierunek, skąd dobiegły ich delikatne błyski ognia, jakby ktoś usiłował zapalić zapałkę. – Zostań tu i nie ruszaj się.

– Czekaj. – Maschadow chciał go zatrzymać, ale Madera zniknął za zasłoną śnieżycy.

Le Petit Jean był pewien, że pod ścianą budynku, który Stiepan określił jako magazyn żywności, ktoś próbuje zapalić papierosa. No, tak, pomyślał, wszystko może być pozbawione warty, ale nie zapasy żywności. O tym, cholera, zapomniałem. Cicho obiegł barak od tyłu tak, żeby wiatr wiał mu prosto w twarz. Powoli wyjrzał zza rogu. Od mężczyzny dzieliła go szerokość baraku. Około czternaście metrów. Jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie. Właśnie udało mu się zapalić zapałkę i jej płomień oświetlił twarz. Madera pochylił się i zagarnął rękoma śnieg. Po chwili kula śnieżna bezszelestnie przeleciała nad głową strażnika. Nerwowo odwrócił się w stronę, skąd doszedł go cichy odgłos upadającej kuli, próbując jednocześnie ściągnąć zawieszony na ramieniu karabin. Wystarczyły dosłownie dwie sekundy na pokonanie dzielącej ich odległości. Nieznajomy co prawda odwrócił się w stronę napastnika, ale zdążył tylko otworzyć usta. Potężny cios powalił go bezgłośnie na ziemię, pozbawiając życia. Tylko szeroko wytrzeszczone oczy błyszczały białkami, jakby nie mogąc się pogodzić ze śmiercią. Polak sprawnie wciągnął bezwładne ciało pod ścianę baraku. Dotknięcie aorty szynowej utwierdziło go, że cios osiągnął swój cel. Strażnik już nigdy nie dokończy zapalonego papierosa, który właśnie zgasł w zaspie śnieżnej. Madera rozglądnął się uważnie, sprawdzając, czy mężczyzna nie miał przypadkiem towarzystwa, ale dookoła słychać było tylko szum wiatru. Przysypał martwe ciało śniegiem i powrócił do Stiepana i Drobkova.

– Niedobrze – powiedział, nachylając się nad siedzącym Czeczenem. – Musiałem unieszkodliwić strażnika.

– To fatalnie – odparł wyraźnie zmartwiony. – Chociaż z drugiej strony, o jednego skurwysyna mniej. Ale to może nam przysporzyć nieprzewidzianych kłopotów.

– Zakopałem ciało w śniegu. Do rana nie powinni go odkryć. Teraz...

– Poczekaj – przerwał mu Maschadow. – Muszę się chwilę zastanowić.

– Nad czym?

– Nad tym, czy nie możemy tego faktu jakoś wykorzystać.

– Moglibyśmy go wsadzić do celi razem z Drobkowem – zaproponował Madera.

– Myślałem o tym, ale nie jest to najlepszy pomysł. Jedno-znacznie wskazywałby, że jego zabójstwo ma związek ze zniknięciem profesora. Zabójstwo strażnika to jedna z nielicznych sytuacji, która pobudza do działania te zapijaczone mordy. Ścigaliby nas do końca życia.

– Co proponujesz?

– Musimy zaaranżować wszystko tak, żeby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. – Maschadow rozglądał się, jakby chciał wzrokiem przebić gęstą ścianę śniegu. Nagle poderwał się i zdecydował: – Szybko, musimy go przenieść.

– Dokąd?! – krzyknął Madera, ale Czeczeniec, ciągnąc ze sobą Drobkowa, zniknął mu z oczu.

– Bierz go za nogi – polecił Stiepan, gdy nie bez trudu wykopali ciało strażnika ze śniegu – i chodź za mną.

– Gdzie ty, do jasnej cholery, idziesz? – zdenerwował się Madera, podążając za nim. – Jeśli nas teraz nakryją, to nawet nie zdążymy pierdnąć i już polecimy za tym tu.

– Nie gadaj, tylko pomóż Drobkowowi – zganił go Maschadow. – Mamy jeszcze parę metrów.

– Co to? – zapytał z ciekawością Polak, gdy ułożyli nieboszczyka na śniegu.

– Latryna – odparł Stiepan.

– Latryna?!

– Nie marudź. Ściągnijcie mu spodnie.

– No jasne! – wykrzyknął, gdyż w tym momencie zrozumiał pomysł.

– No, i jak ci się podoba? – zapytał Stiepan po niespełna trzech minutach.

Latryna stała na lekkim podwyższeniu. Żeby się do niej dostać, trzeba było pokonać cztery oblodzone i ośnieżone stopnie. Pierwszy, który rano będzie chciał z niej skorzystać, zobaczy karabin oparty o otwarte drzwi, a poniżej wystające ze śniegu nogi z opuszczonymi do połowy łydek spodniami.

Reszta ciała będzie spoczywała w śniegu. Nikt nie będzie miał wątpliwości, że pijany strażnik stracił równowagę, sięgając po papier, i spadł ze schodów. Złamał sobie kark. Zadowoleni ze swojej kompozycji ruszyli w stronę karceru, a śnieg powoli zakrywał ślady ich obecności.

Żeby dotrzeć do drzwi celi, trzeba było pokonać kilka schodów wiodących w dół. Madera ostrożnie zszedł za Maschadowem ciągnącym słaniającego się Drobkowa. Postawili wielki termos na ziemi. O ile na górze można było od czasu do czasu zobaczyć coś w mdłym świetle nielicznych lamp, to tu, na dole, panowała idealna ciemność i cisza. Madera słyszał tylko przyspieszony oddech agenta, a po chwili jego uszu dobiegł chrzęst kruszonego lodu.

– Przysuń termos jak najbliżej drzwi – dobiegł go szept Stiepana. – I otwórz pokrywę.

– Okej – odparł i wykonał polecenie.

– Teraz zamknij pokrywę, żeby woda nie zamarzała – polecił Maschadow, gdy udało mu się za pomocą gorących noży przepołować kulę lodu i ostrożnie położyć ją na ziemi. – Pamiętaj, tu ją położyłem!

– Mam – odpowiedział Madera, gdy w ciemnościach, pochylony, wyczuł pod palcami dwie bryły lodu. – Wchodzimy?

– Tak. Tylko powoli – szepnął Stiepan i gdy Madera wszedł do wąskiego korytarza, popychając przed sobą Drobkowa, zamknął za nimi drzwi. Po chwili rozbłysła mała latarka. W jej świetle zobaczyli ciasne pomieszczenie celi. Ściany i sufit tworzyły pokryte szronem belki, podłogę zmarzniętą i udeptaną ziemię, a łóżko – wiązka przegnitej słomy i liści. Ani stołu, ani krzesła, tylko brudne wiadro w rogu.

– Kto tu jest? – zapytał męski głos i jednocześnie z kąta poderwała się na nogi okutana w łachmany postać.

– To ja. Jan Madera.

– Co?! Kto? Tutaj?! – Zaskoczenie odebrało profesorowi zdolność logicznego mówienia. – Niemożliwe... To sen, jakiś sen...

– To nie sen, profesorze – odezwał się Stiepan. – Jesteśmy razem z Jankiem Maderą. Pańska udręka zbliża się ku końcowi.

– Nie, to niemożliwe – wyrwany z letargu Kobalt nie mógł uwierzyć. – To musi być sen. Zbyt piękne, by było prawdziwe. Pan tutaj, panie Jasiu, na końcu świata?

– To nie sen – powtórzył Stiepan. – Przyszliśmy, aby uwolnić pana i zawieźć do Polski.

– Mój Boże... – Profesor zachwiał się i gdyby nie refleks Madery, zapewne upadłby na ziemię. – Skąd się tu wzięliście? Jak? To nie do uwierzenia.

– Profesorze! – przerwał te okrzyki Maschadow. – Nie mamy czasu. Proszę

przede wszystkim się przebrać.

Madera podał profesorowi puchowy kombinezon, buty, rękawice i czapkę. Kobalt zgrabiętymi od zimna palcami próbował ściągnąć obozowe łachy. Widząc, że sobie nie poradzi, Madera ściągnął rękawice i sprawnie przebrał Kobalta. Gdy skończyli, Stiepan podał Kobaltowi kubek.

– Co to?

– Herbata z samogonem i dużą ilością cukru. Powinna panu dodać sił do marszu.

W czasie gdy profesor pił gorący napój, Maschadow wprowadził do celi Drobkowa i pchnął w kierunku prymitywnej pryczy.

– Dziękuj Panu Bogu – powiedział Stiepan. – Masz okazję chociaż raz w życiu zrobić dobry uczynek.

Kto tu jeszcze jest? – chciał zapytać Kobalt, ale Madera pociągnął go za rękę i wyprowadził na zewnątrz. Mroźne powietrze odebrało im mowę. Po chwili drzwi zamknęły się z delikatnym stukiem, a po paru minutach na skoblu zawisła wielka lodowa kula, w której nawet najbardziej wprawne oko nie zauważyłoby cieniutkiej rysy. Zresztą i ona zniknie po kilku kwadransach. Trzy zgarbione sylwetki rozpoczęły walkę ze śnieżycą, aby dotrzeć do oczekujących sań. Brnęli w śniegu po kolana przez cichy, uśpiony obóz. Kobalt, podtrzymywany przez silne ramiona, mógł spokojnie myśleć. Ileż to razy marzył o ucieczce z tego piekła? Wyobrażał sobie, że grupa czeczeńskich wojowników wpadnie do obozu i wśród strzelaniny odbije go z rąk strażników. A tu w ciszy, pod osłoną nocy, zjawił się ten szalony woźnica w towarzystwie Madery i spokojnie, jakby chodziło o spacer, wyprowadzili go z karceru. Za chwilę dotrą do sań, a po kilkudziesięciu minutach wejdzie do ciepłego i jasnego domu Stiepana. Kobalt, wyrwany ze snu, zaskoczony, nie mógł zebrać myśli i poddał się biernie poleceniom przybyszów.

Tam, w celi, był zbyt zdenerwowany i zaskoczony, żeby logicznie myśleć. Zadziałał instynkt. Teraz, gdy wraz ze zmęczeniem i zimnem powracał spokój, pojawiły się dziesiątki pytań. Skąd się tu wziął Madera? Jak wydostaną się z tych wiecznych śniegów? Kobaltowi przypomniła się kilkudniowa podróż pociągiem i nagle wydało mu się zupełną niemożliwością, żeby można było wydostać się stąd inaczej niż pociągiem. Ale przecież to niebezpieczne! Tak rozmyślając, nawet nie zauważył, jak dotarli do sań. Gunter, który cały czas miał podsłuch tego, co się działo w obozie, przygotował już konie do drogi. Ruszyli, gdy jeszcze Madera nie zdążył ściągnąć termosu z pleców. Lekko się zachwiał, lecz sprawnie uwolnił się od ciężaru, a potem owinał profesora dodatkowym kożuchem.

– Jak się pan czuje, profesorze?! – starał się przekrzyknąć wicher.

– W porządku. – Kobalt dyszał z wysiłku. – To dzięki woźnicy, przepraszam, dzięki Stiepanowi mam niezłą kondycję. Gdyby nie jego dokarmianie, nie byłbym w stanie tu dotrzeć.

– Przepraszam, profesorze, ale rozumie pan, że pośpiech był tu wskazany.

– Oczywiście, oczywiście. Skąd pan się tu wziął?

Madera tylko się zaśmiał.

Bezszelestnie otworzył drzwi, stanął na progu i ogarnął wzrokiem pomieszczenie, do którego zamierzał wejść. Był sam. Madera pomagał Stiepanowi zaprowadzić konie do stajni. Ogień trzaskający na kominku rozświetlał mrok, tworząc atmosferę ciepła, spokoju i bezpieczeństwa. Nagle po jego zarośniętych policzkach zaczęły spływać słone krople. Obraz pokoju zamglił się i rozplynął. Nie bronił się przed płaczem, chociaż w innych okolicznościach wyglądałby śmiesznie. Teraz czuł, że nadszedł czas na łzy. Przez wiele dni, nocy, tygodni i miesięcy, wyrwany z domu, od rodziny i przyjaciół, torturowany, poniżany i zmuszany do nadludzkiej pracy, był twardy. Jego oczy były suche, choć nieraz dusza płakała. Na zewnątrz był niewzruszony jak głąz, nawet wtedy gdy po raz pierwszy zabił w obronie swej godności i wtedy, gdy pozbawił życia obozowego kapusia, choć tak naprawdę nie musiał tego robić. Zadziałał instynkt. Jak u zwierzęcia. Tak, był zwierzęciem. Przez te ostatnie miesiące był zwierzęciem. Dzięki temu przeżył. Nikogo nie skrzywdził złośliwie. Pomagał. Jednak w większości wypadków starał się nie widzieć krzywdy współtowarzyszy niedoli. To była jedyna droga, żeby nie zwariować. Teraz koszmar się kończył, choć do wolności, do powrotu do domu, było bardzo daleko. Zbyt wstrząśnięty i zaskoczony biegiem wydarzeń poddał się im bezwolnie, ślepo wierząc Stiepanowi i Maderze. Narażali swoje życie, by jego wyciągnąć z piekła. Czy kiedyś będzie mógł odwdziżyć się im za to poświęcenie? Kiedy? Co go jeszcze czeka? Pytania cisnęły się do głowy wartkim strumieniem, powoli znikało uczucie bezpieczeństwa, a pojawiał się niepokój o przyszłość. Niepokój, z którym skutecznie walczył od momentu porwania. I pewnie rozkleiłby się całkiem, gdyby z rozmyślań nie wyrwało go skrzypnięcie drzwi. Otrząsnął się jak ze snu i ogarnął wzrokiem izbę, starając się znaleźć źródło dźwięku. Po lewej stronie w rogu, w ciemnym otworze drzwi, zamajaczyła jakaś postać. Pamięć przywołała obraz z jakże odległej przeszłości. Chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle.

– Michał? – Ten głos, pełen niepokoju, był mu doskonale znany, choć nie jej obraz przywołał niepokorny mózg. Kobieta, teraz już bez wahania, wykrzyknęła: – Michał! To ty!

Zanim zdążył zareagować, przebiegła przez izbę i zarzuciła mu ręce na szyję. Łzy znowu zwilżyły jego policzek. Może to i dobrze. Nikt nie domyśli się, że wcześniej były tam jego własne łzy.

– Magda! Ty tutaj? – wykrzyknął zaskoczony. Widocznie dzisiejszy dzień postanowił go obdarzać coraz to nowymi niespodziankami. – Skąd się tu wzięłaś? Czy możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje?!

– Powoli, profesorze. Na wszystko przyjdzie czas. – Kobieta opanowała już swoje wzruszenie, wycierając rękawem łzy. Znowu była młodą, energiczną reporterką Radia Smog FM. – Teraz musisz się przede wszystkim wykapać i przebrać w czyste ubranie. Potem coś zjesz i wtedy powoli będziemy sobie wszystko opowiadać. A teraz zrzucaj te łachy. O! Właśnie idzie Jasiu. Zaraz wszystko spali.

– Jak się pan czuje, profesorze? – zapytał Madera z troską w głosie.

– Dawno już nie czułem się tak dobrze. Tylko jestem okropnie słaby – przyznał ze wstydem. – Madziu, czy przygotowałaś kąpiel dla pana profesora?

– Tak. Beczka pełna gorącej wody czeka.

– Zatem chodźmy, profesorze. – Wskazał ręką drzwi, którymi weszła Magdalena. – Jak przyjdzie Stiepan, to niech pokaże Gunterowi, skąd przynieść drewno. Jutro nie będziemy mogli przez cały dzień opuszczać domu.

– To kiedy w takim razie wyruszamy? – zaniepokoił się profesor.

– W nocy, o ile do tego czasu odzyska pan siły.

– Dzięki temu człowiekowi mam siłę. Gdyby nie jego dokarmianie, już dawno podążyłbym śladem moich przodków. Jak ja się wam odwdzięczę? – Kobalt był wzruszony.

– Niech pan nie myśli o tym w tej chwili. Chodźmy. Kąpiel czeka. – Madera, niczym angielski kamerdyner, otworzył przed profesorem drzwi i delikatnie, lecz stanowczo ujął go pod ramię.

Dochodziła szósta rano, kiedy w domu Stiepana Maschadowa uciekinierzy kładli się spać. Całą noc toczyła się ożywiona dyskusja pomiędzy profesorem a dwójką Polaków. Profesor po gorącej kąpieli zgolił brodę. Tylko długie włosy, spadające na ramiona, przypominały o ostatnich miesiącach. Twarz co prawda blada, lecz nie wychudzona, potwierdzała, że dożywianie zorganizowane przez młodego Maschadowa nie poszło na marne. Te same błyszczące oczy baczenie spoglądające na słuchacza, cieszyła się Magda. Może był trochę bardziej milczący, może nie reagował tak żywiołowo jak dawniej. Magdalena wpatrywała się w profesora, nie mogąc uwierzyć, że ktoś odważył się go torturować i więzić. Czy to możliwe, że kiedyś wydawało jej

się, iż jest w nim zakochana? Czy na pewno jej się wydawało? Udzielił się jej podniosły nastrój panujący w tej prostej, chłopskiej izbie oświetlanej płomieniami padającymi z kominka. Profesor łapczywie pochłaniał informacje o swojej rodzinie. Musieli mu powtarzać po parę razy, że jego żona dzielnie znosiła złe wiadomości. Najpierw o jego zniknięciu, potem o jego śmierci. Z bolesnym rozbawieniem wysłuchiwał relacji o swoim pogrzebie. Natomiast zmartwił się informacjami o zupełnym braku pomocy ze strony władz polskich, a zdenerwował, gdy Magdalena opowiedziała mu o dwuznacznym zachowaniu Johna. Natomiast gdy się dowiedział, że mają telefon satelitarny, który otrzymali z rozgłośni radiowej na tę wyprawę, od razu chciał dzwonić do Polski. Po chwili jednak sam doszedł do wniosku, że jeszcze za wcześnie, za daleka ich czeka droga i zbyt wiele czyha na nich niebezpieczeństw. Kiedy z butelki szkockiej, którą Madera wziął ze sobą specjalnie na tę chwilę, spadła do szklanki ostatnia kropla i wzniesiono ostatni cichy toast za szczęśliwą drogę, zmęczeni położyli się na prymitywnych pościeliach.

W czasie gdy w chacie Stiepana ostatni gość zasypiał, Drobkow został wyprowadzony przez strażnika z karceru i dostarczony na plac apelowy. Nie protestował. Wytrzeszczone szkliste oczy prawie nic nie widziały, pomimo to rozglądał się ciekawie. Niczego nie pamiętał. Niczego nie rozumiał. Wieczorna wędrówka z termosem na plecach, szok, jakiego doznał, gdy zatrzasnęły się drzwi karceru, wreszcie noc spędzona w ciemnej i zimnej celi, wprowadziły go w stan skrajnej depresji. Zapomniał, jak się nazywa, skąd się tu wziął, nie wiedział, gdzie jest. Nie czuł nawet głodu. Trząsał się z zimna i bredził niezrozumiale. Jako ostatni w długiej kolumnie więźniów wyruszył do pracy w lesie. Przy bramie odebrał swoją porcję żywności składającą się z dwóch kromek czerstwego chleba, która więźniom miała wystarczyć do powrotu. Po nocnej śnieżycy nie było śladu. Niebo było co prawda przykryte chmurami, ale wiatr ustał i nie spadł ani jeden płatek. W świeżo nasypanym śniegu kolumna więźniów zostawiała ślad w kształcie sinusoidy. Szli powoli, prowadzeni przez strażników na koniach, którzy w panujących jeszcze ciemnościach wyznaczyli kierunek marszu. Pokonanie paru kilometrów w puszystym śniegu zajęło im więcej czasu niż zwykle. Strażnicy, skacowani po nocnym pijaństwie, nie dali chwili wytchnienia więźniom, tylko od razu zapędzili ich do pracy. Drobkow bez zdziwienia wziął ogromną siekierę i razem z innymi powoli ruszył na wyręb. Niezdarnie brnąc w świeżym śniegu, stracił z oczu plecy ostatnich więźniów. Obejrzał się za siebie. Gęsty las oddzielał go od strażników leczących kaca przy ognisku. Ich zmęczone

głosy docierały przytłumione przez zarośla. Drobkow zatrzymał się na chwilę, jakby się namyślając. Dokładnie się rozejrzał. Był sam pośród uginających się od ciężaru śniegu drzew. Po chwili bezruchu ruszył szybko w kierunku najgęstszych zarośli, strącając z gałęzi śnieg, który wspaniale maskował jego ślady.

Dawno i bezpowrotnie minęły czasy, kiedy Konstantyn Wołkow po całonocnym pijaństwie wstawał rano i wypiwszy na czczo pół szklanki samogonu, wyruszał rześki i wypoczęty jak niemowlę na kontrolę obozu. Gdy pojawiał się na placu apelowym, nie było człowieka, czy to więźnia, czy strażnika, który na jego widok nie zdrząłby ze strachu. Zdawał sobie z tego sprawę i lubił, gdy w oczach zgromadzonych widział strach i niepewność. Wiedział, że każdy z nich starał się być przez tę chwilę jak najbardziej zwyczajny i nie zwracać na siebie uwagi. Wzrok wbity w śnieg pod stopami, wyprężeni jak struny, gdyby mogli, staliby się niewidzialni. Kto miał pecha i zwrócił na siebie uwagę komendanta, w najlepszym wypadku przez kilkanaście dni nie mógł ruszyć ręką ani nogą, lecąc odniesione obrażenia w prymitywnych warunkach. Parę razy zdarzyło się, że wybraniec komendanta nie był w stanie o własnych siłach opuścić placu apelowego. Zostawał wtedy w miejscu, gdzie padł, a wieczorem był zabierany przez współwięźniów i chowany w prymitywnej mogile. Te czasy bezpowrotnie minęły. Lata systematycznych pijaństw, nieprzespanych nocy, setki tysięcy wypalonych papierosów zniszczyły zdrowie Wołkova. Dwa lata temu, gdy pierwszy atak trzustki pozbawił go przytomności, lekarz kategorycznie zabronił mu picia alkoholu i palenia papierosów. Ale Wołkow nigdy nie przejmował się gadaniem konowałów, jak zwykł nazywać lekarzy. Tylko przebudzenia były coraz trudniejsze. Coraz rzadziej wychodził na plac apelowy znęcać się nad więźniami. Coraz częściej w czasie snu po obfitym pijaństwie męczyły go koszmary. Pojawiały się twarze zakatowanych więźniów, wykrzywione w straszliwych grymasach. Obrazy nakładały się na siebie. Stłumione głosy domagały się jego śmierci. Coraz częściej mroczne zjawy przybijały go do krzyża, wbijając mu w bok włócznię. Budził się wtedy z krzykiem, gnębiony atakiem przeżartej przez alkohol trzustki. Wlokąc się na czworakach do stołu, sięgał po butelkę samogonu. Najczęściej po opróżnieniu połowy padał na podłogę i zamroczony ni to zasypiał, ni tracił przytomność. Koszmary pojawiały się znowu, wykrzywiając w uśmiechu bezzębne usta, chichocząc, mlaskając, cmokając. Budził się wtedy i wymiotował. Jeżeli dał radę dotrzeć do łazienki, to pół biedy, jeżeli był na to za słaby, robił to pod stołem. Zasypiał znowu, lecz wtedy najczęściej

pojawiła się twarz żony i synka. Uśmiechnięci, piękni. Jacy wtedy byli szczęśliwi. Jednak obraz ten błyskawicznie zniknął i krystalizował się następny. Brudna ulica, przewrócony dziecięcy wózek, dwa ciała leżące w topniejącym śniegu i pijany, słaniający się na nogach kierowca rządowej czajki. Wtedy zaczął się jego koszmar. Kierowcą okazał się wysoki oficer KGB, który zaraz na drugi dzień wysłał Konstantyna Wołkowa do obozu numer tysiąc czterysta dwadzieścia pięć jako zastępcę komendanta. To było dwadzieścia pięć lat temu. Ćwierć wieku. Połowa życia. Po takich nocach budził się w fatalnym nastroju, a nie mając siły wyjść na zewnątrz, znęcał się nad podwładnymi. Nic więc dziwnego, że modlili się w duchu, aby jak najdłużej spał i nie opuszczał swojego pokoju. Jednak w ten październikowy poranek, po całonocnym pijaństwie, dyżurny lejtnant Waleryj Sukin odważył się obudzić komendanta.

– Towarzyszu komendancie – pomimo zmiany ustroju nadal tytułowano Wołkowa „towarzyszem” – niech pan wstanie.

– Czego chcesz? – zapytał, nie otwierając oczu. – Nie widzisz, że śpię?

– Bardzo przepraszam, towarzyszu komendancie – tłumaczył się spocony ze strachu strażnik – ale przyszedł rozkaz od generała.

– Od którego?

– Od Kriuczkowa.

– Czego ta kanalia chce? – zapytał, z trudem siadając na łóżku.

Strażnik podał mu zapisany kawałek papieru. Wołkow rozglądnięty się za swoimi okularami, po czym machnąwszy ręką, przybliżył pismo niemalże do samego nosa. Rozkaz faktycznie podpisany był przez Kriuczkowa i zobowiązywał komendanta obozu tysiąc czterysta dwadzieścia pięć do natychmiastowego umycia, ogolenia, odziania w najlepsze ubranie i dostarczenia do dowódcy rejonu polskiego więźnia, Michała Kobalca.

– Polak dalej w karczerze?

– Nie, towarzyszu komendancie. Zgodnie z pana rozkazem został rano skierowany do pracy w lesie.

– Bierz konie i natychmiast jedź do lasu – rozkazał. – Tylko się pośpiesz.

– Tak jest! – Strażnik zaszalutował i już miał opuścić pokój komendanta, gdy ten krzyknął:

– Przynieś mi jeszcze butelkę wódki!

W niespełna pół godziny Sukin dotarł do polany, na której strażnicy grzali się przy ognisku. Po drodze uświadomił sobie, że ze strachu zapomniał powiedzieć komendantowi o śmierci Bykowa, którego rano znaleziono na schodach latryny.

– Hej, Wołodia – krzyknął, zeskakując z sań. – Dawaj tu natychmiast Polaka.

Komendant dostał rozkaz, aby go jak najszybciej dostarczyć do dowódcy rejonu.

– Misza, gdzie ten Polak dziś robi? – zapytał Wołodia, nie ruszając się od ogniska.

– Nie wiem. Chyba trzeba będzie zrobić zbiórkę.

– No to, kurwa, zróbcie zbiórkę – zdenerwował się Sukin.

Nagle ciszę październikowego przedpołudnia przerwały gwizdki i krzyki strażników, którzy rozbiegli się w poszukiwaniu kolejnych grup więźniów. Po dziesięciu minutach polana zapełniła się ludźmi wystraszonymi nagłą zbiórką. Nigdy o tej porze się to nie zdarzało. Jeżeli dziś strażnicy przerwali pracę, to musiało się wydarzyć coś naprawdę ważnego. Ze strachem spoglądali na Wołodię Sroczkowa, który był najwyższy stopniem wśród pilnujących ich strażników.

– Polak, wystąp! – krzyknął, gdy na polanę dotarli już wszystkie grupy i ustawiły się w dwuszeręgu. Odpowiedziała mu cisza. Przestraszeni więźniowie spoglądali na swoich partnerów, lecz nikt nie widział Michała Kobalta.

– No, co jest, kurwa?! – wrzasnął zniecierpliwiony Sroczkow. – Kolejno odlicz!

– Jeden, dwa, trzy – padały kolejno okrzyki więźniów.

– Brakuje jednego – stwierdził Sroczkow po sprawdzeniu liczby więźniów, którzy opuścili bramę obozu. – Natychmiast, kurwa, znaleźć mi tego zasrańca. No, ruszać się. Biegiem!

Znowu rozległy się gwizdki i krzyki strażników. W ciągu minuty polana opustoszała. Grupy więźniów pod kierunkiem strażników rozbiegły się po lesie w poszukiwaniu Polaka. Wrócili po pół godziny, lecz żadna z grup nie natknęła się na ślad Kobalta.

– No, to kurwa, pięknie – podsumował akcję Sroczkow. – Zachciało się zasrańcowi ucieczki. Zdechnie jak pies w lesie i nikt nigdy go nie znajdzie. Ty, Sukin, zamelduj komendantowi, że więzień Kobalt uciekł mimo naszego nadzoru. Nie chcieliśmy strzelać do niego, bo i tak, jak nie wróci do obozu, to zginie w lesie.

– Jak to nie chcieliście strzelać? – zapytał Sukin, nie rozumiejąc słów Sroczkowa. – Przecież nikt z was nie widział uciekającego Polaka!

– Ty nie bądź taki mądry, bo długo nie pożyjesz! – wrzasnął Sroczkow. – Zamelduj komendantowi, że pomimo naszej pogoni więzień Kobalt uciekł, a nie chcieliśmy go zabijać, aby dać mu szansę powrotu do obozu. Zrozumiałeś!?

– Tak, ale...

– Żadne, kurwa, ale – przerwał mu Sroczkow. – Jeśli ci życie miłe, to powtórz komendantowi to, co ci kazałem, a zapomnij o tym, co tu widziałeś. Jasne?

– Jasne! – krzyknął Sukin, wskakując do sań.

– Jak to, kurwa, uciekł? – wrzeszczał Wołkow, gdy Sukin zameldował mu o ucieczce Polaka. – A gdzie byli strażnicy?

– Towarzyszu komendancie – nieśmiało zaczął Sukin – Sroczkow i jego ludzie gonili zbiega, lecz był od nich szybszy. Nie chcieli do niego strzelać, aby dać mu szansę powrotu do obozu. Inaczej zginie w lesie.

– I kogo ja mam teraz wysłać do rejonu? No, bądź taki mądry i odpowiedz mi. Kogo ja, do kurwy nędzy, mam wysłać generałowi? Przecież jak dowie się o ucieczce, to da nam tak popalić, że długo będziemy to pamiętali. Szlak trafił ten dzień!

– Ale to nie wszystkie nieszczęścia, towarzyszu komendancie – powiedział Sukin.

– Co jeszcze, kurwa, się stało?

– Zginął strażnik Bykow.

– Jak to zginął?

– Spadł ze schodów latryny.

– I nie żyje? – dopytywał Wołkow.

– Nie żyje. Zamarzył na kamień – wyjaśnił strażnik.

– To wspaniale! – wykrzyknął po chwili milczenia komendant. – To wspaniale! Jedź natychmiast do wsi po lekarza. Tylko się pospiesz. Aha, zawołaj mi tu zastępcę!

Maschadow, który nie uczestniczył w nocnych rozmowach Polaków, miał wystarczająco dużo snu, by jego organizm zregenerował się po wysiłku. Obudził się więc jak zwykle równo ze wschodem słońca. Zresztą, miał zbyt wiele spraw do przemyślenia, żeby spać spokojnie. Pozostawienie Drobkowa w karczerze zamiast profesora rozwiązywało wszystkie problemy Madery, ale dla niego, Stiepana, stwarzało wielkie niebezpieczeństwo. Był pewien, że już po pół godzinie od wyjścia z karczeru Drobkow szczegółowo opowie o jego roli, a wtedy nie uniknie aresztowania. Musiał to wyprzedzić. Postanowił, nie mówiąc nic Maderze, razem z nimi opuścić na zawsze swoją chatę. Był spalony. Przed wyjazdem musiał jednak zlikwidować wszelkie ślady swojej działalności, dlatego zaraz po przebudzeniu zaczął opróżniać skrytki i pakować ich zawartość na sanie. Właśnie kończył maskować na saniach zawartość kolejnego schowka, gdy spostrzegł pędzący drogą zaprzęg. Dymitr Riabuszkin, strzelając z bata, wyciskał z koni siódme poty. Maschadow

wyszedł mu naprzeciw.

- Prrrrr! – Strażnik na jego widok zatrzymał konie w miejscu.
- Dokąd to tak pędzisz, jak diabeł po duszę? – przywitał go Stiepan, siląc się na wesołość. – Zagonisz konie na śmierć.
- A do ciebie jadę – odparł strażnik.
- Do mnie? – zdziwił się. – Czyżby wam samogonu brakło?
- E tam, jeszcze nam zostało. – Samo wspomnienie nocnej pijatyki, której fundatorem był Stiepan, poprawiło samopoczucie Riabuszkin. Przez tego przekłętą Polaka zamiast siedzieć razem z innymi w ciepłym baraku i leczyć kaca samogonem, musiał teraz pędzić do domu tego dziwaka, a w powrotnej drodze zboczyć parę kilometrów do wsi i zabrać lekarza. Stary, niedowidzący doktor nie potrafił już co prawda odróżnić kataru od biegunki, niemniej był jedyną osobą w promieniu kilkuset kilometrów mającą uprawnienia do wypisywania aktów zgonu. Rzadko korzystano z jego usług, gdyż po pierwsze mało kto wymagał aktu zgonu w wypadku śmierci więźnia, a po drugie wizyty starego doktora pustoszyły skromne zapasy samogonu. Teraz, po śmierci strażnika Bykowa, musiał jednak przyjechać do obozu, a to groziło utratą resztek darowizny Maschadowa. – Chociaż mam przywieźć starego doktora, to zapewne braknie. Ale jadę do ciebie z rozkazu Wołkowa.
- Czego chce ode mnie? – zapytał nerwowo Maschadow.
- Uciekł ten Polak i mam sprawdzić, czy nie ma go u ciebie – wyjaśnił Riabuszkin.
- Całkiem mu już odbiło – skwitował informację Stiepan, chociaż świadomość, że w jego domu oprócz Kobalta jest jeszcze trójka innych osób, o których zapewne opowiedział Drobkow, wywołała lekki dreszcz. – Nie wierzę, żeby ten Polak uciekł. Był na to za słaby. A poza tym, jak można uciec z karceru?
- O to chodzi, że rano wypuściliśmy Polaka z karceru i poszedł normalnie do pracy, do lasu – zakończył Riabuszkin.
- Po wyjściu z karceru nie każdy ma siłę chodzić, a co dopiero ciężko pracować – odpowiedział przyjaźnie Maschadow, jednocześnie zastanawiając się, czy strażnik bierze go pod włos, znając prawdę po przesłuchaniu Drobkowa, czy też w ogólnym zamieszaniu skacowani strażnicy nie zauważyli podmiany. Tylko dlaczego Drobkow uciekł? A może się zgubił? Tak czy siak, zapewne już zamarzł. Martwy nic nie powie. – Jeśli poszedł do lasu, to pewnie gdzieś się zamelinował na chwilę i nie ma się czemu dziwić.
- Nie – zdecydowanie odpowiedział strażnik. – Liczyliśmy wszystkich więźniów i jak brakło Polaka, to przeszukaliśmy wszystko wokół. Nie miał

szans się schować.

– A po co liczyliście więźniów? – Stiepan z trudem skrywał ciekawość.

– Przyszedł rozkaz, żeby dostarczyć Polaka do dowództwa rejonu – wyjaśnił.

– Po co? – zapytał szybko, lecz Dymitr był zbyt zajęty myślą o wizycie doktora i stracie samogonu, żeby zwrócić uwagę na dociekliwe pytania Stiepana.

– Nie wiem. Komendant gdy dowiedział się, że Polak uciekł, to od razu wysłał mnie po lekarza.

– A po co wam lekarz? – Maschadow starał się odwrócić uwagę Stiepana od Kobalta, zmieniając temat. I tak dowiedział się aż nazbyt wiele. Muszą zmienić plan powrotu, nie wiadomo, jak zachowa się dowódca rejonu na wieść o ucieczce Kobalta. To nie Wołkow. Jego nie można przekupić kilkoma litrami samogonu, a chociażby nawet można było, to nie ma do niego dojścia.

– Bykow spadł ze schodów do latryny i skręcił sobie kark – wyjaśnił Riabuszkin. – Potrzebny będzie akt zgonu.

– Aha – powiedział Stiepan i na chwilę zamilkł, jakby się zastanawiając. – To możesz spokojnie jechać po doktora.

– No tak... – Riabuszkin podrapał się po głowie i odparł: – Ale rozkaz to rozkaz, muszę sprawdzić, czy Polaka u ciebie nie ma.

– Jak musisz, to sprawdzaj – odpowiedział spokojnie Maschadow, lecz pomyślał, że Riabuszkinowi chodzi nie tyle o Kobalta, co o zapasy samogonu, które spodziewał się znaleźć w jego domu.

Riabuszkin, który co prawda nie darzył szacunkiem swojego przełożonego i uważał go za przeżartego wódką, niezdolnego do logicznego myślenia starego pierdołę, bał się jednak jego napadów szału. Pamiętał też, że Stiepan stanął w obronie Polaka i gotów był zabić strażnika, gdyby ten nie posłuchał jego prośby. A poza tym zawsze hojnie obdarowywał ich samogonem. Co prawda za pomoc więźniów przy wyrębie i załadunku drewna, ale zawsze. Było to wszystkim na rękę i bez dostaw Maschadowa trudno byłoby przeżyć w tym kieracie, dlatego cały czas myślał, jak wypełnić rozkaz komendanta, nie urażając przy tym Maschadowa. Rozkaz według niego, Riabuszkina, bezsensowny, gdyż jeżeli ten pieprzony Polak uciekł, to na pewno nie potrafiłby znaleźć drogi do domu Maschadowa. To, że woźnica mógł pomagać Kobaltowi, nawet nie przyszło do głowy zastępcy komendanta obozu. Kilkanaście lat spędzonych na pilnowaniu więźniów nie sprzyja rozwojowi *savoir-vivre'u*, w związku z czym Riabuszkin wysilał swój mózg nad takim załatwieniem sprawy, żeby wilk był syty i owca cała. Równie

dobrze mógłby myśleć nad poprawieniem teorii względności. Efekt byłby taki sam.

Maschadow spoglądał na tępe oblicze gościa. Nie podejrzewał, że pod baranią czapą mogą zachodzić jakieś procesy myślowe. Riabuszkin, nie zsiadając z sań, lustrował obejście.

– No i co? – zapytał Stiepan. – Widzisz tu tego Polaka?

– Eee tam – niepewnie odpowiedział strażnik. – Myślę sobie, że gdybyś ukrywał Polaka, to nie zapraszałbyś mnie do środka. Zrozum, muszę wypełniać rozkazy, bo inaczej ten stary pijaczyna gotów mnie wysłać do innego obozu. Tu przynajmniej mogę liczyć, że jak pójdzie na emeryturę albo umrze, to ja zostanę komendantem. Wtedy i ty będziesz miał dobrze. A jak mnie wyrzuci, to będzie niedobrze.

– Rozumiem – odpowiedział pojednawczo Stiepan. – Poczekaj chwilę, to przyniosę ci coś specjalnego dla doktora.

Szybko wbiegł do stajni, gdzie miał schowane zapasy samogonu, mając nadzieję, że Riabuszkin, gdy zobaczy butelki alkoholu, to porzuci zamiar wejścia do domu. Jednak pomylił się w swoich przewidywaniach.

– Dzięki, Stiepan – powiedział Dymitr, troskliwie układając butelki pod siodłem – ale napiłbym się czegoś przed drogą. Trochę mnie męczy kac po wczorajszym pijaństwie, ale podobno klin klinem...

– W porządku, zaraz ci coś przyniosę. – Maschadow udawał, że nie rozumie aluzji strażnika.

– Nie. Na mrozie w żaden sposób nie idzie pić – upierał się strażnik. – Mam jeszcze trochę czasu, więc chętnie ogrzeję się przy piecu.

– No, dobra – odparł Stiepan zrezygnowany. – Tylko odwróć się, bo muszę rozbroić mój system alarmowy.

Ponownie wbiegł do stajni i dopiero po dłuższej chwili otworzył drzwi do sieni.

– No, wchodź – zaprosił strażnika do środka. – Na szczęście pod blachą jeszcze ogień nie wygasł.

– Przyjemnie tu u ciebie – pochwalił Riabuszkin po wejściu do kuchni. Chodził niespokojnie dokoła pomieszczenia, nie zdejmując karabinu z ramienia. Nagle podszedł do drzwi prowadzących do izby, gdzie spała czwórka uciekinierów. – Co tam jest?

– Moja sypialnia – odpowiedział Maschadow, z trudem zachowując normalne brzmienie głosu. – Siadaj, herbata jest już gotowa.

– Dziękuję. Można tam zaglądnąć? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

– Tak więc, drogi doktorze – mówił komendant Wołkow, nalewając gościowi kolejną szklanę samogonu – dzisiaj rano przyszedł rozkaz, aby dostarczyć tego więźnia do komendantury obwodu i to w trybie pilnym. Niestety, w nocy spadł ze schodów prowadzących do latryny i skręcił kark. A szkoda, bo porządny to był człowiek, choć Polak, i zasłużył na wcześniejsze zwolnienie.

– No cóż, życie jest czasami brutalne – odpowiedział lekarz, zagryzając samogon kawałkiem wędzonej słoniny. Szybkie tempo picia, które narzucił Wołkow, i upał panujący w jego gabinecie odnosiły zamierzony skutek. Stary doktor coraz bardziej odczuwał skutki działania alkoholu. – Ale nie ma problemu. Wystawimy mu piękny akt zgonu.

– O to chodzi. – Wołkow szybko uzupełnił pustą szklanę doktora. Jego plan zaczął się powoli wypełniać, chociaż rano, gdy doniesiono mu, że Kobalt uciekł, przeżył chwilę grozy. Owszem, czasami więźniowie uciekają, ale nigdy nie powinni uciec ci, którymi interesuje się sam generał Kriuczkow. Na szczęście lekarz nie będzie zwracał uwagi na szczegóły i wystawi świadectwo zgonu pod jego dyktando. Zanim na biurko Kriuczkowa dotrze dokument z obozu, Kobaltowi wyprawi się obozowy pogrzeb i wkrótce cała sprawa powinna przycichnąć. – Na zdrowie, panie doktorze, wypijmy jeszcze po jednym, bo na zewnątrz jest coraz chłodniej.

– Ale to już ostatni – zastrzegł doktor, po czym jednym haustem opróżnił szklanę i głośno czkając, wstał od stołu, a raczej próbował wstać, gdyż zachwiał się i gdyby nie pomoc Wołkowa, upadłby jak długi na ziemię. Bąknął: – Dziękuję... dziękuję komendancie. To ten upał. Chodź... chodźmy już. Nieboszczyk czeka, a choć ma ca... całą wieczność, to tu nie może dłużej czekać.

Sekcja zwłok, którą przeprowadził stary doktor, mogłaby z powodzeniem kandydować do księgi rekordów Guinnessa. Podtrzymywany przez dwóch strażników doktor pijanym wzrokiem wodził po magazynie drewna w poszukiwaniu denata. Mroźne powietrze przywróciło mu sprawność fizyczną na tyle, że mógł sam stać na nogach bez obawy, iż pójdzie w ślady tego, któremu miał wystawić świadectwo zgonu. Zataczając się, powoli dotarł do stołu, na którym strażnicy położyli zwłoki. Po kilkunastu próbach doktorowi udało się założyć na nos okulary.

– No, no – wymamrotał, wpatrując się w twarz martwego mężczyzny. – Dobrze tu karmicie. Już dawno nie widziałem tak zadbanego więźnia. Więc jak mówisz, kochany, spadł ze schodów i skręcił sobie kark?

– Nie inaczej, doktorze – odpowiedział komendant, dając jednocześnie znaki swoim podwładnym, aby podprowadzili doktora do stolika, gdzie czekały

przygotowane do wypełnienia formularze. – Proszę spocząć i spokojnie wypisać odpowiednie dokumenty. Jak sam pan widzi, to był nieszczęśliwy wypadek.

Po pijaństwie poprzedniego wieczora większość strażników marzyła tylko o tym, żeby następną noc przespać w swoim łóżku. Riabuszkin nie miał problemu z objęciem ponadplanowej warty nocnej. Nie musiał też długo czekać na to, by zamieszkali w obozie strażnicy położyli się spać. O pół do dwunastej, jako najstarszy stopniem, polecił trzem młodszym strażnikom przeprowadzenie inspekcji w barakach więźniów. Wiedział, że będą go za to przeklinać, ale zajmie im to około dwóch godzin, a on w tym czasie będzie sam w pomieszczeniach komendantury obozu. Punktualnie o dwunastej podniósł słuchawkę telefonu i wybrał bardzo długi numer. Po chwili usłyszał sygnał. Jeden, drugi, trzeci. Przerwał połączenie, odkładając słuchawkę. Spojrzał na zegarek i dokładnie po dwóch minutach wybrał ponownie numer. Tym razem przerwał połączenie po piątym sygnale. Znowu odczekał dwie minuty i po raz kolejny wybrał numer, by jak za pierwszym razem przerwać połączenie po trzecim sygnale. Następnie podniósł aparat i wyciszył maksymalnie dźwięk sygnału. Z ręką na słuchawce, by momentalnie ją podnieść, gdy zabrmi pierwszy cichy dźwięk, zaczął oczekiwać. Po trzech minutach usłyszał cichy sygnał. Błyskawicznie podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Dowódca nocnej warty – przedstawił się, nie podając nazwiska.
- Mam nadzieję, że to coś poważnego – powiedział Orłow. – Wiesz, że ten sposób komunikowania możesz stosować w nadzwyczajnych sytuacjach.
- Wiem. Właśnie jest taka nadzwyczajna sytuacja – tłumaczył się. – Dostaliście dzisiaj akt zgonu Kobalca?
- Tak – odparł szorstko. – A ty pomimo mojej prośby nic nie zrobiłeś.
- Tłumaczyłem ci już dwa razy dlaczego.
- To nie jest dla mnie żadne wytłumaczenie! – Orłow podniósł głos. – Jesteś za miękki i dlatego straciliśmy szansę. To może zaważyć na moim awansie.
- Niczego nie straciłeś – odpowiedział spokojnie Riabuszkin. – A możesz zyskać jeszcze więcej.
- Nie rozumiem.
- Kobalc żyje – oznajmił radośnie.
- Jak to żyje?! – krzyknął Orłow. – A akt zgonu? Jest fałszywy?
- Nie, akt zgonu jest jak najbardziej prawdziwy, tylko lekarz, który oglądał zwłoki, został wprowadzony w błąd co do tożsamości denata – zwięźle wyjaśnił bratu, jak to się odbywa.

– A Kobalt? – zapytał Orłow.
– Zniknął w lesie.
– Jeżeli jest tak, jak mówisz, to albo zamarznął, albo zjadły go wilki.
– Niezupełnie – odpowiedział. – Jestem przekonany, że Maschadow wyprowadził Kobalta z lasu i ukrył go u siebie w domu. Poczekają dzień, dwa, aż Polak nabierze sił, i wyruszą w drogę.
– A może już wyruszyli?
– Nie. Są pod obserwacją. Jak tylko ruszą się z chaty, to od razu będę o tym wiedział – nie bez dumy powiedział Riabuszkin. – Mało tego, będą mieli ogon.
– Widzę, że moje nauki nie idą na marne. – Orłow z zadowoleniem pochwalił brata. – Masz jakiś plan?
– Nie. To ty jesteś majorem.
– W porządku, ale bądź czujny i jutro w nocy czekaj na mój sygnał. Gdybyś do tego czasu dostał wiadomość, że wyruszyli w drogę, to informuj.
– Rozkaz, panie majorze! – Riabuszkin odłożył słuchawkę.
Teraz dopiero zaatakowały go wątpliwości. Łatwo powiedzieć „rozkaz, panie majorze”, trudniej wykonać. Co prawda od momentu gdy na stole w baraku zobaczył zwłoki Bykowa, a z ust komendanta usłyszał, że to jest Kobalt, wiedział, że coś tu nie gra. Początkowo podejrzewał komendanta, że pomógł Polakowi uciec, jednakże po głębszym zastanowieniu stwierdził, że do takiego czynu potrzeba odwagi, a tę komendant już dawno utopił w samogonie. Tak więc decyzję Wołkowa wywołał strach przed konsekwencjami. Zmusił pijaka doktora do fałszerstwa, licząc nie bezpodstawnie, że sprawę Kobalta przykryje gruba warstwa śniegu. Jego rozmiękczony alkoholem mózg nie przewidział, że Riabuszkin, jadąc po doktora, odwiedzi chatę Maschadowa, że zaintrygowany jego zachowaniem wejdzie do chaty, że zauważy w sypialni niedomknięte drzwi szafy, w której, był pewien, ktoś się schował. Poczł, że z ciemności szafy, zza niedomkniętych drzwi, ktoś go bacznie obserwuje. Przestraszył się. Oczywiście, że się przestraszył. Miał świeżo w pamięci atak Kobalta i groźbę Maschadowa. Już wtedy nabrał podejrzeń, że Stiepan pomaga Polakowi, ale był zbyt wielkim tchórzem, żeby to oficjalnie wykorzystać. Liczył, że przyjdzie czas zemsty, że bez ujawniania swojej roli będzie mógł patrzeć na ich koniec. I czas ten właśnie nadchodził. Z trudem opanował strach, nie dając nic poznać po sobie, i jak najszybciej pożegnał się ze Stiepanem.

Parę godzin przed niespodziewaną wizytą Riabuszkin Kobalt obudził się z krzykiem na ustach. Złany potem i przestraszony, usiadł. Nerwowo rozejrzał

się wokoło. Małe, zamrożone okienka przepuszczały śnieżną poświatę. Znajome uśmiechy twarze Magdy, Madery i Stiepana, ich spokojne oddechy uspokoiły go trochę. To był sen. Tak. Sen. Koszmarny i upiorny. Nie, to koszmarna i upiorna była jego historia, a sen? Cóż, jak sen, był odbiciem jego przeżyć, jego życia. Ileż takich nocy miał? Ile jeszcze będzie miał? Po ciężkiej, wręcz katorżniczej pracy w lesie początkowo padał ze zmęczenia na prycę i zasypiał. Wykończony fizycznie organizm nie był w stanie generować snów. Pustka łącząca wieczór ze świtem była wybawieniem. Dawła odpocząć wzburzonemu umysłowi, pozwalała na regenerację pamięci. Właśnie. Pamięć. Gdyby mógł ją sformatować tak, jak formatuje się dysk komputera! Byłoby to dla niego błogosławieństwem. Bo pamięć powoli, systematycznie przywoływała obrazy cierpień, których doznał, nim dotarł do tego zapomnianego przez Boga i cywilizację miejsca.

Wyszedł ze śpiwora i uważając, żeby nieostrożnym ruchem nie spowodować hałasu, który obudziłby pogrążonych we śnie jego wybawicieli, podszedł do małego zamrożonego okienka. Usiadł na ławie i chuchając na szybę, starał się usunąć z niej lód. Po chwili przez mały okrągły otwór patrzył na słabo widoczny, pokryty świeżym śniegiem las. Gdzieś tam w oddali był obóz. Wzdrygnął się. Jeszcze do końca nie uwierzył w to, co się wydarzyło. Był wolny. Marzył o tym od pierwszego dnia, śnił o wolności, o Agnieszce, o domu... No właśnie... sny. Pierwsze noce w obozie były puste, dopiero w miarę jak jego organizm zaczął się przyzwyczajać do ciężkiej fizycznej pracy, mięśnie pozbywały się zakwasów, traktując codzienny wysiłek fizyczny jako coś normalnego, pustka nocy zaczęła się wypełniać obrazami. Budził się wtedy z krzykiem, siadał na prycy i długo trwało, nim ponownie zasnął. W tym czasie wsłuchiwał się w odgłosy baraku. Nie był wtedy osamotniony. Co rusz któryś z jego współtowarzyszy niedoli krzyczał, jęczał, bełkotał, budził się, też zapewne pod wpływem swoich snów. Wszyscy mieli koszmarną przeszłość, wszyscy przeszli piekło tortur fizycznych i psychicznych, które miały już do końca życia budzić ich w środku nocy i zmuszać do bezskutecznych poszukiwań uspokojenia. Czy ktoś lub coś mogło usunąć tę część ich historii życia z pamięci?

Oparł czoło o szybę. Przyjemny chłód. Mój Boże, pomyślał, przyjemny chłód?! Po miesiącach spędzonych w arktycznych warunkach, gdzie jedynym i podstawowym pragnieniem było pragnienie ciepła, nie przypuszczał, że kiedykolwiek w życiu użyje określenia „przyjemny chłód”. Na chwilę odwrócił głowę. Wszyscy spali, oddychając miarowo. Zazdrościł im. Nocny koszmar, który wyrwał go ze snu, napełniał go nadal niesprecyzowanym lękiem. Bał się zamknąć oczy, by nie powrócił ze zdwojoną siłą. Podparł

brodę rękoma, oparł czoło o chłodną szybę i powrócił do obozowych nocy.

Najgorsze były te, gdy obudzony własnym krzykiem, przestraszony, siadał na pryczy i nie mógł sobie przypomnieć treści snu. Pustka w pamięci nie pozwalała racjonalnie zwalczyć strachu przed nieznanym zagrożeniem, rozluźnić napiętych jak postronki mięśni. Nie było nic racjonalnego, nic, czego jego umysł mógłby się uchwycić. Siedział wtedy, słuchając oddechów, krzyków i jęków dochodzących z kilkadziesiątu prycz, w oczekiwaniu. Na co? Nie wiedział i nigdy się nie dowiedział. Wiedział tylko, że nie zaśnie, że ruszy do lasu rozbity i niewyspany, że będzie robił wszystko, by doprowadzić swój organizm na skraj wyczerpania fizycznego w nadziei, że zmęczony padnie wieczorem na pryczę, tracąc świadomość aż do pobudki.

Znacznie lepiej znosił te chwile, gdy siedząc na pryczy, kończył na jawie swój sen. Wtedy jakoś sobie radził. Odgłosy uspionego baraku przywracały spokój, wskazywały jednoznacznie, że tamto już minęło, że wraca tylko w koszmarnych majakach sennych. Najgorsze było wspomnienie tortury zwanej „maska gazowa”. Doprowadzony prawie do utraty przytomności przez rzeczywisty czy wyimaginowany brak tlenu, łapczywie, niczym ryba wyciągnięta z wody, szeroko otwartymi ustami łapał powietrze. Dusił się jeszcze długo po przebudzeniu, a serce waliło jak wielki, kowalski młot. Brak tlenu rozrywał płuca. Niedotleniony mózg opornie reagował na rzeczywistość, nie pozwalając wrócić normalnemu oddechowi. Gdy pierwszy raz obudził się z tego snu, był przekonany, że umiera, że wycieńczony nadludzkim wysiłkiem organizm odmawia dalszego życia, że rozkołatanе serce stanie i nie ruszy więcej.

W zasadzie niewiele pamiętał z pobytu w areszcie FSB poza ogromnym, niekończącym się bólem. Faszzerowany narkotykami i środkami odurzającymi organizm wytworzył pustkę. Lukę. Chwilową, jak się okazało, amnezję. Ciężka praca fizyczna na mroźnym, syberyjskim powietrzu i głodowa dieta usuwały z organizmu Michała pozostałości świństw, którymi był faszzerowany przez FSB. Później dokarmiany przez Siepana, nie tylko odzyskiwał siły, ale również nabierał tężyzny fizycznej. Mięśnie stawały się coraz twardsze, organizm coraz bardziej wytrzymały. To wszystko powoli odślaniało tajemnice tortur.

Magda, mrużąc przez sen niezrozumiałe słowa, wyrwała Kobalta ze wspomnień. Popatrzył na nią z podziwem. Skąd w tej pięknej kobiecie tyle odwagi i siły, żeby tu dotrzeć? W dużym skrócie poznał historię wyprawy, ale to, co opowiedział Madera, wystarczyło, żeby z wielkim podziwem i szacunkiem patrzył na wyczyn śpiącej czwórki. O ile faceci byli przygotowani do tego typu wypraw, o tyle dla kobiety musiał to być

nadludzki wysiłek.

Zaprzagnął zapalić papierosa, ale bał się, że wychodząc z izby, obudzi śpiących. Wpatrzony w ledwo widoczną w mroku twarz Magdy, poczuł, jak nocny koszmar uderza. Jak lęk się rozrasta. Jak wypełnia całe jego ciało. Drżącymi rękoma uchwycił głowę. Gdyby nie obawa, że swoim wyjściem wszystkich obudzi, z krzykiem wybiegłby przed dom. Z doświadczenia wielu nocy wiedział, że pokonać lęk może tylko wtedy, gdy dokładnie przypomni sobie treść snu, gdy na jawie dokończy ten koszmar, gdy zmierzy się z nim i przekona sam siebie, że to tylko mara.

Niespodziewanie z pomocą przyszła mu Magda. Znow zaczęła mówić przez sen i chociaż Kobalt nie rozumiał słów, to jednak jego pamięć została pobudzona. Otwarły się połączenia, które zmaterializowały nocny koszmar. Powoli pamięć podsyłała mu obrazy nocnego koszmaru. Aleksandra Siewiernaja. To spotkanie było najbardziej upokarzające. O ile w areszcie próbowano wyłączyć jego mózg, to zabójcza Olga starała się wyłączyć jego ciało i w ten sposób dotrzeć do zakamarków jego mózgu. Wspomnienie upiornej, a zarazem porywająco pięknej i seksownej masażystki powracało często w snach, wywołując u Kobalta strach, obrzydzenie, fascynację i wyrzuty sumienia. Ten sen pojawiał się systematycznie podczas pobytu w obozie. Dlaczego pojawił się podczas pierwszej nocy po odzyskaniu wolności? Michał się zastanawiał. Widocznie tak już będzie, odpowiedział sobie w myślach. Jakże różne były spokojne oddechy śpiących w izbie od tych, które mu towarzyszyły przez ostatnie miesiące. Patrząc na rysujące się w mroku znajome, spokojne twarze, Kobalt powoli się uspokajał. Obozowy koszmar się skończył. Przynajmniej na razie. Wyczerpany kolejną „walką” z Olgą przymknął oczy. Był zmęczony. Powoli wrócił do swego śpiwora.

Magdalena miała koszmarnie sny i podobnie jak Stiepan obudziła się bardzo wcześnie. Spali wszyscy razem w sypialni gospodarza na skórkach niedźwiedzich, pookrywani kocami i śpiworami. Teraz, gdy profesor był już z nimi, gdy osiągnęli cel swojej podróży, opuściło ją napięcie. Strach, który towarzyszył jej podczas wyjazdu Janka i Stiepana, radość, gdy cali i zdrowi wrócili, przywożąc ze sobą Michała, jego opowieści o torturach i nieludzkich warunkach, które znosił w obozie, były ponad jej siły. Spała, nękana koszmarami, budząc się co chwila. Gdy pierwsze oznaki dnia zajrzały przez małe zamazane okienka, zrezygnowała z prób ponownego zaśnięcia. Cicho wydostała się spod śpiwora i usiadła na ławie przy oknie. Nie mogła sobie tego wszystkiego poukładać, chociaż jako korespondentka radiowa wiele w życiu widziała. Tylko że do tej pory była bezstronnym świadkiem relacjonującym wydarzenia słuchaczom, teraz przeszła na drugą stronę i stała

się jednym z uczestników. Przekroczyła granicę, którą sama stworzyła, aby móc obiektywnie przedstawiać sytuację. Na świecie rozgrywało się zbyt wiele tragedii, żeby mogła wszystkim zaradzić. Jej zadaniem było jak najuczciwsze relacjonowanie i informowanie o tych wydarzeniach. Czy będzie mogła profesjonalnie przekazać tragedię bliskiego jej człowieka? Czy odda rzetelnie atmosferę przygotowań i samej akcji, skoro reżyserem i wykonawcą był człowiek, którego kochała?

Pogrążona w myślach patrzyła przez okno. Zobaczyła Stiepana, jak krzątał się po podwórku, jak co chwila wynosił ze stajni małe pakunki i chował je pod skórą i kocami, którymi wyłożone były sanie. Nie zwracała jednak na to specjalnej uwagi. Po prostu przygotowuje się do kolejnego dnia, uznała. Jednak gdy od strony lasu nadjechały sanie powożone przez mężczyznę ubranego w mundur, gdy zatrzymały się przed bramą, a Stiepan podszedł, spokojnie przywitał się z przyjezdnym i zaczął rozmawiać, poderwała się i podeszła do śpiącego Janka.

– Jasiu! – szepnęła i potrząsnęła go za ramię. – Obudź się!

– Madzia? – zapytał zaspanym głosem. – Coś się stało?

– Tak. Mamy nieproszonego gościa. Podejdź do okna.

Bez słowa podniósł się i ostrożnie zbliżył się do zamrożonej szybki. Widok obcego mężczyzny pozbawił go resztek snu. Przyjezdny ubrany był w taki sam mundur, jaki miał na sobie zabity w nocy strażnik. Był co prawda sam i unieszkodliwienie go nie przedstawiało większych trudności, ale mogło mieć dla nich katastrofalne skutki. Nie wierzył, żeby w obozie już odkryto nieobecność profesora i powiązanie jego zniknięcia ze Stiepanem. Gdyby tak było, nie wysłano by jednego człowieka, tylko chatę otoczyłby oddział uzbrojonych strażników, a Maschadow nie zachowywałby się tak spokojnie. To zapewne była przyjacielska wizyta. Stiepan opowiadał o swoich w miarę dobrych relacjach ze strażnikami, więc, być może, jeden z nich, zaniepokojony jego długą nieobecnością, przyjechał sprawdzić, co się stało. Niewykluczone, że wejdą do chaty.

– Budzimy chłopaków! Patrz, co się dzieje, i gdyby zbliżali się do chaty, mów! – powiedział i nachyliwszy się nad śpiącymi, starał się obudzić ich bez wzbudzania niepotrzebnej paniki.

– Co się dzieje? – przestraszył się Kobalt, choć Madera starał się delikatnie przywrócić mu świadomość.

– Mamy gościa – poinformował, ale zaraz dodał: – Bez paniki, panie profesorze, na razie rozmawia ze Stiepanem przy bramie.

– A jeśli wejdzie do domu? – zaniepokoił się profesor.

– Na górę! – polecił.

Bez zbędnych słów wykonali polecenie Madery. Przemknęli przez kuchnię i sprawnie wspięli się po drabinie. Madera, wchodząc jako ostatni, popatrzył jeszcze przez otwarte drzwi do kuchni. Na środku stołu leżały radiotelefony, których używali podczas akcji uwolnienia profesora. Podał swój śpiwór Gunterowi, a sam zeskoczył z drabiny i wbiegł do kuchni. Zebrał telefony, lecz gdy miał wyjść do sieni, usłyszał skrzywienie drzwi i głos Stiepana. Droga na strych została odcięta. Nie namyślając się, Madera wbiegł do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Stiepan i jego gość otrzepywali w sieni buty ze śniegu. Madera rozglądając się w poszukiwaniu kryjówki. Wielka szafa stojąca w rogu wydawała się najodpowiedniejszym miejscem. Ukrył się w niej, lecz nie zdołał zamknąć drzwi. Skąpa zawartość mebla pozwoliła mu zająć w miarę wygodną pozycję i obserwować pokój. Po chwili drzwi od kuchni gwałtownie się otworzyły i Madera zobaczył stojącego w progu strażnika. Mężczyzna z ciekawością ogarnął pokój przeciągłym spojrzeniem. Przez ułamek sekundy, gdy skierował wzrok na szafę, ich oczy spotkały się. Madera, ukryty w mroku, był pewien, że strażnik go nie zobaczył, choć zapewne wyczuł niebezpieczeństwo, bo nerwowo wszedł do kuchni i nie czekając aż Stiepan przyrządzi herbatę, pożegnał się.

- Kto to był? – zapytał Madera, gdy Stiepan wrócił z podwórza.
- Riabuszkin. Zastępca komendanta obozu – wyjaśnił. – Szukał profesora.
- Cholera! Już wiedzą? – zaniepokoił się Madera.
- Jak na razie nie wszystko – uspokajał Stiepan. – Ale musimy zmienić nasze plany. Jadę do lasu i spróbuję się czegoś więcej dowiedzieć, a wy zjedzcie coś i bądźcie gotowi w każdej chwili wyruszyć w drogę. Możemy nie mieć wiele czasu.

Maschadow wrócił po zmroku, przywożąc uspokajające wieści. Po raz drugi uśmiercono profesora oficjalnym, choć fałszywym świadectwem zgonu. Za zwłoki Michała Kobalta posłużyło ciało zabitego strażnika. Decyzję taką podjął sam komendant, zapewne ze strachu przed konsekwencjami ujawnienia ucieczki profesora. Oczywiście o żadnej akcji poszukiwawczej nie mogło być mowy. W tej sytuacji, po krótkiej naradzie, postanowiono wstrzymać wyjazd powrotny o dwadzieścia cztery godziny, by profesor miał jak najdłuższy czas na wypoczynek i nabranie sił przed morderczą i niebezpieczną podróżą.

Moskwa, 13 października 1996

Wśród licznych obowiązków majora Orłowa była codzienna kontrola meldunków napływających z terenowych jednostek FSB, a dotyczących nieprawidłowości wykrytych przez kontrolę wewnętrzną. W związku z trwającą w Czeczenii wojną, wzmożoną aktywnością grup szpiegowskich, a przede wszystkim z przekazaniem Amerykanom tajnych dokumentów, Orłow narzucił podległym służbom pracę całodobową ze szczególną uwagą skierowaną na wszelkie informacje mogące mieć jakikolwiek związek ze zbuntowaną republiką.

Szef Krasnojarskiej FSB o akcji Drobkowa dowiedział się dopiero wtedy, kiedy agent przez kilka dni nie nawiązał łączności z biurem w Czirindzie. Komendant lokalnej agentury nie miał innego wyjścia, jak w trosce o swoje bezpieczeństwo poinformować zwierzchnika o podjętej bez uzgodnienia z nim akcji oraz o zaginięciu Drobkowa. Dwadzieścia cztery godziny później raport z Krasnojarska trafił na biurko Orłowa.

Major stopień i stanowisko zawdzięczał swojej inteligencji, niezwyklej pracowitości oraz intuicji i szczęściu. Szczęście i intuicja nie zawiodły go i tym razem. Czytając kilkanaście meldunków z różnych stron Federacji, uwagę jego przykuła informacja z Krasnojarska. Krótka, zwięzła, w paru słowach opisująca podjętą przez Drobkowa akcję mającą na celu przejęcie przerzutu ludzi, broni lub narkotyków. Rzut oka na mapę sztabową Kraju Krasnojarskiego dał impuls. Stosunkowo niewielka, jak na Rosję, odległość jaskini od obozu tysiąc czterysta dwadzieścia pięć, czeczeńscy kurierzy, informacja brata o ucieczce Kobalta, zniknięcie agenta Drobkowa, wszystko to zaczęło w głowie majora układać się w logiczną całość. Sprawdził daty. Wszystko się zgadzało. Nie, nie mógł się mylić. Już on będzie wiedział, jak tam w górach porozmawiać z tym Polaczkiem, żeby wydusić z niego wszystkie informacje. A jeśli nie przeżyje? I tak się nikt nie dowie, bo przecież dotarł do nich oficjalny akt zgonu Kobalta. Major poczuł swoją szansę. Teraz nikt i nic nie będzie go powstrzymywało, a jak wróci do Moskwy, to rzuci na biurko Kriuczkowa uzyskane informacje. Był pewien, że jego czujność zostanie nagrodzona awansem. Awansem na zastępcę szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa matki Rosji. Być może w przyszłości zajmie fotel generała. Zostało mu już tylko kilka lat do emerytury.

Trzy godziny później, po uzyskaniu tygodniowego urlopu, zajął miejsce

w samolocie zmierzającym do Nizhniewartowska, by tam przesiąść się na samolot do Igarki.

Linia telefoniczna Wschód - Zachód

- Witaj, Henry!
- *Hi*, Aleks! Coś się stało? Nie mogłeś poczekać do piątku?
- Nie. Jest problem.
- Hetman g trzy na e pięć.
- Hetman d osiem na e osiem. Polak uciekł.
- Jak to uciekł?! Pionek a dwa na a cztery! Nie widziałem waszej flagi na Statui Wolności!
- Myśleliśmy, że zginął. Hetman e osiem na d osiem. Dostaliśmy jego akt zgonu.
- No to skąd pewność, że uciekł? Wieża f jeden na f dwa.
- Przypadek. Hetman d osiem na e osiem.
- Przypadek? Drepczesz w miejscu, Aleks. Wieża f dwa na f trzy.
- Z twojej perspektywy może to wyglądać jak dreptanie. Hetman e osiem na d osiem. Uszczelniliśmy nasz system. Każda rozmowa jest kontrolowana. Rozmówca jednego z wysokich funkcjonariuszy zbyt często korzystał z telefonu.
- Uprzedzałem cię, Aleks!
- Major nie zameldował o tym, ale wyruszył na spotkanie z Polakiem.
- Sam?!
- Na miejscu dostanie pomoc, ale moi ludzie będą podążać za nimi.
- Liczę na ciebie. Może nam wszystkim narobić więcej kłopotów niż mój goniec. C cztery na d trzy!
- Nie martw się, nie zmarnujemy tego aktu zgonu. Hetman d osiem na e osiem.

Jaskinia w górach, około 150 km na południe od Czirindy

W okolicy jaskini dotarli trzeciego dnia przed świtem. Postanowili zaczekać, aż się rozwidni. Nie wiedzieli, co ich czeka w środku, bo żaden z posiadanych radiotelefonów nie działał. Po prostu baterie nie wytrzymały tak niskich temperatur. Co prawda nie przewidywali kłopotów, ale nauczonym doświadczeniem postanowili pozostawić w tajemnicy swoje przybycie do momentu, w którym zyskają pewność, że jaskinia jest bezpieczna, że nie wydarzyło się nic, co mogłoby im zagrażać.

Kobałt nad podziw dzielnie zniósł męczącą podróż skuterem śnieżnym po górskich bezdrożach. Niska temperatura nie robiła na nim żadnego wrażenia. Pobyt w obozie zahartował go, a przybliżająca się z każdą przejechaną godziną wolność dodawała mu siły i utrzymywała pogodny nastrój. Pozostali uszanowali jego milczenie na temat przeżyć z ostatnich miesięcy i na postojach starali się nie poruszać tego tematu. Nie opowiadał nic ponad to, co w strzępach usłyszeli w nocy po odbiciu profesora z obozu, w domu Stiepana.

Stiepan Maschadow wykorzystał dwudziestoczerogodzinne opóźnienie w wyjeździe do zlikwidowania swojego gospodarstwa. Największy problem miał z końmi. Zostawienie ich w stajni równałoby się skazaniu zwierząt na powolną śmierć głodową. Nie miał nikogo zaufanego, aby powierzyć mu opiekę nad nimi bez konieczności wyjaśnienia powodów wyjazdu. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydawało się wypuszczenie koni na wolność z nadzieją, że mieszkańcy wioski zaopiekują się nimi. Tylko jak to zrobić, by przedwcześnie nie odkryto ucieczki gospodarza? Tu z pomocą przyszedł Gunter. Pożar. To jest to, co może uzasadnić zniknięcie Maschadowa. Wszyscy wiedzieli, że lubił nadużywać alkoholu. Pijany mógł z łatwością zaproszyć ogień i stać się jego ofiarą. Mocno naciągane, ale z pewnością na parę godzin wprowadzi we wsi i obozie zamieszanie, dzięki któremu uzyskają trochę czasu, by opóźnić ewentualny pościg.

Przy użyciu dostępnych materiałów, to jest starego budzika, baterii z latarki i kanistra benzyny, Gunter i Madera skonstruowali prymitywny, ale skuteczny mechanizm mający wywołać pożar o szóstej rano. Zbyt wielką odległość pokonali, by mogli obserwować rezultat swojego wynalazku.

Wyruszyli godzinę po zmroku szczęśliwi, że znów pogoda im sprzyja. Śnieżycy skutecznie powinna zamaskować ślady skuterów. Szczęśliwi, bowiem nieświadomi faktu, że tuż za nimi, w odległości zaledwie kilkuset metrów, podążą jak cień trójka wysłanników Riabuszki.

Tym razem Maschadow poinformował Maderę o swoim pomysśle, prosząc o akceptację. Postanowił, wykorzystując ostatnie godziny ciemności i swoje kilkuletnie doświadczenie, wybrać się samotnie na rekonesans. Chciał spenetrować najbliższe okolice jaskini, wejście do niej, a być może, gdyby nie znalazł nic niepokojącego, samą grotę. Madera nie był zachwycony tym pomysłem, ale znając przebiegłość Stiepana, zgodził się. W sumie lepsze to niż paradowanie całą grupą w pełnym słońcu po odkrytej polanie. Umówili się, że bez względu na to, gdzie dotrze, po trzydziestu minutach zjawi się w miejscu tymczasowego obozowiska. Gdyby w tym czasie nie wrócił, to Madera odczeka jeszcze dziesięć minut i zamaskowawszy skutery, ukryje siebie i trójkę uciekinierów w lesie. Nie minęło jednak nawet dwadzieścia minut, jak Stiepan powrócił.

– Wszystko w porządku – powiedział zdyszany. – Możemy odpalać skutery. Oswald i kurierzy czekają na nas.

– A nasi przewodnicy?

– Wczoraj wieczorem odjechali z trzema kurierami – uspokajał Stiepan. – Nie spotkamy się już.

– Ruszajmy! – krzyknął Janek i pierwszy uruchomił silnik skutera.

Po krótkim powitaniu i prezentacji Madera zwołał naradę z udziałem kurierów. Oswald co prawda poinformował ich o Drobkowie i zmianie planów, ale nic więcej nie mógł pouzgadniać, bo nie wiedział, co zdołała Madera. Pierwotny plan zakładał, że Magdalena, Madera, Gunter i Oswald zostaną wywiezieni razem z rosyjskimi przewodnikami w pobliże Czeczenii i tam, po krótkich pertraktacjach, uwolnieni. Teraz, gdy nie dało się ukryć przed Rosjanami ich roli, trzeba było wymyślić nowy plan i doprowadzić do powrotu całej grupy do Europy. Narada trwała krótko, bo kurierzy mieli swój, niezależny od okoliczności, plan. Poinformowali Maderę tonem nieznoszącym sprzeciwu, że za dwie godziny wyruszają. Między osiemnastą a dwudziestą będą na nich czekały ciężarówki. Podzielią się wtedy na dwie grupy i ruszą szlakiem przemytniczym na zachód, w kierunku Europy. Teraz oni przejmują dowodzenie i odpowiedzialność.

Już samo pojawienie się majora Orłowa w agencji FSB w Czirindzie wywołało strach komendanta. Taka niezapowiedziana wizyta wysokiego rangą oficera z Moskwy mogła oznaczać tylko jedno. Kłopoty. A jak każdy

urzędnik państwowy, komendant gotów był zrobić wszystko, byle zadowolić zwierzchników i uniknąć ewentualnych kłopotów. I na to liczył Orłow. Krótko i zwięźle wyjaśnił, czego żąda i nie pozwalając na jakąkolwiek dyskusję, wyznaczył godzinę piętnastą na spełnienie jego żądań.

O siedemnastej ekipa piętnastu uzbrojonych agentów wyruszyła na południe Czirindy, dowodzona przez majora Orłowa. Jego plan był genialnie prosty. Liczył, że dotrą w pobliże jaskini i zdążą przygotować zasadzkę, nim uciekinierzy wyruszą w drogę powrotną. Najbardziej sprzyjającym momentem byłby sam wyjazd. Zawsze wtedy panuje lekkie zamieszanie i czujność z reguły jest osłabiona.

Kolumna ciężarowych samochodów przewożąca Orłowa, jego ekipę i sprzęt miała do pokonania stukilometrowy odcinek krętymi górskimi drogami. Tu szczęście opuściło majora. Jadąc w pierwszej ciężarówce, ponaglał młodego kierowcę, niezadowolony z wolnego tempa jazdy. Niedoświadczony kierowca, zlany potem, osiągał szczyty swoich możliwości, lecz w pewnym momencie, zastraszonegroźbami Orłowa, zbyt ostro wszedł w zakręt. Pokryta świeżym śniegiem droga nie dała odpowiedniej przyczepności kołom ciężarówki. Tyłem samochodu zarzuciło. Kierowca zareagował odruchowo – wcisnął ostro pedał hamulca. To wystarczyło, aby przód samochodu wbił się w dwumetrową zaspę na poboczu, jednocześnie tyłem blokując i tak już wąską drogę. Wściekły major wyskoczył z kabiny i pokonawszy zaspę, wypadł na drogę. Na nic jednak zdały się jego wrzaski i groźby. Dopiero dobrze po północy udało się im wypakować sprzęt z ciężarówek i ponownie ruszyć z miejsca.

Wybrana przez przewodników droga południowo-zachodnim zboczem góry miała być szeroką przecinką używaną do zwózki drzewa z pobliskich gór. I faktycznie była, tylko pokryta głębokimi śladami zostawionymi przez ogromne ciągniki. Małe i lekkie skutery śnieżne z trudem pięły się do góry. Ostro świecące słońce nie ułatwiało kierowania pojazdami, oślepiając kierowców po każdym zwrocie drogi na wschód.

Gdyby nie indywidualizm Stepana Maschadowa, doszłoby do niespodziewanego spotkania, a może nawet czołowego zderzenia obu grup. Nie posłuchawszy rozkazu kurierów, wyprzedzał grupę o blisko dwieście metrów, bacznie obserwując drogę przed sobą.

- Stać! – krzyczał, stojąc na środku wąskiej drogi i machając rękami.
- Co jest? – zapytał Madera, gwałtownie zatrzymując skuter. Za nim karnie zatrzymała się reszta grupy.
- Patrz! – w odpowiedzi Maschadow wskazał ręką.

Madera, mrużąc oczy, popatrzył we wskazanym kierunku. Początkowo nie

zauważył niczego szczególnego. I już miał ostro zwrócić uwagę Stiepanowi, gdy w oddali dostrzegł niewielką składającą się z paru skuterów kolumnę pnącą się pod górę wąską drogą otoczoną zwałami śniegu. Pojawiali się i znikali pod obwisłymi czapami pokrywającymi przydrożne drzewa.

– Kurwa mać! – skomentował odkrycie Madera. – Magda i profesor do lasu! A ty – wskazał ręką jednego z kurierów – odpowiadasz za nich!

Dwójka Polaków próbowała protestować, ale Madera niecierpliwie machnął ręką, nakazując w ten sposób bezzwłoczne wykonanie jego polecenia. Chcąc nie chcąc, wskoczyli w głęboki śnieg i po chwili znikli za potężnymi drzewami.

– Musimy działać z zaskoczenia – krzyknął Madera. Poczucił się jak ryba w wodzie. Nieuchronnie zbliżająca się konfrontacja wyzwoliła w nim ducha walki. Teraz to on decydował o rozwoju sytuacji. – Skutery ustawcie po obu stronach drogi, jak najbliżej zakrętu.

Wykonali jego polecenie błyskawicznie. Dziewięciu mężczyzn z bronią gotową do strzału skryło się za pozornie porzuconymi pojazdami.

Grupa majora Orłowa liczyła osiem skuterów, po dwóch mężczyzn na każdym. Jechali szybko zwartym szykiem, skupiając uwagę bardziej na zachowaniu równowagi niż na obserwowaniu drogi przed sobą, toteż zaskoczenie spotkaniem było ogromne. Gdy pierwsza dwójka minęła ostry zakręt i zauważyła porzucone skutery, gwałtownie zahamowała. Jadący tuż za nimi zrobili to o sekundę za późno. Pojazdy uderzały jeden w drugi, powodując spore zamieszanie.

– *Szto słuczyłos?* – zdążył krzyknąć Orłow, nim padł uderzony przez Oswalda.

– *Ruki w wierch!* – równocześnie z krzykiem Orłowa padła komenda Maschadowa.

Zdezorientowani i pozbawieni dowódcy żołnierze karnie podnieśli ręce do góry. Związanie ich zajęło grupie Madery kilkanaście sekund. Unieruchomienie skuterów i zniszczenie krótkofalówek, niespełna dwie minuty.

– Co z nimi? – zapytał zdyszany Stiepan.

– A co ma być? – odpowiedział Madera, ocierając pot z czoła. – Dotarli na miejsce. Należy im się odpoczynek. Przeprowadź Magdę i profesora. Straciliśmy trochę czasu.

Stiepan znikł w lesie. Po kilkunastu sekundach byli gotowi do drogi.

– Może by warto go przepytąć, czy nie mają towarzystwa? – Maschadow wskazał głową Orłowa.

– Masz rację – zgodził się Madera i podszedł do leżącego majora. Kopniak w plecy przywrócił mu przytomność. – Jak daleko jest następna grupa?

– *Idi w żopu!* – warknął Rosjanin i splunął.

– To nie tak! – krzyknął jeden z kurierów i seria z karabinu wzniciła fontanny śniegu u stóp leżących żołnierzy.

– *My adni!* – nie wytrzymał jeden z nich. – *Nikawo niet!*

– W drogę! – krzyknął Madera.

– Poczekaj. – Kobalt ujął go za ramię. – Chcę coś sprawdzić.

Podszedł do leżącego Orłowa i zdjął mu czapkę. Chwilę wpatrywał się w jego twarz.

– Pamiętasz mnie? – zapytał ze ściśniętym gardłem. Koszmarne wspomnienia wróciły. Nachylił się nad Rosjaninem.

Orłow popatrzył na niego kpiąco i splunął.

– Tysiące razy przysięgałem sobie, że cię zabiję, ale to byłoby dla ciebie błogosławieństwo. Zbyt szybko i lekko odszedłbyś z tego świata. Mam nadzieję, że nim umrzesz, będziesz cierpiał.

– Kto to? – zaciekawiał się Madera.

– Nikt – odparł Kobalt i wskoczył na skuter.

Z rykiem silników ruszyli, starając się nadrobić stracony czas. Przestraszona, ale zadowolona ze szczęśliwego zakończenia potyczki, Magda mocno przytuliła się do pleców prowadzącego skuter Czeczeńca. Po raz pierwszy zobaczyła Janka w akcji i mimo strachu była z niego dumna. Wspaniały! – rozmyślała, oceniając zasadzkę. Resztki obaw o szczęśliwe zakończenie wyprawy znikły.

Wściekły Orłow przeklinał wszystkich po kolei. Towarzyszących mu żołnierzy zbeształ na czym świat stoi, starając się pozbyć więzów, lecz zarówno czeczeńscy kurierzy, jak i grupa Madery byli w tym rzemiośle prawdziwymi mistrzami. Na nic zdały się szarpania i przekręcania. Gdy zaczęli tracić nadzieję i wydawało się, że przyjdzie im zamarznąć w tej głuszy leśnej, usłyszeli narastający warkot skuterów. Trzech wysłanników Riabuszki, zmarzniętych i zmęczonych, od trzech dni podążało śladami uciekinierów. Riabuszkin, bojąc się zawieść brata, naprędce zorganizował grupę pościgową. Korzystał z informacji Drobkowa. Mieli słabsze skutery, więc byli bez szans na dogonienie uciekinierów. Pomimo to starali się podążać jak najbliżej. Teraz w porę zauważyli, że śledzona przez nich grupa się zatrzymała. Z odległości niespełna dwustu metrów ze zdziwieniem oglądali rozgrywające się wydarzenie. Domyślili się, że leżący mężczyźni to agenci FSB, którzy dali się złapać w pułapkę. Odczekali, aż uciekinierzy oddalą się na

bezpieczną odległość, i pospieszyli kolegom na ratunek.

– *Jebał sobaku, wy duraki!* – Uwolniony z więzów Orłow wciąż przeklinał i złorzeczył, miotając się między żołnierzami. – Wszystkich wysłę w łagier!

Wyrwał karabin jednemu z wysłanników.

– Alosza! Iwan! – wskazał nieszczęśników lufą karabinu. – Pojedziecie ze mną! Reszta hołoty niech sobie radzi. *Duraki!*

Rozkazał pozostałym wysłannikom oddać broń i na trzech sprawnych skuterach rozpoczęli szaleńczy pościg. Droga schodziła serpentynami w dół, lecz potężne sosny i świerki uniemożliwiały widoczność. Orłow miał tę przewagę nad uciekającą grupą, że chwilę temu przejeżdżał tą drogą pod górę. Co prawda zajęty utrzymaniem równowagi nie miał zbyt wiele możliwości do obserwacji pobocza, niemniej zdołał zapamiętać jedno jedyne miejsce pozbawione drzew i dające możliwość skrócenia trasy oraz ominięcia zakrętu. Wykorzystał to i po szaleńczym zjeździe po prawie pionowej ścianie, w dwumetrowym śniegu, wyprzedził wreszcie uciekinierów. Nie mając czasu na przygotowanie zasadzki, stanął po prostu na środku drogi z odbezpieczonym karabinem. Był sam, albowiem towarzyszący mu agenci nie podołali trudnemu odcinkowi i koziołkując razem ze swymi skuterami, ugrzęźli w śniegu w połowie zjazdu.

Madera, przyklejony do pleców prowadzącego skuter kuriera, wychylał głowę zza jego ramienia, bacznie obserwując drogę. Trzy, cztery metry przed nimi, z lewej strony jechał Stiepan. Obok nich kolejny kurier z Magdą. Za nimi Kobalt. Janek co chwila zerkał na Magdę i może dlatego zauważył stojącego w rozkroku Rosjanina zbyt późno. Jego krzyk zlał się w jeden dźwięk ze strzałami. Pierwsza kula dosięgła Maschadowa. Trafiony w pierś, nie utrzymał kierownicy i skuter po wykonaniu salta wyleciał razem z pasażerem z drogi. Następna kula również trafiła w cel, ale kierujący skuterem Czeczeniec nie stracił panowania nad pojazdem i potracając majora, pognął dalej. Tymczasem dwójka rosyjskich agentów wydostała się ze śniegu i otworzyła ogień. Trafili kierowcę skutera, który wioził Maderę. Pojazd z wielkim impetem uderzył w zaspę. Martwy kurier spadł na drogę, a Madera pogrążył się w puszystym śniegu. Na chwilę stracił świadomość. Gunter i Oswald, będący pasażerami kolejnych śnieżnych pojazdów, zdołali odbezpieczyć karabiny. Serie z ich broni dosięgły dwóch agentów, którzy padli z przestrzelonymi głowami. Kierujący skuterami Czeczeńcy nie zmniejszyli prędkości, głusi na wołania Magdy, że Janek i Stiepan być może są ranni i potrzebują pomocy. Mieli jasny rozkaz dostarczyć profesora całego i zdrowego.

Madera sprawnie wygramolił się z zasy. Nie słyszał krzyków Magdy, zobaczył tylko znikające za kolejnym zakrętem skutery. Udało się, pomyślał zadowolony, lecz odwracając głowę, napotkał wściekły wzrok Orłowa. Major celował prosto w niego.

– *Nu! Ruki w wierch!* – krzyknął, odbezpieczając broń.

Madera posłusznie wykonał rozkaz, nieznacznie zbliżając się do Rosjanina. Bez broni nie miał żadnych szans, ale gdyby udało mu się zbliżyć jeszcze o metr... Tylko sto centymetrów, kotłowało mu się pod czaszką. Wiedział, że gdy zaatakuje z zaskoczenia, szczęście mu dopisze. Dwoma uderzeniami pozbawi napastnika broni, a potem obezwładni. Wykorzystując jego skuter, miałyby szansę dogonić całą grupę. Dogonić Magdę. Wykonał powolny ruch nogą.

– *Stoj!* – Komenda Rosjanina pozbawiła go złudzeń. – *Adin karabin, adna maszyna, a my dwaj.*

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Rosjanin kpiąco patrzył na Maderę. Janek, trzymając uniesione ręce, odwrócił wzrok, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Coś, czym mógłby odwrócić uwagę majora. Ten jednak dostrzegł to.

– *No, gieroj!* – zakpił. – *Kaniec igry!*

– *Tisze vozdeniya, poluszit dalnejszeje.* – Madera przypomniał sobie jedyne znane mu rosyjskie przysłowie.

Rosjanin roześmiał się głośno. Podniósł karabin i wycelował w Janka. Huknął strzał. Obaj upadli na drogę.

Zajęci sobą, nie zauważyli, że parę metrów wyżej zakrwawiony i z trudem łapiący oddech Stiepan Maschadow wydostał się z zasy. Czołgając się, zostawiał za sobą ciemnoczerwony ślad. Dotarł do białego w śnieg skutera. Z trudem uniósł się na kolana i z bocznej kieszeni wyciągnął karabin. Zmęczony padł na śnieg. Z ust wyciekła mu strużka krwi, oczy zasły mgłą. Wykonał przedostatni ruch w swoim życiu. Odwrócił się na brzuch i wycelował. Postaci rozplływały się. Łączyły. Stiepan nie wiedział, kto wróg, kto przyjaciel. Próbował wycelować w tego, który trzymał uniesiony karabin, lecz nie mógł opanować drżenia rąk. Lufa jego karabinu zataczała coraz wolniejsze i większe kółka. Raz jeden, raz drugi mężczyzna stawał na linii strzału. Nasilające się drgawki z trudem pozwalały utrzymać karabin. Głowa Stiepana opadła, z ust trysnął strumień krwi. Umierając, zacisnął palec na spuście. Huknął strzał, którego już nie usłyszał. Nie usłyszał również oddalającego się skutera podążającego śladem Magdy, Kobalta, Oswalda i Guntera.

Moskwa, 7 listopada 1996

Nieczęsto się zdarza, żeby dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) podróżował prywatnie za granicę Stanów, a już zupełnym ewenementem byłaby jego wizyta w Moskwie. A jednak zdarzyła się. Szóstego listopada 1996 roku H. B., urzędujący od wielu lat dyrektor agencji, wylądował w godzinach wieczornych na lotnisku Szeremietewo. Kontrolę graniczną przeszedł bez problemów, bo jakie problemy mógłby mieć przedstawiciel fabryki traktorów koncernu International Harvester Company Henry McCurtis jadący na oficjalne zaproszenie fabryki z Niżnego Nowogrodu?

W czwartek siódmego listopada o godzinie dziesiątej w cerkwi Woskriesińskiej na cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe Nataszy Kriuczkow, żony generała Aleksieja Kriuczkowa.

Niebo nad Moskwą zasnute było grubą warstwą ołowianych chmur. Ostre porywy wiatru kręciły szalone piruety milionami płatków śniegu. Nieliczny kondukt żałobny zatrzymał się przy skromnej mogile. Generał Kriuczkow wyraził jasne życzenie. Pogrzeb Nataszy to uroczystość prywatna, w której uczestniczyć mogą tylko najbliżsi przyjaciele i rodzina. Wieloletni szef KGB nie miał zbyt wielu przyjaciół, a natura nie obdarzyła go potomkiem, więc ostatnie pożegnanie jego żony było bardziej niż skromne. Wśród kilkunastu osób uczestniczących w tej świeckiej uroczystości wyróżniał się wysoki mężczyzna w kapeluszu niosący kolorową wiązaną przepasaną czarnym kirem. Trzymał się na uboczu i jako ostatni podszedł do Kriuczkowa z kondolencjami. W milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

– Dziękuję, Henry – powiedział Kriuczkow. – Do kiedy zostajesz w Moskwie?

– Do jutra.

– Przed bramą, przy ulicy Siergieja Makeeva, czeka samochód z kierowcą. Zapraszam. Mamy do pogadania.

Niecałą godzinę później Aleksiej Kriuczkow wprowadził gościa do niewielkiego domu ukrytego za wysokim murem. Na stoliku pod oknem stała rozłożona szachownica. Obok leżał zapisany arkusz.

– Whisky? – zapytał gospodarz.

– Bez lodu i wody proszę – potwierdził gość.

– Nie zmieniłeś upodobań. – Kriuczkow smutno się uśmiechnął.

Zasiedli naprzeciw siebie w wielkich skórzanych fotelach. Po chwili milczenia Kriuczok wyjął z kieszeni marynarki złożoną kartkę i przesunął ją po blacie stołu w kierunku gościa. Ten wziął ją do ręki. Rozprostował.

– *The death certificate* – odpowiedział gospodarz. – Profesor Michał Kobalt.

– A jednak – powiedział ze smutkiem Henry. Zbliżył się do szachownicy i biorąc do ręki hetmana, przesunął go na pole e cztery.

– Nie było innego wyjścia. Skoczek na f sześć. Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że ani profesor, ani nikt z ekipy ratunkowej nie mógł wyjść żywy poza granice Rosji. I nie wyszedł.

– Tak, ale mimo wszystko... szkoda – powiedział Henry, przesuając wieżę na f sześć i ściągając z szachownicy czarnego skoczka. – Podobno był świetnym fachowcem. Nie dokończyłeś opowiadać o ostatniej, najważniejszej fazie operacji.

– Tak – westchnął. – Wtedy Natasza miała ostatni atak choroby.

– Masz teraz siłę? – zapytał gość. – Ciekaw jestem, jak to się skończyło. Ot, taka zawodowa przypadłość.

– Po to cię zaprosiłem – powiedział Kriuczok, przesuając pionka z g siedem zbił wieżę na f sześć. Sięgnął po stojącą obok na małym przewoźnym barku butelkę whisky i uzupełnił kieliszki. – Od tygodnia jestem cywilem. Rozstałem się z KGB, to znaczy z FSB.

– Zmusili cię, czy sam poprosiłeś o dymisję?

– Sam. Po śmierci Nataszy nie wydało się to takie dziwne, a dla mnie wszystko straciło sens. Mam już dość. Dwadzieścia pięć lat na samym szczycie. To męczy. Jeszcze gdy żyła Natasza...

– Może kiedy indziej opowiesz mi o końcu waszej akcji?

– Nie. Chcę to mieć za sobą. – Rozsiadł się wygodnie w fotelu. – Skończyłem na tym, jak Maschadow, nim skonał, zdołał jeszcze wystrzelić z karabinu. Całe życie miał pecha, ale tym razem los mu sprzyjał. Trafił majora Orłowa idealnie w skroń, a potem zmarł. Madera, ten drugi Polak, po sprawdzeniu, że Czeczeniec nie żyje, wskoczył na skuter i ruszył w pogoń za swoją grupą. Muszę przyznać, że plan mieli świetny.

– Ale ty byłeś sprytniejszy, czego nie mogę powiedzieć teraz – uśmiechnął się Henry i przesuwał białą wieżę, pozbawił gospodarza kolejnego pionka.

– Chcieli dotrzeć do Kazachstanu – kontynuował Kriuczok. – Granica pomiędzy Rosją i Kazachstanem jest dziurawa jak sito. Dla przemytników, a nie zapominaj, że tamtędy wiodą szlaki narkotykowe i mafia kontroluje wszystkie, nie byłoby problemu z przetrzuceniem całej grupy. Po przejściu przez granicę Kobalt i cała reszta bez przeszkód dotarliby do Europy.

– Ale...

– Ale zginęli kilka kilometrów dalej – wyjaśnił Kriuczok, siląc się na uśmiech. – Orłow był świetnym oficerem sztabowym, niestety nie miał wyobraźni, nazwijmy to, przestrzennej. Słabo sprawdzał się w akcji, w terenie.

– Wiedziałeś o tym – bardziej stwierdził, niż zapytał Amerykanin.

– Tak. Tak, wiedziałem o tym od dawna – zamyślił się wpatrzony w szachownicę. Przejechał dłonią po czole, jakby wycierał pot i postawił króla na polu g osiem. Rzekł: – Już raz nawalił... Nocna rozmowa z bratem, który był funkcjonariuszem w obozie tysiąc czterysta dwadzieścia pięć w kontekście jego niespodziewanej prośby o urlop, oznaczała dla mnie jedno. Major na własną rękę organizuje akcję schwytania Kobałta i pomagających mu ludzi...

– Wysłałeś ubezpieczenie...

– Czekali na nich na zakręcie, trzy kilometry dalej. Pięciu strzelców wyborowych. Nie mieli żadnych szans. Nie przeżył żaden świadek.

– A ludzie wysłani przez Riabuszkina?

– Powtarzam: nie przeżył żaden świadek. Nie było żadnej ucieczki, żadnych zwłok. Nic.

– Mogę powiedzieć Billowi, że wszystko okej?

– Tak.

– Goniec na c cztery!

– Cholera – mruknął Kriuczok i przesunął króla.

– I to by było na tyle. Hetman na f cztery.

– Tak. Masz rację – powiedział generał, przewracając czarnego króla i poddając partię. – W życiu też różnie bywa...

– Miałeś więcej szczęścia ode mnie.

– To znaczy?

– Miałeś Nataszę – wyjaśnił Henry. – Pamiętasz sześćdziesiąty szósty? Nowy Jork?

– Piękne czasy. Byliśmy wtedy tacy młodzi!

– Podsunąłeś mi Nataszę. Miała dla ciebie zbierać informacje, a ja ją uwiodłem...

– Wiem. Zameldowała mi o tym. Już wtedy była moją żoną.

– Zaproponowałem jej pozostanie w Stanach. – Henry wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz było ciemno. W świetle odległej latarni widać było porywane wiatrem liczne płatki śniegu. Amerykanin uśmiechnął się smutno i nie odwracając się od okna, powiedział: – Błagałem ją na kolanach, żeby została ze mną, i wtedy wyznała mi, że jest twoją żoną. Powiedziała, że cię

kocha i nigdy nie zdradzi.

– Wiesz jakie były jej ostatnie słowa? – Kriuczkow tylko na chwilę zamilkł, jakby ważąc, czy wyznać mu prawdę. – Powiedz Henry’emu, że go kochałam. Kochałam was obu, ale nade wszystko kochałam Rosję. – Opróżnił swoją szklaneczkę. Otarł usta rękawem marynarki i popatrzył smutno na puste naczynie. – Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Śmierć była szybsza.

– Wypijmy – zaproponował Henry i spostrzegłszy, że gospodarz ma puste naczynie, powoli wstał i napełnił je do połowy. – To była wspaniała kobieta. Dzięki niej, stojąc po dwóch stronach barykady, byliśmy przyjaciółmi.

– Tak... Potrafiła nas... zmotywować.

W wąskim kręgu światła widać było szachownicę z przewróconym królem. Mężczyźni milczeli. Na dworze śnieg padał nieprzerwanie. Mijały minuty, a żaden z nich się nie poruszył, nie odezwał.

– Gdy parę miesięcy temu – odezwał się Amerykanin po dłuższej chwili – zapytałem cię, po co wam konflikt w Czeczenii, zbyłeś mnie ogólnikami.

– To nie były ogólniki, Henry. – Generał poruszył się niespokojnie. – Rosja od zawsze była potęgą. Pierestrojka oderwała od nas parę republik. Może to i dobrze, ale jest w Rosji grupa ludzi o potężnych wpływach, którym to się nie podoba, którzy chcą mocarstwa i to, co się stało z Litwą, Łotwą, Estonią, Ukrainą czy Gruzją, jest dla nich plamą na honorze, którą zetrzeć może tylko powrót zbuntowanych republik do matki Rosji.

– Biegu historii nie odwrócisz...

– Ale możesz wyciągnąć wnioski z przegranej i lepiej się przygotować do następnej partii.

– Życie to nie partia szachów, Aleks – zauważył Henry.

– I tu się mylisz. – Gospodarz się ożywił. – Każdy z nas odgrywa taką samą rolę w życiu, jak figury na planszy. Jedni są pionkami, inni gońcami, skoczkami... Tylko nieliczni mają pozycję hetmana. Ot, taki Kobalt. Świetny goniec, ale wystarczyła pułapka pionków, by poległ.

– A my?

– My? – zdziwił się generał, lecz po chwili wyjaśnił z uśmiechem: – My jesteśmy hetmanami.

– Ciekawe rozważania filozoficzne – skomentował Amerykanin. – Co to ma wspólnego z Czeczenią?

– Powoli – przystopował go Kriuczkow. – Historia świata jest jak mecz szachowy zakontraktowany na wiele partii, z tą tylko różnicą, że zmieniają się szachiści. Mistrz, nim usiądzie przy planszy, dokładnie analizuje poprzednią partię i wyciąga wnioski.

- Nadal nie rozumiem analogii – wtrącił Henry.
- Druga wojna światowa dobitnie pokazała, że zbrojna agresja w Europie nie przyniesie już efektów. Żeby utrzymać albo wzmocnić swoją potęgę, trzeba czegoś bardziej nowoczesnego. – Zamilkł na chwilę, bawiąc się kryształową szklaneczką. – Czegoś, czego w żaden sposób nie można powiązać z agresją. Trzeba zrywu narodowowyzwoleńczego. I myśmy, a w zasadzie Władimir Władimirowicz, coś takiego zorganizowali w Czeczenii.
- Po co? – zdziwił się gość. – Przecież Czeczenia była częścią Rosji!
- Czeczenia to poletko doświadczalne – wyjaśnił ze smutnym uśmiechem. – Są na tyle mali i nieistotni dla świata, że w każdej chwili możemy ich zmieść na Syberię, a świat pogada, postraszy i zapomni. Tysiące wyszkolonych przez nas agentów zaczęły podburzać Czeczeńców. Ten tak zwany zryw narodowowyzwoleńczy był przez nas stworzony i jest przez nas kontrolowany.
- Ale po co?
- Żeby w wypadku Litwy, Łotwy czy Ukrainy nie popełnić żadnego błędu – wyjaśnił. – Wszystko zostało sprawdzone, przetestowane i zanalizowane. Muszę przyznać, że to mistrzowska robota.
- Nie wierzę, żeby Borys był tym wielkim mistrzem!
- Masz rację – potwierdził smutno gospodarz. – Nadchodzi prawdziwy wielki mistrz. To Władimir Władimirowicz...

Samolot do Nowego Jorku wystartował punktualnie o dwudziestą drugą godzinę moskiewskiego. Mężczyzna siedzący w dwudziestym ósmym rzędzie, w fotelu przy oknie, zamówił podwójną whisky. Zanim po raz pierwszy uniósł szklaneczkę do ust, szepnął:

- Szach... mat... pat...

Kraków – Zakopane, DW Grań, 2012 rok

Od Wydawcy

Powieść, którą przeczytałeś, drogi Czytelniku, zawiera niekompletną partię szachów rozgrywaną pomiędzy bohaterami. Jest to celowy zabieg Autora. Poniżej znajduje się pełny zapis, który – jak sądzimy – będzie gratką nie tylko dla miłośników tej królewskiej gry, ale również dla dociekliwych Czytelników.

Przedstawiona partia rzeczywiście była rozegrana pomiędzy dwoma wybitnymi szachistami. Świadomie nie podajemy, kiedy i pomiędzy kim. To będzie przedmiotem zabawy, którą wkrótce zaproponujemy.

Zapraszamy do śledzenia konkursów organizowanych przez nas na Facebooku.

Białe – Henry — Czarne – Aleks

1. c2-c4 — e7-e6
2. Sg1-f3 — d7-d5
3. d2-d4 — Sg8-f6
4. Sb1-c3 — Gf8-e7
5. Gc1-g5 — O-O
6. e2-e3 — h7-h6
7. Gg5-h4 — b7-b6
8. c4:d5 — Sf6:d5
9. Gh4:e7 — Hd8:e7
10. Sc3:d5 — e6:d5
11. Wa1-c1 — Gc8-e6
12. Hd1-a4 — c7-c5
13. Ha4-a3 — Wf8-c8
14. Gf1-b5 — a7-a6
15. d4:d5 — b6:c5
16. O-O — Wa8-a7
17. Gb5-e2 — Sb8-d7
18. Sf3-d4 — He7-f8
19. Sd4:e6 — f7:e6
20. e3-e4 — d5-d4
21. f2-f4 — Hf8-e7
22. e4-e5 — Wc8-b8
23. Ge2-c4 — Kg8-h8

24. Ha3-h3 — Sd7-f8
25. b2-b3 — a6-a5
26. f4-f5 — e6:f5
27. Wf1:f5 — Sf8-h7
28. Wc1-f1 — He7-d8
29. Hh3-g3 — Wa7-e7
30. h2-h4 — Wb8-b7
31. e5-e6 — Wb7-c7
32. Hg3-e5 — Hd8-e8
33. a2-a4 — He8-d8
34. Wf1-f2 — Hd8-e8
35. Wf2-f3 — He8-d8
36. Gc4-d3 — Hd8-e8
37. He5-e4 — Sh7-f6
38. Wf5:f6 — g7:f6
39. Wf3:f6 — Kh8-g8
40. Gd3-c4 — Kg8-h8
41. He4-f4 i czarne poddały partię